PIERWSZA POWIEŚĆ O POKOLENIU SŁOIKÓW

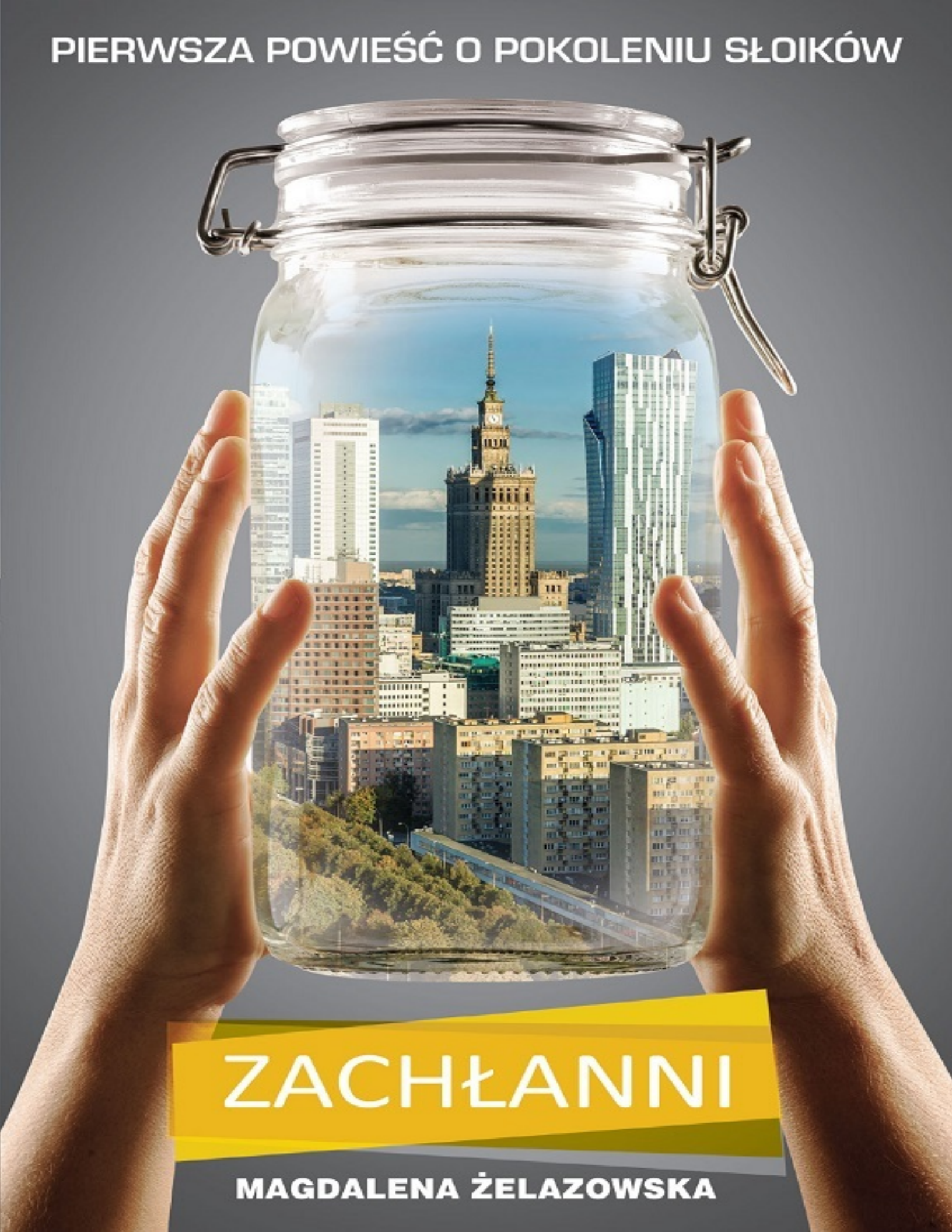

ZACHŁANNI

MAGDALENA ŻELAZOWSKA

Magdalena Żelazowska

Zachłanni

Spis treści

Część pierwsza. Zacięty
Część druga. Zaborcza
Część trzecia. Zachłanna

Część pierwsza

Zacięty

Kiedy nie miałem schronienia,
zrobiłem je z zuchwałości.

Robert Pinsky *Samurai Song*

***

Kiedy umierał, nie przyłożyłem do tego ręki. Ale pomocną dłoń schowałem do kieszeni. W milczeniu przyglądałem się, jak uchodzi z niego życie. Nie życzyłem mu źle. Chciałem tylko, by ustąpił mi miejsca. Tak długo czekałem na swoją kolej.

Tamtej nocy śniłem o ziemi.

Czarnej, ciepłej i wilgotnej. Rozciągała się po horyzont i była moja. Jak okiem sięgnąć pustka, ograniczana jedynie linią odległego lasu. Żadnych trakcji, płotów, budynków. Nic. Przestrzeń. Ostre powietrze i cisza. Oddychałem głęboko. Po każdym kroku zapierałem się mocno stopami i odwracałem za siebie. Moje podeszwy odciskały głęboki i dokładny ślad.

Brnąłem z wysiłkiem. Buty zapadały się coraz głębiej. Nie zwracałem na to uwagi, ponieważ brałem udział w niezwykłym doświadczeniu. Na własnym organizmie odczuwałem, czym jest uziemienie. Moje naelektryzowane ciało ulegało zobojętnieniu. Oddychałem coraz wolniej i pełniej, ogarniał mnie obezwładniający spokój. W kontakcie z podłożem stawałem się niewzruszony. Jednocześnie z każdego zanurzenia w ziemi czerpałem siłę. Czułem, jak od stóp aż po czubek głowy przenika mnie moc.

Moja ziemia.

Wsunąłem w nią dłoń. Grudki łatwo ustępowały pod palcami. Czarna maź oblepiała mi skórę i wciskała się pod paznokcie.

Aśka nie cierpi tego uczucia. Mówi, że jest jak zgrzytanie zębów albo piszczenie kredy jeżdżącej po tablicy. Kazałaby mi zaraz usuwać brud, ale byłem sam i miałem to gdzieś. Skoro coś ci przeszkadza, to twój problem.

Rozdział pierwszy

Mnie na ogół przeszkadza niewiele. Z grubsza tylko jedno: do szału doprowadza mnie to miasto. Stolica, pożal się Boże. Urbanistyczna karykatura sklecona na piachu z wiślanej łachy. Szpetny zaścianek, który z Europą ma związek wyłącznie kartograficzny.

Tak, jestem słoikiem. Tak, przyjechałem tu za pracą. Nie, nie posiadam warszawskiego meldunku i okradam to miasto, wyprowadzając podatki na prowincję. Mam się wynosić z miejsc parkingowych i przychodni? Mam to gdzieś, i tak są gówno warte. Na zdrowie nie narzekam, nie muszę napychać lokalnym konowałom potrójnej stawki. Zęby leczę u siebie, kupuję u siebie. Tak, żarcie też. Przecież w tym grajdole nie ma nawet gdzie kupić mięsa. Chyba że ekoszynkę po czterdzieści pięć za kilo. Jak się nie podoba, zostają oślizgłe truchła pływające na zafoliowanych tackach.

Mieszkamy z narzeczoną na dwudziestu metrach. Domek ciasny, ale własny? Nic z tych rzeczy. Wynajmujemy pokój w dzielonym mieszkaniu. Brać kredyt na całe życie na zakup jakiejś nory? Dziękuję, postoję.

Przeglądaliśmy ogłoszenia, chodziliśmy nawet oglądać. Czasem myślę, że niektórym zwyczajnie odwala. Klitka w wielkiej płycie, boazeria, PCV, wyliniały chodnik i pożółkły kibel. I to wszystko za chore jakieś pieniądze. A tu kolejka, licytacja i casting jak do *Mam talent!*. Ludzie, do czego ten pęd? Do ciasnoty i hipoteki na resztę życia? Uwłaczające. Nieporozumienie jakieś.

Powinno być inaczej. W małych miastach żyje się lepiej, wygodniej. Cisza, spokój, zieleń, godziwe warunki. Aśki rodzice, ojciec mechanik i matka fryzjerka, mają dom z ogrodem. Stać ich, choć nie są nadziani. Skromny klocek z PRL-u, ale zrobili z niego cudeńko. W Warszawie mogliby za to kupić dwa pokoje. I jak się w nich pomieścić z dzieciakami, gratami? O dziadkach nie wspominając. Ale w dużym mieście dom wielopokoleniowy to fikcja. Każdy orze w samotności.

Po co tu jestem i się szastam, skoro mogę mieszkać gdzie indziej? Otóż właśnie nie mogę. Sytuacja w naszym kraju mi na to nie pozwala. Wróciły czasy centralnego sterowania gospodarką: wszystkim trzęsą duże miasta. Puchną, wysysając ludzi z prowincji, i zaburzają ekonomiczną równowagę. Teraz nawet jeśli ktoś chce zostać, to nie ma jak. Nie wyżyje, bo robota jest tylko w mieście. A że najlepsze fuchy krążą w obiegu zamkniętym, to dla przyjezdnych zostają ochłapy. Zlecenia, dzieła, zastępstwa i inne badziewie. Kiedyś to wszystko pieprznie jak balon. Nie można dymać w nieskończoność.

– Wynajmować to frajerstwo – mówi Marcin. – Nabijasz komuś kabzę. Nic z tego nie masz,

a obcego spłacasz. Lepiej kupić, nawet na kredyt. Drogo, ale wiesz, że śpisz na kasie. Bulić i tak bulisz, ale przynajmniej jesteś na swoim.

Czyżby? Chyba na bankowym!

Kumpla wywalili z roboty. Od trzech miesięcy nie może nic znaleźć. Dziewczyna z brzuchem, starzy biedni i daleko, a tu co miesiąc dwa koła do spłaty. Ubezpieczenia nie miał, oszczędności też. I o co ta szarpanina? O trzydzieści osiem metrów na obrzeżach, do których codziennie wlecze się w korku.

Aśce marzy się chociaż tyle. Pokój z kuchnią, minisypialnia i łazienka wielkości sławojki. „Dziewczyno – mówię. – I co dalej? Kołyskę ustawisz w salonie? Do sypialni wejdzie tylko wyro, nawet obejść go nie ma jak, stajesz na progu i od razu dajesz nura w pościel. A ciuchy, wózek, rower? Gdzie to wszystko trzymać? Na rzygowniku, który mieni się dumnie balkonem?”

Marcin cwaniaczy, bo ma nadzianych rodziców. Starzy kupili mieszkanie jemu i jego siostrze. Każdemu osobne.

– Wolnoć Tomku w swoim domku – powtarza z głupkowatym uśmiechem.

Miejscowi nie rozumieją mojej frustracji. Każdy ma mieszkań po rodzinie, tylko wybierać. A to po ciotce, a to z książeczki mieszkaniowej, a to kupione jako lokata kapitału, jeszcze przed górką. I trzymają sobie te izby, ściskają, napawają się nimi. Żeby jeszcze wynajmowali i zarabiali na przyjezdnych, to bym zrozumiał. Gdybym ja miał takie zaplecze, wszystko bym odpicował i dał ogłoszenie. Przebierałbym w najemcach, robił przesłuchania, kazał nosić zaświadczenia o zarobkach. Pan nie, pan tak, pani nie. Ten niechlujny, ta niewypłacalna. Gej? Precz. Para? Won, zaraz zrobią dziecko i już się nie wyniosą. Nie spieszyłbym się. Dawałbym sobie czas na dokonanie właściwego wyboru.

Jako kamienicznik rzuciłbym robotę i zabrał Asię w świat. Co miesiąc sprawdzałbym tylko stan konta. Ot, cała robota. Ale nie. Tamci mieszkania tylko posiadają. Trzymają sobie puste, w odwodzie. Nie chcą, żeby im się ktoś obcy pałętał i niszczył. Wiadomo, cudzego nie uszanuje. Więc w jednym, na siedemdziesięciu metrach, siedzi kot, który nie lubi się z pieskami. W drugim mieszkają rzeczy, których od lat nikomu nie chce się przejrzeć i wyrzucić. Bliźniak stoi pusty, będzie dla wnuków, jak się urodzą i dorosną.

A my? Od dziesięciu lat na walizkach. Przyjechaliśmy na studia i niemal od początku wynajmujemy razem. W rodzinie się to nie podobało, zwłaszcza u Aśki. Że mieszkanie przed ślubem, od razu po maturze. Ale nikt z moralistów nie wpadł na to, żeby się zrzucić dziewczynie na osobny pokój. Dla świętego spokoju zaręczyliśmy się i na parę lat ucichło. Teraz dopytują, kiedy wesele, że to już tyle lat. No cóż, nawet jeśli się pobierzemy, to i tak

imprezy nie będzie. Zbieramy na dom.

Dziesięć lat wynajmowania. Okrągła rocznica, muszę wymyślić, jak ją uczcić.

To jasne, czego oczekuje Aśka.

Oboje wiemy, że nadeszła najwyższa pora na kupno własnego mieszkania.

Ona jeszcze nie wie, że nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Ja nie chcę wiedzieć, co będzie, jeśli mi się nie uda.

Rozdział drugi

Moi starzy nie dają nam się nad sobą użalać.

– Cierpliwości – mówią. – Wszystko ma swój czas. Jest czas akademików i wynajmowanych pokoi. Jest czas na kawalerkę i czas na własny dom. Nie od razu Kraków zbudowano.

Oni też wyjechali, jak my. W tamtych czasach z ich rodzin nikt wcześniej nie studiował, każdy zostawał na gospodarce. Więc jechać do miasta to była przygoda! I bilet w jedną stronę. Nikt nie wracał, bo wykształconym od ręki dawali dobrą pracę.

Ojciec z matką najpierw mieszkali w akademiku, tam się poznali. Najlepsze lata w życiu, powtarzają zgodnie. Co wieczór nasiadówki, potańcówki i partyjki brydża. Po studiach mamie zaproponowali, żeby została na uczelni, więc zamieszkali w hotelu asystenckim. Ale ojciec szybko dostał posadę kierownika w zakładzie, w mniejszym mieście, więc w pakiecie z mieszkaniem. Po paru latach wykupili je za grosze, na które zresztą wzięli nieoprocentowaną pożyczkę z pracy. Wyobrażacie sobie? Nierealne, co? Cóż, nasza rzeczywistość wygląda trochę inaczej.

Zaczęliśmy podobnie: od akademika. Załatwiliśmy papiery i czuliśmy podekscytowanie. Szukaliśmy klimatów z dawnych lat. Świetnej zabawy i przyjaźni na całe życie. Nic z tego. Betonowe klocki przy Żwirki i Wigury przypominały wymarłe miasto. Puste korytarze i ciasne, pozamykane od środka pokoje. Niby ktoś tam się snuł od czasu do czasu, ale zaraz znikał w którejś z obleśnych dziupli. Każdy siedział cicho i wkuwał. Mieszkaliśmy osobno – Aśka z dwiema dziewczynami, ja z jakimś milczącym typem z geologii. Poranna wymiana spojrzeń z karaluchem spacerującym po umywalce była bardziej owocna niż próby nawiązania kontaktu z tamtym. Aśce trafiła się służbistka, mierząca, czy gary na półce stoją w równej linii; druga współlokatorka regularnie trzeszczała piętrowym wyrem ze swoim niedomytym kolesiem. Poza nimi nie pamiętam z tamtych czasów nikogo, żadnej twarzy. Tylko odległy dźwięk kroków gdzieś na wyższych piętrach i całonocne bzyczenie jarzeniówek.

A imprezy w klubach studenckich? Dobre sobie. Kluby studenckie w Warszawie nie istnieją. Niech was nie zwiedzie nazwa. Student nie student, bulisz za wjazd, a za piwo jak za zboże. W popowym łomocie prężą się znudzone zmalowane panny, wokół nich krążą pojedynczy satelici, którzy studiowali dziesięć lat temu albo wcale. Juwenalia? Dawno już nie trzęsą miastem, a koncerty jak na Dniach Parczewa. Za czasów naszych starych studenci na parę dni przejmowali władzę nad miastem. A życie studenckie to była legenda. Ile się z tego urodziło anegdot! W pokojach robiło się tak zwany telewizor: na półce nad drzwiami stawiało się

miskę z wodą, która pociągnięta sznurkiem przywiązanym do klamki, wylewała się wchodzącemu na łeb. Po zajęciach grało się w brydża lub w sekrecie przed współlokatorami oddawało miłosnym uniesieniom. Jedna para zakleszczyła się podczas numerku, pogotowie musiało ich rozdzielać. Jakiś typ oszalał z miłości i rurą od prysznica zdewastował kibel, potem chciał się rzucać z dachu, w końcu wylądował w kolczastym żywopłocie. A u nas? Emocje wzbudzał tylko bałagan lub kiedy ktoś komuś przeszkadzał się uczyć.

Po roku zdecydowaliśmy, że taniej i wygodniej wyjdzie nam wynająć razem pokój na mieście. Wzięliśmy się więc za przeglądanie ogłoszeń. Najtaniej było przy rodzinie, ale par nie chcieli, na ogół samą dziewczynę. Część pokoi okazała się przechodnia, czyli też odpadały: zero prywatności. Znaleźliśmy raz ofertę za złotówkę, z zastrzeżeniem, że właściciel co weekend będzie wpadał na kolację i bzykanko. W końcu wybraliśmy kilka bardziej standardowych ogłoszeń i zaczęliśmy dzwonić. Pokoje można było oglądać w ustalonych godzinach. Na miejscu wchodziło się w podgrupach i wpisywało się na listę zainteresowanych. Właściciel wybierał, kto mu się podobał, i oddzwaniał lub nie. Ponieważ chcieliśmy mieszkać we dwoje, musieliśmy płacić więcej (że niby większa eksploatacja), więc mieliśmy szansę. Udało się nam przy trzecim podejściu, a potem szło już z górki.

Pierwszy był nieumeblowany pokój na Stegnach. W kolejnym, na Woli, mebli mieliśmy aż za dużo, zabierały większość powierzchni w pomieszczeniu. Właściciele zwozili nam wszystko, co im zawadzało. Wiklinową sofę, idiotyczny sekretarzyk, stojącą lampę, czyli to, co najmniej funkcjonalne. Zbędne rupiecie zabierające i tak ograniczoną przestrzeń.

– Nam niepotrzebne, a wam może się przydać – obwieszczali hojnie.

Potem przyszła kolej na ciemny salon w kamienicy na Ochocie, długi i wąski jak jeżdżące sąsiednią ulicą tramwaje, które co kilka minut wprawiały całe mieszkanie w drżenie. Następny był upalny, wyścielony lakierowaną boazerią „penthouse” na ostatnim piętrze mrówkowca przy Czerniakowskiej, wreszcie zatęchła suterena w starej willi na Saskiej Kępie.

Z początku tour po dzielnicach traktowaliśmy jak przygodę. Robiliśmy pamiątkowe zdjęcia groteskowym wnętrzom i kuriozalnym sprzętom. Uwiecznialiśmy smaczki, na przykład wielkiego misia, który został współlokatorowi po tym, jak wyprowadziła się od niego dziewczyna. Miś siedział w kącie, zakurzony i smętny, zajmując większość łóżka. Rozbrajał wszystkie nowe laski, które kumpel sobie sprowadzał.

Albo nogi w łazience. Raz sąsiedzi zza ściany postanowili wymienić umywalkę i posypała się im przy tym część ściany. Przez dwa tygodnie między łazienkami była dziura. Kiedy rano patrzyłem w lustro, na dole widziałem nogi sąsiada, który po drugiej stronie mył zęby.

Z czasem jednak życie na walizkach przestało bawić, a zaczęło drażnić. Było jak przewlekły *gap year*, jak podróż, która przestaje kształcić, a zaczyna męczyć, gdy nie ma z niej powrotu.

Rozdział trzeci

Dom to ludzie. Stworzyliśmy już więc kilka różnych domów. Studencką imprezownię z wyżeraniem sobie rzeczy z lodówki i wożeniem prania do rodziców. Robotniczą sypialnię, do której ściąga się wieczorem i pada na tapczan za zamkniętymi drzwiami. Obóz dla uchodźców, którzy po pospiesznej ucieczce z rodzinnych stron nie stanęli jeszcze na własnych nogach.

Nie mamy kontaktu z żadnym z byłych współlokatorów, a przecież z każdym przeszliśmy spory kawałek życia. Mieszkać z kimś to intymna sprawa, wiele związków nigdy nie dociera do tego etapu. Co wieczór zmierza się przez miasto w to samo miejsce. Ktoś pieszo, ktoś rowerem, jeszcze ktoś autobusem z przesiadką. W przelewającym się chaotycznie miejskim tłumie bezbłędnie odnajduje się drogę, jak bociany po zimie. Zanurza się w tej samej wannie, śpi oddech w oddech przez ścianę. Wchodzi się do kuchni i od razu wiadomo, kiedy coś nie gra albo kiedy ktoś ma dobry dzień.

– Na ulicy jesteś nikim, tanio ubraną wieśniarą lub wyblakłym kolesiem, którego nie da się zapamiętać – tłumaczył mi Melon, kumpel, który kiedyś z nami mieszkał. – Jeszcze jedną głową w kolejce, numerkiem na poczcie, zajętym miejscem w autobusie. Ale my, twoi współlokatorzy, znamy twoje imię. Wiemy, że wyszedłeś z zagłębia życiowego marazmu i żeby studiować, musiałeś wykazać nieziemską siłę przebicia. I wcale nie chodzi o to, że na twoim wydziale było trzydzieści osób na jedno miejsce. Pamiętamy, że bałeś się, kiedy twoja dziewczyna wybrała studia w Łodzi, bo odległość wszystko komplikuje. Trzymamy cię za słowo, że będziesz tu pracował tylko dotąd, aż uzbierasz na bilet do Amazonii. We wspólnocie wszystko to ma znaczenie. Masz świadków swojego życia, więc to życie nie wydaje się już tak cholernie anonimowe. Nocą na osiedlu świecą tysiące okien, ale ty w swoim nie siedzisz sam.

Z drugiej strony wspólne mieszkanie zobojętnia. Mała przestrzeń, w dodatku cudza, rodzi terytorialne konflikty. Poranna kolejka do łazienki, włosy w odpływie, brudne gary w zlewie wystarczą, żeby wybuchła otwarta wojna. Ludzie, którzy na ogół nie są małostkowi i marudni, zmieniają się w utyskujące zrzędy. Nie stawiaj czajnika na największym palniku, bo się spali. Za głośno włączasz światło i mnie budzisz. Nie pisz w nocy esemesów, bo stukanie w klawiaturę nie daje mi spać.

Sam kiedyś naskoczyłem na jednego typa o jakąś pierdołę. Wchodzę po nim do łazienki i od progu czuję, że cuchnie. Nie dość, że blokuje klop przez dwadzieścia minut, kiedy ja spieszę się do roboty, to jeszcze zostawia mnie ze swoim smrodem. Odrzuca mnie i czuję, że zaczynam się cały gotować. Najchętniej dałbym mu w pysk. I wtedy widzę, że przy kiblu stoi jakiś

sikacz z supermarketu. Czyli kupił najtańszy płyn do mycia. Wypadam i wrzeszczę, że co to jest za gówno, że skąpi paru groszy, że wspólne to nie znaczy niczyje i że ja chcę mieć pewność, że kibel po nim jest czysty, bo brzydzę się na nim siadać. Koleś popatrzył na mnie osłupiały, a potem kazał mi się leczyć. Mówił, że takich z natręctwami zamykają u czubków.

Gdyby nie Aśka, wzięlibyśmy się za łby. Sam się potem na siebie wkurzyłem, że zachowałem się jak znerwicowany tetryk. Nie wiedziałem, co we mnie wstąpiło. Totalne zamroczenie. Wieczorem Aśka wzięła mnie na browar i powiedziała, że ta moja wrogość to walka o własną przestrzeń. Bulgocząca pod powierzchnią niespełniona potrzeba posiadania prywatnego terenu, na którym nikt ci nie wchodzi w drogę ani nie każe z dnia na dzień pakować manatków.

Wiem, że chciała dobrze, próbowała jakoś rozładować moje napięcie. Jest po psychologii i uważa, że faceci za mało mówią o sobie, więc ciągle próbuje mnie otwierać i oczyszczać z nagromadzonych emocji. Chyba nie jestem wdzięcznym pacjentem, bo na ogół te wiwisekcje mnie nużą. Nie wiem, do czego takie grzebanie miałoby doprowadzić. Często Aśka się wścieka i mówi, że nie dopuszczam jej do siebie, że tylko ślizga się po mojej skorupie.

Wtedy pytam, co chciałaby usłyszeć, i jeszcze bardziej ją tym wkurzam. Jej złość mnie bawi i rozczula, więc mimo jej oporu przytulam ją i dziękuję, że tak się o mnie troszczy. Kiedy ją obejmuję i czuję, jak pod moim dotykiem jej rozgorączkowane ciało poddaje się i rozluźnia, strasznie mnie to podnieca. To, że jest taka mądra i twarda, a jednocześnie nie umie mi się oprzeć. Seks smakuje wtedy najlepiej. Jej umysł próbuje jeszcze sformułować jakąś błyskotliwą ripostę, ale ciało oddaje mi się w posiadanie. Zanim dosięgnę językiem jej sutków, wiem, że są naprężone i gotowe. Wciągam nosem powietrze i czuję, że jest wilgotna. Czasem świadomie zwlekam i pozwalam jej czekać, aż przyniosę jej ulgę. Przez tych parę chwil mam nad nią władzę. Coś jednak jest w tej psychologii. Manipulacja, wpływ, zależność – może faktycznie sterują nami mroczne siły i popędy? Po wszystkim śmieję się, że będę musiał nadzorować jej kontakty z pacjentami, bo od psychoanalizy jest tylko krok do łóżka.

Ale wtedy, po tamtej rozmowie o własnej przestrzeni, jej przemądrzała diagnoza tylko mnie rozjuszyła. Jakby mnie coś opętało. Powiedziałem, że doceniam jej starania, ale nie potrzebuję, żeby ktoś mi mówił, co myślę i czuję. Bo co ona właściwie powiedziała? Że nie mam swojego miejsca i nic z tym nie umiem zrobić. Że jestem frustratem pętającym się po cudzej własności. Kiedy dziewczyna mówi ci coś takiego, to znaczy, że jesteś dupa nie facet. Fundamentalne zadanie niespełnione: dom niezbudowany. Lub choćby zapluta kawalerka – też niekupiona. Co mogę Aśce zaoferować? Tylko cygańską tułaczkę.

Rozdział czwarty

Przecież nie jestem kretynem. Wiem, że od seriali Aśka woli programy z metamorfozami wnętrz. Widzę te wszystkie wnętrzarskie pisma, które gromadzi. „Moje Mieszkanie”, „Cztery Kąty”. A piec piąty!

Od razu szlag mnie trafia, kiedy do skrzynki wrzucają nam katalog IKE-i. Wtedy mam następne tygodnie z głowy. Aśka i IKEA to miłość od pierwszego wejrzenia, jak więź między dzieckiem i szczenięciem, która trwa niezmieniona, przetrzymując burze dorastania i upływ czasu. Nasza klasa dwa razy do roku jechała do któregoś z warszawskich teatrów. Kilka miesięcy wcześniej zapisywało się na listę, wpłacało pieniądze i czekało. W końcu nadchodził dzień wyjazdu, wyczekiwany jak zabawa choinkowa i inne rzadkie odmiany od szkolnej codzienności. Po skróconych lekcjach szliśmy się przebrać w ładne ubrania i po zbiórce pakowaliśmy się do autokaru. Przedstawienie miało w całej wyprawie najmniejsze znaczenie. Liczyła się kluczowa towarzysko podróż, najlepiej w ostatnim rzędzie siedzeń, ukradkowe pociąganie wódki z butelek po sokach i godzinny postój w Jankach, którego dopominaliśmy się dzikim skandowaniem. Kierowca niechętnie skręcał z gierkówki i zawijał na duży parking. Tam klasa dzieliła się na dwa obozy: pierwszy ruszał do McDonalda, drugi do IKE-i.

Asia zawsze biegła do IKE-i. Z zegarkiem w ręku, bojąca się spóźnić i zdenerwowana, że ma tak mało czasu, a jednocześnie cudownie podekscytowana. Kiedy zacząłem ją podrywać, mimo gwizdów kumpli szedłem za nią, oficjalnie po to, żeby pilnować czasu i ewentualnie pomóc jej nieść zakupy. Kupowała najwyżej jakiś drobiazg, ramkę na zdjęcia albo ozdobne pudełko z kartonu. Najważniejsza była sama wędrówka alejką wiodącą przez zaaranżowane wnętrza.

Niebieski blaszany bunkier bez okien przypominał starą szafę skrywającą wstęp do zaczarowanej krainy. Kiedy przez obrotowe drzwi wchodziliśmy do środka, zostawiając za sobą ciemność wieczoru i szpetotę moknących w deszczu pawilonów handlowych, nasze oczy potrzebowały chwili, żeby przywyknąć do ciepłego, złotego światła panującego w sklepie jak w sezamie pełnym skarbów. Urządzone w wydzielonych boksach salony, kuchnie i sypialnie udawały prawdziwe mieszkania. Miały nawet okna zasłonięte firankami lub żaluzjami. Z głośników płynęła subtelna muzyka. Można było usiąść w fotelu, dotknąć miękkiej poduszki, wziąć ze stołu kieliszek, przeglądać książki z biblioteczki. Domek dla lalek w skali makro.

Katalog w skrzynce na listy budzi te wspomnienia. Oraz marzenia na przyszłość. Słucham wtedy o lampach i kuchennych wyspach, muszę popierać wyższość naturalnych materiałów

nad sztucznymi, wreszcie kończy się traceniem połowy soboty na dojeżdżanie pod miasto tylko po to, żeby przywieźć jakieś duperele. Po kilku godzinach łażenia pakujemy do torby poszewki na poduszki i zapachowe świeczki. Drugie pół dnia udajemy, że robimy przemeblowanie.

Aśka bawiła się tak w dzieciństwie: kiedy nudziło jej się w domu, zmieniała ustawienie przedmiotów w swoim pokoju. A że pomieszczenie miało dwa na trzy metry, pole manewru było mocno ograniczone. Mogła najwyżej zamienić miejscami łóżko z biurkiem. Za to wieszała plakaty, zmieniała narzuty, malowała wzorki na ścianie. Wciąż lubi tak się bawić. Najpierw wyciąga wszystko z półek i szafek. Potem pokazuje mi palcem, co mam gdzie przestawić lub gdzie wbić gwóźdź. Na końcu dopracowuje detale: rozwiesza oprawione zdjęcia, obkleja stare graty kawałkami tapet, narzuca na lampy kolorowe apaszki. Tłumaczy mi przy tym reguły *feng shui*. Błyszczą jej oczy, gestykuluje. Jest wtedy w swoim żywiole.

Niektóre pomysły Aśki nie są szczególnie udane: czasem po zmianach nie daje się swobodnie przejść albo do końca otworzyć drzwi. Skrzecząca pospolitość wynajmowanych klitek ogranicza jej rozmach. Ale muszę przyznać, że dziewczyna ma talent i potrafi z niczego stworzyć fajny klimat. Mówi, że testuje różne style, ale swój wymarzony dom ma już rozplanowany w najdrobniejszych szczegółach. Wie dokładnie, co jak będzie wyglądało. Wszystko w kremach, szarościach i beżach. Na podłodze białe deski, po szwedzku. Wanna na wygiętych nóżkach, łazienka koniecznie z oknem. Sypialnia w stylu kolonialnym. Kuchnia z drewnianym blatem, pachnąca doniczkowymi ziołami.

Znam ten opis na pamięć, podobnie jak to, co po nim następuje. Kiedy Aśka kończy roztaczać swoje wizje, jej uniesienie stopniowo opada. Patrzy w zamyśleniu na nowo zaaranżowany pokój i przestaje dostrzegać oryginalną stylizację zrobioną małym kosztem. Widzi już tylko zastępczą prowizorkę, do której nie warto się przywiązywać, bo przecież nie jest nasza. Zmienianie wystroju miejsca, w którym nie chce się być, to przelewanie z pustego w próżne. W końcu Aśka zmęczona kładzie się spać. A ja długo nie mogę zasnąć.

Albo parapetówki – ostatnio był jakiś wysyp. Zazwyczaj zaczyna się podobnie. Aśka rzuca mimochodem:

– Zarezerwuj sobie sobotę za dwa tygodnie, zostajemy na weekend. Idziemy na imprezę.

– Jakaś okazja? – pytam.

– Parapetówka. U Sylwii.

Oho. Zaczynamy. Wczoraj było tak:

– Trzeba kupić prezent, może pójdziemy razem coś wybrać? – zapytała.

– Nie wystarczy wino?

– Wino można przynieść na zwykłą imprezę, na parapetówkę wypada dać coś na nowe

mieszkanie – poinstruowała mnie.

– Możemy się nie wstrzelić: nie wiemy, jak się urządziła i co jej będzie pasować – zauważyłem.

– Najbezpieczniej będzie kupić coś praktycznego, co niekoniecznie musi stać w widocznym miejscu. Świece, które można wypalić, albo pachnące woreczki do szafy. Albo coś do kuchni.

– To może sama kupisz? – zaproponowałem. – Ja się na tym kompletnie nie znam.

– Mogę, ale nie o to chodzi. Prezent powinien być od nas obojga, wspólny.

– Przecież będzie.

– Tak, tylko znów ja mam wszystko załatwić? Ostatnio mam wrażenie, że wszystko jest na mojej głowie. Wiesz, sprawy się same nie załatwiają.

Rozumiem, o co jej chodzi. Nie muszę być psychologiem, żeby czuć, do czego pije. Zazwyczaj w tym miejscu rozmowa szybko schodzi na kredyt, o który miałem się dowiedzieć, a wciąż tego nie zrobiłem. Obiecałem spotkać się z doradcą i porównać oferty banków. Miałem przynieść dobre wieści i przystąpić do szukania mieszkania – naszego mieszania. A ja wciąż zbywam Aśkę ogólnikami: nie miałem czasu, nie jestem przekonany do kredytu, banki to krwiopijcy, być może wyjedziemy za granicę, żeby szybciej zarobić i kupić nieruchomość za gotówkę. Wtedy ona płacze, że nie chce wyjeżdżać, że jest związana z rodziną i przyjaciółmi, że nie po to studiowała, żeby teraz wszystko przerwać i stanąć na zmywaku.

Jej łzy mnie paraliżują. Nie mam pojęcia, co z nimi robić. Aśka mnie ponagla, oczekuje, że się określę, znajdę rozwiązanie. Pytam, co chciałaby usłyszeć. Wtedy ona się nakręca i zaczyna zrzędzić, że gada się ze mną jak ze ścianą. Im dłużej milczę, tym bardziej się złości. Wylicza, ile razy wracamy do tego samego tematu. Dopytuje, jaką mam propozycję. W końcu puszczają jej nerwy i mówi coś, o co mogę się obrazić. Korzystam wtedy z okazji i kończę dyskusję. Następnego dnia Aśka robi dla mnie coś miłego, bo męczą ją wyrzuty sumienia, że ona, taka świadoma siebie i ludzkiej psychiki, straciła nad sobą panowanie. I na jakiś czas mam spokój.

W lepszym lub gorszym stylu kolejny raz odwlekam kwestię mieszkania, ale wiem, że za parę tygodni wróci. Nasi rówieśnicy pokończyli studia, podobierali się w pary i na potęgę wiją gniazdka. I Aśka też chce gniazdować. Widzę, jak się męczy, i wiem, że już nigdy nie będzie normalnie, że coś się skończyło i ten temat wciąż będzie między nas wchodził. Żegnajcie wakacje pod namiotem i miłości na plaży. Witaj, dorosłości.

Chodzimy więc na te parapetówki i oglądamy mieszkania, niedostępne jak ciastka za szybą. Ostatnio przyszła kolej na Sylwię. Przeczuwałem, czym to się skończy, bo Aśka i Sylwia to najlepsze przyjaciółki. Poznały się na studiach, razem uczyły się do egzaminów,

przygotowywały referaty, razem przechodziły przez staże i pierwsze prace. Do tej pory szły łeb w łeb, ale teraz Aśka została w tyle. Zakupem własnego mieszkania Sylwia wyprzedziła ją o całą długość. To nie mogło wróżyć nic dobrego.

Mieszkanie znajdowało się na modnym wśród naszych znajomych Imielinie.

– Osobiście nie widzę w tej dzielnicy nic ciekawego – powiedziałem do Aśki. – Nudne kwadratowe blokowisko, właściwie na obrzeżach miasta.

– Tak, ale jest metro i mnóstwo młodych ludzi wokół.

– Co z tego, skoro widują się tylko w drodze do korpo, gdzie zarabiają na kredyty?

– Zachowaj te obserwacje dla siebie. Bądź miły.

Zaczęło się jak zwykle: dzwonek do drzwi, „wejdźcie", prezent, „nie trzeba było".

Potem oprowadzanie. No ładnie, bo nowo, ale czym tu się ekscytować? Dumne czterdzieści metrów, osobna kuchnia, sypialnia wydzielona kotarą. Okna na sąsiedni blok, rower w przedpokoju.

Kiedy impreza, jak to zwykle bywa, przeniosła się do kuchni, wymknąłem się na ponowny, tym razem samotny obchód po mieszkaniu. Wybrałbym wprawdzie inną lokalizację i większy metraż, ale podobały mi się niektóre rozwiązania, które zastosowała Sylwia. Na przykład prysznic bez brodzika, na poziomie równym z podłogą. Albo narożna kanapa, dobrze wykorzystująca przestrzeń. Usiadłem, wygodna. Oparłem się i pogładziłem materiał: zdawał się gładki i odporny na wilgoć jak skóra, ale był przyjemnie ciepły w dotyku. Praktyczne. Postanowiłem zapytać, co to za firma.

Podobały mi się też rolety. Po cichu je opuściłem. Łagodnie przepuszczały światło zachodzącego słońca, ocieplając wnętrze. Wyglądały o wiele lepiej niż zasłony czy żaluzje. Do naszego mieszkania skopiowałbym też podnóżek. Zajmuje niewiele miejsca, a daje ogromny komfort po całym dniu. Usiadłem i wygodnie oparłem na nim nogi. Wcale nie miałem ochoty wracać do kuchni. W milczeniu patrzyłem, jak zapada zmrok.

Następnego dnia Aśka zapytała, czy mi się podobało. Odparłem, że nie ma się czym zachwycać, że Sylwia przepłaciła. Na jej miejscu odkładałbym parę lat dłużej i kupił większe, bardziej perspektywiczne mieszkanie, w którym można powiększyć rodzinę. Na to Aśka, że nie muszę udawać i żebym się nie wstydził, że widziała mnie, kiedy po ciemku z rozmarzeniem poklepywałem kanapę. I że ona też marzy o własnym mieszkaniu i już nie może się go doczekać. Ja na to nic, ona dalej swoje, finał do przewidzenia, w końcu wyszedłem do pracy i zostawiłem ją za zamkniętymi drzwiami.

Mam świadomość, że zachowuję się jak świnia i manipulator. Celowo doprowadzam Aśkę do wściekłości, bo chcę uciąć rozmowę, która prowadzi donikąd. Patrzę na nią i widzę, że się

miota, że dusi ją bezsilność. I wtedy ogarnia mnie dziwny spokój. Po prostu się wyłączam.

Pauza. Tak dobrze się znamy. Tyle razy już tak rozmawialiśmy. Znam każdy grymas jej twarzy, każdy ton, który przybiera jej głos. Najpierw ciepły i przyjacielski, potem szorstki. Rozczarowany. Głęboko zawiedziony. Mogę rozpisać nasz dialog na minuty. W finale moja dziewczyna zdradzi się z czymś, czego będzie się potem wstydzić. Choć bardzo stara się dobrać właściwe słowa, nie uda jej się ukryć, że mnie nie szanuje.

Otwarcie nigdy by się do tego nie przyznała. Udaje więc, że tak nie jest. A ja udaję, że ona jeszcze nie wie, że jestem bezradny.

Uziemiony.

Rozdział piąty

Wypróbowałem już wszystkie opcje. W banku byłem na samym początku. Spodziewałem się, że kredyt będzie złodziejski, pomnożony przez sztucznie nadmuchane ceny mieszkań. Wiedziałem, że łącznie z odsetkami przyjdzie nam zapłacić sumę nieprzystającą do standardu nieruchomości. Bałem się wiązać na kilkadziesiąt lat, brać na siebie takie obciążenie. Przyznaję, pomyślałem nawet o tym, że kredyt może okazać się trwalszy niż nasz związek. I co wtedy? Zdecydowałem jednak, że zajmę się tymi rozważaniami, kiedy będę już wiedział, na czym dokładnie stoję. Spisałem listę najbliższych oddziałów bankowych i ruszyłem. Nie przewidziałem jednego: tego, że nie mam żadnej zdolności kredytowej. Dla krawaciarzy od hipoteki jestem zerem, które wyświetla się im w okienku symulacji pożyczki. Następny proszę.

Jestem wśród szczęściarzy, którzy mają pracę. W formularzach zbierających dane osobowe klasyfikuję się jako „pracownik biurowy". Zajmuję się wszystkim po trochu – to i tak bez znaczenia. Po kilku latach praktyk i zleceń mam nawet etat. Na czas określony, ale zawsze. Jednak dla banku jestem nikim, bo poza bieżącym utrzymaniem na niewiele mnie stać. Nie, nie będzie lepiej. Czasy błyskotliwych karier dobiegły końca. Aktualni menedżerowie koło czterdziestki są za młodzi, by odejść na emeryturę, i za starzy, by szukać nowych wyzwań gdzie indziej. Samochody służbowe i zagraniczne wyjazdy z klientami też dawno poszły w zapomnienie. Tak jak coroczne korekty pensji. Nikogo już nie dziwi awans bez podwyżki. Nie ma sensu się spinać, lepiej siedzieć w budżetówce. Wychodzi na to samo, a mniejszy stres.

Mimo to nie poddałem się łatwo. Pomyślałem, że mógłbym zebrać pieniądze po rodzinie: dogadać się, spisać umowy pożyczki. Ale nadal ceny rynkowe były nie do przejścia. Szukałem więc innych możliwości. W wyszukiwarkę wpisałem mieszkania do remontu. Niestety, ceny okazały się tylko trochę niższe niż ceny lokali gotowych do zamieszkania (wniosek: nie opłaca się cyzelować mieszkania na sprzedaż). Pomyślałem, że przejdę się zobaczyć, może totalna rudera będzie stanowić punkt wyjściowy do negocjacji? Szperałem więc wieczorami, nawet Aśka zaczęła się dąsać, że ciągle późno wracam.

Od początku nastawiłem się na rynek wtórny.

– Najlepsze miejscówki w mieście już dawno zostały zabudowane – tłumaczył mi Marcin.

Miałem gdzieś szpanerski adres, ale liczył się dobry dojazd.

– Miasteczko Wilanów, Górny Mokotów, Kabaty to osiedla dla frajerów, przepłacili, a tłoczą się w korkach jak reszta – ostrzegał Marcin. – Białołęka, Ursus, Piaseczno są najtańsze, ale pożałujesz kupna po tygodniu dojazdów. Poza tym zupełnie nie ma tam co robić.

Ot, sypialnie najemników. Radziłbym Grochów lub Pragę Północ: skromnie, ale sensownie. I z fantazją.

Od razu odpuściłem więc sobie lewą stronę Wisły. Poszedłem pod prąd. Postanowiłem oglądać wszystko, co każdy nabywca przy zdrowych zmysłach odrzuca w pierwszej kolejności. Wielka płyta. Zrujnowane kamienice z zaszczanymi klatkami schodowymi, ostatnie piętra bez windy. Hałaśliwe, okratowane partery. Niedocieplone poddasza z mało ekonomicznymi skosami, w zimie zimne, w lecie gorące. Stare budownictwo z piecykami gazowymi i ukraińskimi robotnikami koczującymi na karimatach. Podchodzące wilgocią sutereny. Dziwaczne mieszkania wydzielone w domach, jeden pokój na parterze, jeden na piętrze. Dawne służbówki.

Zły stan techniczny i osobliwe lokalizacje wabiły mnie jak ćmę. Przemierzałem opuszczone tereny fabryczne, wieczorami przypominające zaułki dziewiętnastowiecznego Londynu z opisów Dickensa. Niestraszny był mi mdły smrodek domowych pupili, starych i wyliniałych jak ich właściciele. Nie zważałem na inwalidów czy niezarejestrowanych lokatorów tkwiących cichutko w kątach jak bibeloty-koszmarki na politurowanych półkach. Ignorowałem wieloletni papierosowy dym, który przeżarł dywany i meble. Wyobrażałem sobie, jak ciemne, zapuszczone i zbiedniałe wnętrza odzyskują dawny (lub zupełnie nowy) blask pod zdolną ręką Asi. W myślach rwałem sparciałe wykładziny, burzyłem ściany, otwierałem ciemne kuchnie. Budowałem nowy, wspaniały świat, by rzucić go do stóp mojej pani.

– Nic z tego. Najkoszmarniejsze rudery nie ustępują cenowo normalnym nieruchomościom – poskarżyłem się Marcinowi.

Wyskoczyliśmy na browar po treningu. Ostatnio trener mnie chwalił, że daję z siebie wszystko.

– Może przydybasz jakąś babcię-niemotę? – zażartował Marcin.

– Jelenia ze świecą szukać. Nie w tym życiu. Wszyscy się zwiedzieli, że można cisnąć do oporu i na byle klitce zarobić kokosy.

– Wiesz, są różne sytuacje życiowe. Ludzie wpadają w długi, tarapaty. Nie namawiam, ale słyszałem nieraz, jak ktoś wykupił menela z mieszkaniem kwaterunkowym. Potem lokal przepisał, a pijaczyny dyskretnie się pozbył.

– Niby jak, wrzucając do Wisły? Może i nie mam mieszkania, ale do pierdla mi się nie spieszy.

– A może TBS-y? Albo licytacje komornicze? – zapytał Marcin, ale posłałem mu pogardliwe spojrzenie. – Nie masz wyboru, musisz szukać niestandardowo – usprawiedliwił się.

– Wszystko sprawdziłem, to kanał. Nieliczne okazje cenowe zawsze niosą ze sobą komplikacje. Niejasną sytuację prawną, wmeldowanych sublokatorów, skłóconych spadkobierców – wyliczałem. – Licytacje w spółdzielniach to też pic na wodę. Co lepsze kąski rozdziela się pod stołem, reszta to kosztowna szarpanina.

– Cholera. Pozostaje ci chyba czekać na szczęśliwy traf. – Marcin pociągnął łyk piwa.

– Nie gram w totka.

– Czasem wystarczy prezent od losu. Ostatnio słyszałem nieprawdopodobną historię. – Marcin sięgnął po paczkę fajek.

– Opowiadaj – powiedziałem.

Wyszliśmy na zewnątrz, żeby zapalić. Naciągnąłem kaptur na głowę, włosy miałem wilgotne po prysznicu.

– Opowiedziała mi to matka – zaczął Marcin, zapalając papierosa. – Na jej osiedlu jest warzywniak. Jakaś para, którą zna z widzenia, często robiła tam zakupy. Traf chciał, że przychodziła tam też pewna starowinka, którą moja matka też kojarzy. Rzucała się w oczy. Drżącą od parkinsona ręką pakowała zieleninę do siatki i samotnie człapała do domu.

– Wzruszające. – Zaciągnąłem się.

– Młodzi zaczęli jej się kłaniać, potem z nią rozmawiać, parę razy zanieśli jej torby do domu. Tak dowiedzieli się, że mieszka sama – ciągnął Marcin.

– I co, postanowili jej się pozbyć?

– Więcej wiary – skarcił mnie. – Zaczęli do niej zaglądać i trochę pomagać w drobnych sprawach. A to podwieźli ją do lekarza, a to pomogli w urzędowej sprawie. To ona im gotowała rosołek albo piekła szarlotkę.

– Sielanka. I co dalej?

– Babcia mieszkała sama na sześćdziesięciu metrach.

– Super – burknąłem.

– Jak się dowiedziała, ile tamci płacą co miesiąc za kawalerkę, zaprosiła ich, żeby zamieszkali u niej – opowiadał Marcin. – Dla nich więcej miejsca, a jej raźniej. Umówili się, że oni będą płacić czynsz, bez opłat za wynajem.

– No, faktycznie, niesamowita historia. Stara pomyślała o młodych, to się już nie zdarza – skwitowałem, gasząc papierosa.

– To nie koniec. Mieszkaliby tak sobie razem nie wiadomo ile, gdyby babka się nagle nie przekręciła we śnie. Żadnego dogorywania z charczeniem, po prostu grzecznie i czyściutko kobita przeniosła się na łono Abrahama. Niedługo okazało się, że tak samo dyskretnie, jak zeszła, zapisała im przed śmiercią mieszkanie. Za opiekę.

– Cholera, trzeba mieć niebywały fart – westchnąłem. – Ty, a może oni jej pomogli przenieść się na tamten świat? Nikt tego nie sprawdził?

– Nie wiem, ale to wciąż nie koniec historii. – Marcin wyciągnął w moją stronę paczkę fajek. Nie chciałem więcej. – Jak przyszło do postępowania spadkowego, okazało się, że babina była wdową po jakimś wojskowym trepie. I że zapisała im jeszcze dwa inne mieszkania, na Żoliborzu i Mokotowie, o których tamci nie wiedzieli.

– Ja pieprzę. Czy ona nie miała żadnej rodziny? – zapytałem.

– Miała. Po pogrzebie ktoś nawet przyjechał i upomniał się o spadek, ale już było pozamiatane. Babka wszystko zapisała w testamencie. Rodzinkę olała, bo się nią nie zajmowali, więc się wkurzyła i cały majątek przekazała tamtym. Mieszkają sobie teraz wygodnie na swoim, a z wynajmu mają trzecią pensję.

Weszliśmy z powrotem do knajpy. Nie wydobyłem z siebie słowa, dopóki nie usiedliśmy z powrotem przy stole.

– Twoja matka naprawdę zna tych ludzi? – nie dowierzałem.

– Tak, ja też ich kojarzę. Jaki jest z tego wszystkiego morał? – spytał Marcin. – Warto być dobrym człowiekiem – odpowiedział, wznosząc szklankę piwa.

Rozdział szósty

Wieczorem powtórzyłem wszystko Aśce. Nie mogłem uwierzyć, że można mieć aż takie szczęście. Wątpiłem w nieświadomość i czyste intencje tamtej pary. I jeszcze rodzina, która nie trzyma łapy na mieszkaniach, wiedząc, że stara zaraz kojfnie! Nieprawdopodobne.

Ale Aśka nie była zdziwiona. Słyszała o podobnych przypadkach. A to jakaś stara panna przed śmiercią przepisała sąsiadom zza ściany mieszkanie i ci zrobili sobie jedno duże. A to studentka wyhaczyła niedołężną ciotkę i zaproponowała, że będzie się nią opiekować. Wiadomo, już została w jej mieszkaniu. I tak dalej.

O zmierzchu wychyliłem się na nasz mikrobalkonik, ostrożnie stawiając stopę między gołębimi łajnami. Jednym z nielicznych plusów naszego obecnego mieszkania jest niezły widok na całą Pragę. Ogarnąłem wzrokiem dzielnicę układającą się do snu. Niezliczone gniazdka, dziuple, norki. W niektórych całe rodziny tłoczą się w jednym pokoju, inne stoją puste. Są jeszcze takie, które za chwilę opustoszeją, bo ich samotni właściciele szykują się do Ostatniej Przeprowadzki. Zastanawiałem się, ilu takich niezagospodarowanych seniorów może teraz być w zasięgu mojego wzroku. Albo na naszym osiedlu. A może nawet w naszym bloku?

*

W niedzielę byliśmy w kościele. Nie jesteśmy szczególnie praktykujący, ale Aśka jest z wierzącej rodziny i chociaż rodzice są daleko, jej wewnętrzny imperatyw ma się świetnie. Dla świętego, nomen omen, spokoju, daję się jej czasami zaciągnąć. Tym razem byłem uważniejszy niż zwykle. Przerysowany, za wysoki gmach, trudny do sprzątania i ogrzania, wypełniał pogłos mikrofonu, wprawiający w drgania nici pajęczyn zwieszające się z nieosiągalnego dla szczotek sklepienia. Monotonny głos z ambony hipnotycznie recytował osiem błogosławieństw.

„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiądą ziemię.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”.

Objąłem wzrokiem obie nawy. Zwyczajowo jedna jest kobieca, druga męska, ale tutaj panowie ścieśnili się ledwie w kilku ławkach, oddając połowę swojej przestrzeni krzepkim białogłowym. Znak czasu, jesteśmy w defensywie. Marcin zapytał mnie kiedyś:

– Wiesz, dlaczego mężczyźni umierają na długo przed swoimi żonami? Bo nie mogą się tego doczekać.

Chustki i kaszkiety, kule, toporne buty, grube warstwy ubrań mimo czerwcowego upału – starcy wyczłapali ze swoich kokonów i przykuśtykali na mszę, w bezwarunkowym odruchu istot społecznych. Ciałem udają wspólnotę, lecz duch bezpiecznie odgrodzony brakiem aparatu słuchowego zasklepia się w ciszy, zwrócony do własnego wnętrza, pełnego wspomnień i bieżących spraw. Po godzinie podnoszenia się i siadania odmaszerują, by ponownie się zasunąć w swoich życiowych futerałach. W sumie niewiele się różnimy, my i oni.

Jak większość obecnych odpłynąłem myślami. W szkole kolekcjonowałem książki z serii *Tajemnice zwierząt*. Miały zielone okładki i niesamowite ilustracje. Lubiłem zwłaszcza *Zwierzęta niewidoczne*. Na każdym obrazku w książce ukryta była postać zwierzęcia, rozpoznawalna dopiero po bliższym przyjrzeniu się. Na przykład flądra ledwie widoczna jako zarys pod morskim piaskiem albo ćma w kolorze budynku, na którym przysiadła.

Był tam też rozdział o troglobiontach, czyli stworzeniach żyjących w jaskini. Zdarza się, że trafiają do niej przypadkowo małe zwierzęta, które szybko ją opuszczają. Jaskinia ma jednak grono stałych mieszkańców, którzy żyją w panujących tam ciemnościach, nigdy nie wychodząc na zewnątrz. Są wśród nich owady, skorupiaki, pająki, wije i kilka gatunków ryb po omacku krążących w skalnych kałużach. Zwierzęta te są najczęściej ślepe i pozbawione barw, a owady mają uwstecznione skrzydła. Rozwijają się bardzo powoli z powodu niedoboru pokarmu. Ił oraz szczątki współmieszkańców nie zapewniają im wystarczającej energii, by mogły prowadzić aktywne życie. Spowolnione procesy życiowe i mała aktywność rekompensowane są u nich nadzwyczajną długością życia. Jaskinia to rezerwat dla wszystkich gatunków, które nie potrafiłyby przeżyć gdzie indziej.

Blok jest jak jaskinia. Dla niektórych maleńkie mieszkanka to tylko konieczny etap przejściowy na drodze do wzbogacenia się i przeniesienia do segmentu czy domu. Na stałe zostają tu tylko starcy i nieudacznicy, którzy nie wykorzystali swojej życiowej szansy. Bezrobotni i pominięci przy awansie, ubodzy uziemieni kredytem. Niewidoczni, nieistotni. Żyją niezauważalnie, ale bardzo wytrwale. Witają każdy dzień bez entuzjazmu, ale i bez niepokoju, co też przyniesie, bo to z góry wiadomo. Do perfekcji opanowali sztukę kompromisu. Są elastyczni, dostrzegają, że życie nie jest tylko czarne albo białe. Z każdym dniem ich skóra staje się trochę bardziej szara, upodabniając ich do reszty mieszkańców, do koloru wielkiej płyty, do koloru Warszawy.

Oprzytomniałem, kiedy na koniec mszy ksiądz wyczytał nazwiska parafian, którzy w minionym tygodniu przenieśli się do Domu Pana. Pięć zgonów, pięć opuszczonych lokali. Podniosłem się ze wszystkimi, pochylając głowę przed błogosławieństwem. Zamiast modlitwy wypowiedziałem w myślach pragnienie. Niech się wypełnią biblijne słowa. Jestem

ubogi. Smucę się, łaknę i pragnę. Staję się więc cichy, by posiąść ziemię na własność.

Rozdział siódmy

Jaka jest szansa na spotkanie staruszki, która zapisze nam w testamencie kilka mieszkań? Znikoma. A jaka jest szansa, że sami ją znajdziemy? Większa. W drodze do mieszkania podzieliłem się moimi przemyśleniami z Aśką.

– Odbiło ci – powiedziała.

– Dlaczego tak myślisz? – spytałem. – Widziałaś, ile siwych głów było w kościele?

Ja widziałem. Całą armię, podziemie seniorów! Co niedziela wypełzają na powierzchnię ze swoich własnościowych norek.

– Przecież to obcy ludzie – odpowiedziała.

– To można szybko zmienić.

– I co z tego? Każdy z nich ma jakąś rodzinę, nawet daleką.

– Niekoniecznie. Jest wiele samotnych starszych osób, tyle się o tym mówi. Nawet jeśli mają rodzinę, nikt ich nie odwiedza, nie dba o nich – odparłem.

– To jeszcze nie jest wystarczający powód, żeby dali komuś mieszkanie w prezencie.

– A dlaczego nie? Co mają do stracenia? – zapytałem.

– Starsi ludzie są nieufni, bardzo przywiązani do tego, co dobrze znają, i niełatwo przychodzi im budowanie nowych więzi. Jeśli nie są zżyci z rodziną, są związani z Kościołem. Albo z jakąś organizacją dobroczynną. I prędzej im przekażą mieszkanie.

– Wsparcie potrzebujących młodych ludzi to dobry uczynek, Kościół by to pochwalał – zauważyłem.

– Nie bądź cyniczny.

– Gdzie tu cynizm? Najlepiej pomagać w swoim środowisku. Czynić dobrze bliźniemu, to znaczy człowiekowi, który jest obok.

– Oni się boją, tyle się teraz słyszy o wyłudzaczach, oszustach – wyliczała.

Miała rację. To już nie te czasy, że poniesiesz komuś ciężką torbę. Teraz nikt ci tej torby nie da, bo się boi, że uciekniesz razem z nią.

– To fakt. Ale można poświęcić trochę czasu, nastawić się na sąsiadów z bloku, punktem wyjścia mogłaby być właśnie sąsiedzka pomoc – powiedziałem.

– Czy ty w ogóle znasz naszych sąsiadów?

Słuszna uwaga. Przed przeprowadzką do Warszawy znałem wszystkich na klatce. Każdemu mówiłem „dzień dobry”. Tutaj większości sąsiadów nawet nie rozpoznałbym na ulicy.

– Masz rację. Ale to można zmienić. Pójść coś pożyczyć, upiec ciasto i się przedstawić…

– Pomyślą, że otrute i że chcesz im splądrować mieszkanie. Zresztą, co to w ogóle za

pomysły? Chcesz chodzić po ludziach, wkładać im nogę w drzwi jak domokrążca? – zapytała.

– Nie przesadzaj, można wszystko rozegrać delikatnie i grzecznie – nie dawałem za wygraną.

– Jak to: rozegrać? To ma być jakaś gra? Ta cała wizja, to polowanie na emerytów, to jakieś niepoważne!

– Aśka, to jest po prostu opcja, którą warto wypróbować. Przecież sama drążysz temat mieszkania, narzekasz, że nie wykazuję inicjatywy. No to wykazuję.

– Ale nie tak, nie w ten sposób. To takie… nie wiem. Upokarzające.

– Upokarzające jest to, że ciężko pracuję i nie stać mnie na kawalerkę ani na kredyt – wypaliłem.

Kawa na ławę. Tego się nie spodziewała.

– Przecież nawet nie pytałeś, nie sprawdziłeś w banku – odezwała się w końcu.

– Pytałem. Nie mam zdolności kredytowej. Zadowolona?

Zamilkła.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – odezwała się w końcu.

– A czym miałem się chwalić?

– Zaczekaj, opowiedz mi o tym. Które banki sprawdziłeś?

– Wszystkie. Nie ma o czym rozmawiać – uciąłem.

– Kiedy to było? Może coś się zmieniło? W końcu banki zarabiają na kredytach, to w ich interesie, żeby…

– Aśka, koniec tematu. Nie, i już. Przyjmij to. Chcesz zrobić następny krok czy stać w miejscu? – zapytałem.

Zaszkliły jej się oczy.

– Chcę coś zmienić, ale nie tak. Inaczej, normalnie.

Jej głos zaczął brzmieć płaczliwie.

– Obawiam się, że tak się nie da. Żyjemy w dziwnych czasach, dlatego trzeba szukać niestandardowych rozwiązań – powiedziałem cieplej.

– Nie wiem. Już nic nie wiem… Jestem wykończona tym tematem. Mam dość.

– Wiem, kochanie. Dlatego pozwól mi się tym zająć. Po prostu spróbujemy i już.

Aśka zaliczyła swojego niedzielnego doła. Zazwyczaj wpada w melancholię, kiedy po weekendzie wracamy wieczorem do Warszawy. Mówi, że źle znosi moment przejścia z jednego trybu na drugi. W rodzinnych stronach jest jej pokój, rodzice, przyjaciółka z dzieciństwa. Ciasto ze śliwkami na leżaku w ogrodzie. I dużo miejsca. Bo Aśki rodzice mają dom. Socrealistyczny klocek z lat siedemdziesiątych, ale dom. Z osobnym pomieszczeniem do

każdego celu: jadalnią, gabinetem, pokojem gościnnym, garderobą i innymi luksusami nieosiągalnymi w miejskich klitkach, gdzie wszystko się ze sobą miesza. My w salonowym kredensie trzymamy ciuchy i książki, zakupy spożywcze przechowujemy w szafce z butami, a długopisy w przegródkach na sztućce. Wszystko włożone na wcisk, wyjmiesz jedną rzecz i cała misterna konstrukcja może runąć.

Wynajmujemy teraz ósme z rzędu mieszkanie. Dobrą stroną częstych przeprowadzek jest kontrola nad rzeczami. Na bieżąco odsiewasz i mniej kupujesz, bo nie masz gdzie tego trzymać. Kasa nie rozłazi ci się na bzdury. Jak pomyślisz o tym, że co pół roku musisz pakować ciuchy i jechać do starych wymienić garderobę na aktualną porę roku, odechciewa się zakupów. Za dużo zachodu. Tylko co to zmienia? Z dumą podliczyłem, ile zaoszczędziliśmy przez ostatni rok, ale wyszło na to, że w skali mieszkania to i tak nic nie znaczy. Raz na jakiś czas Aśka sobie odpuszcza i szaleje na wyprzedażach, a potem znów wywozi ciuchy do rodziców.

Może to ją tak przygnębia, to ciągłe pakowanie. Wiązanie pieprzonego węzełka na kijku i ruszanie w drogę, kolejny i kolejny raz. Syndrom Janka Wędrowniczka czasem włącza się jej nawet, kiedy donikąd nie wyjeżdżamy.

Tamtego wieczoru Aśka położyła się wcześniej do łóżka. A ja usiadłem do sporządzenia strategii.

Na pierwszy pomysł wpadłem już w kościele. A gdyby tak zagaić księdza? Powiedzieć, że szukam swojej drogi w bezwzględnym, konsumpcyjnym świecie. Że mam głęboką potrzebę zrobienia czegoś dla innych. Tu, w moim najbliższym otoczeniu. Szczególnie leży mi na sercu dobro osób starszych i chorych. Czy ksiądz nie mógłby pomóc i wskazać jakiejś schorowanej, bezbronnej, samotnej duszy?

Nie, to chyba nie przejdzie. Za grubymi nićmi szyta ta intryga. Skończyłbym jeszcze, szorując mopem kruchtę albo śpiewając w scholi. Nie mam czasu! Po namyśle w ogóle nie zapisałem tego pomysłu na liście. Punkt pierwszy sformułowałem inaczej: „Rozeznanie w najbliższej okolicy”.

Aśka miała rację, w ogóle nie kojarzyłem sąsiadów z klatki. Z poprzednich miejsc też nikogo nie pamiętałem, tyle tego było… Po prostu wchodziłem i wychodziłem, nie rozglądając się na boki. Do tej pory jakoś z nikim nie gawędziłem ani nie proponowałem nikomu noszenia siatek. No cóż. Błędy zawsze można naprawić.

Punkt drugi: „Stać się uważniejszym mieszkańcem”.

Dotąd nie chciało mi się nawet otwierać drzwi kolesiom od gazu albo dozorcy, który w kółko spisywał liczniki. W końcu to nie mój lokal, więc co mnie to obchodzi? Szanuję swój

czas. Poza tym dzisiaj tak to jest, każdy siedzi zamknięty na cztery spusty i boi się wpuszczać obcych. Wiadomo, może taki gazownik robi rekonesans i przyjdzie się potem włamać?

Tutaj tkwił pewien problem. Wszyscy się boją, ciężko więc na przykład pójść coś od kogoś pożyczyć. Każdy ma komórkę, więc numer na nagły wypadek i prośbę o skorzystanie z telefonu też odpada. Muszę pomyśleć nad innymi sposobami zbliżenia się do sąsiadów.

Punkt trzeci: „Zaangażowanie w lokalną społeczność".

Szczęśliwym trafem zbliża się zebranie członków wspólnoty. Mogłem zacząć działać od razu. Zaproponowałem właścicielom mieszkania, że pójdę w ich imieniu. Powiedziałem, że chciałbym zapoznać się z planami remontu bloku i zasugerować dyskusję o kilku rozwiązaniach. Między innymi o podjeździe dla niepełnosprawnych, czym zamierzałem sobie zaskarbić przychylność zniedołężniałych mieszkańców. Nadchodzi społecznik, obrońca uciśnionych i przyjaciel seniorów!

Rozdział ósmy

W dzień zebrania specjalnie urwałem się z pracy i ruszyłem prosto do dzielnicowego domu kultury. Obrady miały się zacząć o szesnastej. Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie, żeby mieć pełny ogląd sytuacji i wchodzących osób. Sala dość szybko się zapełniła. Łysawy facet w wypchanym garniturze rozdał wszystkim plan zagospodarowania środków z funduszu remontowego. Wymiana tablicy energetycznej, nowe kabiny wind, zamurowanie zsypów. Ani słowa o podjeździe. Dobrze.

Na staromodnych krzesłach obitych wiśniowym suknem zasiedli mieszkańcy: młode babki z dziećmi (mężowie pewnie w pracy), kilku typków po trzydziestce, z których żaden nie wyglądał na przemęczonego nauką ani pracą. Mniej więcej połowę stanowili ludzie w średnim wieku, o aparycji urzędników lub długoletnich bezrobotnych. Pozostali zdecydowanie skłaniali się ku drugiej połowie życia. Tę grupę reprezentowały przede wszystkim kobiety i raptem dwóch uśmiechniętych staruszków z gatunku tych, co nie narzucając się nikomu, dyskretnie dożywają setki.

Zaświszczał mikrofon, w który łysol wychrypiał porządek obrad.

Zmierzyłem spojrzeniem wszystkich zgromadzonych. Wyglądali raczej na nieudaczników niż ludzi sukcesu. Niepracujące matki, przytępieni piwem blokersi, etatowi renciści, emeryci – kto z nich zapracował na swoje mieszkanie i zapłacił za nie rynkową cenę? Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wszyscy zgromadzeni wygrali los na loterii i weszli w posiadanie nieruchomości drogą szwindlu, grając takim jak ja na nosie. Mieli życiowy fart i bez kiwnięcia palcem dostali spadek lub wykupili mieszkanie za grosze. Nie musieli wkuwać i harować jak pozostali frajerzy.

W sali znalazło się też kilka młodych par, które odstawały od reszty. One z wyprostowanymi włosami i perfekcyjnym manikiurem, oni w kusych garniturkach, z tabletami przyrośniętymi do dłoni. Miną i postawą wyrażali niezadowolenie, że musieli się urwać z dobrze płatnej pracy, żeby wziąć udział w posiedzeniu skostniałej osiedlowej struktury. Pierwszy postulat wyszedł właśnie od młodych ambitnych. Czy przyszłe spotkania można organizować w późniejszych godzinach? Oczekiwanie, że wszyscy zainteresowani pojawią się przed dwudziestą jest nierealne. To nie te czasy, że z pracy wychodzi się o piętnastej trzydzieści (tu pogardliwe spojrzenie w stronę partii przeterminowanych). Osiemnasta to minimum, a potem samochód tkwi w korkach, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Przez salę przetoczyła się fala sprzeciwu, szesnasta to godzina optymalna. Po obiedzie, po drzemce, przed wiadomościami i serialem.

Podział na drużyny ustalił się w pierwszych minutach spotkania, a w kolejnych będzie się

tylko umacniał. Bierni będą czynnie torpedować inicjatywy aktywnych. Pokażą im, kto tu rządzi. Wieloletnie zasiedzenie uprawnia w końcu do decydującego głosu. Aktywni biernych nie rozumieją, ale wierzą w siłę postępu i własnej sprawczości, która tak daleko już ich zaprowadziła. Im los mieszkań nie sprezentował, wypracowali je, wydrapali własnymi rękami. Najpierw przedarli się przez dobre licea i elitarne uczelnie, potem pokornie terminowali na stażach, cierpliwie odsługiwali nadgodziny, pnąc się szczebel po szczebelku w górę w strukturach firmy i w kalkulatorze kredytowym. Dobrali sobie właściwych partnerów, a związki przypieczętowali umowami przed urzędnikiem bankowym. I oto są, błyskając na palcu kółkiem z kluczami, którym kręcą radośnie młynka.

Marzyli co prawda o trochę bardziej elitarnej dzielnicy, ale nie szkodzi, z Grochowa można zrobić fajny vintage. Trzeba się tylko pozbyć pewnych krępujących elementów. Po pierwsze, zsypy. To skandal, że jeszcze niezamurowane. To się kłóci z zasadami higieny. Smród i robactwo. A huk nocnego lotu butelek? Regularnie budzi niemowlęta, nasze słodkie maleństwa, przyszłych podatników!

Starym to wisi. U nich niemowląt nie ma, a ze śmieciami nie będą latać na dół z dziesiątego piętra. Na podatników też się nie oglądają, podatki to nie ich zmartwienie.

Młodzi żądają wymiany zaszczanych wind i ułożenia terakoty na wyszczerbionych schodach oraz inwestycji w ceramiczne donice z eleganckimi iglakami.

Starzy wolą wariant ekonomiczny: zamiast iglaków paprocie, zamiast płytek – kobierzec ze starych dywanów, każdy ma, to się wyłoży i będzie przytulnie, domowo. A pieniądze lepiej przeznaczyć na piwnice. Albo rozliczyć i zwrócić mieszkańcom.

Młodzi dywanów nie mają, tylko panele. Nie potrzebują piwnic na zapasy ani zwrotów, chcą godziwie mieszkać i móc bez kompleksów zapraszać znajomych.

Podbudowany słuchałem tej żywiołowej wymiany zdań. Tak zaangażowana społeczna dyskusja nie trafia się dziś często, o ile nie masz dziecka i nie chodzisz na wywiadówki. Poza zbrojeniem potomków do walki o lepszą przyszłość ludzi niewiele dziś obchodzi. Załapałem się raz na uliczną sondę. Znudzony stażysta z lokalnego radia zapytał mnie o stanowisko w sprawie zamykania ogródków działkowych: „Panu to wisi czy jest obojętne?”. „Hm, niech pomyślę. Mam to w głębokim poważaniu!”

Ale na zebraniu nic nikomu nie jest obojętne. Na przekór panującemu w społeczeństwie konformizmowi, tu każdy jest zaangażowany i ma własne zdanie, którego jest gotów bronić do upadłego. Drobiazgi urastają do kwestii życia i śmierci. *My home is my castle* – trwa znaczenie terenu i kopanie fos.

Zastanawiałem się, kiedy wyskoczyć z propozycją podjazdu. Niestety nie zauważyłem w sali

żadnego inwalidy, którego mógłbym reprezentować. Jak na złość wszyscy obecni tam seniorzy wyglądali kwitnąco. Jakby od miesięcy czekali na to zebranie, by mieć swoje pięć minut chwały. Przygotowali pisma, petycje, zarzuty pod adresem zarządu. Obradowali co najmniej jak w sejmie. Przekrzykiwali się, gestykulowali, a nabrzmiałe na skroniach żyły toczyły wartkim strumieniem ich gorącą krew. O nie, oni jeszcze długo nie wystygną.

Zebranie dobiegło końca, a ja nie miałem nawet szansy się odezwać. Podpisałem na odczepnego jakiś wniosek, za zsypami czy przeciw, nie pamiętam. Wszystko jedno. Po kilku godzinach marzyłem już tylko o tym, by urwać się do domu.

Zrezygnowany opuściłem salę i znalazłem się sam w pustym korytarzu domu kultury. Na trocinowej tablicy wisiały dziecięce rysunki. Sądząc po wyblakłych kolorach, musiały zawisnąć tam kilkanaście lat temu. Jedną ze ścian zdobił wyszczerbiony napis z płyt kompaktowych, oddający przebrzmiałą świetność dzielnicowego zespołu Kamionek. Gdzieś w tle, zza zamkniętych drzwi dobiegały dźwięki pianina.

Mój chytry plan legł w gruzach. Trzeba było inwestować wcześniej i poświęcić czas na budowanie networkingu siedemdziesiąt plus. Nosić siatki z zakupami, przysiadać na osiedlowych ławeczkach i włączać się do loży doświadczonych komentatorów świata.

Słońce wpadające przez okratowane okna rzucało na wyświeconą podłogę wzór szachownicy. Przypomniałem sobie, że jeszcze parę lat temu widywałem w parkach staruszków rozgrywających popołudniowe partyjki przy specjalnych stolikach wyłożonych czarno-białymi płytkami. Za czasów studenckich mój ojciec z kumplami rozkładali się obok z kartami do brydża. Wcześniej ciachali papier toaletowy w równe stosiki, z wierzchu obkładali banknotami i wiązali gumką recepturką. Powstawały z tego lipne pliki pieniędzy, którymi żonglowali podczas karcianych partyjek. Emeryci z niedowierzaniem wychylali głowy znad swoich szachów i pomstowali na bananową młodzież, co to udaje biednych studentów.

Dziś nie ma już w parku szachownic ani brydża. Została mi tylko garść srajtaśmy. To, co znałem, przestało obowiązywać. Pokolenia już się sobie wzajemnie nie dziwią, nie przyglądają. W tramwajach nie ustępujemy już starszym miejsca. A oni nie ustępują miejsca nam.

Jeszcze tylko parę wiosen, jeszcze parę przygód z losem i kłopotów będzie mniej, ach, cierpliwość tylko miej!

Podniosłem wzrok i nadstawiłem uszu. Czyżbym się przesłyszał? Dałbym sobie uciąć rękę, że głos, który wypowiedział te słowa, brzmiał nie tylko w mojej głowie.

Może to niebiosa zareagowały na moje rozterki?

Zza uchylonych drzwi w końcu korytarza padała smuga światła, w której tańczyły drobinki

kurzu. Bezwiednie ruszyłem w tamtą stronę. Lata obcowania z popkulturą musiały wyrobić we mnie instynkt podążania w stronę jasności.

Trzęsiesz się z niecierpliwości, żeby dożyć tych radości!

Zbliżyłem się i stanąłem w progu. Zajrzałem do środka. Ogród ziemskich rozkoszy Boscha nie oddałby tego, co ukazało się moim oczom za drzwiami. Trafiłem na wieczorek Klubu Seniora. Pulchna kobieta w trwałej energicznie kiwała się przy pianinie, co chwila wirując wokół własnej osi na obrotowym taborecie. Wtórował jej skrzekliwy chór skandujący:

Wesołe jest życie staruszka
Wesołe jak piosnka jest ta
Gdzie stąpnie, zakwita mu dróżka
I świat doń się śmieje: ha ha!

Przez parkiet z klepki ułożonej w jodełkę w dzikim pląsie sunęły pary tancerzy. Lubieżni brzuchacze chciwie przyglądali się natapirowanym pudernicom, co chwila oblizując wąskie usta. W przerwach między piosenkami wyciągali ze spodni pomięte materiałowe chustki i ocierali pot z poczerwieniałych twarzy. Samice, które wiek rozrodczy miały już dawno za sobą, w najlepsze kontynuowały godowy taniec, chrypiąc przepalonymi głosami i odrzucając do tyłu loki świeżo zdjęte z wałków. Na ich sękatych dłoniach lśniły neonowe tipsy, wbijające się w obwisłe ramiona partnerów. Całe towarzystwo klaskaniem wybijało pierwotny, zmysłowy rytm. Pomieszczenie rozsadzała domagająca się uwolnienia energia, odkładana latami na lokacie „Jesień życia". Kto zawracałby sobie głowę wyjazdem do Ciechocinka, mając takie uciechy pod nosem?

Patrząc na to widowisko, opadłem z sił. Zrozumiałem, że to się nigdy nie skończy. Ci ludzie nigdy nie umrą! W każdym razie nie za mojego życia. Co z tego, że są starzy, skoro mają się świetnie. Koło życia zamiast zataczać swój nieśmiertelny krąg, najwyraźniej postanowiło dać całą naprzód. A ja spóźniłem się na odjazd i już zawsze będę się wlókł z tyłu.

Szedłem chodnikiem zanurzony w przygnębiającej wizji mojej przyszłości. Widziałem siebie za trzydzieści lat, wciąż bez mieszkania, wciąż w wieku przedemerytalnym. Na zmianę wlokłem się do pracy lub jej szukałem, przekonując młode kadrowe, że jeszcze na coś mogę się przydać. Moim zmaganiom obojętnie przyglądali się dzisiejsi emeryci, niezniszczalni, w zaciszu własnych mieszkań cieszący się długim życiem na koszt podatników. Słyszałem jak nucili:

Gdzie stąpnie, powija się nóżka, i świat się zeń śmieje, ha ha…

W wyobraźni powtarzałem los kolegi mojego ojca, który umarł trzy dni po przejściu na emeryturę. ZUS był ze mnie dumny. Dał mi pośmiertną odznakę wzorowego obywatela

i w zamian za sumienność i nieobciążanie państwa kosztami ufundował mi trumnę z desek oraz półkę w zbiorowej kwaterze na cmentarzu. Nawet miejsce wiecznego spoczynku nie było moje.

Rozdział dziewiąty

– Panie kierowniku! – wychrypiał ktoś, kiedy mijałem pawilon, w którym mieści się osiedlowy supersam. – Panie kierowniku, poratuje pan bezdomnego!

W moją stronę wyciągał rękę znany mi z widzenia kloszard. Siedział na schodkach przed sklepem niemal za każdym razem, kiedy tamtędy przechodziłem.

– Da pan pięć złotych! – ponaglił mnie jak natrętny akwizytor.

– Pięć złotych? Ceni się pan!

– Co proszę?

– Dlaczego pan myśli, że dam mu aż pięć złotych? A nie na przykład złotówkę lub dwie? – zapytałem wkurzony. – Pięć złotych to godzina pracy!

– A co to dla pana pięć złotych? A dla mnie posiłek. Kierowniku… – przymilał się włóczęga.

– Co też pan! Niedawno podeszła do mnie kobieta, prosząc, żebym jej opłacił rachunek za telewizję. Trzeba mieć tupet! Ja nie oglądam telewizji, bo oszczędzam.

– Pan da, co łaska. Każdy grosz się liczy.

– Otóż to. Jeśli teraz dam panu złotówkę, będę o złotówkę dalej od celu, na który pracuję – powiedziałem. Próżniak działał mi na nerwy.

– Dzielenie się z bliźnimi mnoży dostatek. Pokój, człowieku! – Kloszard uniósł ramiona do góry. Wyglądał na podstarzałego hipisa. Długie posklejane włosy, broda, sfatygowane spodnie dzwony – bez wątpienia oryginalne retro.

– A może pan się ze mną podzieli? – rzuciłem zaczepnie.

– Bracie! Z przyjemnością. Ofiaruję ci dobrą radę. Ona jest cenniejsza niż złoto.

– I może jeszcze wróżbę na przyszłość? – zakpiłem. – Ile mnie to będzie kosztowało?

– Skąd w tobie ta gorycz, kierowniku? Jesteś taki młody. Ja w twoim wieku… – Zamyślił się. – Byłem jak motyl. Kolorowy, radosny, beztroski! – Odrzucił włosy do tyłu, próbując zilustrować trzepot skrzydeł. Ciekawe, z jakim powodzeniem dziś fruwa z kwiatka na kwiatek.

– I jak pan skończył? To chyba nie najlepszy przykład dla młodzieży – skwitowałem.

– Jestem dokładnie tu, gdzie chciałem być. Nie żałuję ani chwili. Jestem szczęśliwym człowiekiem. I bogatym.

– Tak? A mówił pan, że bezdomnym – przyłapałem go.

– Zgadza się, nie mam domu. Ale mam coś cenniejszego. Wyznam ci prawdę, bracie. Wolność! Tylko wolność da ci szczęście. Wspomnisz kiedyś moje słowa – zawyrokował hipis.

– Przecież prosi mnie pan o pieniądze. Jest pan zależny od innych – zauważyłem. Nie byłem

pewny, czy zrozumie pojęcie „wolność finansowa”.

– Proszenie o pomoc i wiara w ludzi w niczym mi nie ujmują.

– Ale nie ma pan gdzie się podziać. Nie ma pan nic swojego.

– Podziewam się, gdzie mi się podoba. I mam tyle, ile mi potrzeba. Niczego więcej nie pragnę.

– Mógłby pan żyć lepiej, zamożniej – przekonywałem.

– Po co? – sokratejsko zapytał bezdomny.

– Jak to: po co? – zawahałem się. – Jest wiele powodów.

– Jakich? – drążył.

– Życie bez obaw o następny dzień. Bezpieczeństwo. Niezależność – wyliczałem.

– Przecież mam już to wszystko! Nic nie muszę. O nic zabiegać, spełniać wymagań, robić rzeczy, których nie chcę. Trudno o większy spokój ducha. A ty? Stać cię na ten luksus? – Spojrzał mi w oczy.

Nie odpowiedziałem. Bez słowa wyciągnąłem dwuzłotówkę i wrzuciłem mu do puszki po piwie.

– I tak pewnie pójdzie na alkohol – westchnąłem.

– Nie mówię, że nie. Ale wypiję za ciebie!

Odszedłem z rękami w kieszeniach. Jego poprzednie słowa świdrowały mi umysł jak wiertarka.

*

– Jesteś wreszcie! – zawołała Aśka na mój widok. – Wpadł Marcin, czekamy na ciebie – dodała szybko.

– Proszę, kogo licho przyniosło. Co tak stoicie na baczność? – zapytałem.

– Lepiej ty powiedz, gdzie się podziewałeś! Już po dziesiątej. – Aśka nigdy nie traciła poczucia czasu.

– Byłem na zebraniu wspólnoty, mówiłem ci przecież.

– Myślałem, że zapraszają tylko właścicieli – wtrącił Marcin.

– Bo zapraszają – odburknąłem.

– O, to ja o czymś nie wiem? Czyżbyś wreszcie się złamał i dołączył do grona kamieniczników? – zapytał.

– Łamie się tylko łamaga.

– Tak długo to trwało? Zaczęliście przecież o szesnastej – zauważyła Aśka.

Zignorowałem ją. Uwielbiam, jak urządza mi połajanki przy kumplach.

– A może robisz sondaż na temat kondycji budynku przed zakupem? – drążył Marcin. – Sprytnie, sprytnie. Nie doceniałem cię.

– Co tam, stary, z czym przybywasz? – zmieniłem temat.

– Jadę na wakacje. Na deskę do Portugalii. – Wypiął pierś jak do orderu.

– Wspaniale, prawda? Portugalia jest fantastyczna, marzę o tym, żeby tam pojechać – zaszczebiotała Aśka.

Wiedziałem, jaki temat będzie męczyć następnego dnia.

– Super. Jesteśmy zaproszeni? – zapytałem.

– Eee… co? – odparł tępo Marcin.

– Mówisz, że przychodzisz w sprawie wyjazdu.

– A, no tak. Chodzi o to, że mieszkanie będzie stało puste, a ktoś musi nakarmić Lucka. Plus matka nakupiła mi jakichś badyli i teraz trzeba je podlewać. Przychodzę więc z prośbą o sąsiedzką przysługę.

– Ale my nie jesteśmy sąsiadami – powiedziałem.

– Jeśli chcecie, możecie się tam przenieść na ten tydzień – ciągnął. – Chata tylko dla was w zamian za doglądanie zielska i kota. Kiedy wyjadę, wy też będziecie mieć takie miniwakacje.

– Co za świetna oferta. Wpisz ją do folderu biura turystycznego. – Skrzywiłem się.

– Paweł! Co cię dziś ugryzło? – Aśka znów przyjęła ton upominający.

– To jak? Asia już się zgodziła.

– To miło z jej strony. Ona nikomu nie odmawia.

– O, tak to o swojej dziewczynie nie mów – zaśmiał się Marcin.

– Dobra, dowcipnisiu. Zastanowimy się i damy ci znać. Coś jeszcze?

Miałem ochotę się go pozbyć. Wkurzał mnie jego protekcjonalny ton. Poza tym musiałem omówić z Aśką wydarzenia całego popołudnia.

– Dobra, stary, widzę, że coś cię frustruje. Już się zmywam. Wyluzuj.

– Padam na pysk. Zgadamy się.

– *Ciao!*

Aśce zalśniły oczy, kiedy podawał jej klucze do swojego mieszkania. Zamknąłem za nim drzwi i dwa razy przekręciłem zamek.

– Skąd ta sumienność? Na ogół zostawiasz tylko przymknięte – zakpiła. Czułem, że chce mi dopiec za to, jak się stroszyłem przed Marcinem.

– Słyszałem, że kręcą się tu różni tacy, więc lepiej uważać.

– Niby kto?

– Oszuści, potencjalni włamywacze i inni. Nieważne. Słuchaj…

– To co powiesz na propozycję Marcina? Ekstra, co? – Rozpromieniła się.

– Myślałem, że masz uczulenie na koty.

– Tylko na długowłose. Marcin wyjeżdża w piątek, więc moglibyśmy przenieść się do niego już na najbliższy weekend.

– Chcesz się do niego tymczasowo wprowadzić? Chyba nie do końca o to mu chodziło…

– A o co? O wynajęcie łóżka na godziny? Nie marudź!

– No nie wiem, pewnie liczył na to, że zaoszczędzi na prądzie i wodzie, kiedy go nie będzie.

Sam nie wiem, po co to powiedziałem. Po prostu nie miałem ochoty korzystać z jego łaskawej oferty, którą rzucił nam jak jałmużnę.

– Proszę cię! W życiu nie słyszałam czegoś bardziej absurdalnego. Wierz mi, normalni ludzie nie myślą w ten sposób. – Przewróciła oczami, odwróciła się i weszła do kuchni.

Poczłapałem za nią. Żeby kontynuować rozmowę musiałem zostać w korytarzu: gdybyśmy stanęli w środku oboje, nie dałoby się otworzyć lodówki.

– Co masz na myśli? I co według ciebie znaczy: normalni ludzie? – Nie zamierzałem jej odpuścić. Mój masochistyczny radar zwietrzył, że zaraz powie coś, czego będzie potem żałować. Postanowiłem jej w tym pomóc.

– Cóż, liczenie każdego grosza nie jest normą, jeśli o to pytasz. Choć widzę, że tobie wchodzi w nawyk.

– To źle, że oszczędzam energię i wodę? Chyba się przesłyszałem. Ty, miłośniczka trendów i sezonowych mód, potępiasz mnie za ekologiczny styl życia?

– Kpij dalej. Jesteś niepoważny.

– Sama jesteś niepoważna. Jak możesz mi zarzucać, że jestem oszczędny? Przecież wiesz dlaczego. I wiesz, że to tymczasowa konieczność.

– Konieczność tak, ale niepokojąco rozciąga się w czasie. Mawiają, że prowizorki są najtrwalsze. Tylko szkoda mi życia na prowizorkę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dobrze wiesz.

– Nie wiem. Kobiety ciągle oczekują, że facet będzie czytał w ich myślach. Pani psycholog powinna wiedzieć, że to do niczego nie prowadzi – powiedziałem. Kiedy jestem podkurwiony, żart mi się wyostrza.

– Pani psycholog jest kobietą, czy ci się to podoba, czy nie. I jak każda kobieta potrzebuje poczucia bezpieczeństwa.

– A co ci jest w stanie to poczucie zapewnić? Oboje wiemy, że nie ja. Ale może to w ogóle

nie jest realne, więc w sumie niewielka strata… – wycedziłem.

– Na pewno nie ta nora i nie przypadkowi ludzie wokół – oświadczyła zdecydowanie za głośno. W tym momencie za drzwiami prowadzącymi do pokoju naszego współlokatora zabrzmiała muzyka.

– Brawo. Bardzo uprzejme zachowanie – skarciłem ją. – Masz jeszcze coś do ogłoszenia? Chodź do naszego pokoju, ludzie nie muszą tego słuchać.

– Do naszego pokoju! Jak to brzmi? Swój pokój miało się w dzieciństwie, w domu rodziców.

– Jeśli się miało tyle szczęścia! – krzyknąłem.

Odwróciłem się i chciałem ostentacyjnie zniknąć za drzwiami łazienki. Niestety, była zajęta. Szum odkręconej do oporu wody miał nam zapewnić złudzenie dyskrecji. No to z oszczędności nici. W tej sytuacji nie mogłem sobie pozwolić na demonstrację zranionych uczuć. Biednych nie stać na dumę.

W pokoju zrzędząca Aśka, kibel zajęty, współlokatorzy zabarykadowani w swoich dziuplach. Jedyne drzwi, jakie stały przede mną otworem, to drzwi wyjściowe.

Rozdział dziesiąty

Szarpnąłem klamkę i walnąłem drzwiami z całej siły, żeby było mnie słychać przez jazgot radia i chlupot kibla. Pradawny męski instynkt zerwał się z cywilizacyjnej smyczy.

Wjechałem na ostatnie piętro i z całej siły krzyknąłem, budząc echo w dziesięciopiętrowej studni. Gdzieś skrzypnęły drzwi, ale zaraz zamknęły się z powrotem. Zbiegłem na dół, przeskakując po parę stopni naraz, łapiąc na zakrętach za poręcz, która wibrując, dudniła przez wszystkie piętra.

Zziajany rozejrzałem się dookoła. W poszukiwaniu inspiracji poklepałem się po kieszeniach. W dżinsach wyczułem marker. W głowie zaświtała mi szatańska myśl.

Po chwili odlałem się w windzie pod własnoręcznie wymalowanym na lustrze fiutem. Odtąd będzie wyrastał z brody każdemu patrzącemu na swoje odbicie.

Kiedy zasuwałem rozporek, drzwi windy rozjechały się na boki, ukazując kobietę w średnim wieku, która chciała wejść do środka ze swoim opasłym jamnikiem. Był mokry i cuchnął.

– To pani kundel tu nalał? Jak pani nie wstyd!

– Co takiego?

– Dobrze pani słyszała! Niech pani nie udaje. Przecież musiała pani wcześniej zjechać z tym śmierdzielem na dół. Zaraz zawołam dozorcę!

– Co też pan…

– Gówien z trawnika też pani po nim nie zbiera, widziałem. Skandal!

Baba już rozdziawiła gębę, żeby coś odpowiedzieć, ale w tym momencie jamnika, którego nie dosięgał wzrok fotokomórki, ścisnęły drzwi windy. Zostawiłem skowyczącego tłuściocha w towarzystwie zdezorientowanej właścicielki i wyszedłem na zewnątrz.

Ruszyłem przed siebie wtopiony w ciemność. Powoli przyspieszone bicie serca zrównało mi się z energicznym krokiem. Maszerując miarowo, wydychałem chłodne wieczorne powietrze. Zacząłem biec. Ulice o tej porze były prawie puste, z rzadka oświetlały mnie światła przejeżdżających samochodów. Poczułem na plecach strużkę potu. Chłodził moje ciało i spłukiwał myśli.

Po kilku okrążeniach wokół uśpionego osiedla nieco się rozluźniłem. Spojrzałem z dołu na „nasz” blok i odruchowo policzyłem okna, w których paliło się światło. W większości było zgaszone, ale w niektórych po jasnych ścianach pełgała błękitna poświata telewizora. Dochodziła druga w nocy. Może ktoś nie mógł zasnąć albo przeciwnie, znużony usnął w fotelu. Wstanie rano obolały, z zesztywniałym karkiem. Zanim wszedłem z powrotem do klatki, pomyślałem, ile zgonów zdarza się przed ekranem. Nie jest to chyba najgorsza śmierć, ale

jakoś smutniejsza niż inne. Przyspieszyłem kroku.

Uśpiony blok przypomniał mi zabawę z dzieciństwa. Jak każdy dzieciak rysowałem dom w formie przekroju. Prostokąt z kwadracikami okien, w każdym inne firanki, meble, czasem kwiatek doniczkowy albo kot na parapecie. Próbowałem naśladować książkowe ilustracje z norkami zwierząt. W bajkach zawsze były urządzone jak przytulne domki. Na ścianach wisiały obrazki, w łóżkach leżała równiutko ułożona pościel. W spiżarni czekały zapasy: orzechy, suszone grzyby i inne smakołyki. A na zewnątrz szalała śnieżyca. Lecz kto by się nią przejmował, schroniony w domowym zaciszu?

Nigdy się nikomu nie przyznałem, że uwielbiałem domki dla lalek. Takie bez jednej ściany, do których można zajrzeć i poruszać mieszkańcami. Przed snem marzyłem, że nagle okoliczne budynki przestają mieć jedną ścianę. Mógłbym zaglądać do wszystkich pomieszczeń jak do szuflad pełnych skarbów.

Udawałem, że na jeden dzień dostaję miasto tylko dla siebie. W tajemniczych okolicznościach pozostali mieszkańcy znikają. Na ulicach nie ma ani jednego samochodu. Nikt nie idzie chodnikami. Nie latają samoloty. Jest cicho. Najwspanialsze, że wszystko byłoby otwarte. Sklepy, bary, kluby, księgarnie. Wchodziłbym sobie, gdzie by mi się podobało. Bez pytań „W czym mogę pomóc?”, bez kolejek do kasy. Poszedłbym też do kina. Nikt by nie szeleścił opakowaniami, nie ględził, niczyje głowy nie zasłaniałyby ekranu. To musi być wspaniałe uczucie, być jedyną osobą na widowni.

Najlepsze zostawiłbym sobie na koniec. Wycieczkę po domach i mieszkaniach. Dzień drzwi otwartych. Mógłbym bez skrępowania podglądać, co się za nimi kryje. Zaglądać do pokoi. Badać widok za oknem. W każdym mieszkaniu trochę posiedzieć. W jednym napić się herbaty, w innym wziąć kąpiel, w ostatnim zasnąć. Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Rano nie wracaliśmy już do kłótni minionego wieczoru. Nie szukałem okazji, żeby opowiedzieć Aśce o zebraniu ani klubie seniora. Już nie chciałem. Nie, nie dlatego, że się obraziłem. Właściwy moment minął, a kolejny jeszcze nie nadszedł. Poza tym musiałem zebrać myśli.

Aśka zrobiła mi kubek kakao i przytuliła się do moich pleców. Jej szlafrok pachniał proszkiem do prania, a włosy owocową odżywką. Dotknąłem wargami gorącej krawędzi kubka i upiłem łyk. Po moim ciele rozeszła się przyjemna fala ciepła. Odprężenie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się tak czułem.

Aśka tłumaczyła mi, że ma ochotę gdzieś się wyrwać, tylko ze mną. I że wolne mieszkanie Marcina to świetna okazja, chociaż na weekend. Zmiana klimatu zupełnie gratis. Poza tym i tak

trzeba było tam wpaść na podlewanie kwiatów i karmienie kota.

Wiedziałem, że tylko na to czeka. Wzięła sobie wolny piątek i pojechała tam już rano, tuż po wylocie Marcina. Umówiliśmy się, że dojadę do niej po pracy. Tymczasem miałem coś do zrobienia.

Rozdział jedenasty

Fajna miejscówka. Marcinowi udało się znaleźć nowe budownictwo pod dobrym adresem. Ale to inna liga cenowa. Niedaleko od nas, ale różnica widoczna na pierwszy rzut oka. Gdybym nie przyjechał tramwajem, mógłbym zaparkować na parkingu podziemnym. Oczywiście po konsultacji z portierem.

Wszedłem do srebrnej windy, nieskażonej śladami używania. W rogu lśniącego lustra ktoś zatknął ulotki reklamujące usługi ekip od wnętrz. Wszystko krzyczało nowością. Przypomniałem sobie poprzedni wieczór i poczułem wyrzuty sumienia.

Przeszedłem kilka metrów jasnym korytarzem wyłożonym marmurkowymi płytkami, w niczym nieprzypominającym mrocznych zakamarków naszego posępnego, niedoświetlonego bloku, który ostatni raz wietrzono w czasie budowy. Nacisnąłem dzwonek.

Po kilku sekundach zobaczyłem w drzwiach moją dziewczynę, choć w pierwszej chwili jej nie poznałem. Myślałem, że pomyliłem mieszkania, i odruchowo cofnąłem się, żeby sprawdzić numer na sąsiednich drzwiach.

Ale to była ona. Patrzyła na mnie, opierając się ramieniem o framugę. Miała na sobie jedwabny szlafrok w stylu kimono, który przyjaciółka przywiozła jej z Japonii. Lśniąca tkanina w kwiaty opadała lekko z ramienia, ukazując złotą skórę, którą z fałszywą skromnością przysłaniały rozpuszczone popielate włosy. Zgięła bosą nogę i przyciągnęła ją do sąsiedniego kolana. Uładzona pozycja grzecznej dziewczynki nie pozostawiała złudzeń, że pod szlafrokiem nic nie ma. Mistrzowska kobieca manipulacja, od której miesza się facetom w głowie.

W dłoni trzymała kieliszek schłodzonego białego wina, który zaparował od środka w kontakcie z ciepłą skórą. Pod palcami zgromadziły się maleńkie kropelki z powierzchni szkła. Odgarnęła włosy, przenosząc kropelki na skroń. Połyskiwały jak różowy błyszczyk na jej ustach, zanim wyparowały. O łydki ocierał się puszysty beżowy kot.

Obserwowała mnie spod powiek pociągniętych czarną kreską i uśmiechała się, widząc, jakie zrobiła na mnie wrażenie. Wyglądała zupełnie inaczej. Wypoczęta, zadowolona, uwodzicielska. Włosy błyszczały, a cera była bardziej promienna niż ostatnio. Za jej plecami dostrzegłem przestronny salon z jasnymi meblami. Z radia sączył się jazz. Ciemna framuga spinała całość w ramę jak obraz.

Aśka tu pasowała.

Zanim przyjechałem, poinstruowała mnie, żebym kupił lody biszkoptowe i dwie bagietki. Stałem teraz przed nią z foliowymi siatkami w rękach. Była bosa. Od czerwonych kwadracików jej paznokci dzielił mnie ciemny pas progu.

– *Hi, baby*! – przywitała mnie. – Nie stój tak, bo lody się roztopią.

– Ja… zastałem Aśkę?

– Zaraz zapytam, czy pana przyjmie. – Roześmiała się.

– Pani zamawiała lody?

– Tak. Zaraz dostaniesz napiwek.

– Na to liczę. – Przyciągnąłem ją do siebie.

– Poczekaj, wszystko po kolei. – Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w głąb mieszkania.

Zaprowadziła mnie do kuchni otwartej na salon. Zaniosła lody do zamrażarki, a mi wskazała miejsce przy stole, na którym czekały dwa nakrycia. Usiadłem w rattanowym fotelu. Na blacie paliły się białe świece. W niskim wazonie stały krótko ścięte kwiaty, właściwie same główki. Widziałem podobne w którymś z jej magazynów.

Postawiła na stole koszyk z pokrojoną bagietką i talerz czarnych oliwek. W piekarniku rumieniły się bruschetty z pomidorami. Liczyłem na to, że Aśka schyli się, żeby je wyjąć, i odprowadziłem ją wzrokiem z powrotem do kuchni. Niestety Marcin miał nowoczesny piekarnik, zawieszony wysoko, na wyciągnięcie ręki. Urwała kilka listków bazylii, potarła je w rękach, powąchała i porwała na drobne kawałki, które rozsypała na grzankach. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i zrobiłem zdjęcie stołu.

– Masz talent, kochanie – powiedziałem.

– To proste jedzenie.

– Ale ta cała oprawa: jak z magazynu kulinarnego.

– Przyjemniej niż na blacie w naszej kuchni, prawda? – zapytała radośnie.

Wiedziałem, że to nie była ironia.

Na stole czekała butelka wina i deska serów przybrana winogronami. Na szczęście żółte Aśka ułożyła tak, żeby nie dotykały pleśniowych. Wie, że ich nie cierpię. Danie główne: makaron z tuńczykiem, małżami i oliwkami. Wróciły wspomnienia.

Pierwszy raz próbowałem małży na statku podczas szkolnej wycieczki do Chorwacji i skończyło się to dramatycznie. Nie zdołałem zapanować nad bezwarunkowym odruchem organizmu wywołanym przez kontakt podniebienia z oślizgłą materią. Po fatalnej chwili słabości nie dało się ukryć zarzyganej burty, więc żeby nie wyjść, nomen omen, na mięczaka, zdecydowałem się iść w zaparte. Zaprzeczałem, że puściłem pawia po małżach. Wyparłem się też choroby morskiej. Zapewniałem wszystkich, że moja niedyspozycja to efekt solidnej imprezy poprzedniego wieczoru. Kumple oczywiście mi nie uwierzyli, za to skutecznie przekonałem wychowawczynię i Olkę, z którą wcześniej się całowałem. Dostałem więc nauczycielską naganę oraz sromotnego kosza od dziewczyny, która uznała, że jestem

odpychający.

Aśka też była na wycieczce, ale najwyraźniej epizod ze statku nie zapadł jej w pamięć. Kiedy kilka lat później pod wpływem magazynów i znajomych pokochała owoce morza, postawiłem sobie za honor zdać test małża. Za wszelką cenę nie chciałem wyjść na prostaka ani zaskorupiałego kulinarnego konserwatystę. Wiedziałem, że dla niej frutti di mare były jak przepustka do innego świata i lepszego życia, o którym marzyła. Postanowiłem więc bez względu na wszystko podarować mojej dziewczynie odrobinę luksusu i jadać z nią małże.

Na szczęście kiedy Aśka pierwszy raz zrobiła makaron z małżami, użyła gotowych w puszce, takich w zalewie pomidorowej. Kiedy zamknąłem oczy i przełknąłem kilka kęsów, poczułem swojski smak zbliżony do paprykarza szczecińskiego. Byłem ocalony. I z czasem nawet polubiłem owoce morza.

– Ładnie tu. Miałaś dobry pomysł, żeby tu wpaść – powiedziałem.

– Prawda? – ucieszyła się. – Marcin świetnie się urządził. Zobacz, to mieszkanie nie jest duże, tylko dwa pokoje, ale ma dobry układ i efektowny wystrój.

– No tak. Wysoki standard, wysoki połysk.

– Proszę cię. Z pomocą sprzątającą każdy może mieć wysoki połysk.

– Myślisz, że ktoś mu sprząta?

– Nie myślę, wiem. Spotkałam dziś w drzwiach gosposię. Taki metraż naprawdę można ogarnąć samemu, to przesada wynajmować pomoc.

– To facet, i tak dobrze, że w ogóle pomyślał o sprzątaniu i jakoś je zorganizował.

– A standard wykończenia może i dobry, ale Marcin przepłacił. Podobny efekt da się uzyskać za pół ceny, tylko trzeba wiedzieć, gdzie kupować.

– Wiesz jak to jest, faceci jak już muszą wydawać kasę, to na konkret. Nie lubimy kupować byle czego.

Przyłapałem się na tym, że broniłem Marcina. Tym razem to Aśka wytykała mu niedoskonałości. Może chciała, żebym poczuł się lepiej? Albo próbowała mi pokazać, jaka jest zaradna i że nawet z małego mieszkanka zrobi wymarzone gniazdko. Przekonać mnie, że na nie zasługuje i jeśli tylko dostanie szansę, na pewno jej nie zmarnuje.

– Jeszcze wina? – zapytała.

– Chętnie, dziękuję.

– Myślę, że pora na deser. – Wstała od stołu i skierowała się w stronę lodówki.

Z górnej półki sięgnęła dwie wysokie szklanki, a z szuflady wyjęła długie łyżeczki. Poruszała się zdecydowanymi ruchami, jak pani tego domu. Widać zdążyła się już zorientować, gdzie co jest. Naturalnie opanowała topografię mieszkania i czuła się tu

swobodnie. Nie byłem pewien, czy mi się to podobało.

Aśka postawiła przede mną lodową kompozycję z dwukolorowych gałek, która z powodzeniem mogłaby otwierać kartę deserów w najlepszym hotelu.

– Kiedy zrobi nam się za chłodno, możemy wziąć rozgrzewającą kąpiel. Kupiłam mnóstwo pachnących wspaniałości. Olejek pomarańczowy i żel waniliowo-czekoladowy. Marcin zafundował sobie obłędną wannę.

– Mam lepszy pomysł na rozgrzanie – powiedziałem, przyciągając ją do siebie.

Kiedy stanęła przede mną, jedną ręką rozwiązałem pasek jej szlafroka, który bezszelestnie ześliznął się na podłogę. Chata może i niezła, ale dziewczyna jest moja.

Rozdział dwunasty

Zadziwiające, ilu ludzi nie zamyka mieszkań.

Na każdym osiedlu co druga klatka stoi otworem. Niech was nie zwiedzie nowa elewacja budynku w przyjemnym pastelowym kolorze, która jak zastrzyk z botoksu na kilka lat odświeżyła gierkowskie wielkopłytowce. Są spore szanse, że domofon jest zepsuty. Wchodzisz do środka, zaczynasz od parteru. Cichutko naciskasz kolejne klamki. Nie musisz długo szukać. Raz, dwa, trzy. Jest, otwarte!

Albo strzeżone osiedla. Tam mieszkańcy jeszcze rzadziej pamiętają o zamykaniu drzwi. Wierzą w ludzi i ochronę. A kto zasiada w stróżówkach? Emeryci, renciści lub inwalidzi. Bez szans w starciu z napastnikiem. Zresztą o jakim starciu mowa? Dziadzina czasem dla porządku zapyta, do kogo się przyszło, ale na ogół nieproszony spieszy z pomocą, kiedy widzi, jak udaję, że siłuję się z zamkiem. Uśmiech, dziękuję panu bardzo, zapraszamy do środka! I co teraz powiecie, naiwne korposzczurki w krawacikach? Kto z was się nabrał, drodzy klienci klimatyzowanych banków? Tacy ambitni i piękni jak z prospektu dewelopera. Pan z teczką, przyjaciółki z zakupami, śliczne bobaski z placu zabaw – wszyscy daliście się zrobić w balona.

Dlaczego zacząłem wchodzić ludziom do mieszkań? Wciąż szukałem rozwiązania mojego problemu. Ot, posunąłem się dalej w badaniu otoczenia. Każdy następny krok przychodził mi łatwiej. Naciśnięcie klamki cudzych drzwi było naturalne jak rozpięcie guzika po fazie namiętnych pocałunków i ręki pod ubraniem. Odwrót oznaczałby porażkę.

Na czas pobytu u Marcina Aśka wzięła sobie wolne. Ja też, ale nie powiedziałem jej o tym. Codziennie wychodziłem do pracy, a naprawdę szedłem zwiedzać kolejne mieszkania.

Po pierwszym razie przez resztę dnia chodziłem jak odurzony. Czułem się wspaniale. Wolny. Sprytniejszy. Udało mi się znaleźć lukę w systemie, który dotąd był przede mną szczelnie zamknięty.

Wślizgiwałem się przez drzwi, które ktoś zapomniał zamknąć. Niektóre mieszkania zastawałem puste, w innych byli ludzie. Słysząc głosy lub dźwięk telewizora, stawałem nieruchomo w przedpokoju. W razie potrzeby bezszelestnie się wycofywałem.

Na początku tylko patrzyłem. Podglądałem, jak można mieszkać. Porównywałem układy pomieszczeń i style, w jakich były urządzone. Sprawdzałem widok z okien. W myślach typowałem mieszkania, które mogłyby być moje.

Nieraz w niepozornych, zaniedbanych budynkach trafiałem na prawdziwe perełki. I odwrotnie, w bogatych apartamentowcach zdarzały się zapuszczone chlewy. Niektórzy nie

zasługują na to, co mają. Na miejscu zarządcy od razu eksmitowałbym takich brudasów, a lokal przydzielił tym, którzy naprawdę go potrzebują i uszanują.

Stres pierwszych wtargnięć szybko osłabł. Z czasem poczynałem sobie coraz śmielej. Zacząłem dotykać. Przesuwałem dłonią po ścianach, oceniając fakturę tapet. Mościłem się w fotelach. Kładłem się na łóżkach.

Włączałem stereo lub tańczyłem palcami po pianinie. Wąchałem kwiaty w wazonach i zioła w doniczkach. Zapalałem aromatyczne świece. Wdychałem zapach domu.

Z czasem nawet obecność lokatorów przestała mnie krępować. Snułem się bezszelestnie jak cień i wyobrażałem sobie ich miny, gdyby dowiedzieli się, że nie są w domu sami. Szalenie mnie to bawiło. W kilku mieszkaniach zastałem dzieci lub niepełnosprawnych. Po paru wizytach przestałem się nimi przejmować i nie dbałem o to, że mnie widzieli. Nie martwiłem się, czy się komuś poskarżą. I tak nikt nie traktuje ich poważnie.

Oglądałem, analizowałem, sprawdzałem. Szukałem porzuconego mieszkania. Lub samotnego emeryta. A może czegoś, na co jeszcze nie wpadłem.

Za którymś razem trafiłem do mieszkania po włamaniu. Od razu zwróciłem uwagę na uchylone drzwi. Chwilę nasłuchiwałem, czy ktoś jest w środku. Z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Rozejrzałem się. Na klatce nikogo. W powietrzu snuły się kapuściane zapachy obiadów. Wszedłem.

W przedpokoju zastałem rozgardiasz: kłębowisko ubrań najwyraźniej wyciągniętych z dużej szafy z lustrzanymi drzwiami, rozrzucone koszyki na bieliznę. Z kilku torebek wywróconych na drugą stronę ktoś wysypał ich zawartość: pokruszone herbatniki, chusteczki, błyszczyk, stare bilety.

W łazience paliło się światło. Chodził wentylator, tnący łopatami popołudniową ciszę. W filmach często jest taki moment: bohater wchodzi do jakiegoś pomieszczenia. Rozgląda się lub tylko bezmyślnie wodzi wokół spojrzeniem. W tle słychać monotonny dźwięk, podtrzymujący pozór, że nic się nie zmieniło: leniwe bzyczenie muchy lub miarową pracę jakiegoś urządzenia. Niby wszystko gra, ale łatwo wyczuć złowieszcze napięcie. Za kilka sekund bohater zatrzyma na czymś wzrok, a jego twarz stężeje. Po chwili widzowie zobaczą to, co wywołało jego przerażenie.

W tamtym mieszkaniu nie znalazłem nic strasznego, ale w powietrzu unosiło się filmowe wrażenie: przede mną był tam ktoś zły i zostawił po sobie ślad. Niespodziewany gwałt zadany codzienności.

Czułem żal, patrząc na rozrzucone damskie rzeczy osobiste, bezbronne, nierozumiejące, co się stało. Pomyślałem, że za godzinę lub dwie właścicielka mieszkania wróci z pracy, niczego

się nie spodziewając. Niepotrzebnie wyjmie klucze, poszukawszy ich dobrą chwilę w torebce (za dużo rzeczy, za mało przegródek) lub kieszeniach kurtki (cholerne dziury w podszewce). Zgrzeje się przy tym i spoci, wełniany szalik zacznie gryźć ją w szyję. Włoży klucze do zamka i pomyśli, że musiał się zepsuć. Potem zezłości się na siebie, że nie zamknęła drzwi. Wreszcie pociągnie za klamkę i otworzy usta ze zdumienia. Dopiero po kilku sekundach dotrze do niej, że została okradziona. Ta upokarzająca świadomość zapiecze ją jak policzek.

Wzdrygnąłem się i szybko stamtąd wyszedłem. Podjąłem decyzję, że czas skończyć moją zabawę.

Rozdział trzynasty

Jeden z poradników psychologicznych Aśki radzi, żeby wizualizować swoje marzenia. I zachowywać się tak, jakby już się spełniły. W ten sposób wysyłasz pozytywne wibracje. Pokazujesz światu, że jesteś spokojny i wyluzowany. A wtedy to, czego pragniesz, niezapowiedzianie nadchodzi. Kiedy teraz myślę o tym, co się potem wydarzyło, dochodzę do wniosku, że wczasy u Marcina były wzorowym zastosowaniem tych porad. Zabawa w dom odprężyła nas i wysłała w eter właściwy sygnał. A wszechświat odpowiedział.

Tamtego dnia, wracając z pracy, prawie staranowałem kogoś przy wejściu do klatki schodowej. Odskoczyłem i odruchowo przeprosiłem. Mój mózg dopiero po chwili rozpoznał obraz, jaki miałem przed oczami, jako pochyloną sylwetkę człowieka. Ktoś wiązał but albo podnosił coś z ziemi.

Po chwili zza bezkształtnego zadka wychyliła się blada ręka. Przedramię pokryte przezroczystą, pomarszczoną skórą upstrzone było rudymi plamkami. Kończyło się wiotką dłonią, która sprawiała wrażenie wilgotnej i niezdolnej do mocnego uścisku. Zgrabiałe palce próbowały przecisnąć się przez pręty metalowej kratki, odprowadzającej wodę deszczową sprzed budynku. Błękitnawe paznokcie błądziły poniżej kratki, delikatnie sondując nieznany teren jak szkliste czułki ślimaka. Przebierały w powietrzu, nie mogąc dotknąć podłoża. Zwyrodniałe stawy ugrzęzły w wąskich szczelinach między prętami, blokując palce w połowie długości.

Ślimacza dłoń zadrżała zniecierpliwiona. Ale precyzyjna robota nie lubi presji i pośpiechu. Palce utknęły w kratce i nie chciały się uwolnić.

Ręka należała do starca, który próbował się wyrwać z potrzasku. Drugą dłonią objął nadgarstek i ciągnął do góry. Butami zaparł się o brzeg kratki, ale nadal nic. Zaczął sapać i stękać. Z kącika ust popłynęła strużka śliny, łaskocząc go po brodzie. Biały puszek na głowie zwilgotniał od potu i przypominał piórka świeżo wyklutego pisklęcia.

Obok leżała materiałowa torba, z której na chodnik wytoczyło się kilka pomidorów. Jednego z nich obwąchiwał znany mi już tłusty jamnik. Staruszek krzyknął na psa, a potem się zadyszał i poczerwieniał. Jamnik zrobił parę kroków w bok, by za chwilę zatoczyć kółko i chciwie polizać rubinową skórę owocu. Staruszek patrzył na to przerażony, w myślach obliczając pewnie jednostkowy koszt pomidora. Właścicielka psa rozmawiała z kimś przy trzepaku.

– Fe! Nie wolno!

Jamnik spojrzał na mnie z wyrzutem po tym, jak odgoniłem go ręką. Delikatnie przestawiłem staruszka, obiema rękami chwyciłem kratkę i zdecydowanym ruchem uniosłem ją, aby mógł się

wyprostować. Przytrzymałem go, żeby pod wpływem zawrotu głowy nie upadł do tyłu, i kazałem mu usiąść na murku. Pojedynczo wysunąłem jego skręcone palce spomiędzy prętów. Kiedy schyliłem się, żeby odłożyć kratkę na miejsce, zauważyłem, że na ziemi wśród liści i niedopałków leży pęk kluczy na sznurku.

– Przeklęte żelastwo – sapnął dziadek.

– To pana? – Pokazałem pęk kluczy.

– Tak, moje. Wpadły tam, na sam dół. Wyśliznęły mi się z rąk i amen.

– Na szczęście już po kłopocie. Jeszcze tylko pozbieramy pomidory.

Jamnik skorzystał z chwili nieuwagi i porwał naznaczony wcześniej pomidor w odległy zakątek trawnika. Oglądając się na mnie, merdał ogonem, prowokując, bym próbował odbić zdobycz.

Zebrałem pozostałe pomidory i wrzuciłem do kraciastej torby, którą postawiłem u nóg seniora.

– Proszę. Dobrze się pan czuje?

– Tak, tylko trochę kręci mi się w głowie. – Drżącą ręką otarł krople potu z czoła, a potem odpiął guzik koszuli.

– Spokojne, proszę sobie tu chwilę posiedzieć.

– Niestety, młody człowieku, tak to jest na starość. Niech pan się napatrzy i cieszy życiem, póki może.

– Zapamiętam.

– W pewnym wieku nawet dostęp do własnego mieszkania staje się problemem. – Staruszek potrząsnął kluczami, które mu podałem.

– Taaa, wiem coś o tym.

– Proszę?

– Rozumiem, co pan czuje.

– Oj, chyba pan nie wie. Na szczęście jest pan za młody, żeby wiedzieć, jak to jest, kiedy cholerne ciało nie chce się człowieka słuchać. Wzrok i słuch mam doskonały, umysł, chwalić Boga, też nie najgorzej działa. Ale co z tego, kiedy ciągle coś upuszczam, potykam się? Nie trafiam już do dziurki. – Mrugnął do mnie z chytrym uśmieszkiem.

– No tak, to jest pewien kłopot. – Odwzajemniłem uśmiech.

– Widział pan kiedyś coś takiego? – Senior podciągnął nogawkę spodni, demonstrując śliwkowy siniak wielkości pięści. – Pamiątka po spotkaniu z wanną! Pewnego dnia po prostu z niej nie wyjdę. Ciekawe, po jakim czasie mnie znajdą. – Zaśmiał się cierpko.

– Chyba nie jest tak źle? Ktoś by się prędzej czy później zorientował: żona, dzieci, wnuki…

– Żona tylko czeka, żebym do niej dołączył i przeniósł się na tamten świat. Dzieci się nie doczekaliśmy. Może jakbym zaczął kapać z sufitu, ktoś by się zorientował. Teraz takie czasy… – Zamyślił się.

– Pomóc panu wnieść zakupy na górę? – zapytałem. Byłem gotów od dziś zastąpić mu syna.

– Bardzo pan miły, mój chłopcze. Wcześniej pana tu nie widziałem.

– Wynajmuję tu mieszkanie, numer dwadzieścia dziewięć. Ale dopiero od kilku miesięcy.

– A ja mieszkam pod trzynastką. Jedyne trzydzieści lat. Chodźmy zatem! Pomożesz mi pan otworzyć zamki. Mnie zajmuje to całe wieki.

No to jesteśmy w domu.

Rozdział czternasty

– Napije się pan herbaty? – Staruszek musiał wejść do ślepej kuchni, żebym ja mógł stanąć w przedpokoju. Drzwi otwierane do środka wymuszały przesuwanie się w głąb mieszkania.

– Dziękuję, nie chciałbym robić kłopotu. Gdzie postawić? – Skorzystałem z okazji i przebiegłem wzrokiem po przedpokoju. Z ciasnego korytarza odchodziło kilka par drzwi. Kuchnia za kotarą, łazienka i chyba dwa wejścia do pokoi.

– Tutaj, na blacie. Dziękuję. Zaraz nastawię wodę. Zapraszam, w podziękowaniu za przysługę.

– Żaden problem, nie ma o czym mówić.

– To jak, wejdzie pan? Nie stójmy tak w progu. – Nerwowo spojrzał na drzwi. Widać nie lubił, żeby były otwarte. Poza tym wciąż trzymałem w ręku klucze po tym, jak pomogłem mu otworzyć zamki. Stare drzwi z gatunku tych, które trzeba mocno przyciągnąć za klamkę do siebie, żeby dało się przekręcić klucz.

– Proszę, tu ma pan klucze, gdzie je położyć? Nie będę wchodzić, pewnie chciałby pan odpocząć.

– Całymi dniami odpoczywam, nic innego mi nie wolno – powiedział starszy pan. – Ale rozumiem, pewnie pan się spieszy, to nie zatrzymuję. My, starzy, tak mamy, lubimy sobie pogadać, jak już kogoś dopadniemy. Bo po całych dniach nie mamy do kogo gęby otworzyć. Chyba że do telewizora. Albo do ściany. Jednej, drugiej, trzeciej, czwartej…

Dyskretnie znów łypnąłem do środka. Na oko ścian zapowiadało się więcej.

– Ależ nie, nigdzie się nie spieszę – zapewniłem. – Z przyjemnością napiję się herbaty.

Po chwili gwizdek blaszanego czajnika zapowiedział nadejście tacy z herbatą. Drżące ręce gospodarza wprawiły łyżki i szkło w niepokojący brzęk. Na politurowanej ławie stanęły dwie szklanki w metalowych koszyczkach. Takich, które nagrzewają się od wrzątku i parzą w dłonie, wcale nie ułatwiając trzymania gorącego napoju. Na dole szklanek drzemały fusy, leniwie snując smugi parzącej się esencji.

– Jeszcze raz dziękuję. Dziś mało kto ogląda się na drugiego człowieka. Całe miasto pędzi nie wiadomo gdzie, tylko mamona się tu liczy. A u pana taka postawa.

– Może to dlatego, że jestem przyjezdny. W moich stronach ludzie wciąż sobie pomagają – odparłem.

– Ech, stara dobra szkoła. Proszę mi mówić Zygmunt. Lub Zyga. Niestety do herbaty mam tylko cukier i garść połamanych herbatników. Od lat nie było w tym domu świeżego ciasta.

– Ja jestem Paweł, miło mi. Herbatniki w zupełności wystarczą. To męskie spotkanie. –

Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po kostkę cukru naszykowaną na spodku.

– Tak jest. Gdyby żyła Zocha, zaraz na stół wjechałby jakiś smakołyk. Moja świętej pamięci małżonka była mistrzynią wypieków. Jej placek z rabarbarem pachniał na całą klatkę.

Przez chwilę przytrzymałem kostkę w palcach i pozwoliłem jej nasiąknąć herbatą, aż zaczęła się rozpuszczać.

– To już pięć lat, jak jestem sam – ciągnął Zyga. – Baby nie ma, to i pitrasić nie ma kto.

– O tak, nie ma jak domowe ciasto. Narzeczona też czasem coś upiecze, robi naprawdę niezłą szarlotkę.

– To się chwali. Dziś dziewczyny zupełnie nie mają drygu do tych rzeczy. Wolą lepsze zajęcia. Bardziej ambitne. Ale kobita to kobita, musi umieć ugotować. Dobrześ trafił.

– Nie narzekam.

– Czyli będziesz się żenił? To dobrze. Dziś nie wszyscy chcą. Przebierają, mieszkają bez ślubu, czekają nie wiadomo na co. Jak dziewucha rozsądna, to brać, nie zastanawiać się.

– Tak, jestem zadowolony. I myślę, że już nie będę dalej szukał.

Nie przeszkadzała mi dociekliwość Zygmunta. W innych okolicznościach pewnie bym się zirytował, ale nie tym razem. O nie, byłem oceanem spokoju. Pacyfikiem.

– Otóż to. Życie to nie poezja, to chleb powszedni. Nie kariera, nie podróże czy inny niedorozwój osobisty. To ważne, żeby wybrać właściwą osobę na resztę życia. Najpierw musi być solidny fundament. Jak przy budowie domu! – mówił coraz głośniej i szybciej, energicznie brzęcząc łyżeczką w szklance.

– Zgadza się. Sądzę, że duchowy fundament mam już położony. Gorzej z dosłownym… – zafrasowałem się.

– Że co? – zapytał niezbyt błyskotliwie.

– Znaczy… w sensie fizycznym. – Szukałem oznaki zrozumienia na pomarszczonej twarzy mojego rozmówcy.

– Mieszkać nie macie gdzie! – Z czoła Zygi ubyła zmarszczka wysiłku włożonego w skupienie.

– Ano jest ciężko. Teraz wynajmujemy kawalerkę. To znaczy ja wynajmuję, a narzeczona mnie odwiedza.

Ups.

– No dobrze, już dobrze. Może ze mnie i stary ramol, ale nie osioł. – Zaśmiał się filuternie. – Dzisiaj prawie wszyscy ze sobą mieszkają. Byle nie przeciągać tego w nieskończoność!

– Nie, ja nie mam takiego zamiaru. Prawdę powiedziawszy, już dziś bym się żenił, ale jak? Najpierw chcę się przygotować, zadbać o sprawy materialne, żeby mieć co zaoferować

rodzinie.

– Bardzo rozsądnie mówisz. To co ci stoi na przeszkodzie? Młody jesteś, silny, a z tego co widzę, to i zaradny.

– Widzi pan…

– A co ty z tym panem. Zyga.

– Widzisz, Zyga, teraz nie ma mieszkań dla młodych. Zanim uzbieramy na własne, minie kilkadziesiąt lat. Będziemy już starzy – westchnąłem, szukając zrozumienia.

– Ano tak, prawda… Ale nie ma co się za bardzo martwić o przyszłość ani się nad sobą użalać. Od dawna młodzi musieli sobie radzić. Taka kolej rzeczy. A co dopiero my mieliśmy powiedzieć? Wojna, potem komuchy. Nawet jak ktoś miał, to zabrali. Wynajmować w tamtych czasach nie było jak, zostawały tylko hotele robotnicze. Całe rodziny mieszkały w jednym pokoju i jakoś się żyło. A wy dziś byście chcieli mieć wszystko od razu, na ten tychmiast. – Zygmunt zboczył w niepożądanym kierunku.

– Dla mnie to jest odpowiedzialność – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Dziś o pracę nie jest łatwo, można z dnia na dzień zostać bez środków do życia. I bez dachu nad głową, jak się nie ma własnego.

– Też prawda. Kiedyś chociaż robota była. Zakłady, fabryki. Kto chciał, ten pracował – przyznał.

– A jak się panu tutaj mieszka? Chyba dobrze, skoro już tyle lat? – postanowiłem sprowadzić rozmowę bliżej ziemi.

– Wygodnie. Gaz jest, światło, ogrzewanie. Człowiek o nic się nie musi martwić. Tylko wysoko. Jak windy odłączają, to ciężko się wdrapywać po schodach.

– A sąsiedzi?

– Ech, szkoda gadać.

– Hałasują? Nam trochę przeszkadzają – powiedziałem. Nic tak nie zbliża jak wspólny wróg.

– Żeby choć ktoś poprzeszkadzał! Dał znak, że żyje! Kiedyś sąsiad to był sąsiad. Chodziło się pożyczyć mąki, na telewizję, skorzystać z telefonu. Co chwila jakieś odwiedziny, wpadało się bez zapowiedzi. Nieważne, że w lodówce pustki, zabawa była na sto dwa. Zocha zawsze coś z niczego potrafiła wyczarować. A teraz? Kuchnia pełna rarytasów, każdy ma własny telefon i co z tego? Nie ma już sąsiedzkiej przyjaźni. Człowiek siedzi sam jak pies – skarżył się staruszek.

– Ale pewnie odwiedzają pana przyjaciele, rodzina…

– Gdzie tam! Wiesz, chłopcze, jakie jest największe nieszczęście na tej ziemi? Samotność.

Obudzić się i zrozumieć, że się zostało samemu. Przeżyć rodzinę i przyjaciół i czekać na swoją kolej. Odmierzać dzień za dniem. Nikomu tego nie życzę.

– Przykro mi…

– Dlatego miło mi, że sobie tak siedzimy i gawędzimy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem gościa, poza domokrążcami, których wystrzegam się od czasu, kiedy po sczytywaniu wodomierzy zginęły mi pieniądze.

– Naprawdę? Coś takiego!

– Takie przyszły czasy. Tym bardziej jestem wdzięczny za pomoc. Kto inny może by wykorzystał sytuację, a ty… To się ceni.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Rozdział piętnasty

Kawa z ekspresu Marcina w porównaniu z lurowatą herbatką Zygi smakowała jak napój bogów. Aromatyczna, mocno palona, ale niewykręcająca ust, niekwaśna. Aśka pieniła do niej kilkucentymetrową warstwę mleka. Poemat.

Podawała też espresso w maleńkich filiżankach. Zebrała takich już pokaźną kolekcję. Wyszukuje je w internecie i na pchlich targach. Przywiozła też parę z Barcelony, z mozaikami w stylu Gaudiego, kiedy w zeszłym roku wyjechaliśmy ze znajomymi na długi weekend. Ja najbardziej lubię komplet ozdobiony zdjęciami z czasów prohibicji: faceci w białych garniturach, gangsterzy i stare samochody. Ale generalnie te naczynka dla krasnoludków działają mi na nerwy. Na co dzień są zupełnie nieprzydatne, zbierają tylko kurz i łatwo je stłuc, kiedy nagle wypadają z szafki przy wyciąganiu większego naczynia. No i jak ich używać: wlewać odrobinę kawy na jeden łyk?

Ale podczas pobytu u Marcina espresso pite z tych śmiesznych maluchów nabrało dla mnie sensu. Pasowało do tarasu i rattanowych mebli, do Aśki, która w krótkiej białej sukience opalała nogi oparte o barierkę. Mikrofiliżanki wyglądały tu dobrze. Komponowały się jako element wystroju, jak na klimatycznych zdjęciach przedstawiających włoską kawiarnię albo paryski bulwar. My też pasowaliśmy do tej sceny. Było nam w niej do twarzy.

Któregoś z takich popołudni przypomniałem sobie o serwisie kawowym, który stał w kredensie u moich dziadków. Pamiętam, jak filiżanki ustawione na spodkach podskakiwały i brzęczały, kiedy z tupotem przebiegałem po deskach podłogi. Dostawałem wtedy burę od babci, bo serwis był tak cenny, że nie pozwalała go nawet dotykać. Otrzymała go w prezencie ślubnym od swoich rodziców.

Moi pradziadkowie nie byli zachwyceni dziadkiem. Pochodził z biednej rodziny i nie był wymarzoną partią dla ich córki. Babcia zagryzła zęby i postanowiła ciężką pracą dorobić się z dziadkiem lepszego, dostatniejszego życia. Wieczorami, po harówce w polu, patrzyła na serwis i marzyła. Miał ukoronować ich przyszły dobrobyt. Mieli stawiać go na koronkowym obrusie i pić z niego po niedzielnym obiedzie.

Stało się inaczej. Babcia z dziadkiem odchowali dzieci, zbudowali nowy dom, przeszli na emeryturę, ale porcelana nigdy nie doczekała się użycia. Wyciągnięto ją dopiero na czas stypy po pogrzebie babci. Tym sposobem serwis pożegnał swoją wieloletnią właścicielkę, która ani razu się z niego nie napiła.

W naszych wynajmowanych mieszkaniach filiżanki Aśki stały nieużywane, zawinięte w gazety i włożone do pudełek po butach. Nie mieliśmy ekspresu, a nawet gdybyśmy go kupili,

trudno byłoby go zmieścić w miniaturowych wnękach kuchennych dzielonych ze współlokatorami. Czekały na swoją szansę, która miała nadejść w dniu naszej przeprowadzki. Zastanawiałem się, czy kiedy mielibyśmy już to swoje mieszkanie, rzeczywiście zaczęlibyśmy pijać espresso?

Zbliżały się urodziny Aśki. Wpadłem na pomysł, co mógłbym jej kupić.

Rozdział szesnasty

Dzwonek u drzwi przeszył ciszę świdrującym dźwiękiem, jeżącym włosy jak przy elektrowstrząsie. Czy słysząc tak złowrogi zwiastun, można spodziewać się czegoś dobrego? Pukanie do drzwi już samo w sobie jest dźwiękiem, który wprowadza człowieka w stan alarmowy. Mieszanka ciekawości i oczekiwania wyrywa nas z bieżącej czynności i najgłębszego nawet zamyślenia. Serce przyspiesza. Zamieramy, jak staliśmy, lub przeciwnie, wyskakujemy z łóżka lub spod prysznica. Nawet jeśli nie zamierzamy otworzyć, napięcie nie opuszcza nas jeszcze dobrych kilka chwil później. Nasłuchujemy, aż potencjalny intruz się oddali. Domowy mir został naruszony.

Pół biedy, jeśli dzwonek jest przyjemny, melodyjny. Niesie ze sobą nadzieję: na list z dobrą wiadomością, paczkę z zagranicy, może niespodziewaną wizytę kogoś drogiego. Ale chroboczący, metaliczny zgrzyt? Na jego dźwięk w pierwszej kolejności pomyślałem o rzuceniu się do ucieczki.

Ponownie nacisnąłem dzwonek i usłyszałem szuranie wewnątrz mieszkania. Przez oko judasza wpadło trochę światła. Ciekawe, w jakim wieku zaczyna się mieć złudzenie, że niezdarne skradanie jest dyskretne.

– Kto tam? – Zyga zdecydował się ujawnić.

– Dzień dobry, tu Paweł.

– Kto?

– Paweł, sąsiad. Poznaliśmy się w środę. Pomogłem panu z kluczami.

– Ach, tak. Chwileczkę.

Zagrzechotał stary zamek. Po chwili skrzypienie drzwi poniosło się echem po klatce schodowej.

– Witaj, chłopcze.

– Wpadłem tylko zapytać o samopoczucie i czy nie trzeba w czymś pomóc.

Mimowolnie używałem zwrotów bezosobowych. Niezręcznie było mi zwracać się do Zygi na ty.

– Bardzo dziękuję! Wejdź, wejdź!

Tym razem nie dałem się prosić.

– Narzeczona przekazuje szarlotkę. – Wyciągnąłem rękę z talerzem przykrytym serwetką. – Tym razem nie zabraknie nam domowych wypieków!

To fakt, ciasto upiekła Aśka, chociaż kiedy opowiedziałem jej o Zygmuncie, nazwała mnie nieszkodliwym wariatem. Wysłuchała mojej opowieści, pokiwała głową i powiedziała, że nie

chce się angażować w moje kuriozalne przedsięwzięcie. Ale kiedy upiekła szarlotkę, sama zaproponowała, żebym kawałek zaniósł Zydze. „W końcu to starszy samotny człowiek”, powiedziała.

– Bardzo mi miło, całuję rączki przyszłej małżonki! Proszę się pokłonić w moim imieniu. Skoro mamy ciasto, zapraszam na podwieczorek!

Zygmunt zaszurał kapciami i zniknął za kotarą w kuchni. Wykorzystałem ten moment, żeby uważniej rozejrzeć się po mieszkaniu.

Ślepa kuchnia przylegała do średniej wielkości pokoju, na oko jakieś piętnaście metrów. Salon, pokój dzienny lub jak kto woli – stołowy, oddzielony był od niej ścianką działową ze ślepym oknem. Ten zagadkowy wynalazek widziałem już kiedyś podczas jakiejś domówki. Szybę dawało się nawet częściowo przesuwać. Zrobiliśmy więc parodię bufetowego okienka, przez które wydawaliśmy drinki i przekąski. Osobliwa konstrukcja, ale zawsze można ją zdemontować i połączyć aneks kuchenny z pokojem.

Ściany zdobiły perłowe, lekko odłażące w narożnikach tapety z kwiatowym wzorem. Największy pokój wyposażony był standardowo: regał z ołtarzem telewizyjnym, wysiedziana wersalka, dwa fotele. I dywan, ciemnoczerwony turek. Przy ścianach wystawała spod niego klepka. Dobrze, zawsze można wycyklinować. Drewno to drewno, nie to co panele. Kurzą się i widać na nich najdrobniejszy pyłek.

– Może pomóc?! – zawołałem kontrolnie w kierunku kuchni.

– Nie, nie, rozgość się. Tak rzadko mam gości, że to sama przyjemność trochę się zakrzątnąć! – krzyknął zza kotary.

– W takim razie jeśli można, umyłbym ręce.

– A proszę, proszę. Umywalnia jest na wprost wejścia.

Czyli niezgodnie z *feng shui*. Nic dziwnego, że Polakom się nie wiedzie. Jak tu zapewnić przypływ dobrostanu, kiedy w większości mieszkań od progu wita nas kibel?

Łazienka, jak to w starym budownictwie, klaustrofobiczna. Góra trzy metry. Trudno, można zmienić układ, wstawić prysznic w miejsce lilipuciej wanny. Kto w ogóle wymyślił coś takiego? Co tęższym ludziom nie zmieści się do niej nawet tyłek, a uszy da się w niej umyć tylko kolanami.

Minus: jest grzyb. Plus: nie ma piecyka na gaz.

W przedpokoju uchowały się fragmenty boazerii, która nadawała się tylko do zerwania. Generalnie w mieszkaniu Zygi znalazły schronienie meble i sprzęty, które nie miały prawa przetrwać w kapitalizmie. Zimowały u niego jak polityczne przechrzty, próbując zatrzeć pamięć o swoim niechlubnym rodowodzie. Tapczan, pawlacze, ława. I sklejkowa obudowa

sedesu, zawierająca rozmaite skrytki. Mój ojciec miał taką samą. W szafkach i szufladkach kryły się narzędzia i słoiki z gwoździami. Oraz kalendarzyki z gołymi babami. Ta przytulona do kibla przestrzeń pełniła w domu rolę garażu – męskiego terytorium w miniaturze. Zastanawiałem się, dlaczego ojciec urządził się akurat w kiblu. Najpierw myślałem, że z braku innego miejsca. A może po prostu lubił się tam zaszywać.

W kuchni zabrzęczały szklanki, przerywając moją analizę mieszkania. Zrobiło mi się głupio. Dzieliłem skórę na żywym człowieku.

– Kawusia! – wesoło obwieścił Zyga.

Spojrzałem na niego i uśmiech zamarł mi na ustach. Nie spodziewałem się, że kara za zuchwałe myśli dosięgnie mnie tak szybko.

Na tacy wtarganej chwiejnie przez staruszka pyszniły się dwie ohydne plujki, do połowy wysokości szklanki wypełnione smolistymi fusami. Bez kropli mleka. Bez koszyczków.

– Na zdrowie! – zawołał. – Zdradzę ci sekret, młody człowieku. Kawa! Prawdziwa kawa. Oto mój eliksir długowieczności. Wypij za mnie, a będę żył wiecznie!

Zmusiłem się do uśmiechu. Kiedy Zyga wyszedł do kuchni po herbatniki, wylałem zawartość szklanki do doniczki.

Rozdział siedemnasty

W Warszawie czas mija ze świstem, nawet jeśli twoje życie stoi w miejscu. Pory roku niewiele się tu od siebie różnią. Wyjątkiem jest czas letnich upałów. Tych nie sposób nie zauważyć. Wystarczy kilkanaście gorących dni, żeby stare mury bloków nagrzały się i trzymały ciepło jak termos. Nie wzięli tego pod uwagę chłopi, którzy kiedyś masowo przeprowadzali się do miast, z rozkoszą wymieniając wiejskie domki na wygodne mieszkania z wodociągami i c.o. W przeciwieństwie do tradycyjnych domów, zimą ciepłych, latem przyjemnie chłodnych, w wieżowcach z płyty w lipcu jest jak w piekarniku.

Mieszkańcy małych mieszkań wypełzają wtedy na zewnątrz jak dzikie pszczoły wykurzane dymem przez zbieraczy miodu. Młode matki kryją się w cieniu drzew, nerwowo potrząsając wózkami, jakby chciały się nimi wachlować. Na zalanych słońcem balkonach lśnią spocone męskie brzuszyska. Po zmroku na schody i trzepaki wylega kawalerka, przeszywając noc sykiem otwieranych piw, na zmianę z wulgarnymi pohukiwaniami. Nocne zwierzęta wychodzą z klatek schodowych.

W takie wieczory lepiej nie pętać się samemu po osiedlowej sawannie. Na nic zda się też światło. W mieście nie odstrasza intruzów, tylko wabi komary i ćmy, tłukące skrzydłami o ściany i twarze, a nie daj Boże, o podniebienie. Pozostaje zawinąć się w mokre prześcieradło i leżeć cicho przy oknach szeroko otwartych na ciemność.

Upał w bloku to doświadczenie irytujące niezależnie od wieku. Irytuje warkot wiatraka, mielącego wciąż to samo lepkie powietrze. Irytują okna wychodzące na jedną stronę, bo nie tworzą przeciągu. Dotyk ubrania, które parzy skórę. Brzydkie roznegliżowane ciała na balkonach. Irytuje niewydolna lodówka i zsypy cuchnące ze zwielokrotnioną mocą.

Upał w bloku bywa uwłaczający, jeśli jest się starym człowiekiem. Tkwi się bezwolnie jak warzywo w szklarni ścian nagrzanych od słońca. Pod wpływem gorąca skóra marszczy się jak suszony pomidor i wydziela nieładny zapach, który miesza się ze słodkawym odorem błyskawicznie gnijących śmieci. Zejście po schodach czy nawet wstanie z łóżka grozi zawrotami głowy. Kiedy mieszka się samemu, nie wolno tak ryzykować.

W takie gorąco przynajmniej nie chce się jeść, więc można przez parę dni nie schodzić do sklepu. Żeby chociaż w telewizji nadawali seriale, a tu coraz mniej da się oglądać. Same powtórki. Co robić całymi dniami? Można spróbować schłodzić się w wannie, tylko coraz trudniej z niej wyjść. A jeśli się człowiek utopi? Nie, już lepiej poleżeć i przeczekać.

Odruchowo podskoczyłem i spojrzałem za siebie, słysząc dźwięk rozsypujących się kulek. To tylko Zyga wyłonił się zza paciorkowej kotary. Jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tego

dźwięku, choć bywam u niego nawet kilka razy w tygodniu.

– Herbatka z cytryną! – zawołał radośnie. – Na upał najlepsze gorące. Organizm się rozgrzewa i naturalnie schładza, czyli poci.

– Nie wiedziałem. – Urwałem i wstrzymałem na chwilę oddech.

O tak, Zyga posłusznie stosował tę metodę. To się czuło.

Postawił na stole okrągłą tacę ze szklankami, a potem wyciągnął z kieszeni pomiętą chustkę i otarł nią pot z czoła. Mimo upału miał na sobie długie spodnie i grube skarpety.

– To mądrość z krajów południa. Pikantne jedzenie i gorący napój to uniwersalny zestaw, który tam spotkasz. Beduini na pustyniach Egiptu na ten przykład częstują turystów herbatką.

– Był pan… byłeś kiedyś w Egipcie?

– Ja nie. Ale córka mojej siostry tak.

Siostra. Więc ma jakąś rodzinę.

– A kiedy to było? – zagadnąłem.

– Tuż przed jej przed pogrzebem.

– Nie żyje? Coś ją spotkało w Egipcie?

– Kogo? Hanię? Nie, to Zyta przeniosła się na tamten świat. Moja siostra. A Hania, siostrzenica, wyprowadziła się do Londynu. Ostatni raz widziałem ją właśnie na pogrzebie.

Ciekawe, czy siostrzenica to jedyna krewna Zygi. W końcu od kilku miesięcy nikogo tu nie widziałem.

– A siostra dawno temu odeszła? – zapytałem.

Zyga i Zyta. Plus Zocha. *Dream team*.

– Będzie z sześć lat. A Hanka w tym czasie zdążyła nie tylko pochować matkę, ale i rozwieść się z mężem. To z nim była w tym Egipcie. Rafy, karawany, piramidy, srydy i co? Małżeństwo się rozpadło. Ona nie chciała dzieci, wolała robić karierę. To chłop się zakręcił i zrobił brzuch sekretarce. I masz babo placek!

– À propos, jak smakuje ciasto? Z pozdrowieniami od mojej Joaśki.

– Wyborny, ma dziewczyna talent. Stworzy ci dobry dom.

– Może kiedyś, w dalekiej przyszłości – jęknąłem żałośnie.

– A czemuś jej nie przyprowadził? – Nie złapał aluzji.

– Pojechała do rodziców. Mówi, że słabo znosi upały w mieście. A tam ma domek, ogródek, może pobyć bliżej natury. Więc ja pracuję, a ona sobie odpoczywa.

– No, toś teraz słomiany wdowiec. A ogródek dobra rzecz. – Zamilkł.

– Tak. Ale to luksus dla wybranych. Ja mierzę zamiary podług sił. O domu nie marzę, ale chociaż własne mieszkanko… – zawodziłem.

– Mieliśmy z Zochą dom z ogródkiem – wypalił ni z tego, ni z owego Zyga.

– Tak? – ożywiłem się.

– A tak. Mały biały domek. W sam raz dla dwojga. Sam go zbudowałem!

– Naprawdę?

– Pewnie! A co, ty byś domu nie postawił?

– Sam? Bez szans.

– Ano właśnie. Bez urazy, ale dzisiaj wy, chłopaki, zapominacie o męskich umiejętnościach. Po całych dniach siedzicie zgarbieni przed tymi komputerami. Co z tego dobrego przyjdzie? Nie umiecie załatwić podstawowych spraw. Gwoździa wbić, ściany równo postawić, ryby wypatroszyć. Nic dziwnego, że baby się rwą do roboty i władzy, a was nie szanują.

– Muszę przyznać, że jestem pełen podziwu. Trudno mi to sobie wyobrazić. Samodzielna budowa domu, bez pomocy ekipy…

– Ja jestem na wsi urodzony. Od ojca nauczyłem się murarki, a dziadek był stolarzem. Zwykła rzecz. Zdobyć materiały to była dopiero akrobacja. Ale załatwiłem. Zochę wziąłem do pomocy i w trymiga stanął dom.

– Kiedy to było?

– Pobudowaliśmy się w latach pięćdziesiątych. To były szczęśliwe dni. Ale potem małżonka wolała przenieść się do bloków, zwłaszcza na zimę.

– A gdzie był ten domek? Daleko od Warszawy?

– Gdzie tam. Tu, na Saskiej Kępie. Zresztą jeszcze stoi. – Wzruszył ramionami.

Zamurowało mnie. Dom na Saskiej Kępie? Dziś jest wart pewnie ze dwa miliony.

– I żona wolała mieszkać w bloku?

– Ano tak. Bo dom to jednak dom, trzeba koło niego chodzić, wszystkiego samemu doglądać. W zimie trochę ciągnęło. Może nie była to budowla o najwyższym standardzie, ale wtedy robiło się z tego, co się miało pod ręką.

– Ale dom to jednak dom! Własny, z ogrodem! – Zrobiło mi się gorąco.

– Masz rację. Ale wtedy inaczej się myślało. Kiedyś ziemia do obrobienia to był, jak wy to mówicie, obciach. Kojarzyła się z chłopstwem, a w stolicy każdy chciał być miastowy pełną gębą.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – westchnąłem.

– Otóż to. W tamtych czasach mieszkanie w bloku to było coś. Szczyt marzeń. No i żona zaczęła mi suszyć głowę. A sam pewnie wiesz, jak to jest, kiedy kobita się na coś uprze.

– Taaak. – Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– No i się przenieśliśmy. Przez jakiś czas zaglądaliśmy jeszcze na stare śmieci, chodziliśmy

do ogródka zbierać owoce i warzywa. Mieliśmy tam marchewki, rzodkiewki, porzeczki. I zielony groszek. I agrest, słodziuchny, takie wielkie, włochate kule. Gdzie teraz dostaniesz taki agrest?

– To prawda, agrestu brak. I co się stało z tym ogrodem? – usiłowałem wrócić do meritum.

– Oboje pracowaliśmy. Człowiek był zmęczony, nie miał siły obrabiać dwóch gospodarstw. Później przyszły problemy ze zdrowiem. W końcu Zocha kazała sprzedać dom, a pieniądze odłożyć na czarną godzinę.

Nie wierzyłem.

– Co za strata! Dom zbudowany własnymi rękami… – gadałem jak potłuczony.

Mój entuzjazm sprzed chwili przerodził się w panikę.

– Takie życie.

– Tak łatwo się zgodziłeś? Gdybym to ja miał dom i zbudował go własnymi rękami, w życiu bym nie posłuchał babskiego gadania…

– Doprawdy? – Spojrzał na mnie przenikliwie.

– No pewnie. Może nie umiem zbudować domu, ale bronić swego zdania już tak – odburknąłem.

Zyga, pantoflarzu, dlaczego mi to zrobiłeś?!

– To się chwali. Dzisiaj młodzi wiedzą, czego chcą. A chcą dużo. I szybko.

– Wiedzieć, czego się chce, to podstawa. Jak można coś osiągnąć, nie wiedząc, dokąd się zmierza?

– Racja. Byle kiedyś się zatrzymać i powiedzieć: wystarczy.

Z tym jeszcze zdążę. Na razie nawet nie wystartowałem.

Kilka dni później miałem sen. Byłem na wuefie, na szkolnym boisku otoczonym bieżnią. Szliśmy z chłopakami za naszym nauczycielem, nazywaliśmy go Przysiad. Ubrany w nieśmiertelny kreszowy dres niósł pod pachą podkładkę z klipsem, a w dłoni stoper. W drugiej ręce trzymał długopis i co chwila nim pstrykał, nerwowo naciskając przycisk na górze.

Na trybunach siedziały dziewczyny. Zachichotały na nasz widok. Wuef był dzielony na grupy, podczas naszej lekcji dziewczyny akurat miały okienko. Wśród nich dojrzałem Olkę. Szykował się sprawdzian z biegu na sześćdziesiąt metrów. Czyli krótka piłka, od razu prędkość na maksa, żadnej przemyślanej strategii i rozkładania sił jak przy trzech kilometrach.

Ustawiliśmy się na linii startu. Stopy w blokach startowych, dłonie oparte na tartanie. Czułem przyspieszone bicie serca. Pstrykanie długopisu potęgowało nerwowe wyczekiwanie. Napięte łydki po kilkunastu sekundach zaczęły drżeć, bardziej z przejęcia niż obciążenia. Co

chwila podnosiłem głowę, nasłuchując sygnału do startu.

Do biegu…

Gotowi…

Start!

Odczekałem do końca komendy, uważając, żeby nie ruszyć za szybko. Byłby falstart. W odpowiednim momencie poderwałem się, odpychając dłońmi od podłoża.

Ruszyłem.

Moje ciało rzuciło się do przodu, ale nogi zostały w miejscu. Nie mogłem oderwać stóp! Jakby ktoś je przykleił do ziemi. Straciłem równowagę i upadłem. Mimo usilnych prób nie mogłem ruszyć nogami. Nerwowo spoglądałem to na unieruchomione buty, to przed siebie. Patrzyłem na plecy kolegów, które coraz bardziej się oddalały.

Wciąż szamotałem się w miejscu, kiedy pierwsi z chłopaków dobiegali już do mety. Dziewczyny poszły w tamtą stronę, by witać zwycięzców. Została tylko Olka. Oparta o barierkę przyglądała się moim zmaganiom. W końcu jakaś koleżanka pociągnęła ją za rękaw i poszły razem w kierunku reszty, nie oglądając się za siebie.

Nigdy nie lubiłem biegania.

Rozdział osiemnasty

– Nie mogę doczyścić tego cholerstwa – sapnęła Aśka któregoś wrześniowego poranka, ocierając ręką pot z czoła. Siedziała na podłodze łazienki wyłożonej płytkami PCV. Na dnie wanny dla krasnoludów osiadła żółta jak jesień smuga, która otaczała zardzewiałe sitko. – Poza tym znowu się zatkało. Musiałam wypompować cały ten syf przetykaczką. Co za obrzydlistwo.

Stłumiłem śmiech. Przetykaczka jako narzędzie zawsze wprowadzała mnie w wesołość, nawet gdy sytuacja wymagała powagi.

– Może polej colą? Wyżre wszystko – poradziłem.

– Nie jestem w nastroju do żartów. Też byś nie był, gdybyś musiał wygrzebywać cudze łoniaki z odpływu.

Była podminowana. Od kiedy wrócił Marcin i porzuciliśmy jego gniazdko na rzecz naszej nory, Aśka chodziła jak chmura gradowa. Coś się nieodwołalnie zmieniło. Powrót do wynajmowanego mieszkania był jak kęs wyrobu czekoladopodobnego po skosztowaniu belgijskich czekoladek. Dawne życie straciło smak.

Spojrzałem na nią. Miała zarumienione policzki i włosy mokre od potu. Włożyła żółte gumowe rękawiczki, żeby chronić paznokcie. W ręce trzymała druciak. Na podłodze łazienki stała butelka z cifem. Wciąż było nieznośnie gorąco.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytałem.

– Tak. Zabierz mnie stąd.

Jeszcze niedawno była damą w kimono. Teraz przypominała nieszczęśliwego Kopciuszka. Nie do wiary, jak chata zdobi człowieka.

– Pracuję nad tym – powiedziałem.

– Tak? To coś nowego – rzuciła cierpko.

– Asiu, wiesz, że te sprawy nie są łatwe.

– A co konkretnie robisz?

– Nie oczekuj ode mnie natychmiastowych rezultatów. Poinformuję cię, jak coś załatwię.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – drążyła. Równie dobrze mogłaby mi świecić lampą po oczach w pokoju przesłuchań.

– To znaczy?

– Jakie działania podjąłeś w sprawie naszego mieszkania?

– Sprawdzam różne możliwości – odpowiedziałem.

– Masz na myśli wizyty u tego nieszczęsnego emeryta? Proszę cię… – Pokręciła głową.

– Między innymi – uciąłem.

– Mam wrażenie, że ty chyba nie wiesz, czego chcesz.

– Nie rozumiem.

– Robisz wszystko, żeby nie załatwić sprawy mieszkania. Grasz na czas, żeby nie musieć się zmierzyć z problemem.

– Jak możesz tak mówić?

– Widzę, co się dzieje. Nazywam rzeczy po imieniu. A może ty nie myślisz o naszej przyszłości, bo nie masz takich planów? – Popatrzyła mi w oczy.

– Przecież mieszkamy razem, to nie jest przyszłościowe?

– Czy ja wiem? Wystarczy, że właściciel wypowie nam umowę.

– A ty? – zapytałem.

– Co ja?

– Wiesz, czego chcesz?

Aśka wzięła głęboki oddech.

– Chcę – być – z – tobą – w – naszym – własnym – mieszkaniu – wyrecytowała podniesionym głosem. Dwa pragnienia, ale jedno nie obowiązuje bez drugiego. – A ty? Czego ty chcesz?

Nie odpowiedziałem.

Nie byłem pewien. Ale wiedziałem, że nie zostało mi na to wiele czasu.

Rozdział dziewiętnasty

Lato się skończyło, dzieci wróciły do szkół, a nowe roczniki studentów znów biły się o najlepsze stancje. Poza zwiększeniem natężenia ruchu nie odczułem jakiejś wielkiej różnicy. W dużym mieście pory roku grają drugorzędną rolę. Tu żyje się w oderwaniu od przyrody. Zewnętrzne warunki dają o sobie znać tylko symbolicznie, kiedy człowiek przemyka swoimi codziennymi trasami z jednego wnętrza do drugiego. Przez chwilę zmarznie lub się zgrzeje, by zaraz wrócić do termicznej równowagi w klimatyzowanym pomieszczeniu. Ot, latem zamawia się w knajpie schłodzone piwo, a zimą grzane wino. Cała różnica.

Początek listopada był ciepły, więc podczas urodzin Aśki piliśmy jeszcze piwo, choć już nie w ogródku na zewnątrz. Zaprosiliśmy znajomych i zarezerwowaliśmy kilka stolików w knajpie.

– Ekspres! – wykrzyknęła, rozpakowując prezent.

Mogłem go jej dać w mieszkaniu, tak byłoby wygodniej. Nie trzeba by go wozić tam i z powrotem. Ale chciałem, żeby miała frajdę i mogła się fajnie poczuć przed znajomymi. Sam też chciałem się fajnie poczuć. A co tam, w końcu wybuliłem.

– Fiu, fiu – gwizdnął Marcin.

Przyjaciółki Aśki obskoczyły pudełko i zaczęły wychwalać kolor i linię urządzenia.

– Dziękuję, kochanie! – Asia rzuciła mi się na szyję.

Wyglądała świetnie w czerwonej sukience i szmince w tym samym odcieniu. Moja *pin-up girl*. Ekspres też był czerwony. Błyszczący. W stylu retro.

– Zasługujesz na wszystko, co najlepsze. – Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Rozległy się oklaski. O to chodziło.

– To kiedy zapraszacie na kawę? – rzucił Marcin.

Sam przyniósł Aśce perfumy Chanel. Mało oryginalne, za to demonstracyjnie drogie. Prezent z gatunku tych, które mają skupić uwagę na dającym.

– Kiedy chcesz – odpowiedziałem.

– Adres bez zmian? Tam w ogóle zmieści się to czerwone cudo? – zapytał.

– Mówisz o mnie? – Uśmiechnęła się. – Ja nie zajmuję wiele miejsca.

– Adres chwilowo ten sam, ale nie wiadomo jak długo – powiedziałem.

– Proszę, proszę. Czyżbyś poszedł po rozum do głowy?

– A co to według ciebie znaczy? – zapytałem.

– No, w sensie: kupujecie swój kwadrat?

– I to ma być to rozumne posunięcie? – Spojrzałem na niego z uniesionymi brwiami.

– A ten znowu swoje – westchnął Marcin.

– Nie każdy musi podzielać twoje zamiłowanie do hipoteki. Gdybyś sam musiał zapłacić za swoje mieszkanie, pewnie inaczej byś śpiewał – odparowałem.

Przez chwilę stracił rezon i kątem oka popatrzył na laski przy stoliku obok. Przysłuchiwały się z zaciekawieniem.

– Proszę, jaki honorowy. Ja wolę korzystać z szans, które daje mi los, niż unosić się dumą. Lepiej być szczęśliwym, niż mieć rację – wyrecytował formułkę wyuczoną na takie okazje.

– Jak uważasz. – Nie miałem ochoty dalej brnąć w ten temat. Wieczór był naprawę udany i nie chciałem go zepsuć.

– To co z tą zmianą adresu? – prowokował Marcin.

– Widzisz, w przeciwieństwie do ciebie jesteśmy w sytuacji, w której adres nie ma większego znaczenia. Dziś jesteśmy tu, jutro możemy być już gdzie indziej. Nic nas nie ogranicza – powiedziałem.

– Nurka z Centralnego też nic nie ogranicza – zadrwił.

– Chyba się zapominasz! – wtrąciła Aśka.

– Żarcik taki, sytuacyjny. Asieńka, nie gniewaj się, kotku.

Kotku?!

– Nurek z Centralnego na pewno jest mniej ograniczony od ciebie – wypaliłem.

– Dobra, zostawmy to, bo robi się ostro – żachnął się Marcin.

– To zachowuj się jak człowiek – upomniała go Aśka. – A wracając do adresu, to myślimy z Pawłem o tym, żeby zrobić sobie przerwę. Roczna podróż po Azji, może Ameryce Południowej. Obejrzymy trochę świata, zanim wybierzemy, gdzie zamieszkamy. Chcemy się wyszumieć, zanim osiądziemy jak starzy pierdziele. A ekspres pojedzie z nami.

Tego nikt się nie spodziewał. A najmniej Marcin, który szpanuje wakacjami w Hurghadzie. Przy stoliku zapadła cisza, którą po chwili wypełnił szczebiot przyjaciółek Aśki. Zarzuciły ją pytaniami i przekrzykiwały się historiami o swoich i cudzych podróżach.

Oboje z Aśką wiedzieliśmy, że ani jedno jej słowo nie było prawdziwe. Byłem też pewien, że po powrocie do mieszkania ekspres nie będzie chciał się zmieścić w kuchni i że to popsuje jej humor. Ale tamtego wieczoru kochałem ją bardziej niż kiedykolwiek.

Rozdział dwudziesty

– Ile masz lat, Zyga?

– Osiemdziesiąt trzy. Staruch ze mnie. Ale jary. – Poklepał się po kolanach.

– Oj, tak – musiałem się zgodzić.

Mówią, że zima jest zabójcza dla starych, samotnych ludzi. Długie ciemne dni odbierają wolę życia i następuje wtedy najwięcej zgonów. Ale mieliśmy grudzień, a Zyga był w dobrej formie. Zarumieniony, ożywiony. Wypiliśmy po kieliszku nalewki na rozgrzanie, choć w bloku nawet w najsroższe mrozy i tak zawsze jest ciepło. Przez wszystkie piętra biegną ciepłonośne rury, a mieszkania grzeją się jedno od drugiego. W starych wielkopłytowcach dochodzi jeszcze tłusta mieszanina kuchennych aromatów i lepka woń ze zsypów – zapachy tego, co ludzie znieśli do swoich domów. Tak pachnie poczucie bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że w przyzsypowym węźle ciepłowniczym bezdomni zasypiają jak dzieci.

– Kiedy jesteś dzieckiem, życie ciągnie się w nieskończoność. Ale z każdym dniem czas upływa trochę szybciej i w końcu zanim się obejrzysz, stoisz nad grobem, zastanawiając się, jak to możliwe, że jesteś już stary – rzekł sentencjonalnie.

– Dla mnie czas już teraz pędzi na całego. Tyle się dzieje – westchnąłem. Byłem wyczerpany kończącym się rokiem, choć nic nie osiągnąłem. – Obowiązki, spotkania, plany, wiadomości. Trudno to wszystko spamiętać.

– Spróbuj to zrobić. Bo wiesz, na starość czas znowu zwalnia. Nagle cały codzienny zgiełk cichnie. Robi się pusto. Nie dzieje się prawie nic. I wtedy przydają się wspomnienia.

– A co się najczęściej wspomina?

– Dzieciństwo. Bliskich. Zwierzęta, które się kiedyś miało. Nieliczne wyjazdy. Dawną kawiarnię, której już nie ma. Sernik.

– Sernik? – zdziwiłem się.

– Tak. Ten, który piekła Zocha. I marzenia z dzieciństwa.

– A o czym marzyłeś, Zyga?

– Oczywiście o tym, że będę bogaty. Chciałem wyjechać do miasta i mieć dobre życie. Marzyłem o butach i wygodnym domu. Murowanym. Bo wtedy mieszkaliśmy w drewnianej chatce krytej strzechą, która przeciekała przy większych deszczach.

– I to wszystko?

– To mało? W czasach mojej młodości to było coś. Nie każdemu się udawało. A ja się zawziąłem i dałem radę. Spełniłem swoje marzenie. Miałem dobre życie.

– Na to wygląda – przyznałem.

– Wszystko zależy od punktu siedzenia – pouczył mnie. – Kiedy jako dzieciak w upale targałem snopy słomy, raniąc bose stopy o ostre rżysko, zazdrościłem naszemu psu, który odpoczywał w cieniu. Bo kiedy my się męczyliśmy, on nic nie musiał robić.

– Ile miałeś lat, kiedy wyprowadziłeś się do Warszawy?

– Dziewiętnaście.

– Właściwie dosyć wcześnie osiągnąłeś, co chciałeś. I co było potem?

– Jak to?

– Co robiłeś po przyjeździe do Warszawy? Jak wyglądało twoje życie?

– Poznałem Zochę. Pobudowaliśmy się, potem przenieśliśmy do bloków. Całe życie pracowałem. Potem emerytura. I już – podsumował. – Życie.

– Czy znalazłeś w mieście to, czego szukałeś?

– A czego tu szukać? Przeżywaliśmy codzienne smutki i radości. Ogólnie rzecz biorąc, byłem zadowolony. Teraz ludzie ciągle są niezadowoleni. W kółko za czymś gonią. Szukają miodu w dupie.

Nie było sensu tłumaczyć, o co mi chodzi. Stawianie sobie kolejnych celów, podnoszenie wyżej poprzeczki to przecież obce problemy dla kogoś, kto musiał walczyć o przetrwanie, jak Zyga w czasie wojny. Czuł się szczęśliwy, żyjąc w czasach pokoju i mając pełną lodówkę bez sklepowych kolejek. Osiągnął życie, o jakim marzył.

Wierzyłem lub miałem nadzieję, że z chwilą zdobycia własnego mieszkania poznam smak takiej satysfakcji. I potem już nic nie będę musiał. Wybiegać myślą w przyszłość ani nic nikomu udowadniać. Będę wolny.

Popatrzyłem na Zygę. Siedział sobie na zmechaconej wersalce i z energią dzwonił łyżeczką o szklankę, w której parzyła się tania ekspresowa herbata. Pod względem liczby doświadczeń i przyswojonych informacji przez moje trzydzieści lat przeżyłem już więcej niż on przez całe swoje życie. Byłem młody i miałem przed sobą długą przyszłość w czasach, które dają mnóstwo możliwości. Ale to Zyga był na wygranej pozycji. Czuł się spełniony. Zrobił, co do niego należało, i odcinał kupony. Miał gdzieś niskie płace, śmieciowe umowy, lichwiarskie kredyty i wydłużony wiek emerytalny.

Miał nade mną przewagę. I władzę. Zrozumiałem, że mogę tak z nim siedzieć latami, dopóki łaskawie nie zdecyduje, że pora odejść. Czas będzie mijał. A ja będę czekał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Cześć, kochanie! – zawołała Aśka, kiedy wszedłem do mieszkania. Stała przed lustrem w obcisłej zielonej sukience rozpiętej do połowy pleców. – Pomożesz mi zasunąć?

Postawiłem plecak na podłodze i podszedłem do niej. Nie widziałem jej wcześniej w tej kiecce. Chwyciłem suwak i wtedy zobaczyłem przypiętą do niego metkę.

– Nowa? – zapytałem.

– Tak. Ładna? – odpowiedziała Aśka, odwracając się do mnie. Spojrzała na siebie w odbiciu, dłońmi przygładzając sukienkę w talii.

Dwieście pięćdziesiąt.

– Jakaś specjalna okazja?

– Nie. Bez okazji. Sama sobie zafundowałam.

– No tak. Widzę, że się cenisz – mruknąłem.

– Daj spokój, to z sieciówki. Mieli buty w tym samym odcieniu, zobacz! – Wyjęła z torby pudełko i odsunęła szeleszczący papier. Wsunęła na stopę zieloną szpilkę na bardzo wysokim obcasie.

– Pasuje. Masz jakąś imprezę w pracy?

– Czy zaraz muszę mieć imprezę? Bez obaw, przyda mi się.

– Dziwię się, skąd nagle takie duże zakupy – odpowiedziałem. Zauważyłem, że na podłodze stoi kilka papierowych toreb.

– Raz na jakiś czas można. Świat się nie zawali – ucięła.

– Nie rozumiem. Coś się stało?

– Paweł, żartujesz? Doszliśmy do etapu, kiedy muszę ci się tłumaczyć z zakupów?

– Po prostu jestem trochę zaskoczony – odpowiedziałem. W myślach przeliczałem, ile zapłaciła. Jeśli nie było wyprzedaży, pewnie około tysiąca.

– Mógłbyś zacząć od powiedzenia, że ładnie wyglądam, a nie podejrzewać katastrofę, bo twoja dziewczyna po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wyskoczyła do galerii. Wiesz, dziewczyny lubią zakupy – żachnęła się.

– Tak, widzę. Masz naręcze toreb jak w amerykańskim filmie.

– Coś ci nie pasuje?

– Nie, wszystko gra. Dziwię się, bo na ogół kupowałaś rzeczy, kiedy były ci potrzebne, a nie dla poprawy nastroju.

– A widzisz, zakupy rzeczywiście mają moc poprawiania kobiecie nastroju. Zapomniałam o tym, miesiącami oglądając każdą złotówkę przed wydaniem. Ale dziś sobie przypomniałam.

– Gratuluję, epokowe odkrycie.

– Tak, wyobraź sobie, że towarzyszyła mi chwila refleksji.

– Cieszę się, że nie wydałaś połowy pensji bez zastanowienia. Jestem z ciebie dumny!

– Zdążyłeś już przeliczyć? Brawo. Posłuchaj siebie. Wyzłośliwiasz się nade mną, a przecież wydałam swoje pieniądze. Nic ci do tego. To po pierwsze.

– Robi się ciekawie. A po drugie? – zapytałem.

– Po drugie, dziś po raz pierwszy od dawna poczułam się kobietą. I to dało mi do myślenia.

– Gratuluję, pani psycholog. Możesz zacząć pisać artykuły do prasy poradnikowej. Czujesz się niespełniona? Idź na zakupy. Świeże, odkrywcze – wypaliłem.

– Wiesz co? Pieprz się!

– Aśka, oprzytomnij! W porządku, chciałaś sobie kupić coś ładnego. Normalna sprawa. Jakiś drobiazg bym zrozumiał, ale od razu wymieniać garderobę? W naszej sytuacji?

– Aha, czyli ty będziesz decydował, co mi wolno, a czego już nie. A jakie to ma znaczenie, ile wydałam?

– Nie no, nie wierzę. – Ręce mi opadły.

– Czy zaoszczędzony tysiąc złotych zbliży nas do osiągnięcia materialnej niezależności?

– Jeden nie, ale systematycznie odkładany już tak.

– A ile czasu mamy oszczędzać? Zrozum, nie zdołamy nic uzbierać, chyba że będziemy sobie wszystkiego odmawiać. Jesteśmy więźniami. Zarabiamy tylko na przetrwanie, czyli tyle, ile wydajemy na utrzymanie. Nic ponadto. Pora się z tym pogodzić. Nie chcę przeżyć w ascezie najlepszych lat życia.

– Więc proponujesz trwać z dnia na dzień i wierzyć, że jakoś to będzie?

– A czemu nie? Wielu naszych znajomych ma takie podejście i jakoś funkcjonują. Nie są w gorszym położeniu od nas, a przynajmniej cieszą się fajną młodością i będą mieli co wspominać.

– Wydawało mi się, że wybraliśmy inne podejście. Przemęczyć się, ale inwestować w przyszłość – powiedziałem.

– To ty wybrałeś to podejście. Ja wybieram tu i teraz.

– Asiu, nie boisz się, że w przyszłości staniesz przed szafą pełną niemodnych ciuchów i będziesz się zastanawiać, co osiągnęłaś, czego się dorobiłaś? Pamiętasz, opowiadałaś mi o takim eksperymencie psychologicznym. Test cukierka czy jakoś tak. Dzieci, które umiały poczekać na nagrodę, osiągały w życiu więcej – próbowałem przemówić Aśce do rozsądku.

– Nie przesadzaj z tymi życiowymi teoriami. Rany! To przecież jedne zakupy. Poza tym mając na sobie te ciuchy, czuję, że czegoś się jednak dorobiłam. Zapracowałam na nie i je

mam. Realne. Osiągalne. I nie możesz powiedzieć, że nie są inwestycją w przyszłość. Kto wie, może przekażę je w spadku dzieciom? Lepszy rydz niż nic.

Wieczorem nie zamieniliśmy ani słowa. Ułożyłem się do snu na rozkładanej wersalce, którą właściciele mieszkania zostawili nam jako wartość dodaną pokoju. Elitarne skojarzenia, jakie budzi nazwa tego mebla, zdawały się jawną kpiną. Aśka przekręciła się na bok, kiedy przeciskałem się nad nią, by ze skrzypnięciem zająć miejsce od ściany. Wgłębienie pośrodku, które powstawało po rozłożeniu wersalki, wyrównywaliśmy, przykrywając je złożonym kocem. Mimo to jeśli jedno z nas chciało spać na plecach, drugie musiało leżeć na boku. Było zbyt ciasno. Ramieniem przylegałem do chłodnej ściany. Nawet w łóżku czułem się uwięziony.

W ciemności patrzyłem w sufit. Zaczął się nowy rok. Czas mijał, a ja czułem, że ugrzęzłem na dobre. Coś tam przerzucałem, coś mełłem, ale nie posuwałem się do przodu. Kręciłem się jak chomik w kołowrotku. Byłem zmęczony, choć niczego nie osiągnąłem.

Zasypiałem po kolejnym dniu, który nic nie zmienił, i myślałem o tym, że gdzieś w tym mieście stoi dom wzniesiony rękami Zygi. Zbudowane przez niego mury dają komuś schronienie, są stałym punktem na mapie miasta. Trwają. Przeżyją go i opowiedzą o nim innym. A co zostanie po mnie?

Poczułem, że bardzo chcę zobaczyć ten dom. Musiałem się dowiedzieć, gdzie on jest.

Rozdział dwudziesty drugi

Dzwonek do drzwi jak zwykle zaskrzeczał nieprzyjemnie. Czekałem, ale ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Spojrzałem na zegarek. Osiemnasta. O tej porze Zyga powinien być w domu. Jeszcze nie zdarzyło się, żebym go nie zastał. Zapukałem. Nic.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę. Ustąpiła. Włamanie? – przemknęło mi przez myśl.

Wszedłem do środka.

– Dzień dobry! – zawołałem.

Cicho.

– Halo, tu Paweł!

Nikt mi nie odpowiedział. Na pierwszy rzut oka ani śladu nieproszonych gości. Czysto i cicho.

– Zyga?

Zajrzałem do kuchni – pusto. Drzwi do łazienki były otwarte na oścież. Wszedłem do środka i zapaliłem światło, ale nie zauważyłem nic niepokojącego. Na umywalce lśniły pojedyncze kleksy wody. Ktoś niedawno się mył.

W sypialni panowała cisza sennie otulająca komodę ze sklejki i tapczan przykryty sfilcowanym kocem. Dywanik z frędzlami leżał równiutko, jakby od dawna nie stanęła na nim żadna stopa. Wycofałem się do przedpokoju. Został już tylko salon.

Znalazłem go na wersalce. Tam, gdzie go ostatnio zostawiłem. Nie odprowadził mnie wtedy do drzwi, powiedział, że musi sobie chwilę posiedzieć. Przypomniałem mu, żeby koniecznie zamknął za mną drzwi od środka. Nie zamknął.

Policzyłem w pamięci, kiedy go widziałem. Przedwczoraj. Miał otwarte drzwi od przedwczoraj? Jeśli tak, to cud, że nic nie zginęło. A może ktoś tu jednak myszkował, kto wie. Pomyślałem, że trzeba to sprawdzić.

Zyga leżał na wznak, z głową odchyloną do tyłu. Cicho posapywał. Wyglądał, jakby spał, ale czułem, że coś jest nie tak. Oddychał nierówno, świszcząco. Był spocony i blady. Podszedłem bliżej i spojrzałem na jego twarz. Miał szeroko otwarte usta. Żuchwa, nienaturalnie opuszczona, wisiała mu na piersi. Musiała wypaść, kiedy się krztusił.

Zauważyłem, że był inaczej ubrany niż ostatnim razem, kiedy go widziałem. Ciemne spodnie w kant, pasek, buty, koszula. Była niedziela, pewnie wybierał się do kościoła.

Urywany oddech, unosząca się klatka piersiowa i dyndająca szczęka sprawiały wrażenie, jakby Zyga cały się poruszał, mozolnie jak żuk, który przewrócił się na grzbiet i nie może wstać.

Oczy miał półprzymknięte, wywrócone białkami do góry. Nie widział mnie. Chyba był nieprzytomny.

Na ławie stała szklanka wody, obok srebrna tacka z lekami. Poza tym w pokoju, tak jak w całym mieszkaniu, panował idealny porządek. Patrzyłem na Zygę, to znów rozglądałem się dookoła. Stałem jak sparaliżowany.

W końcu się ruszyłem. Wyszedłem do przedpokoju, otworzyłem drzwi mieszkania i rozejrzałem się, czy na klatce schodowej kogoś nie ma.

Kiedy zobaczyłem, że jest pusto, przez chwilę nasłuchiwałem, ale nikt się nie zbliżał. Najciszej, jak umiałem, zamknąłem drzwi i poszedłem do siebie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy wydarza się coś, na co się bardzo długo czekało, ni z tego, ni z owego zakrada się niepokój.

Teoretycznie jest dobrze. Nareszcie wszystko wskakuje na swoje miejsce. Jest tak, jak powinno być. Jak zawsze miało. Znika warunek, który stał na drodze do spełnienia. Ale to oznacza, że życie, które dotąd wiedliśmy, nieodwołalnie dobiega końca. Nadchodzi nieznane.

Bo co teraz właściwie będzie? Krok, który dzielił nas od szczęścia, trzymał to szczęście na bezpieczną odległość. Z tej odległości człowiek mógł spokojnie poobserwować, pomyśleć. Przymierzyć się do wyśnionego życia. Teraz, kiedy nie ma już przeszkód do pokonania, trzeba będzie dowieść, że się wiedziało, czego się chciało. Nie będzie już wymówek od bycia zadowolonym. Pozostanie się zmierzyć z tym, na co się czekało. I zacząć z tym żyć.

Aśka pojechała do rodziców. Tej nocy miałem wersalkę tylko dla siebie. Siedziałem przy zgaszonym świetle i patrzyłem na minuty płynące na wyświetlaczu elektronicznego budzika. Świecące jaskrawozielone kreski układały się w cyfry. Jako dzieciak układałem tak działania z zapałek. Sztuką było uzyskiwać różne liczby, wykonując jak najmniej ruchów zapałkami.

Teraz też starałem się ograniczyć ruchy. Położyłem dłonie na kolanach i oparłem się plecami o ścianę. Miałem wilgotne palce i pulsujące skronie. Opuszkami dotykałem żył na udach, łącząc się z nimi w krwionośnym tętencie napędzanym biciem mojego serca.

Szumiało mi w głowie. Starałem się wyciszyć, skupiając na czymś uwagę. Zbliżyłem głowę do ściany i przystawiłem ucho do klatki schodowej. Nasłuchiwałem.

Skrzypiała winda. Coś chlupało w rurach od kaloryferów. Gdzieś na górze trzasnęły drzwi. Po podłodze potoczyła się piłka, zaszczekał pies.

Wychowałem się w jednopiętrowej kamienicy, więc przeprowadzka do bloku była dla mnie źródłem ciągłego zadziwienia. Odkryłem na przykład, że blok nigdy nie zasypia. Jest stale w ruchu, jak rozpędzona Warszawa. Dniami i nocami bzyczy jak ul, w którym dzień i noc trwa owadzie uwijanie. Mieszkańcy – pszczoły robotnice – tworzą wspólny organizm. Część dłubie w środku, część wypełza na powierzchnię i powraca z łupami. Pozorny chaos działa jak precyzyjny mechanizm.

Nie zapalając światła, poszedłem do toalety. Łazienka w bloku doskonale przewodzi dźwięki. Tu nic się nie ukryje, nawet tarcie pośladków o dno wanny. Erotomani i napaleńcy, nie wykrzywiajcie kręgosłupów przed laptopami, nie wypatrujcie oczu w ekrany, nie drżyjcie o historię przeglądarek! Wystarczy zamknąć oczy i drzwi. Najbardziej podnieca to, czego nie widać. Nadstawcie uszu w łazience, a wyobraźnia podpowie wam soczyste obrazy. Precz

z fotosami z Photoshopa. Niech będzie pochwalona sąsiadka!

Stałem w ciemności i słyszałem każdy szmer, jak blok długi i wysoki. Wodę ściekającą w rurach, kroki na korytarzu, stłumiony chrobot telewizora. Płacz dziecka. Poświstywanie Zygi.

Przytknąłem czoło do zimnych kafelków i starałem się równo oddychać. Chciałem, żeby oddech Zygi też się uspokoił. Wyciszył.

Nie pamiętam, o której się położyłem. Obudziłem się, kiedy było już widno, w ubraniu, zwinięty w kłębek na wersalce. Spojrzałem na zegarek. Wiedziałem, że to już.

Rozdział dwudziesty czwarty

Czas start.

Musiałem działać szybko. Tak długo czekałem na ten moment, a jednak przyszedł za wcześnie. Nie zdążyłem się przygotować, zebrać wystarczających informacji. Nie wiedziałem, gdzie szukać ani nawet czego.

W moich planach miałem wszystko opracowane. Senior przekręcał się po tym, jak miałem stosowny kwit w garści, a przedtem zostawiał mi szczegółowe dyspozycje, z ostatnim pożegnaniem włącznie. W obecnej sytuacji nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Udawać przed wszystkimi, że nic nie wiem? Mało wiarygodne, jeśli chcę tu zamieszkać. Musiałem rozegrać sprawy z rozmysłem. Zająć się pogrzebem? Zredagować nekrolog? Skoro mam grać rolę opiekuna, powinienem wyłożyć kasę na stół, a właściwie na grób. A stypa? Absurd. A zegar tyka.

Cholera. Snułem mój plan miesiącami, a nie przemyślałem tak podstawowych kwestii. Trzeba było nie uciekać jak osioł, tylko próbować coś zaradzić. Zagadać, wydusić coś ze starego, kiedy jeszcze żył. Jedyne, co przyszło mi na myśl, to dokładnie przeszukać mieszkanie. Podpowiadał mi to jakiś pierwotny instynkt, który w pozornie nowych sytuacjach mówi człowiekowi, co należy robić.

Drzwi do mieszkania były wciąż otwarte. Wszedłem do środka i zamknąłem je za sobą. Przez chwilę nasłuchiwałem. Zgodnie z moimi przewidywaniami zastałem tylko ciszę. Nie, nie bałem się przebywać sam na sam z nieboszczykiem. To był najmniejszy problem. Tyle razy odgrywałem tę scenę w wyobraźni, że zdążyłem się z nią oswoić. Po przestąpieniu progu wziąłem kilka głębszych oddechów, uspokoiłem się i odzyskałem zdolność logicznego myślenia. Skupiłem się na realizacji konkretnych kroków. To zawsze pomaga na niepewność.

Nie od razu poszedłem do pokoju, w którym leżał. Najpierw otworzyłem szafkę na klucze. Był tylko jeden komplet, ten sam, który wyciągnąłem spod metalowej wycieraczki. Pomyślałem, że przy wychodzeniu trzeba będzie przekręcić klucz od zewnątrz. Na wszelki wypadek, zanim zdecyduję, co dalej.

Myśląc o przeszłych sytuacjach, nazywałem Zygę po imieniu. Teraz, kiedy leżał martwy tuż obok, jakoś nie mogłem. Myślałem o nim: on. Czy to, co zrobiłem, było odrażające? Byłem jak szabrownik krążący po domach umarłych. Zwietrzyłem zapach trupa i przyszedłem zabrać wszystko, co sobie upatrzyłem.

Zacząłem od sypialni. Przejrzałem bieliźniarkę i półki z koszulami. Włożyłem rękę pod materac łóżka, ale na nic nie natrafiłem. Otworzyłem szuflady biurka. Nic.

Następny był duży pokój. Ostrożnie przekroczyłem jego próg. Skierowałem się od razu w stronę staromodnego regału, pełnego potencjalnych skrytek. Kiedy otwierałem kolejne szafki i szuflady, z trudem powstrzymywałem się, by nie patrzeć w stronę wersalki.

Dla jasności: nie szukałem pieniędzy ani kosztowności. Nie stałem się nagle złodziejem. Chodziło mi wyłącznie o mieszkanie. Przecież i tak nikomu nie było już potrzebne. Szukałem dokumentów, nie daj Boże testamentu. Mało prawdopodobne, żeby przeciętny staruszek sam z siebie poszedł z ostatnią wolą do notariusza. Prędzej spisałby ją samodzielnie. Jeśli istniała, musiałem znaleźć ją pierwszy.

Skończyłem z regałem i nadal niczego nie znalazłem. Zniecierpliwiony wyrzuciłem na podłogę całą jego zawartość. Stanąłem pośród usypiska z książek, starych gazet i obrusów, z których opróżniłem półki, i bezradnie rozglądałem się wokół.

Spojrzałem na dwudrzwiową szafę w rogu pokoju. Ją również przetrząsnąłem, wyciągając swetry, kamizelki i jesionki. Pachniało naftaliną i przemijaniem.

W końcu pytająco spojrzałem na wersalkę.

Leżał tam, gdzie ostatnio. Nie zmienił pozycji. Zgadzały się nawet szeroko rozdziawione usta. Oczy miał przymknięte, jakby spał. I dobrze, bo nie musiałem mu ich zamykać i nie czułem się obserwowany.

Mimo wszystko nie chciałem na niego patrzeć. Rozejrzałem się za czymś do przykrycia zwłok. Wtedy spojrzałem na ławę. Na białej serwecie leżała koperta i tekturowa teczka, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi. Zanim wziąłem je w dłoń, wiedziałem, że znalazłem to, czego szukałem.

Przymknąłem oczy. Chciałem zapamiętać ten moment. Moment, w którym wiara i nadzieja biorą górę nad statystyką, a marzenie triumfuje nad rzeczywistością, przybierając jej postać.

Lekko drżącymi rękami otworzyłem kopertę.

List.

Zaadresowany do mnie, napisany dużym, dość niezdarnym pismem, mocno wyżłobionym na pożółkłym papierze w kratkę. Telegram z zaświatów, w którym autor się ze mną żegnał, dziękując za moją opiekę i wyśmienite towarzystwo. Uważał mnie za wspaniałego młodego człowieka i życzył mi jak najlepiej. Prosił, żebym nie czuł się rozczarowany tym, że nie może mi zapisać mieszkania. Bardzo chciał mi pomóc, ale ono należy się rodzinie, jaka by ta rodzina nie była. Taki jest odwieczny porządek rzeczy i tak niech zostanie. Przepraszał.

Zamarłem. Pociemniało mi w oczach, a serce na chwilę przestało bić. Wszystko trwało może ułamek sekundy, a ja szybowałem w dół. Uszy piekły mnie jak wtedy, kiedy matematyczka wręczyła mi klasówkę z pałą po tym, jak przeszkoliłem pół klasy z rachunku

prawdopodobieństwa. Przeliczyłem się, wtedy i dziś. Upokorzenie i wstyd. Frajer na wieki wieków. Amen.

Spojrzałem na Zygę. Wydawało mi się, że jego twarz wykrzywia się w karykaturalnym grymasie. Jedna zwiotczała powieka częściowo odsłaniała zasnute bielmem oko, okrutnie ze mnie szydząc.

Pokój zawirował mi przed oczami. Kurczowo przytrzymałem się kartki. Cała strona była gęsto zapisana. Czytałem dalej.

Zygmunt zapewniał mnie o swojej dozgonnej wdzięczności. Pisał, że człowieka o tak szlachetnej, prostolinijnej naturze jak ja nie spotyka się często. Najwyraźniej na dowód żarliwości mocno przyciskał długopis, bo w nadwątlonym przez lata papierze w miejscu kropki zrobiła się dziurka. Z tych wszystkich wymienionych powodów pokochał mnie jak syna. Dlatego chciał przekazać mi to, co miał najcenniejszego. Swój skarb trzymany w sekrecie przed wszystkimi.

Dom, który wzniósł własnym rękami. Ten, o którym mi opowiadał. Nie sprzedał go. Zatrzymał, nie mówiąc nikomu. Nikt z krewnych o nim nie wie i nie będzie robił trudności. Przekazuje go mnie. Jest pewien, że troskliwie się nim zajmę, widział to w moich oczach. O formalności zadbał odpowiednio wcześniej. W załączeniu znajdę stosowny dokument. O nic nie musiałem się martwić. W ostatnich słowach prosił mnie tylko o to, bym posprzątał mieszkanie i zawiadomił dozorcę.

Świat znów zatańczył dookoła mnie. Skołowane serce znów na chwilę stanęło, by zaraz rozpocząć dziki galop.

Dom.

Nieprawdopodobne.

Moje marzenia się nie spełniły. Przeszły same siebie!

Czytałem list raz po raz. Literowałem wzrokiem każde słowo, zapisując je w pamięci na zawsze.

*

Zastanawiało mnie tylko, dlaczego koperta czekała na mnie na stole. Czy Zyga wiedział, że umiera? Czy zakładał, że przyjdę i go znajdę? Czy był świadomy mojej poprzedniej wizyty? Nie rozumiałem też, dlaczego prosił, żebym posprzątał. W mieszkaniu zastałem nieskazitelny porządek, a ciało wyglądało, jakby było gotowe do włożenia do trumny. Na ławie, przy której leżał, poza kopertą stała tylko pusta szklanka. Przecież nie mógł wiedzieć, że przyjdę splądrować jego mieszkanie.

Ogarnęła mnie fala rozczulenia. Zasmuciłem się nad wielkodusznością Zygi i własną małością. Cholerny świat. Czy to wszystko musiało odbyć się w taki sposób? Po policzku spłynęła mi łza.

Dotknąłem przezroczystej dłoni staruszka. Potrzymałem ją przez chwilę. Była wykrzywiona przez starość i wyziębiona przez śmierć. Czy można ogrzać nieboszczyka?

Nagle coś wysunęło się spomiędzy zesztywniałych palców i potoczyło na podłogę. Spojrzałem na dół i z powrotem na Zygę i zrozumiałem.

Na dywanie leżał słoiczek po tabletkach. Pusty.

Rozdział dwudziesty piąty

Sytuacja, w której się znalazłem, nie była tak łatwa, jak by się z pozoru wydawało. Pozostawało kilka oczywistych trudności, na które chwilowo nie miałem pomysłu.

Przede wszystkim: co zrobić z ciałem? Zostawić? Napisać anonim? Powiadomić dozorcę? I co miałbym mu powiedzieć? Że znalazłem martwego sąsiada? A niby co u niego robiłem? Naszą znajomość starałem się raczej utrzymywać w tajemnicy. Nie chciałem wzbudzić zainteresowania poduszkowców – wścibskich sąsiadek bacznie obserwujących świat z wysokości ułożonych na parapecie poduszek, skanujących osiedle dokładniej niż miejski monitoring. Nie miałem ochoty nikomu się tłumaczyć ani ściągać na siebie podejrzeń.

Podobne obawy miałem w stosunku do Aśki. Przechwalałem się moim sprytnym planem, ale nic nie zapowiadało, że staruszek tak szybko dożyje swych dni. Więc skąd nagle zgon? Podejrzane.

Był jeszcze jeden problem, nieco bardziej złożony. Kiedy po ostatniej wizycie u żywego Zygi wyszedłem z jego mieszkania, doskonale panowałem nad sobą. Czułem się podekscytowany, ale wszystko miałem pod kontrolą. Najlepszym dowodem było to, że głęboko zasnąłem. A od kilku nocy w ogóle nie mogłem spać.

Wszystko ułożyło się lepiej, niż mogłem sobie wymarzyć, a jednak nie umiałem się cieszyć. Radość byłaby logiczna i wskazana, jednak jakoś nie chciała się pojawić. Raz po raz obracałem w palcach pusty słoiczek, który zgodnie z prośbą zabrałem ze sobą, i myślałem o Zydze. Zawarłem znajomość z tym człowiekiem stuprocentowo interesownie. Spędzanie z nim czasu traktowałem wyłącznie jako inwestycję. Nie poruszały mnie jego wynurzenia, nie doświadczyłem magii międzypokoleniowej relacji. Nie pomogłem mu, kiedy umierał, i nie miałem z tego powodu wyrzutów sumienia.

A on się o mnie troszczył. Wziął wszystko na siebie, łącznie z łyknięciem trucizny, żebym nie musiał za długo czekać. Przebrał się, załatwił formalności i dyskretnie zszedł z tego świata. W kopercie znalazłem wizytówkę zakładu pogrzebowego, w którym uregulował całą należność. Wszystko, żeby mnie nie kłopotać. Wiedział, że mi się spieszyło.

Był jeszcze jeden problem. W odróżnieniu od moich emocjonalnych rozterek ostatnia przeszkoda miała naturę czysto praktyczną.

Nie wiedziałem, gdzie znajduje się dom, który odziedziczyłem.

W kopercie Zygi znalazłem klucze. Małe, starego typu. Na pierwszy rzut oka oceniłem, że trzeba będzie wymienić zamki, a pewnie i całe drzwi. Liczyłem się z koniecznością gruntownego remontu. Byłem pewien, że Aśka wszystko zaprojektuje, a ojciec skrzyknie paru

robotników. W Warszawie w ogóle nie zamierzałem szukać ekipy. Drogo, pozajmowane terminy i guzdrzą się miesiącami, byle tylko przeciągnąć robotę i więcej zarobić na dniówkach. Lepiej ściągnąć przyjezdnych i zamknąć ich na parę tygodni w czterech ścianach, z dala od rodzin i kumpli, to się migiem uwiną. Ale najpierw musiałem się dowiedzieć, gdzie stoi mój dom.

Adres był podany w testamencie. Nieruchomość przy alei Malinowej 3 wraz z prawem wieczystego użytkowania trzystumetrowej działki, czyli naszego wymarzonego ogrodu. Problem w tym, że taki adres nie istniał na planie miasta. Przejrzałem dokładnie układ ulic i indeks nazw. Nie znalazłem też nic w wyszukiwarce. Podejrzewałem, że albo nazwa ulicy została zmieniona, albo Zyga pomylił się w zapisie. Pozostawało mi osobiście wyruszyć w teren. Szukałem malutkiej uliczki wymykającej się rejestrom, starej tabliczki z poprzednią nazwą lub kogoś, kto może pamiętać dawne czasy.

*

Ostatecznie problem zwłok rozwiązałem, dzwoniąc na policję z telefonu na kartę. Podając się za sąsiada, wyraziłem zaniepokojenie ciszą za ścianą. Uporządkowałem mieszkanie i zabrałem słoiczek po lekach i kopertę. Zastanawiałem się, czy starym ludziom robi się sekcję zwłok.

O nazwę ulicy postanowiłem pytać przechodniów. Nie chciałem sondować sąsiadów z bloku z obawy, że ktoś mógłby coś skojarzyć i nabrać podejrzeń. Jeszcze kilka dni i z klatki schodowej zniknie klepsydra, a wraz z nią pamięć o staruszku, który kiedyś tu mieszkał.

Nie wiedziałem, gdzie zacząć szukać. Zyga wspomniał o Saskiej Kępie, która formalnie zaczynała się od Międzynarodowej, oddzielonej od Grochowa pasmem ogródków działkowych. Poszedłem więc w tamtą stronę. Pokrążyłem trochę po okolicy, systematycznie przeczesując siatkę ulic, ale niczego nie znalazłem. Szedłem i szedłem, stopniowo oddalając się od klockowatych wieżowców w stronę niskich bloków, za którymi rozciągała się strefa starych willi z tajemniczymi ogrodami. Z każdym krokiem zbliżającym mnie do lepszej części dzielnicy, czułem coraz większe podekscytowanie.

Pragnąłem z całych sił, żeby Malinowa była właśnie tam: zatopiona w starodrzewie, zacisznie otoczona szeregowymi domkami nieśmiało przypominającymi Notting Hill, na tyłach których przycupnęły kameralne ogródki, schowane przed światem za ścianą zieloności. Chociaż nie, szeregowce to późniejszy styl. Za czasów Zygi dom musiał być wolno stojący. Tym lepiej. Bez sąsiadów za ścianą, za to z większą liczbą okien.

Mijałem coraz piękniejsze wille, ze spadzistymi dachami, uroczymi werandami, zadbanymi

tarasami. Niektóre budynki czasy świetności miały za sobą, ale kryły w sobie ogromny potencjał. Tu nawet najskromniejsza, obłażąca z tynku chałupka spowita gąszczem zarośli była furtką do lepszego życia.

Zagadnąłem parę osób, ale nikt nie słyszał o alei Malinowej. Niektórzy przechodnie byli spoza dzielnicy, wpadli tylko pospacerować. Wzruszali ramionami, nie wiedzieli. Mieszkańcy, których łapałem w ogródkach i na podjazdach, pytali, czy to prawdziwa ulica, czy może wymyślona, znana z tekstów Osieckiej lub Kabaretu Starszych Panów? Dużo osób się tu kręci, szuka śladów znanych postaci związanych z dzielnicą. Na to nie wpadłem. Może Malinowa to jakiś szyfr?

Po wielu godzinach wróciłem do punktu wyjścia, czyli do Międzynarodowej. Przeszedłem dzielnicę wzdłuż i wszerz i niczego nie znalazłem. Minąłem kilka domów, które wyglądały na opuszczone, i nawet próbowałem przymierzyć klucze do zamków w drzwiach, ale nie pasowały.

Przystanąłem, rozmyślając o tym, czy nie wybrać się do urzędu dzielnicy. Zatrzymałem się przed słupem ogłoszeniowym. Wisiało na nim kilka odręcznie napisanych kartek w sprawie sprzedaży i wynajmu mieszkań. Z przyzwyczajenia zatrzymałem na nich wyostrzony na okazje wzrok. Wtedy przed oczami coś mi mignęło. Jakaś informacja, której nie zapamiętałem, ale którą mózg zdążył wychwycić jako istotną. Wczytałem się w ogłoszenia, żeby odzyskać ten trop.

Był. W jednym z anonsów pojawiła się aleja Kasztanowa. Coś mi zaświtało. Nazwa z tej samej bajki co Malinowa. Ktoś miał działkę na sprzedaż. Trzysta metrów, ogrodzoną, razem z drewnianą altanką. Na terenie ogródków działkowych.

Rozdział dwudziesty szósty

Zyga nie kłamał.

Wspaniałomyślnie ofiarował mi własnoręcznie wybudowany dom z ogrodem. Murowana altanka z pięterkiem jest przecież rodzajem domu. Na tle sąsiednich drewnianych budek na narzędzia i szopek uszczelnionych plandeką to prawdziwy luksus. Można tu nawet przetrwać zimę i nie zamarznąć, co najwyżej nabawić się lekkiego zapalenia płuc, ewentualnie coś odmrozić. Ciekawe, czy Aśka to doceni.

Upiłem się, a potem powiedziałem jej wszystko. To znaczy tę wersję wszystkiego, w której nie poruszam szczegółów związanych z przejęciem nieruchomości. W milczeniu wysłuchała mojego bełkotu i kazała mi iść spać, a rano spytała, czy to wszystko prawda. Kiedy potwierdziłem, poprosiła mnie, żebym ją tam zaprowadził. Pomyślałem, że pewnie Zyga ma teraz niezły ubaw, patrząc na nas z miejsca, w którym przebywał, gdziekolwiek to było.

Aśka nic nie mówiła, chodziła dookoła i patrzyła. W połowie lutego wszystko prezentowało się nad wyraz nędznie. Od lat nikt tu nic nie robił. Trudno było nazwać ogródkiem kłębowisko chaszczy okalających budynek. Smętne żółte trawy sterczące nad zmrożoną szarą ziemią. Posępne kikuty krzewów, uschłych lub zmarzniętych. Zardzewiałe, dziurawe wiadro, pełniące funkcję donicy o wątpliwych walorach dekoracyjnych.

– Otwórz drzwi do altanki – rozkazała Aśka.

W kontakcie z kluczem zardzewiały zamek zachrobotał, jakby skarżył się, że ktoś śmie zakłócać jego wieloletni spokój. Prosto w twarze buchnęła nam uwięziona przez dekady stęchlizna, napuchnięta wilgocią i rozdęta grzybem, zamknięta od niepamiętnych czasów. Sparciałe graty od progu groźnie stroszyły się farfoclami kurzu, próbując nas odstraszyć jak prychające koty. Cała ta dziwaczna posiadłość okazywała nam niezadowolenie, że obudziliśmy ją z odwiecznego snu.

– Co to jest?! – krzyknęła nagle Aśka.

W ciemnym przedsionku ledwie uszliśmy z życiem, balansując na krawędzi otwartej skrytki podłogowej, w której szczerzyły się grabie i motyki, splątane kłębami pajęczyn utkanych przez tłuste krzyżaki. Czarne wykwity pleśni na ścianach stapiały się ze smolnym osadem znad narożnego paleniska, które miało niegdyś pełnić dumną funkcję kominka. Skrzypiące nadgniłe schodki prowadziły na wyziębiony stryszek, gdzie wśród odchodów jakiegoś zwierzęcia leżał zmurszały siennik. Nie można tu było przyjąć pozycji wyprostowanej, co najwyżej od razu dać nura na posłanie.

Każdy krok w głąb ukazywał coraz większą szpetotę i bylejakość tego miejsca, obnażając

groteskowość naszej sytuacji oraz mizerię mojego osiągnięcia. Aśka milczała. Bałem się na nią spojrzeć.

– Myślisz, że wolno tu mieszkać? – zapytała w końcu.

– Nie wiem. Chyba nie – odparłem. Cieszyłem się, że nie od razu wyraziła swoje zdanie.

– Czasem słyszy się o kimś, kogo życie zmusiło do tymczasowego mieszkania na działkach. A normalni ludzie? – spytała po chwili milczenia. – Jaki jest prawny status takiej nieruchomości?

– Z tego, co wiem, kłopotliwy.

– Przy bramie jest napis, że na terenie ogródków wolno przebywać do dwudziestej drugiej.

– No tak, działka to sezonowa rozrywka.

– Trzeba to sprawdzić. Całość jest w opłakanym stanie, ale widzę tu potencjał.

– Jeśli myślisz o sprzedaży, to niestety nie jest to proste, o ile w ogóle możliwe – wyjaśniłem. Nie zamierzałem jej zwodzić.

– Tak, słyszałam o tym, że kwestie formalne są sporne.

– Chodzi o jakieś wieczyste użytkowanie czy coś w tym rodzaju. Działka to chyba nie jest własność. Możesz ją odziedziczyć, ale nie sprzedać. Chociaż ludzie próbują, pojawia się sporo ogłoszeń. Jeśli znajdzie się jakiś desperacki amator zieleni, to czemu nie? – myślałem na głos.

Aśka popatrzyła na altankę, a potem na mnie.

– Nie myślałam o sprzedaży. Raczej o tym, żebyśmy tu zamieszkali.

Zapomniałem języka w gębie. Musiałem mieć wymowną minę, bo Aśka od razu pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Pomyśl. To może być genialne rozwiązanie. Może nieco niestandardowe, ale jak by na to nie patrzeć, jest to dom. Z ogrodem. Murowany, więc właściwie całoroczny. Idealnie położony – w centrum Warszawy. Otoczony dużym zielonym terenem wyciszającym hałas. Domek jest niewielki, ale przecież na początek wystarczy! To nieporównanie więcej niż kawalerka, a odpadają wysokie koszty utrzymania i kredyt.

Patrzyłem na nią zdumiony. Tego się nie spodziewałem.

– Oszczędności, które zebraliśmy do tej pory, powinny wystarczyć, żeby doprowadzić domek do ładu. Pomieścimy się spokojnie. Na oko jest tu jakieś pięćdziesiąt metrów. Trzydzieści na dole, dwadzieścia na górze. Stryszek mógłby pełnić funkcję antresoli z sypialnią, na dole byłby salon z wnęką kuchenną. Składzik na narzędzia możemy przekształcić w gabinet z biurkiem i komputerem. I jest nawet kominek!

– A co z łazienką? – spytałem trzeźwo.

W domku była mikroskopijna wnęka z sedesem i umywalką wielkości półmiska.

– Łazienkę powinno się dać powiększyć. Przylega do niej zewnętrzny schowek, który można przyłączyć. To wystarczy, żeby zmieścił się mały prysznic.

Nie byłem przekonany. Nigdy nie myślałem o mieszkaniu na działkach, więc nie zdążyłem wyrobić sobie żadnego zdania.

– Pomyśl, byłoby tu trochę w stylu fińskiego domku na Jazdowie! – Aśka się rozkręcała. – Sielski klimat i wiejski urok w sercu miasta. Możemy tu stworzyć świetny nastrój, ulubione miejsce dla znajomych! – Zarumieniła się. Miała błyszczące oczy. – Najlepsze rozwiązania rodzą się z kreatywnego podejścia do przestrzeni. Czytałam fascynujące artykuły o ludziach, którzy mieszkają na barkach w Londynie lub Amsterdamie. Dlaczego my nie moglibyśmy zamieszkać na działkach?

– W sumie…

Nie dała mi dokończyć.

– W środku pomalujemy wszystko na biało, łącznie z podłogami, żeby powiększyć optycznie wnętrze. Po skandynawsku. Ohydny biały siding na zewnętrznych ścianach możemy pomalować na czerwono. Będzie imitował drewniany dom jak w Szwecji! Z ogródka da się zrobić perełkę. A wiesz, co podoba mi się najbardziej? Kominek i miniweranda! Wyobrażasz sobie, pić tu co rano kawę z naszego ekspresu?

– A co z zapadnią w korytarzu? – zapytałem bez polotu.

– Idealna przestrzeń do przechowywania! Zimowe ciuchy, buty, walizki. To, co nie zmieści się w szafie.

Przemyślała wszystko.

– Latem będziemy suszyć pranie na sznurku i robić grilla. Rozwiesimy hamak. Jeśli będzie padać, schowamy się do środka i napalimy w kominku. Będzie fantastycznie!

Miałem wątpliwości, ale się uśmiechnąłem. Podszedłem do Aśki i ją przytuliłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zaskoczyła mnie. Byłem pewien, że znów ją zawiodłem, ale ona dostrzegła w tym miejscu coś, czego ja nie umiałem zobaczyć. To, co tak bardzo chciałem jej dać.

– Kocham cię – wyszeptałem z nosem zanurzonym w jej włosach.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nadszedł szczęśliwy czas. Wiosenne tygodnie w rytmie prac porządkowo-remontowych, odliczane sobotami w IKE-i. Przechadzaliśmy się alejkami między atrapami mieszkań i wreszcie czuliśmy się na miejscu. Podążaliśmy za narysowanymi na podłodze strzałkami, zmierzając w kierunku jasnej przyszłości Pasowaliśmy do tego sklepu, do klientów przebierających w towarze, do siebie nawzajem. Noszenie żółtych toreb i jedzenie klopsików w barze smakowało o niebo lepiej niż dotychczas. Nasza obecność tutaj nareszcie była w pełni uprawniona. Nie snuliśmy się już bez celu, fantazjując o własnym mieszkaniu. Mierzyliśmy meble i zamawialiśmy pozycje z katalogu. Jak ptaki gromadziliśmy różne znaleziska i wiliśmy nasze gniazdko. Przeszliśmy na właściwą stronę.

Prace posuwały się dość sprawnie. Domek miał niewielką powierzchnię, poza tym mimo mało zachęcającej warstwy wierzchniej był w niezłym stanie. Widać Zyga znał się na rzeczy. W trakcie remontu często o nim myślałem. Wyobrażałem sobie, jak układał cegły, kładł dach.

Byłem na pogrzebie. Przyszło niewiele osób, głównie sąsiedzi. Starałem się nie rzucać w oczy. Od czasu do czasu zaglądałem na jego grób. Myśląc o tym, co się wydarzyło, starałem się skupiać na dobrych wspomnieniach. Pielęgnowałem pamięć o Zydze i byłem mu wdzięczny. Nie roztrząsałem przeszłości. Myślę, że tego właśnie by chciał. To najlepsze wyjście dla nas wszystkich.

Razem z ojcem i sprowadzonym przez niego pomocnikiem robiliśmy wykończeniówkę. Kiedy nadeszły ciepłe dni, Aśka zabrała się za ogród. Po wykarczowaniu największych chaszczy okazało się, że reszta krzewów miała się nieźle. Czerwone porzeczki, agrest i maliny. Odlot! Uchowały się też jabłonka i śliwa. Aśka założyła jedną grządkę na cebulę i zioła. Na reszcie działki posialiśmy trawę.

Zaliczyliśmy też wizytę w sklepie ogrodniczym. Kupiłem sobie nawet kosiarkę! Radość większa niż z mojego pierwszego atari. Żadne z nas nie zna się na roślinach, ale wybieranie sadzonek i ogrodowej huśtawki było jeszcze lepsze niż kupowanie mebli. Bo oznaczało, że mamy ziemię. Nie dziuplę w bloku, z wirtualnym odsetkiem udziału we wspólnym gruncie, ale dom z fundamentem, stojący na naszej działce. Robiliśmy zakupy wśród podmiejskich burżujów, ale byliśmy ponad nimi. Młodzi, wolni, bez kredytów, dojazdów, nieuciemiężeni latami wyrzeczeń. Poszliśmy pod prąd i wygraliśmy.

Kolejny powód do euforii: wypowiedzenie umowy najmu. Tak długo marzyłem, żeby to zrobić! Wprawdzie w przeszłości kilka razy rezygnowaliśmy z pokoi i zamienialiśmy je na inne, ale to nie to samo, co obwieścić, że wynosimy się na swoje. Współlokatorzy żegnali nas

z zazdrością, a my cieszyliśmy się jak dziecko zabrane z domu dziecka. Tym razem padło na nas, to nam się udało! Właściciel mieszkania patrzył z mieszaniną zawodu i uznania. Chciał, nie chciał, musiał przyjąć nas do elitarnego klubu posiadaczy nieruchomości. Nikomu nie mówiliśmy, dokąd dokładnie się przeprowadzamy. Po co? Nasz dom to nasza sprawa. Pora przyzwyczajać się do tej myśli.

Podobno nie powinno się spać w nowym miejscu, zanim człowiek całkowicie się nie przeprowadzi. Taki przesąd. Ale my nie mogliśmy się doczekać. Kiedy tylko ojciec z pomagierem wyjechali, kupiliśmy wielki miękki materac i wspólnymi siłami wtargaliśmy go na stryszek, co było cholernie trudne, bo mieliśmy do dyspozycji tylko strome schodki przypominające drabinę. Naszej pierwszej nocy w domu na zewnątrz lało jak z cebra. Leżeliśmy wyciągnięci na poddaszu, bezpieczni i szczęśliwi, a deszcz bębnił o blaszany dach. Słuchaliśmy oczarowani. Na ten moment czekaliśmy całe lata. Zasnęliśmy przytuleni.

Rozdział dwudziesty ósmy

Z początkiem czerwca otworzyliśmy nasze podwoje dla gości. Na taśmę w supermarkecie z dumą wykładaliśmy węgiel, podpałkę i karkówkę. Urządzaliśmy grilla! W środku miasta, a co. Od rana kosiłem trawę i przyprawiałem mięsiwa. Aśka kroiła sałatki, układała na desce sery, faszerowała bakłażana. Na werandzie i w różnych zakamarkach ogródka ustawiała świece, które po zmroku tworzyły czarujący nastrój. Spłowiały plastikowy stół, który znaleźliśmy w składziku, nakrywała wzorzystą chustą. Zamiast talerzy z tektury wyciągała ceramiczne, każdy z innej parafii, ale dopasowane kolorystycznie. Do tego działkowe kwiaty w słoikach. Całość wyglądała imponująco. Dziewczyna ma wyczucie stylu! Widziałem po minach gości, że byli zachwyceni. Nawet Marcin z ociąganiem przyznał, że jest pod wrażeniem.

Letnie noce. Rock'n'roll z radia, pyszne żarcie, włoskie wino szemrzące w żyłach. Cisza nad ogródkami raz po raz przerywana wybuchami śmiechu. Gadanie do rana. Wolność. Przestrzeń. Nasza przestrzeń. Aśka miała rację. Stworzyliśmy kultowe miejsce na mapie miasta. Nasz dom przejdzie do historii.

Przez całe lato było słonecznie i wakacyjnie, balowaliśmy więc bez przerwy. Co chwila ktoś wpadał, na imprezę lub pogaduchy i placek z owocami. Przewijało się sporo nowych ludzi. Niektórzy zostawali na dłużej, jak koleś z gitarą, który wieczorami przygrywał nam bluesa. Miał nawet swoje gruppies – dwie panienki ubrane jak hipiski. Wystylizowane na boho, jak wyjaśniła mi Aśka. Sama wkładała długie przejrzyste spódnice, odsłaniała ramiona i chodziła boso, a włosy nosiła rozpuszczone lub zawinięte w kolorowy turban. Do tego wielkie kolczyki. Królowa lata.

Kiedy zbierały się letnie burze i lało, siedzieliśmy w środku przy ogniu. Kominek to kapitalna sprawa. Towarzystwo układało się pokotem na poduszkach. Grajek tęsknie szarpał strunę sentymentu, a Aśka nastawiała kakao na naszej dwupalnikowej kuchence. Z blaszanych kubków jedliśmy porzeczki, czarne i czerwone, posypane cukrem. Rano śpiących budził zapach kawy i jajecznicy (Aśka coraz poważniej myślała o zainstalowaniu u nas kilku kur). Dla chętnych były pomidory ze śmietaną. Czerwone, obłędnie pachnące, przyniesione spod zmysłowo rozgrzanej folii u sąsiada. Uwielbiam je. Twarde, rubinowe kule. Siekam do nich cebulę, sypię solą i pieprzem i zalewam gęstą, zimną śmietaną. Po zjedzeniu na dnie miski zostaje resztka śmietany, zmieszana z przyprawami i pomidorowym sokiem. Skórką od chleba wybieram te ostatnie, aromatyczne krople. Prosta potrawa przywodząca wspomnienia z wakacji na wsi. Samo najlepsze. Esencja życia.

Ludzie czuli się u nas jak u siebie. Zjawiali się pod byle pretekstem i znosili różne skarby, jak dzieciaki do swojej sekretnej bazy. Pojawiły się planszówki: chińczyk i eurobiznes. Ktoś przywiózł adapter i torbę starych płyt, rozkosznie trzeszczących pod łaskotkami igły. Koleżanki Aśki na kiermaszu staroci wyszperały kultowe *Rok na działce* i *Działka moje hobby*. Nasza altanka stała się ostoją dla wszystkich tych, którzy tęsknili za dawnymi czasami. A może po prostu za dzieciństwem.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Po czym poznać, że w mieście nadchodzi jesień? Przed nastaniem pierwszych chłodnych poranków, jeszcze zanim liście na dobre zżółkną i poczerwienieją, nad działkami o zmierzchu zaczynają snuć się dymy. W świetle zachodzącego na rudo słońca unoszą się siwe smugi. Niepostrzeżenie przemykają nad ulicami i wślizgują się między bloki, wpadają przez uchylone okna, prosto do nosa. Przez cały rok noszę ten zapach przy sobie, w wersji kieszonkowej, zatknięty na łebku zapałki. W chwilach tęsknoty wyzwalam go potarciem o chropowaty brzeg pudełka. Jesienią nie muszę już tęsknić: nadchodzi czas wielkiego palenia. Suche badyle, pomarszczone liście, szyszki. Lato złożone w ofierze. Z tych składników powstają najbardziej aromatyczne ogniska, których dym na długo wsiąka w swetry.

Ale miejska nowoczesność nie lubi zapachu dymu. Tak jak gołębników, w których lęgną się srające gołębie, ani szpetnych działkowych bud panoszących się w najlepszych dzielnicach. Ani dzikich tych bud lokatorów. To wszystko uwiera i jest niemiłe oku jak wrzód na ciele miasta. Działki budzą negatywne odczucia i stają się problemem. A problemów się dzisiaj nie miewa, problemom się nie odpuszcza, z problemem trzeba coś zrobić.

I miasto robi. Jak zawiedziona żona rezygnuje z przysięgi i wypowiada umowę zawartą na czas nieokreślony. Najważniejsze są przecież potrzeby. Każdy ma prawo do zmiany zdania. Wieczyste użytkowanie też może mieć termin ważności.

Nasz termin miał upłynąć za rok.

Pewnego jesiennego popołudnia, kiedy wracałem z roboty, zauważyłem, że przed furtką zebrał się tłumek. Z daleka słyszałem podniesione głosy. Poruszenie. Na tablicy ogłoszeń zawisła informacja, że miasto przejmuje teren pracowniczych ogrodów działkowych. Rozprawia się tym samym z estetycznym gwałtem i marnotrawstwem przestrzeni. Kasuje szarą strefę. Posesje należy niezwłocznie oczyścić i bezpowrotnie opuścić. Sezon ogrodniczy dobiegł końca. Następnej wiosny nie będzie.

Zgromadzeni przed tablicą działkowcy nie kryli oburzenia.

– Skandal! – zakrzyknął nasz sąsiad Rysiek.

– To nie może być prawda, to nie może być prawda – maniakalnie powtarzała emerytka Basia.

– Zarząd nas zaprzedał! – rzucił ktoś jeszcze.

– O, przepraszam, mój mąż jest z zarządu! – podkreśliła ruda sześćdziesiątka. – Zarząd nie miał nic do powiedzenia! Postawiono ich przed faktem dokonanym.

– Akurat! Chyba przed grubą kopertą – zakpił anonimowy głos na obrzeżach zbiegowiska.

– Bezczelny! – uniosła się ruda. – Trybunał wydał wyrok i koniec. Decyzja nieodwołalna.

– I co my teraz zrobimy? – lamentowała staruszka z kraciastą torbą na kółkach.

– Jakim prawem nikt nas na bieżąco nie informował? – odezwał się Edek, dorabiający na emeryturze jako parkingowy. – Przecież można było coś zaradzić, zaprotestować!

– Racja, protest! Robimy protest! Przecież tak nie może być – przytaknął Rysiek.

Zawtórowały mu liczne głosy.

Odwróciłem się na pięcie i przeszedłem przez furtkę. Czy Aśka już wiedziała? Przyspieszyłem kroku. Musiałem sprawdzić, czy wróciła. Jeśli przyjechała do domu, na pewno wie. Nie mogła nie zauważyć zgromadzenia pod tablicą.

Biegłem alejkami i w głowie miałem zamęt. Powinienem szybko obmyślić jakąś reakcję, ułożyć plan działania. Zamiast tego poddawałem się surrealistycznym wizjom.

Za kilka miesięcy pozamykane altanki będzie smagał zimowy wiatr, klekocząc poluzowanymi okiennicami. Letnie dni o smaku kosmatego agrestu, oszałamiającego silniej niż szum pobliskiej Trasy Łazienkowskiej, staną się tylko wspomnieniem. Doskonalone latami domki, powiększane, wzmacniane i ozdabiane, z każdym podmuchem będą skrzypieć, jakby miały odlecieć w kierunku krainy Oz. Rozpaczliwie przywrą do podłoża, próbując przetrwać.

Tylko spokój może nas uratować. Odetchnąłem głęboko. Musiałem wziąć się w garść.

Siedziała przy stole. Spojrzała na mnie, kiedy wszedłem. Kąciki ust miała opuszczone, na czole pionową zmarszczkę. Wiedziałem, że wie.

Opuściłem wzrok i zobaczyłem stojącą na podłodze walizkę. Ten widok był jak policzek, natychmiastowa kara za to, że nie umiałem spojrzeć Aśce w oczy.

– Niezłe zbiegowisko tam na ulicy – odezwałem się. – Słyszałaś już?

– Tak – odpowiedziała.

– Będzie afera. Już oni o to zadbają, spokojna głowa – ciągnąłem. – Muszę powiedzieć, że nasi działkowcy zrobili na mnie wrażenie. Akcja i reakcja, natychmiastowa odpowiedź ludu na cios zadany przez władzę.

– Paweł… – zaczęła.

– Mam dla ciebie temat na pracę naukową: zjednoczenie w poczuciu zagrożenia lub tożsamość zbiorowa w kryzysie – paplałem. – Możesz napisać reportaż z akcji ratowania działek, wzbogacony o psychologiczny komentarz. To szansa na niepowtarzalny materiał!

– Posłuchaj…

Próbowała wejść mi w słowo. Nie mogłem na to pozwolić.

– Swoją drogą niesamowite, ile ci ludzie mają pomysłów. Myślałem, że to sfrustrowani czytelnicy brukowców, którzy tylko bezczynnie narzekają. A tu proszę, od razu trzeźwa ocena

sytuacji i szukanie możliwości.

– Czy mogę coś powiedzieć? – zapytała.

Skoro potrzebowała mojej zgody, nie zamierzałem jej udzielić.

– Przede wszystkim trzeba będzie zwołać komitet – mówiłem swoje. – Uważam, że powinniśmy się zgłosić. Byłabyś świetna w tej roli, może nawet wybiorą cię na przewodniczącą. Młoda, reprezentacyjna, elokwentna. I wiesz, jak rozmawiać z ludźmi.

Zamilkła. Poczułem się nieco pewniej. Rozebrałem się, ale nie usiadłem. Zacząłem krążyć po pokoju.

– Konieczna będzie petycja. Spróbujemy przekonać ludzi ekologią, zielonymi płucami miasta. Postraszymy perspektywą biurowców i brakiem miejsc parkingowych. Hipsterów podbijemy nostalgią, zagrożoną pamiątką po PRL-u – ciągnąłem. – Odwołamy się do wieloletniej obecności działek na mapie miasta, w stylu życia i w kulturze.

Nie odzywała się.

– Mam pomysł na hasło naszej kampanii! – Podskoczyłem. – Co powiesz na „Furtka do ogródków”? Albo „Pamiętajcie o ogrodach”?

Założyłem ręce do tyłu i chodziłem tam i z powrotem przed uchylonymi drzwiami. Strzegłem wyjścia.

– Trzeba będzie sprawę nagłośnić w mediach. Przede wszystkim internet. Założymy profil na Facebooku, zaprosimy całe miasto. Do tego prasa, lokalna telewizja – wyliczałem. – Mamy szansę przeprowadzić bezprecedensową akcję. Sfrustrowanych, nieatrakcyjnych emerytów nikt nie będzie słuchał. Ale młodzi? Powiemy, że stworzyliśmy tu unikalne miejsce spotkań, zaciszny przyczółek przyjaźni i sztuki w konsumpcyjnym świecie!

W tym miejscu zrobiłem teatralną pauzę. Wykorzystałem ją, żeby sięgnąć po laptop.

– Zacznijmy od razu. Najpierw solidny *research*.

– Paweł, to koniec – powiedziała Aśka.

Nie słuchałem. Nie chciałem.

– O nie, kochana, to dopiero początek! Zróbmy burzę mózgów. A potem plan działań. Przecież lubisz plany. – Próbowałem się uśmiechać.

– Nie tym razem.

– Nonsens. Zabieramy się do pracy. Wiem, mnie też dzisiaj wbiło w ziemię, ale teraz dostałem skrzydeł.

– Nie rozumiesz…

– To ty nie rozumiesz! To może być coś wielkiego. Coś ważnego!

– Paweł, ja już podjęłam decyzję. Mam plan, ale inny niż ty – powiedziała Aśka.

– Dlaczego się poddajesz? Po tym wszystkim, do czego doszliśmy?

Mój głos zabrzmiał o wiele bardziej rozpaczliwie, niżbym chciał.

– Wierz mi, poświęciłam mnóstwo czasu, próbując znaleźć rozwiązanie. Ale się nie da. Albo ja nie umiem. A czy to nie wszystko jedno?

Nie wiem, kogo pytała: mnie czy siebie.

– Mnie nie jest wszystko jedno. Nigdy nie było. Nie dość mocno to okazałem?

– Oczywiście. Nie ma w tym żadnej twojej winy.

– Chociaż w jednym się zgadzamy. To może powiesz wprost, skąd ta nagła zmiana? Kolejna pogadanka z rodzicami? Nawet tu nie byli. Nie kiwnęli palcem, żeby nam pomóc.

– Oni nie mają z tym nic wspólnego!

Pierwszy raz podniosła głos. Wreszcie udało mi się skruszyć jej niewzruszoną fasadę.

– Proszę, postaraj się zrozumieć – powiedziała Aśka już ciszej. – Na pewnym etapie lepiej zrezygnować, niż próbować za wszelką cenę. Bo ta cena może okazać się zbyt wysoka.

– Czy choć raz w życiu możesz mówić wprost? Szczerze? Odrzucić wyuczone frazesy i cytaty z poradników i przemówić swoimi słowami? A może ty nie masz własnego zdania?

– Rozumiem, że jesteś rozczarowany. Masz pełne prawo.

– Naprawdę? Dziękuję za pouczenie mnie, co czuję i co wolno mi czuć!

– Widzisz, właśnie temu próbuję zapobiec. Awanturom, ranieniu się, cierpieniu. Wolę w porę zareagować, żeby powstrzymać zniszczenie – mówiła spokojnie. Jak to możliwe, że była taka opanowana?

– To ciekawe, bo wszystko niszczysz. Ze stoickim spokojem rozpieprzasz nasz świat.

– Może trudno to zrozumieć, ale mój spokój bierze się z podjętej decyzji. Trudnej, ale przemyślanej. I właściwej. Kiedyś mnie zrozumiesz.

– A nasze życie? Nasz dom?

Za wszelką cenę próbowałem okiełznać łamiący się głos.

– Paweł, to nie jest dom. Ani prawdziwe życie. To altanka. Cudowna bajka, wakacyjna przygoda. Ale lato się skończyło.

Wstała. Podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

– Chcę, żebyś wiedział, że tak bardzo, bardzo mi przykro.

Zapiekły mnie oczy.

– I to ma być wszystko? – krzyknąłem. – Tyle ludzi przechodzi przez to co my. Naprawdę uważasz, że w perspektywie całego życia przejściowe problemy z mieszkaniem to powód, żeby przekreślić dobry związek? Nie możesz zaczekać?

– To nie jest dobry związek – odpowiedziała. – I nie, nie chcę już dłużej czekać.

Dlaczego była tak cholernie spokojna? Czemu nie płakała, nie histeryzowała jak dawniej?

– Myślałem, że dom to my.

Zawahała się. Punkt dla mnie.

Dzwoniło mi w uszach. Modliłem się, żeby wydarzyło się coś, co przerwie ten cyrk.

Jakby na moje życzenie zaskrzypiały drzwi. Aśka drgnęła. Podniosła głowę i popatrzyła w ich stronę. Do środka wpadł zimy wiatr.

– Przepraszam – szepnęła. – I dziękuję ci za wszystko.

Przewiesiła przez rękę czerwony płaszcz. Potem wzięła walizkę i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zostałem sam w mojej protezie domu.

W napięciu odliczałem jej kroki skrzypiące na werandzie. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Dużo jak na taką wąską, altankową werandę.

Okno było wciąż uchylone.

– Miałeś czekać na parkingu – usłyszałem zduszony głos Aśki.

– Strasznie długo cię nie było. Wolałem sprawdzić, czy wszystko gra.

Marcin.

Potem chyba nie mówili już nic. Trudno powiedzieć, bo bardzo wiało.

Rozdział trzydziesty

Na Zachodnim bez zmian. Obszczany Centralny, zapyziały Wschodni, ba, nawet bazarowy Stadion doczekały się remontu i blasku nowych neonów. Grają teraz na nosie zarozumiałemu Zachodniemu i mściwie patrzą, jak zapomniany popada w ruinę. Nawet drogi prowadzące tu z głębi kraju zdążyły już zmienić swoje oblicze. Znikły dziury i koleiny, a nowe ekrany zasłoniły leśne bary i obleśne kobiety. Tylko na Zachodnim brak postępu.

Niegdyś pyszny, szklany gmach dworca PKS przypomina dziś termitierę. Podziemia dworca tworzą miasto wewnątrz miasta. Korytarze i zakamarki wypełniają kioski, sklepiki i stragany – wszystko skąpane w mdłym świetle jarzeniówek. Jak na samowystarczalne miasto przystało, jest tu system kanalizacji (szalet), gastronomia (bary z piwem i zapiekankami) i rozrywka (automaty z hazardem i okienko z DVD).

Poza przewalającym się dniami i nocami tłumem podróżnych podziemne miasto ma swoich stałych bywalców. Na Zachodnim dobija się targu, pracuje, odpoczywa – słowem: żyje. Tutaj dzieją się wzniosłe historie i kuchenne romanse, komedie i makabreski. Dla niektórych podziemia są miejscem pracy, dla innych stały się domem. Część przyjezdnych postanowiła się tu zatrzymać, by już nigdy nie posunąć się dalej w wędrówce na podbój stolicy. W obawie przed jeszcze większym nowym, w tym miejscu postanowili swą wyjazdową misję uznać za wypełnioną. Wraz z bagażem dali się przechować na czas nieokreślony.

Dzisiaj ja też tu jestem. Znów czekam na autobus. Za kwadrans pod pokraczną wiatę na tyłach budynku podtoczy się pojazd, wehikuł czasu, z sykiem otwierający drzwi i zapraszający w podróż do innego świata.

Który to już raz pojadę tą samą drogą? Tym razem będę sam. W ogóle będzie inaczej. Wracam do domu. Moja umowa na czas określony dobiegła końca i nikt nie chciał jej przedłużyć. Odbieram walizkę z przechowalni. Zabieram zabawki i zmieniam adres. *Warsaw dream* nie wypalił. Przeszczep się nie przyjął. Jesteśmy do siebie podobni, dworzec i ja. Odporni na zmiany, niezdolni do rozwoju.

Oto symboliczna chwila godna odpowiedniej oprawy muzycznej. Może Lennon? *Get back to where you once belonged.* Mam tylko nadzieję, że nie będę jechał z nikim znajomym. Nie sądzę, żebym w najbliższym czasie spotkał na tej trasie Aśkę. Pewnie nie jeździ już autobusami. Inni mnie nie obchodzą.

Pracuję nad tym, żeby ona też przestała mnie obchodzić. To mój cel. Tego jednego się trzymam. Kiedy usłyszałem, jak odchodzi z tym dupkiem, sparaliżowało mnie z wściekłości. Inaczej nie mogę sobie wytłumaczyć tego, że nie dałem mu w mordę. Nagle nasze rozstanie

zaczęło wyglądać inaczej. Taniej, banalniej, durniej. Napisałem jej kilka obraźliwych esemesów, w których dałem temu wyraz, sugerując wiadome rzeczy. Zmieszałem z błotem jej pożegnanie w wielkim stylu. Niech sobie nie myśli, że ma klasę. Poczułem się trochę lepiej.

W drodze lubię być sam. Patrzeć w spokoju przez okno, spać, zbierać myśli. Cokolwiek, byle nie gadać o niczym.

Spotkania po latach są na ogół niezręczne i sztuczne. Ludzie silą się na zainteresowanie, choć nic ich nie łączy. Jakie znaczenie ma ileś wspólnych lat w jednej szkole czy w tym samym mieście? Na pewnym etapie spotykanie znajomego w PKS-ie staje się nawet żenujące. Jak wytłumaczyć, że po latach studiów i zapieprzania wciąż nie stać cię na samochód? Albo to, że jedziesz sam? Czyżby życiowa wtopa? U ciebie też? No popatrz.

Lepiej odwrócić łeb w drugą stronę i skupić się na zajęciu miejsca. Do kasy kolejka, a pół godziny przed odjazdem nie sprzedają już biletów. Do autobusu ustawia się ogon. Najpierw wchodzą ci z biletami. Nie masz? Jest ryzyko, że się nie zabierzesz. Jeśli kierowca się ulituje i nie wywali cię za drzwi, możesz godzinami wisieć na drążku w nieoświetlonym korytarzu. A rozparte na fotelach baby będą cię bodły w bok za zasłanianie i łamanie norm bezpieczeństwa. *Welcome on the road*.

Na wszelki wypadek warto przed odjazdem skorzystać z kibla. Odkąd pamiętam, męska toaleta zawsze z daleka dawała o sobie znać przenikliwym smrodem, ukierunkowując poszukujących na właściwy szlak. Nie był to po prostu zapach, tylko ostry fetor o uniwersalnym składzie, niezależnym od standardu budynku czy przekroju społecznego klienteli.

– Paweł?

Usłyszałem głos przez bulgotanie pisuaru.

– Paweł, brachu, siemano!

– Grzechu! Kopę lat! – ucieszyłem się, nawet szczerze. Kumpel z ogólniaka, śmieszny typ.

– Góra z górą się nie zejdzie – zarechotał Grzechu, zapinając rozporek.

Wyciągnął do mnie nieumytą rękę, którą przed chwilą sobie pomagał.

– Co ty tu robisz? – zapytałem, podejmując wyzwanie.

– Leję na to wszystko!

– Witaj w klubie – powiedziałem.

– Bolid mi się rozkraczył, a dziś mamuśki imieniny. Muszę się zabrać peksem.

– Mieszkasz tu na stałe? Przeniosłeś się?

Grzechu jako jeden z nielicznych nigdzie nie wyjechał po maturze. Nie dostał się na studia. Nie zdawał. Nie miał takiej potrzeby. Był szczęśliwy w rodzinnych stronach i nie szukał

szczęścia gdzie indziej. Wiedział, czego chce. „Gdzie mi będzie lepiej?” – powtarzał. Jego ojciec prowadził miejscową firmę budowlaną, mieli duży dom, więc był ustawiony. I to go urządzało.

– Tak wyszło.

– Jak to?

– Stary, chodźmy, bo nam biały rumak odjedzie. Opowiem ci po drodze.

Miałem bilet z kasy, więc wszedłem jako pierwszy. Wbiłem się na koniec autobusu i zająłem dwa miejsca. Zgodnie z moimi przewidywaniami znalazły się baby, które protestowały, ale na widok Grzecha zamilkły.

– Ech, stary, porażka – zaczął Grzechu. – Co ci będę ściemniał. Za robotą musiałem przyjechać.

– Ty za robotą? Patrz, a ja w odwrotnym kierunku. Nawet miałem do ciebie dzwonić, czybyście czegoś dla mnie nie mieli, na przechowanie.

– Chłopie, żartujesz? Musieliśmy się zwijać, taka bryndza. Ojciec jeszcze coś tam gmera, byle dobić do emerytury. Ludzi pozwalniał, maszyny posprzedawał.

– Co ty mówisz!

– Taka prawda. Wszyscy padają jak muchy, a konkurencja się zjeżdża z kilku województw. Psują rynek. Zaniżają ceny, eliminują uczciwe oferty z przetargów. Liczą tylko na obrót i wykończenie pozostałych firm. Dobijają ten i tak ledwo zipiący grajdół. Niedługo nic nie zostanie.

– Wierzyć się nie chce. To czym się teraz zajmujesz?

– Sprzedaję w markecie budowlanym. Wesoło?

– No co ty! – zatkało mnie.

– Tak jest, stary. A co to, wstyd? Dzisiaj wstyd to roboty nie brać, jak jest – obruszył się Grzechu.

– Nie to miałem na myśli. Po prostu nie mogę sobie ciebie wyobrazić na etacie. Ty: zawsze w ruchu, z żyłką do interesów…

– No to się zgadza: latam między regałami, a czasem siadam na kasę.

Nigdy nie brakowało mu dystansu do siebie.

– Cholera. A ja myślałem, że to ty wybrałeś z nas najlepiej. Zostałeś przy rodzinie, wspierałeś lokalny biznes.

– Stary, gdzieś ty się uchował? Co ty, rodziny nie odwiedzasz? Nie wiesz, co się u nas dzieje? Kanał, wszyscy spieprzają. Nie ma roboty, nie ma nic.

– Szlag. A ja właśnie kombinowałem, żeby wrócić. Chciałem się trochę rozejrzeć.

– Zapomnij. Wszystko sparszywiało, ogólny rozpad. Nawet wypić nie ma za co.

– A Kaśka? Kaśka też została – przypomniałem sobie. – Co u niej?

– Skończyła studia i pobiła sześćdziesiąt kandydatek na stanowisko kelnerki. Po trzech latach ją wylali, bo poszła na kilkutygodniowe zwolnienie. Po roku na bezrobociu znalazła sobie faceta w Poznaniu i wyjechała.

– W Poznaniu? – zdziwiłem się.

– Przez internet. Weterynarz z własną przychodnią. Tam podobno jest robota, nawet na prowincji. Dziewczyna się ustawiła. Od razu wskoczyła w dom, prowadzi z mężem firmę. O nic nie musi się martwić.

Takie proste historie. Nie wierzyłem w nie. Zakasać rękawy, postanowić poprawę i zmienić swoje życie. Załatwić, zakręcić się, zorganizować. Tego oczekiwała ode mnie Aśka i tego nie mogłem jej dać. Próbowałem, wydawało mi się, że byłem o krok. Naprawdę wierzyłem, że się uda. Miałem plan, snułem wizje, zaangażowałem się. Nie zadziałało.

Czyżby? A może wszystko przebiegło zgodnie z jakąś uniwersalną regułą? Wykorzystałem Zygę, żeby osiągnąć własny cel. Poświęciłem go, żeby zapewnić sobie lepsze życie. To samo zrobiła ze mną Aśka. Czy nie tym właśnie dla siebie wszyscy jesteśmy? Narzędziami do osiągnięcia szczęścia i życiowego sukcesu?

Jestem w drodze do rodziców. Wracam z podkulonym ogonem, tłumacząc Grzechowi, jak tęsknię za autentyczną, bezpretensjonalną prowincją i rodzinnymi więziami. Wychwalam zalety wielopokoleniowego domu i poczucia harmonii, która ma płynąć z obcowania z ojcowizną.

– Pierdolenie o Szopenie.

Grzechu pociągnął łyk piwa. Wściekłe babska nerwowo się obejrzały, słysząc syk otwieranej puszki, ale żadna nie odważyła się na komentarz.

– Chyba sam nie wierzysz w te bzdury? Stary, naczytałeś się *Pod słońcem Toskanii*?

Sam nie wiem, co bardziej zbiło mnie z tropu: to, że nie łyknął mojej gadki, czy jakakolwiek styczność Grzecha z literaturą.

– Nie wiem, kto kupuje te brednie – tu nastąpiło szybkie sprostowanie w kwestii literatury. – Wszyscy czytają słodkie opowiastki o prowincji i myślą, że jak im nie idzie, wystarczy wynieść się z miasta, założyć winnicę i rozpocząć wieczne świętowanie. Ale polski klimat nie sprzyja winorośli! – podsumował Grzechu, dumny ze swojej obserwacji.

– Uważasz, że w mieście jest lepiej? Ta sama bryndza, a dodatkowo kisisz się kątem u obcych i nikogo nie obchodzisz.

– To jest do załatwienia.

– Tak, w jakieś trzydzieści lat.

– Są drogi na skróty.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Ale czekaj, gdzie Aśka? Co u niej?

– Nie wiem.

Grzechu spojrzał na mnie pytająco.

– Szkolna miłość nie przetrwała. Bywa. To co z tymi skrótami? – zmieniłem temat.

– Nie wnikam, rozumiem. Chociaż szkoda! Byliście nierozłączni. Ale pora skupić się na nowym życiu i nowych szansach. Posiedź trochę u starych, zrelaksuj się, a potem pokażę ci, jak to się robi w wielkim mieście.

– Wkręcasz mnie w napad na bank czy w bardziej wyrafinowane lody?

– Z dwojga złego wybieram lody. A tobie poszukamy dziewczyny.

– Dzięki, pas. – Podniosłem rękę.

– Kolego, co to za zgorzknienie? Rozumiem, niepowodzenie sercowe, ale pora otrzeć łzy! – przemawiał pokrzepiająco Grzechu. – Porzuć przeszłość i korzystaj z życia. Otwiera się przed tobą morze możliwości.

– Próbujesz mi coś sprzedać? A może zacząłeś stręczyć?

– Stary, więcej wiary! Popatrz na siebie. Przystojniacha, bez nałogów, po studiach.

– Bez mieszkania, bez kasy, jak podjeżdżam, to tramwajem.

– Nieistotne detale. Znakomita większość facetów w wieku reprodukcyjnym dałaby się pokroić, żeby znaleźć się na twoim miejscu. Jesteś na uprzywilejowanej pozycji – zapewnił Grzechu. – Pal sześć wszystkie twoje psychofizyczne atrybuty. Wystarczy jedno: mieszkasz w stolicy. W zagłębiu fantastycznych lasek bez facetów.

– Taaa. Teraz ja cię muszę oświecić. – Zaśmiałem się gorzko.

– Co masz na myśli?

– Rzeczywiście, w laskach można przebierać jak w ulęgałkach. Ładne są, zadbane, to trzeba przyznać. Inteligentne i zaradne. I to by było na tyle. Nic z tego dalej nie wynika. One po prostu nie nadają się do wspólnego życia! – skarżyłem się. – W głowie pusto. Może poza feministycznymi frazesami. Żadna nie będzie się poświęcać, za to lista oczekiwań w stosunku do partnera kilometrowa! Musi wyglądać, mieć perspektywy, powinien być czuły, ale jak trzeba, to i dać w mordę. Ma zarabiać, ale i mopem przelecieć podłogę. No i na okrągło ten orgazm, aż wszystko człowiekowi opada.

– Ludzie, orgazm mu przeszkadza! – zawołał Grzechu.

Choć jechaliśmy w ciemności, czułem, jak dwa rzędy pasażerów patrzą na mnie z wyrzutem.

– Kiedy ostatnio miałeś kontakt z rzeczywistością? – zapytał Grzechu. – Każda zapyziała tancbuda pełna jest dzisiaj gorących, przebojowych kociaków, które zdobyły wszystko: studia, karierę, samochód, mieszkanie. Do zwieńczenia tego pasma sukcesów potrzebują jednego: mężczyzny! Z rozkoszą wpuszczą cię między nogi i do swojego gniazdka. A przyszli teściowie pokochają cię jak syna za ocalenie córki od samotności!

– Obawiam się, że to nie takie proste.

– Dlaczego?

– Każda babka prędzej czy później zacznie oczekiwać, że facet będzie zarabiał i zapewni jej lepszy standard życia. Bełkot o równouprawnieniu swoją drogą, atawizmy swoją. Ma być wszystko naraz albo nic.

– Wystarczy szukać w odpowiedniej grupie wiekowej. Po dwudziestych piątych urodzinach babka jest już po pierwszej przecenie na rynku matrymonialnym. Wtedy krzywa wymagań gwałtownie się obniża.

– Mimo wszystko nie chce mi się wierzyć, że to takie łatwe. Zamieszkać z kimś to nie takie hop-siup! Potrzeba zaufania, mnóstwa zabiegów, a przede wszystkim: czasu. Inwestycja, która nie zawsze się zwraca.

– Nie takie łatwe, mówisz? Coś ci opowiem. Pamiętasz Krzyśka? Wyjechał do Krakowa trzy lata temu i siedzi tam do tej pory. Przez ten czas ani razu nie wynajął mieszkania. Zaczepiał się u kolejnych lasek, płynnie przechodząc z rąk do rąk. Jedna wyrzucała go za drzwi, to zaraz przytulał nową i brał ją na smutne oczy. Ani jednego interwału. Prawdziwy mistrz.

– A skąd on je brał?

– Zewsząd. Z klubów, z pracy, z sieci. Skoro jemu się udało, dlaczego nie tobie?

Spojrzałem na Grzecha przychylniej. Może miał rację? W każdym razie doceniałem jego intencje. Chciał mnie uchronić przed rozczarowaniem rzeczywistością, które niezawodnie mnie czekało w rodzinnym mieście. Kogo próbowałem oszukać? Za kilka tygodni, maksymalnie kilka miesięcy znalazłbym się w punkcie wyjścia. Z dziurą w CV, nieco starszy, trochę bardziej zgorzkniały.

A dziś liczą się oszczędność czasu i elastyczność. Spryt i umiejętność dostosowania się do sytuacji. Zamiast płynąć pod prąd, lepiej wskoczyć na falę.

Ciemność w autobusie rozświetlił błękitny blask tabletu. Grzechu uruchomił przeglądarkę i wstukał nazwę popularnego randkowca.

– Stary, no co ty! – parsknąłem, ale nie odwróciłem wzroku.

– Zaraz zobaczysz, co dziś chodzi na giełdzie. Popatrz. Najpierw wpisujesz parametry do

wyszukiwarki.

Grzechu wskazał lokalizację i przedział wiekowy. Jego lepkie palce zostawiały odciski na ekranie.

– Od dwudziestu pięciu do czterdziestu? Wolałbym od osiemnastu do dwudziestu czterech – powiedziałem.

– Błąd logiczny. To nie jest twoja grupa docelowa – odparł Grzechu. – Zapamiętaj ten wzór: mniej niż dwadzieścia pięć równa się żądania. Więcej niż dwadzieścia pięć równa się pożądanie. Czujesz różnicę?

Zanim odpowiedziałem, na ekranie już wyświetliły się wyniki wyszukiwania. Od góry do dołu zdjęcia, obok nich kilkuzdaniowe opisy.

– Powiększ tę. – Wskazałem na zdjęcie ze środka listy.

Grzechu posłusznie kliknął w dziewczynę.

– Mam oko. Niezła – ucieszyłem się.

– Dlaczego tak uważasz?

Wietrzyłem jakiś podstęp.

– A widzisz to zdjęcie?

– A opis czytałeś?

– A po co? – zaśmiałem się.

– Zasada numer dwa: najpierw opis, potem zdjęcie. W opisie wszystko wyczytasz: czy ona będzie cię nosić na rękach, czy ciągnąć za uszy. Od razu eliminuj takie, które cenią partnerstwo i szukają mężczyzny, z którym wspólnie będą odkrywać świat. Wybieraj te, które najpierw postawiły na karierę, a potem odkryły, że miłość jest najważniejsza.

Grzechu wyszukał przykład właściwej oferty.

– Hmmm – mruknąłem bez entuzjazmu.

Pani ilustrująca przykład kariery musiała być jej oddana naprawdę długo.

– Odpadają też podróżniczki i gotujące – ciągnął Grzechu.

– A co w nich złego? – zdziwiłem się.

– Kuchta szuka samca alfa. Nie będzie lepić klopsów dla ciamajdy. A podróżniczka to Zosia Samosia, chłop jest jej potrzebny wyłącznie do podkreślenia statusu, i już ta forma zależności ją wkurza. Takie chcą w życiu tylko jednego: więcej.

Kiwałem głową, w miarę jak Grzechu omawiał kolejne anonse. Zabawne, niedawno przeglądałem w ten sposób ogłoszenia o mieszkaniach.

Wyjrzałem na drogę i rozpoznałem znajomy zjazd. Już prawie dotarliśmy na miejsce.

Zamyśliłem się. Ile przypadku jest w tym, kogo spotykamy na naszej drodze? Trudno

powiedzieć. Ale to my decydujemy, jak te spotkania na nas wpłyną. I czego się z nich nauczymy.

Na przykład Aśka. Dzięki niej polubiłem planowanie. Jest plan, jest dobrze. Gra toczy się dalej.

Część druga

Zaborcza

Błąd bowiem wyhodowany
W krwi wszystkich mężczyzn i kobiet
To żądza niedostępnego,
Nie miłości powszechnej
lecz wyłączności–dla siebie.

W.H. Auden

***

Adres: www.kochanie.pl/Ewa
Płeć: kobieta
Wiek: 30
Miasto: Warszawa
Stan cywilny: panna
Znak zodiaku: Ryby
Wykształcenie: wyższe
Praca/finanse: niezależna
Dzieci: nie mam
Stosunek do dzieci: chcę mieć
Stosunek do małżeństwa: ważne
Zainteresowania: trekking górski, muzyka, literatura
Osobowość: pozytywna, zaangażowana
Szukam: stałego związku

Mój opis:

Szukam miłości. Poza nią mam wszystko, czego potrzebuję. Ciekawą pracę, kilku przyjaciół, pasje, które dodają mi skrzydeł. Stworzyłam też własne miejsce, do którego lubię wracać. Czuję się spełniona i każdego dnia cieszę się moim życiem, ale jestem gotowa znaleźć w nim przestrzeń dla partnera. Uważam, że związek to ważny składnik szczęścia.

Mój wymarzony partner:

Niech będzie sobą i wie, czego chce. Nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

Moje motto:

Najważniejsze rzeczy w życiu to nie rzeczy.

Rozdział pierwszy

Szukam miłości.

Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach to mało zachęcające oświadczenie. Zamieszczenie go w profilu w serwisie randkowym prawdopodobnie znacznie ograniczy liczbę zainteresowanych nawiązaniem ze mną kontaktu.

Miłość – co to w ogóle za słowo? Zgrzyta jak piasek między zębami. Niepopularne, niemal niestosowne. Specjaliści od *public relations* współpracujący z portalem Kochanie.pl odradzają używania go w opisie. Aby zmaksymalizować swoje szanse na poznanie interesujących osób, profil należy odpowiednio zredagować, sprofilować właśnie. Pokazać w nim swój lepszy profil. „Partnerstwo", „relacja", „związek" – można wpisać. Ale już słowo na M budzi negatywne skojarzenia. Miłość jest słaba. O miłości robi się ckliwe filmy i pisze kiepskie książki. Na miłość tracą czas życiowi nieudacznicy, których nie stać na nic innego.

Kicz.

Flirt to sztuka, dyskretna gra. Tu należy zachować najwyższą ostrożność. Trzeba stąpać lekko jak motyl po płatku kwiatu, a nie walić między oczy. W uczuciach jak w życiu – im bardziej ci zależy, tym mniej musisz dać to po sobie poznać. Tylko w ten sposób możesz zdobyć, co (lub kogo) chcesz. Więc ani słowa o miłości. Obojętnie wzruszaj ramionami, patrz w przeciwnym kierunku. Zapomnij i zajmij się czymś ciekawym. Postaraj się przekonać siebie i innych, że masz inne priorytety. Przeznaczenie nie lubi desperatów.

Kochanie.pl wychodzi naprzeciw zażenowanym użytkownikom, którzy zapisując się do serwisu randkowego, zostali postawieni w krępującej sytuacji. Administratorzy przygotowali dla nich szeroki wachlarz możliwości do zaznaczenia w formularzu rejestracyjnym. Na Kochanie.pl można więc szukać:

– kobiet/mężczyzn,
– seksu,
– stałego związku,
– przyjaźni,
– zabawy,
– przygody,
– niczego.

Z dostępnych opcji zaznaczyłam „stały związek" i wariant „z mężczyzną", ale w opisie „własnymi słowami" dodałam, że poszukuję miłości. Przed opublikowaniem pokazałam mój opis Joannie, która pracuje w firmie mojego brata jako ekspert do spraw wizerunku, więc zna

się na rzeczy.

– Generalnie wszystko OK, poza zdaniem o miłości – oceniła. – Może wydawać się zbyt nachalne, żeby nie powiedzieć: rozpaczliwe.

– Nie rozumiem.

– Narzuca bardzo poważny ton. – Mrugnęła do mnie. – No wiesz, jakbyś myślała co najmniej o małżeństwie – dodała niemal szeptem.

– Bo myślę. Dlatego zamierzam zamieścić ogłoszenie.

– No tak, ale lepiej nie mówić tego wprost. Niektórym osobom może się to nie spodobać.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Większość facetów boi się zobowiązań, przynajmniej na początku. Czytając, że szukasz miłości i stałego związku, już na wstępie poczują się osaczeni – tłumaczyła.

– To co robią w serwisie randkowym?

– Rejestrują się po to, żeby kogoś poznać, i czasem wynika z tego coś trwałego. Ale rzadko który od razu ma poważne zamiary. Warto więc tak skonstruować profil, żeby przyciągnąć jak najwięcej mężczyzn. Wtedy zwiększysz swoje szanse na poznanie tego właściwego.

– Nie sądzę, żeby ktoś, kogo odstrasza słowo miłość, był dla mnie właściwy – powiedziałam. – Miłość zostaje.

Podziękowałam Joasi za pomoc. Wspólnie wybrałyśmy kilka moich zdjęć i opublikowałam ogłoszenie. Miałam nadzieję, że eliminując związkofobów, za jednym zamachem pozbędę się też sponsorów i erotomanów. Nie myślałam o tym, ilu z dwóch milionów męskich użytkowników Kochanie.pl zwróci na mnie uwagę. Byłam spokojna. Przecież wystarczy mi jeden.

Rozdział drugi

Nie lubię niedziel.

Tak jak święta, urodziny, sylwestry i walentynki, niedziele zostały przewidziane dla tych, którzy kogoś mają. To okazje, które stwarzają przymus dobrej zabawy, ale nigdy w pojedynkę. Można się nawet nudzić, byle z kimś. Te dni w roku to społecznie akceptowane drwiny z samotnych.

Nie znosiłam niedziel od dziecka. Już w sobotę, punktualnie o czternastej, nasza miejscowość zapadała w sen, z którego miała się zbudzić dopiero w poniedziałek rano. O drugiej zamykano wszystkie sklepy, a z pustoszejącego bazaru zwijano ostatnie stragany i polowe łóżka. Wyludnionymi ulicami rozpierzchali się ostatni zakupowicze, którzy zbyt późno ruszyli na tak zwane miasto – zupełnie jak przed nadejściem godziny policyjnej. Bo w małomiasteczkowym rozumieniu świata sobotnie popołudnie to już wigilia niedzieli. A niedziele spędza się w domu.

Na początku tego nie rozumiałam. Długo próbowałam z tym walczyć. Jako małej dziewczynce cały dzień spędzony w bloku w towarzystwie samych starszych strasznie się dłużył. Mama drzemała, tata oglądał telewizję, a Marcin przesiadywał przed komputerem. Tylko ja nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Dziwiły mnie pustki na osiedlowym placu zabaw. Pytałam mamę, dlaczego nie mogę pójść się pobawić albo zaprosić koleżanki do siebie. Nie wolno. Niedziele spędza się w domu.

Później, kiedy byłam już spragnioną życia nastolatką, buntowałam się przeciwko nudnym dniom odrysowanym od schematu: śniadanie, msza, obiad, a potem nieskończona nuda. Chciałam gdzieś wyjść, byle tylko wyrwać się z domu. Marcin był już wtedy na studiach. Na innych domowników nie mogłam liczyć, szukałam więc sojuszników wśród znajomych. Ku mojemu zdumieniu w niedziele wszyscy wykręcali się od spotkań, tłumacząc się wizytą krewnych albo wyjazdem do babci. Choć narzekali, nikt się nie wyłamał, podtrzymując tradycję niedzielnego stuporu.

Po zdanych egzaminach na studia nie mogłam się doczekać przeprowadzki do Warszawy. Byłam pewna, że tak duże miasto nigdy nie zasypia. Choć rodzice w nagrodę za zdaną maturę zaproponowali mi kupno mieszkania, wolałam zatrzymać się w akademiku. Chciałam poznać nowych ludzi. I dzielić z nimi niedziele.

Ale w piątki po zajęciach moi współlokatorzy i sąsiedzi pędzili na dworce, by rozjechać się w cztery strony świata. Opustoszałe akademiki miały ponownie się zapełnić dopiero w niedzielny wieczór. Kilka razy z rzędu zostałam sama na weekend, ale nie miałam pomysłu,

co robić bez towarzystwa. Na początku urządzałam sobie wycieczki do galerii handlowych, szczęśliwa, że mam dostęp do salonów nieosiągalnych wcześniej marek, Empików i kawiarni coffeeheaven. Ale takie samotne spacery szybko mi się znudziły. Było w nich coś smutnego. Poszłam na parę koncertów i wystaw, ale kupując pojedyncze bilety, czułam się jakoś niewyraźnie. Krótkie jesienne dni w niezbyt ładnym mieście działały na mnie przygnębiająco. Tęskniłam do domu.

Zaczęłam więc częściej wracać do rodziców. Rozłąka dobrze nam robiła i nagle wizyty w domu stały się bardzo przyjemne. Pozbawione przyziemnych obowiązków, za to pełne domowych przywilejów, jak własne łóżko i mamine smakołyki. Rodzice nie byli już kontrolerami mojej codzienności, za to stali się przyjaciółmi, z którymi omawiałam moje świeżo rozpoczęte światowe życie. Polubiłam naszą nową, dojrzałą relację.

Ale niedziele pozostały nieznośne. Już od rana nad perspektywą miłego dnia w domu zawisał cień. Wiedziałam, że w końcu trzeba się będzie spakować i jechać na stację, gdzie w zimnym pociągu czekało na mnie miejsce przy brudnej szybie.

Ostatni pociąg do Warszawy odjeżdżał za wcześnie. Okradał mnie z chwil spędzonych w domu, skazując na zbyt długi, samotny wieczór w akademiku. Niepotrzebne godziny dzielące mnie od nocy poprzedzającej poniedziałek, który siłą rozpędu miał wciągnąć mnie w energiczny miejski wir, wlekły się jak wagony tłukące o szyny w nocnym deszczu.

Żegnałam się z rodzicami i wsiadałam do przedziału, nie znając nikogo ze współpasażerów. Jako jedyna z klasy wybrałam stolicę, reszta wolała uczyć się bliżej domu. Nie oglądałam się na nich. Nigdy nie czułam, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Każdy z nas wiedział, że liceum łączy nas tylko na parę lat, a potem każdy pójdzie w swoją stronę. Decydując się na liceum ogólnokształcące, które wypadało uzupełnić studiami, wybieraliśmy drogę bez odwrotu. Było oczywiste, że po maturze wszyscy dokądś wyjedziemy. Może dlatego szkołę traktowaliśmy trochę jak poczekalnię, odkładając prawdziwe życie i prawdziwe przyjaźnie na potem. Trochę z fascynacji świetlaną przyszłością, trochę z obawy przed pożegnaniem.

Nie myliłam się. Żadna z moich szkolnych przyjaźni nie przetrwała. Rozumiałam, że niektóre znajomości mają swój czas i trzeba im pozwolić odejść. Mimo to wsiadając do pociągu i odjeżdżając w kierunku Warszawy, czułam, że coś bezpowrotnie straciłam. A coś, co miało mi to zastąpić, jeszcze nie nadeszło. I wcale się nie spieszyło.

*

Na półkach wspólnej akademikowej lodówki układałam smaki domu zamknięte w słoikach. Palcem wyjadałam kwaskowe konfitury i czułam się zupełnie rozbita. Już nie w domu, jeszcze

nie w moim nowym, miejskim życiu, które zacznie się wraz z poniedziałkowym porankiem. Zawieszona gdzieś w próżni, między światami.

Po kilku miesiącach poprosiłam rodziców, żeby jednak kupili mi to mieszkanie. A w niedzielne wieczory chodzę do kina.

Rozdział trzeci

Wspinaczka daje ogromną satysfakcję. Bywa wyczerpująca, czasem ryzykowna, ale nic innego nie zapewnia mi takiego poczucia bezpieczeństwa.

Wyjeżdżam w góry kilka razu do roku. Zawsze są tam jacyś faceci, czasem naprawdę nieźli, ale nigdy z żadnym z nich nie byłam. Na ogół przyjeżdżają z dziewczynami, chociaż nawet nie w tym problem. W trasie zwyczajnie nie myślę o tych rzeczach. Pewnie, na wyjeździe zawsze jest wesoło, w pociągu lub samochodzie towarzystwo się integruje, a w schroniskach robi się najlepsze imprezy. Ale to tylko epizody. Krótkie przerwy w wędrówce, która jest najważniejsza.

Wspinanie nie należy do sportów towarzyskich. Na szlaku każdy jest sam. Nawet jeśli ruszamy grupą i przez całą drogę nie tracimy się z oczu, nigdy nie idziemy obok siebie, zawsze jedno za drugim. Nie dlatego, że ścieżki są za wąskie. To instynkt, nawyk wpisany w naturę. Wkrótce po wymarszu cichną rozmowy i śmiechy, a odstępy między wędrującymi robią się coraz dłuższe. Każdy wie, że wysokie góry są zaborcze, nienasycone. Zawłaszczają uwagę, domagają się całkowitego oddania. Ciemne, ostre, wyniosłe. Onieśmielają i rozkazują milczeć przed swoim majestatem.

Pod ciężarem wszechobecnej ciszy pogrążam się w skupieniu. Ale to nie refleksja płynąca z obcowania z dziką przyrodą przynosi mi spokój i ukojenie. Przeciwnie, podczas wspinaczki nie myślę o niczym. W miarę jak posuwam się dalej, rozpędzone myśli, które na co dzień przeszywają mój umysł, cichną jak gwar oddalającego się schroniska. Kiedy szlak wznosi się wyżej i stopniowo zanika życie wokół, ja coraz głębiej zanurzam się w pustkę. Nie wybiegam spojrzeniem daleko w przód. Dzielę drogę na kawałki w zasięgu opuszczonego wzroku. W ten sposób da się pokonać nawet najdłuższą i najbardziej wymagającą trasę. Słyszę tylko własny oddech i odgłos podeszew stawianych na kamieniach. Miarowe, hipnotyczne dźwięki, które wprawiają w trans. Znika nadmiar bodźców. Mój układ nerwowy przyjmuje minimalne dawki wrażeń. Wystarczą, by odmierzać czas.

Nie potrzebuję adrenaliny. Wprawdzie napięcie i ulga, gdy zagrożenie mija, są trwale wpisane w góry. Niektórzy za tym właśnie tęsknią i raz spróbowawszy, muszą się regularnie w ten sposób oczyszczać. Ja jednak nie szukam wrażeń. Przyjmuję to, co się wydarza. Zmienne warunki pogodowe, niebezpieczne momenty, ale też monotonny marsz we mgle, bez widoków, za to morzący sennością.

Uciekam w góry, bo dają mi coś, czego brakuje mi w życiu.

Przewidywalność.

Tutaj mam pewność, że bez względu na przejściowe przeszkody, każdy krok przybliża mnie do celu. Wiem, że mój wysiłek się zwróci i uzyskam zamierzony efekt. Nieliczne potknięcia to tylko wyjątki potwierdzające regułę. Nawet jeśli jestem zmęczona, błądzę lub zastała mnie ulewa, zasady wciąż są jasne. Wystarczy dać z siebie więcej, postarać się bardziej, i na pewno prędzej czy później zdobędę szczyt.

A potem wrócę do domu.

Rozdział czwarty

Adres: hwww.kochanie.pl/Magnus
Wiek: 32
Znak zodiaku: Koziorożec
Praca/finanse: właściciel
Stosunek do dzieci: nie wiem
Stosunek do małżeństwa: nie wiem
Wyznanie: agnostyk
Zainteresowania: sport, film, muzyka
Szukam: niczego

Mój opis:

– prowadzę firmę
– 300 godzin miesięcznie spędzam w pracy i zwykle nie mam czasu na spotkania towarzyskie
– nie daję kobietom prezentów
– nie rozmawiam przez telefon dłużej niż trzy minuty
– mam kota i cenię go za to, że nie jest nachalny
Moja wymarzona partnerka:

Zapisałem się tutaj z myślą o poznaniu kobiety interesującej, czyli zadowolonej z życia, samodzielnej i spełnionej. Na styku luzu i elegancji, taktu i spontanu, wyrafinowania i szaleństwa.

Chciałbym ograniczyć dziesiątki nietrafionych wiadomości, które codziennie dostaję, dlatego nie pisz, gdy:
– jesteś „szalona", „wrażliwa" lub „szczera"
– słuchasz muzyki pop
– kochasz nocne spacery i kolacje przy świecach
– masz trzydzieści lat i właśnie awansowałaś na kierownika restauracji szybkiej obsługi
– nosisz kolorowe rajstopy
– palisz
– masz tatuaż
– używasz słów: słodki, uwielbiam, kocham
– twoje zdjęcie przedstawia ciebie na tle szafy lub pięknej scenerii w rodzaju „Ja i piramidy"

– twój partner ma być pełen ciepła i dobrze cię traktować

– Nie próbuj tego zrozumieć, po prostu odpuść – zawyrokowała Magda.

– Ale powiedz sama: czy tak się zachowuje normalny człowiek? – zapytałam.

– Nie. I co z tego?

– Chyba powinnam coś z tym zrobić?

– A co proponujesz?

– Nie wiem. Może zapytać go, w czym jest problem?

– Zapomnij. Szkoda twojego czasu.

Magda spoglądała to na mnie, to na wyświetlacz komórki, przez całą rozmowę nie przerywając stukania w klawiaturę. Mój telefon tkwił głęboko ukryty w torebce. Nie musiałam go wyciągać, żeby wiedzieć, że nie mam żadnych wiadomości.

– Nie mogę tego tak zostawić – powiedziałam. – Chcę to rozgryźć. Zrozumieć, dlaczego oni to robią.

Od kilku miesięcy ze zdumiewającą regularnością przydarzał mi się ten sam scenariusz. Dostawałam wiadomość od faceta. Odpowiadałam. Wymienialiśmy kilka mejli, po czym on proponował spotkanie. Ustalaliśmy datę, on prosił o mój numer telefonu. A potem nigdy z niego nie korzystał. Nie dochodziło też do spotkania, bo ostatecznie nie padało konkretne miejsce ani godzina. I na tym obiecujący kontakt się urywał. Każdy.

– Padasz ofiarą epidemii niezdecydowanych kolesi – oceniła Magda, oblizując łyżeczkę z kawowej pianki. Znalazła dla mnie chwilę w galerii w centrum. Jej telefon znów zawibrował.

– Ale dlaczego nie mogą powiedzieć wprost, o co im chodzi? – zapytałam.

– A jakie to ma znaczenie? – Wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od klawiatury telefonu. Uśmiechnęła się bezwiednie. Nie byłam pewna, co bagatelizuje: dziwnych facetów czy moje problemy.

– Chciałabym wiedzieć – powtórzyłam. – To nie przypadek, że wciąż przydarza mi się to samo. Może gdzieś popełniam błąd?

Liczyłam, że Magda coś mi doradzi. Nigdy nie miała problemu z facetami. Przeciwnie, nie mogła się od nich opędzić. Jeśli na coś narzekała, to na to, że któryś nie chce się odczepić.

Nie bez znaczenia był też fakt, że Magda jako jedyna z moich bliższych znajomych była rodowitą warszawianką, miałam więc nadzieję, że dzięki temu posiadła wiedzę tajemną, jak rozgryźć chłopaków ze stolicy, którzy dla mnie nieodmiennie stanowili zagadkę.

– Po prostu masz pecha – powiedziała. – Popatrz na to w ten sposób: to lepiej, że nie dochodzi do tych randek. Omija cię większe rozczarowanie. Nie warto bujać się z rozlazłymi

typami. Z takimi nie warto nawet zaczynać. Ignoruj i do przodu. Następny proszę.

Po prostu odpuścić. Tego nie umiem. Żeby uporać się z czymś, co mnie trapi, muszę to najpierw zrozumieć. Potrzebuję logicznego wytłumaczenia, dopiero wtedy mogę przejść dalej.

Magda wysłała jeszcze kilka esemesów, a potem zapytała, czy się zbieramy. Niczego się nie dowiedziałam. Rozwiązanie zagadki musiałam znaleźć gdzie indziej.

Postanowiłam zapytać u źródła.

– Zapamiętaj, siostra: nie dzwoni, bo nie chce. Im szybciej to zaakceptujesz, tym będzie ci łatwiej. Oszczędzisz sobie rozczarowań, a twoje życie będzie prostsze.

Mój starszy brat. Kto, jak nie on, mógł mi wyjaśnić tajniki męskiej psychiki? Jak to się dzieje, że wróg i utrapienie z dzieciństwa w dorosłym życiu staje się ideałem faceta? Kiedyś nie mogłam z nim wytrzymać, dziś żałuję, że nie spotkałam takiego drugiego, niespokrewnionego.

– Przecież pisze. Proponuje spotkanie. Dopiero potem znika – tłumaczyłam.

– Nieistotne.

– To wszystko nie ma znaczenia? Może dopiero na etapie umawiania się robię coś nie tak? A jeśli to on czeka, aż ja coś zaproponuję?

– Robisz wszystko, jak trzeba. W umawianiu się na randkę nie ma żadnej filozofii. Tak jak w znikaniu faceta: nie kontaktuje się, bo nie jest zainteresowany – powiedział Marcin.

– To po co te podchody?

– Z nudów, z braku laku, dla draki. Co za różnica?

– Super. Z braku laku! Widzę, że we mnie wierzysz.

– To nieważne. Dla ciebie liczy się tylko informacja, że koleś się upłynnił. Przyjmij to do wiadomości. Nie zastanawiaj się, nie szukaj powodów, nie usprawiedliwiaj go.

– Ale jeden odezwał się do mnie po jakimś czasie. Przeprosił, powiedział, że coś mu wypadło i teraz znów chce się spotkać.

– Nigdy! Coś mu wypadło i nie mógł cię uprzedzić? O ile niespodziewanie nie urwało mu jaj, to sprawa jest prosta: obstawiał w tym czasie inną. Olała go, więc wrócił do ciebie.

– Ale dlaczego oni tak robią? – zapytałam. – Zawsze mnie uczyłeś, że faceci są prości, logiczni.

– Bo są! Nie można być bardziej wprost niż kogoś bezceremonialnie olać. Tylko wy, kobiety, nie umiecie tego zaakceptować. Bo nie możecie w to uwierzyć.

– Nadal nie rozumiem. Nie można grać fair, wyjaśnić, o co chodzi?

– Naprawdę byś tego chciała? Pomyśl.

Zawahałam się.

– To ja już nie wiem, co robić.

– Szukaj dalej. I pamiętaj: życie jest w sumie proste. Czasem trudne do zniesienia, ale proste.

Rozdział piąty

Adres: www.kochanie.pl/Zwykly_facet
Wiek: 29
Stan cywilny: kawaler
Znak zodiaku: Baran
Zawód: informatyk
Stosunek do dzieci: chcę
Poglądy dotyczące związków: tradycyjne
Zainteresowania: historia, rock, militaria
Osobowość: pracowity, konkretny, uczciwy
Szukam: kobiety

Mój opis:

Co tu dużo mówić – jaki jestem, każdy widzi.
Konkretny, sensowny facet. Podobno każda kobieta takiego szuka, ale kiedy go spotyka, nie umie go docenić. Woli takiego, który będzie nią pomiatał, a potem lamentuje, jacy faceci są źli. Otóż ja jestem w porządku, ale daję tylko jedną szansę.

Moja wymarzona partnerka:

Poznać ciekawego człowieka to jak zanurkować w morzu szamba i wyłowić piękną perłę. Mam niewielkie wymagania, choć życie pokazuje, że ze świecą szukać takiej, która je spełni. Moja kobieta nie może być ograniczona i pusta. Wystarczy, że będzie ładna i będzie miała sprawny mózg. Feministkom i innym emancypantkom dziękuję, nie będę też nikogo utrzymywał. Szukam kogoś, kto odróżni się od reszty durnego społeczeństwa.

Bilans pierwszego miesiąca:
– 5786 odwiedzin mojego profilu,
– 18 wiadomości,
– 1 oferta sponsoringu (niezbyt hojna),
– 3 wulgarne zaczepki,
– 1 pytanie (czy robię loda od ręki, czy trzeba mnie najpierw poznać),
– 1 konkretna propozycja spotkania.

Ostatnia pozycja na liście po bliższym przyjrzeniu się nie była już tak obiecująca. Lub przeciwnie – zbyt obiecująca: dla drugiej strony, która pewnie obiecywała sobie zbyt wiele.

Przystojny prawnik zapraszał mnie na drinka. Do swojego mieszkania. Nowocześnie, bezpośrednio i na luzie. A jednak byłam spięta. Na pierwszy rzut oka pasowało mi w nim wszystko, o ile udzielił na swój temat prawdziwych informacji. Instynkt samozachowawczy podpowiadał jednak: uciekaj. Mimo to zdecydowałam się zaryzykować i niezależnie od konsekwencji choć raz doprowadzić do spotkania.

Jedna z moich znajomych, która w sieci poznała przyszłego męża, poradziła mi, żebym starała się jak najszybciej konfrontować z kandydatami w realu.

– Nie ma sensu wymiana mejli i wirtualne pogłębianie znajomości – tłumaczyła. – To wszystko fikcja. Nie trać czasu na wyobrażenia i uprzedzenia. Zarówno dobre, jak i złe wrażenie może się zmienić podczas spotkania. Umawiaj się na żywo i wtedy decyduj.

Sama podeszła do sprawy metodycznie. Aby zmaksymalizować szanse na poznanie kogoś, kto by jej odpowiadał, systematycznie umawiała się na randki. Wyznaczyła sobie określoną liczbę spotkań w tygodniu. Aby wyrobić normę, nie czekała na propozycje, na ogół sama wychodziła z inicjatywą. Bywało, że spotykała się trzy razy dziennie: na śniadanie, lunch i kolację. Poskutkowało. Po trzech miesiącach mogła już zawiesić konto na portalu.

Skonsultowałam się z nią w sprawie bezpieczeństwa i zaproponowałam prawnikowi, że możemy się spotkać na neutralnym gruncie. Zaznaczyłam, że jeśli będzie się nam obojgu podobało, to oczywiście możemy się potem przenieść do niego. Odpisał, że niech mi będzie, że wobec tego proponuje pizzerię pod jego blokiem. Ponieważ mieszkał na drugim końcu miasta, zapytałam, czy moglibyśmy na początek umówić się w centrum. Tutaj jego cierpliwość się skończyła. Odpowiedział, że moje piętrowe wymagania na początku znajomości nie wróżą dobrze na przyszłość i w takim razie on rezygnuje.

A potem usunął mnie ze znajomych.

*

Pięć tysięcy siedemset osiemdziesiąt sześć odwiedzin mojego profilu. Pięć tysięcy siedemset osiemdziesiąt sześć razy oglądano moje zdjęcia, czytano mój opis i dokonywano co najmniej kilkusekundowej analizy, czy warto nawiązać ze mną znajomość. Dużo. Tyle miejsc ma nasz powiatowy stadion, na którym zawsze czułam się maleńka i bez znaczenia.

Ale w skali Warszawy pięć tysięcy to za mało. Nowy Stadion Narodowy ma dziesięć razy więcej siedzeń. Z perspektywy tak wielkiej widowni człowiek stojący na płycie głównej jest rozmiaru kropki. Dać się dostrzec przed równie liczną publicznością to sztuka. Nie jestem

pewna, czy w ogóle możliwa do wykonania.

Kiedyś było jakby łatwiej. Przyjechałam na studia jeszcze w czasach swojskiego Stadionu Dziesięciolecia. W soboty, które spędzałam w Warszawie, lubiłam robić tam zakupy. Miałam wtedy wrażenie, że jestem w domu. Nie tylko z powodu przypominających prowincjonalny bazarek kramów, przy których w życzliwej, niemal sąsiedzkiej atmosferze dobijało się targu. Czułam się dobrze wśród ludzi, których tam spotykałam. Stanowili przekrój narodowości i warstw społecznych. Cisi Wietnamczycy, rubaszni Ukraińcy, handlarze z Podlasia, drobne cwaniaczki z Grochowa, a nawet Murzyni, którzy sprawiali językowe niespodzianki, odzywając się po rosyjsku. Barwna i zróżnicowana stadionowa brać jednoczyła się we wspólnym położeniu. Wszyscy byliśmy przybyszami i wspólnie radziliśmy sobie w nowej sytuacji. Wspieraliśmy się wymianą towarów, dobrego słowa i pożywną zupą *pho*. Stadion przypominał obóz dla uchodźców z miejsc, do których nie było powrotu.

Dziś nie ma po nim śladu. A my, bywalcy Jarmarku Europa, rozproszyliśmy się i rozpuściliśmy w miejskim tyglu. Miasto stopniowo nas wchłonęło. Czy to znaczy, że jesteśmy już swoi?

Rozdział szósty

Adres: www.kochanie.pl/Blake
Wiek: 36
Stan cywilny: wolny
Znak zodiaku: Strzelec
Stosunek do dzieci: nie chcę
Poglądy dotyczące związków: otwarte
Czas wolny spędzam: daleko
Zainteresowania: survival, sztuka, kino
Szukam: seksu

Mój opis:

Szukam tej jedynej. Ale to nie oznacza, że żyję w celibacie. Każdy facet najpierw chce seksu, a potem zdecyduje, czy chce, żeby ona była jego dziewczyną.

Moja wymarzona partnerka:

1. Mięsko – mogę z przyjemnością wrzucić na… ząb.
2. Ciasteczko – potrafi dostarczyć niezwykłych wrażeń estetycznych i intelektualnych.
3. Padlina – nie ruszam.

Szukam Ciasteczka, a dopóki nie znajdę, nie rezygnuję z Mięska.

Miesiąc drugi:
– 13 871 odwiedzin mojego profilu,
– 46 wiadomości,
– 1 oferta układu obustronnych seksualnych korzyści,
– 1 propozycja dołączenia do małżeńskiego trójkąta,
– 1 zaproszenie na imprezę swingersów,
– 1 pytanie, czy chcę, żeby mi zrobić dziecko.
Miłość: 0.

Szukanie partnera w serwisie randkowym przypomina telezakupy.

Jestem produktem. Aby znaleźć nabywcę, muszę się wypromować. Osobiście zachwalać swoje wdzięki i prezentować możliwości. Wystawić się na pokaz i poddać ocenie. Pozwolić

się obejrzeć, dotknąć, wypróbować. Obowiązuje na mnie pełne prawo zwrotu. Jeśli nie spełnię oczekiwań, można zgłosić reklamację. Wolno mnie oddać bez podawania przyczyny. Co z ewentualnymi uszczerbkami powstałymi podczas ekspozycji? Nie szkodzi, próbom poddawany jest tylko egzemplarz okazowy, zainteresowany kupnem dostanie odświeżoną wersję, tylko dla niego. W razie jakichkolwiek zastrzeżeń zostanie przyznany rabat lub bonus. Można się targować.

*

– A może powinnaś pójść z tym do terapeuty? – zastanawiała się głośno Magda, wyciągając się na kwiecistej kanapie.

Łukasz *vel* Luk, jej aktualny chłopak, z uznaniem pokiwał głową zza kuchennego bufetu, grzechocząc filiżankami. Nie byłam przygotowana na to, że będzie w mieszkaniu, kiedy Magda zaprosiła mnie na kawę.

– Myślisz, że powinnam się leczyć? – zapytałam zmieszana.

– Nie, ale sama powtarzasz, że kwestia facetów cię dręczy. A psycholog pomaga w takich sprawach.

– Czyli w jakich? – udałam zdziwienie. Kiedy Luk schylił się, by wyjąć coś z szafki, dodałam szeptem: – Czy możemy porozmawiać o tym kiedy indziej?

– W takich, kiedy nie możesz sobie z czymś poradzić lub kiedy z jakichś przyczyn uporczywie przydarza ci się to samo – wyjaśniła. – A nim się nie przejmuj, nic nie słyszy.

– Przecież ci przytakuje.

– Kiwa się w rytm muzyki, ma słuchawki. Ostatnio odkrył nowe brzmienia.

– Mówiłaś, żebym nie doszukiwała się reguł w dziwnym zachowaniu facetów. – Spojrzałam na podrygującego Luka, który rozlewał kawę w okolice filiżanek.

– Nadal tak sądzę, ale to rzeczywiście dziwne, że natrafiasz na taki opór. Warto się nad tym zastanowić. Może problem nie tkwi w nich, tylko w tobie?

Luk postawił przed nami dwie smoliste kawy. Odwrócił się na pięcie, zanim zdążyłam zapytać o mleko i cukier.

– Czyli co twoim zdaniem robię źle? – zapytałam, unosząc ociekającą filiżankę.

– Nie wiem. Może nic. Tego właśnie dowiesz się od psychologa – powiedziała. – Dziękujemy ci, kochanie – zwróciła się do Luka.

Ten posłusznie zniknął za drzwiami pokoju. A jednak słyszał.

– Skoro psycholog mi powie, że nie ma w tym mojej winy, to po co mam płacić za wizytę?

– Ojeju, Ewka – zniecierpliwiła się Magda. – Jesteś taka dosłowna. I może tu jest pies

pogrzebany. Ty byś chciała dokładnej recepty, wzoru na szczęśliwy związek. A w życiu tak nie ma. Trzeba być elastycznym, na bieżąco dostosowywać się to tego, co się dzieje. Płynąć z prądem, a nie stawać okoniem.

– To może lepiej zapiszę się na basen?

– Proszę, znowu to samo. Kpisz, a ja naprawdę chcę ci pomóc. Psycholog nie udzieli ci rady: zrób to i tamto, ale może ci pomóc dostrzec pewne rzeczy. Podpowie, jak coś w sobie odblokować, wyjść ze schematu.

– Dobrze, już dobrze. Pomyślę o tym. Może rzeczywiście nie zawadzi spróbować.

– Spróbuj koniecznie. Mogę ci polecić mojego, jest świetny.

– Chodzisz na terapię?

– A co w tym dziwnego? To żaden wstyd. To higiena emocjonalna.

– Zaskoczyłaś mnie. Nie sprawiasz wrażenia osoby, która potrzebuje jakiegokolwiek wsparcia. Tobie wszystko się udaje.

– To fakt – zgodziła się. – Ale, kochana, dziś nie ma nic za darmo.

Rozdział siódmy

Psycholog poleciła mi odpowiedzieć sobie na kilka podstawowych pytań.

Umówiłam się na wizytę w centrum terapeutycznym mieszczącym się w starym biurowcu w Śródmieściu. Ciemny, pozbawiony okien parter budynku zajmowała recepcja, urządzona z przebrzmiałym rozmachem lat dziewięćdziesiątych. Naprzeciw niej wisiała korkowa tablica z wykazem firm i instytucji zajmujących poszczególne piętra budynku, nie musiałam więc zadawać kłopotliwego pytania, gdzie znajduje się poradnia. Poszłam za strzałką, a portier taktownie nie podniósł nawet głowy znad gazety.

W długim, wyłożonym zieloną wykładziną korytarzu nikt nie czekał mimo dwóch rzędów krzesełek ustawionych wzdłuż ścian. Kilkanaście par drzwi wyściełanych pikowaną imitacją skóry nie przepuszczało żadnych odgłosów z wnętrza gabinetów. W oczekiwaniu na sygnał, że mogę wejść, towarzyszyło mi tylko nerwowe miganie jarzeniówek, nadających niepokojący rys symetrycznej do bólu poczekalni.

– Dlaczego tak bardzo zależy pani na założeniu związku?

Psycholog wpatrywała się we mnie uważnie, wygodnie oparta w profilowanym fotelu. Była krótko ostrzyżona, miała na sobie błękitną koszulę i granatową marynarkę. Złożyła dłonie na otwartym notatniku, który trzymała na kolanach. Biła od niej jasność umysłu i najwyraźniej oczekiwała ode mnie równie jasnej odpowiedzi. Nawet zielona herbata w jej białej filiżance parowała równomiernie, prosto do góry, nie błądząc na boki.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie byłam przygotowana na takie pytanie. Zakładałam, że zostanę poproszona o wyjaśnienie, w jakiej sprawie przychodzę, więc zawczasu ułożyłam zwięzły opis mojego frustrującego problemu, żeby nie tracić cennych minut kosztownej wizyty. Sądziłam, że skupimy się na znalezieniu sposobu na osiągnięcie celu. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego do tego celu dążę.

Stworzenie związku, a potem rodziny wydawało mi się tak naturalne jak skończenie studiów i pójście do pracy. Nad czym tu myśleć? Nie miałam innego pomysłu na życie. Nie rozważałam innego scenariusza. Pewnie, są ludzie, którzy żyją inaczej, ale ich sposoby albo mi nie odpowiadały, albo nie mogłam sobie na nie pozwolić.

Nie pytałam siebie przecież, dlaczego zależy mi na znalezieniu pracy. To proste: muszę pracować, żeby mieć pieniądze na utrzymanie. Podobnie jest z miłością – staram się ją zdobyć, bo jej potrzebuję. Są ludzie, którzy mają jej aż nadto, inni próbują żyć bez niej, ale ja nie chcę. Widzę siebie w rodzinie i ta wizja mi się podoba. Jedyny wniosek, do którego zdołałam dojść podczas rozmowy z terapeutką, był taki, że skoro instynktownie dążę do życia

w parze, musi to wynikać z moich naturalnych potrzeb.

Okazało się jednak, że to niewystarczający powód. Moja wewnętrzna inklinacja do związku wcale nie była taka oczywista. I wcale nie musiała być „moja”. Dalsza część rozmowy uświadomiła mi, jak bardzo oddziałują na nas inni. Nie zdajemy sobie sprawy, że nasze marzenia i pragnienia często wcale nimi nie są. Powtarzamy w myślach cudze głosy, usłyszane w rozmowach, przeczytane w książkach, wyuczone z filmów. Dźwięczą nam w głowach jak natrętna piosenka, której możemy nie lubić, ale która tak wryła się w pamięć, że stale nam towarzyszy. Zanim zdecydujemy się podporządkować jej życie, warto się wsłuchać, jaka to melodia.

Byłam zdezorientowana. Pomijam to, że czułam się zażenowana, że nie mam bardziej wyrafinowanych problemów niż banalne pragnienie miłości, bo to zdążyłam już przełknąć, umawiając się na wizytę. Zawstydziłam się, że podeszłam do mojego życia bezmyślnie. Uparłam się na coś, czego nie przemyślałam i co być może zostało mi narzucone. Chciałam odrysować moje szczęście od gotowego szablonu i nie zadałam sobie trudu, żeby mu się przyjrzeć. Może gdybym została wychowana inaczej, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby tak usilnie kogoś poszukiwać? Może niepotrzebnie kogoś potrzebowałam?

Terapeutka wyrwała mnie z zamyślenia, wyznaczając mi zadanie domowe. W najbliższym otoczeniu miałam zaobserwować i wypisać inne życiowe możliwości niż rodzina. Liczył się każdy, kto przez dłuższy czas żył poza stałym związkiem, z wyboru lub w wyniku splotu różnych okoliczności. Żeby wynieść z tego zadania jak najwięcej, postanowiłam przeprowadzić kilka rozmów, żeby przekonać się, czy te osoby czują się szczęśliwe.

W ciągu kilku dni udało mi się sporządzić listę żyjących w pojedynkę. Może nie była oszałamiająco długa, ale miałam już nad czym pracować. Znaleźli się na niej zdeklarowani single, rozwodnicy, niestali w uczuciach, czyli osoby z tendencją do nawiązywania krótkotrwałych więzi, duchowni oraz osoby poświęcające się pasjom lub karierze. Niektórzy zaliczali się do kilku grup jednocześnie. Do osobnej kategorii zakwalifikowałam osoby otwarcie podkreślające, że związek nie ma dla nich znaczenia, nawet jeśli akurat w nim były.

Zależało mi na omówieniu plusów i minusów samotności w szczerej rozmowie, więc umówiłam się na kilka spotkań. Po uwzględnieniu stopnia znajomości, odległości i możliwości czasowych ostatecznie udało mi się porozmawiać z babcią, Inką i Iwo.

Rozdział ósmy

Moja babcia ponad pięćdziesiąt lat przeżyła z dziadkiem. Ponieważ od piętnastu jest wdową, więc uwzględniłam ją w mojej ankiecie. Poza tym mogła porównać oba stany: życie z mężem i bez. Jeśli dodać do tego dziewięćdziesiąt trzy przeżyte lata, mogła okazać się prawdziwą skarbnicą wiedzy. Zofia, czyli mądra.

Mieszka sama, w małym domku wśród pól, który zbudowali z dziadkiem własnymi rękami. Uwielbiam go i żałuję, że nie znajduje się w Warszawie. Babcia też – czwórka jej dzieci mieszka w promieniu kilkuset kilometrów od niej. Co kilka tygodni w piątek po pracy pakuję podręczną torbę, wsiadam w samochód i zamiast do rodziców jadę do niej.

– Ewcia! Moja najładniejsza wnusia! – Babcia uściskała mnie na powitanie. Zawsze mogłam na nią liczyć. – Wchodź, siadaj!

Odziedziczyłam po niej wysoki wzrost i miałam nadzieję, że będę się podobnie pięknie starzeć. Zawsze pogodna, dowcipkująca. Mimo wieku wyprostowana, ze starannie zakręconymi włosami. Podjęła mnie w sznureczku pereł i białym kołnierzyku. Dzień jak co dzień.

Zastałam ją w trakcie robienia domowego makaronu. Nie uznawała kupnego. Moja mama często pozwala sobie na żarty z babci, swojej teściowej, mając ją za flagowy przykład matki Polki, która zaharowuje się dla rodziny. Fakt, u babci zawsze można było liczyć na okupione wielogodzinną pracą domowe smakołyki. Choć jej mąż i dorosłe dzieci dawno już opuściły dom, nie porzuciła starych nawyków. Chwyciłam długi nóż i przyłączyłam się do krojenia makaronu na cienkie nitki. Starałam się robić to uważnie, mimo to ciasto rwało się lub tasiemki wychodziły za szerokie. W tym samym czasie spod śmigającego noża babci wychodziły równiutkie niteczki. Doskonałość.

– Jak ci jest, babciu?

– A jak ma być? Znakomicie! Wolna jak ptak, robię, co mi się podoba. A czasem nic.

W to akurat nikt by jej nie uwierzył.

– Nie czujesz się samotna?

– Nie, dziecko. Mam swoje zajęcia. Czasem ktoś mnie odwiedzi, jak ty teraz. A wieczorami rozmawiamy sobie z dziadkiem. – Mrugnęła do mnie.

– Co u niego słychać?

– Ci z polityki doprowadzają go do szału. I trochę narzeka, że mu zimno. Poza tym wszystko dobrze.

– Tęsknisz za nim?

– Troszkę. Ale można się przyzwyczaić. Dziadek i tak zawsze był trochę nieobecny.

– Jak to?

– Wiesz, jacy są mężczyźni. Nigdy ich nie ma, nawet jak są.

– Wydawało mi się, że byliście z dziadkiem nierozłączni. Pięćdziesiąt lat razem. Trudno mi to sobie wyobrazić, to dużo więcej niż całe moje życie.

– Niemal drugie tyle przeżyłam sama. A jeśli się dobrze zastanowić, to o wiele dłużej.

– Co masz na myśli, babciu?

– Urodziłam się przed wojną i jak wiesz, wyszłam za dziadka dopiero w wieku dwudziestu ośmiu lat. To było bardzo późno jak na tamte czasy. Moja matka jako osiemnastolatka czuła się już starą panną i drżała, czy ktoś ją zechce. Ale ja się nie martwiłam. Kiedy byłam młoda, chłopców po prostu nie było. Poszli na wojnę i zostali tylko starcy. Albo małolaty.

– Zupełnie jak dzisiaj – mruknęłam.

– Poza tym mieliśmy poważniejsze zmartwienia. W czasie wojny skupialiśmy się na tym, żeby przeżyć. Nikt nie miał odwagi robić planów na przyszłość. Żyliśmy z dnia na dzień. I każdego wieczoru świętowaliśmy małe zwycięstwo, że znów udało się przetrwać.

Babcia zdjęła pokrywkę z parującego garnka i zaczęła wrzucać garście makaronu na wrzątek. Zawsze fascynowało mnie, jak starsi ludzie bez wysiłku opowiadają o strasznych rzeczach z przeszłości. Jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

– Ale kiedy w końcu poznałaś dziadka i wzięliście ślub, byłaś szczęśliwa?

– Oczywiście. Przede wszystkim byłam spokojna. Że złe już się skończyło. I że od teraz nie będę już sama.

A jednak.

– Ale niezupełnie tak było. To prawda, miałam mężczyznę u boku. Ale i na głowie. Szybko urodziły nam się dzieci. Zbudowaliśmy dom. A kiedy najważniejsze sprawy zostały załatwione, wszystko spadło na mnie.

Rzeczywiście, w każdym moim wspomnieniu widzę dziadka siedzącego w fotelu. Pali fajkę, czyta gazetę lub napełnia kieliszki nalewką. A babcia od rana do wieczora krąży po domu, wciąż czymś zajęta. Opala piec, przynosi zakupy, szykuje posiłki, sprząta, pierze, prasuje, krochmali, ceruje. Każdego dnia.

– Twoja mama podśmiewa się ze mnie, bo całe życie byłam gospodynią domową i nigdy nie pracowałam – westchnęła babcia.

– Ona ci zazdrości, babciu.

– Ale ja chętnie bym się z nią zamieniła. Tylko nie dano mi wyboru. A potem było już dla mnie za późno.

– Nie pytasz mnie o kawalera, babciu?

– Jeśli będziesz miała ochotę, sama mi opowiesz. – Pogładziła mnie po włosach.

– Wiesz, chętnie bym ci opowiedziała. Ale nie mam o kim. – Głos mi zadrżał.

Siedziałam na taborecie przy kuchennym stole, a ona obejmowała mnie pomarszczonymi dłońmi. Wdychałam zapach jej fartucha i wykrochmalonej bluzki.

– I co z tego?! – zawołała wesoło babcia. – Mało to innych tematów? Dwie mądre kobiety nie potrzebują chłopów, żeby mieć o czym rozmawiać.

Ze wstydem przypomniałam sobie ostatnie narady z Magdą. Czy my kiedykolwiek rozmawiałyśmy o czymś innym?

– Boję się, co ze mną będzie – powiedziałam cicho.

– A co ma być? Same wspaniałości! Świat stoi przed tobą otworem. Tylko brać!

– Ale ja chciałabym kogoś mieć. Tak zwyczajnie. Jak każda dziewczyna.

– Zdążysz! To nie jest teraz najważniejsze.

– Mam trzydzieści lat.

– Cudowny wiek! Ach, ile bym dała, żeby przeżyć choć tydzień w twojej skórze! Masz tyle możliwości, których ja nie miałam. Podróże, sklepy pełne wspaniałości, świat stojący otworem przez ten cały internet. Za moich czasów…

– Wiele z tych współczesnych dobrodziejstw jest też dostępnych dla ciebie, babciu. Powiedz, na co masz ochotę, a ja ci pomogę.

– We wszystkim? – zapytała zawadiacko babcia.

– W czym chcesz – zapewniłam z uśmiechem.

– Zgoda. Szkoda tylko, że nie wrócisz mi młodości. Ale twoja młodość trwa teraz. Doceń to. Możesz wszystko. Masz wybór.

Mam?

Rozdział dziewiąty

– Jeśli coś w życiu umiem robić naprawdę dobrze, to być sama – zaśmiała się Inka.

I urządzać mieszkanie, pomyślałam.

Postawiła przede mną wysoką szklankę z puszystym, trójwarstwowym latte. Zrobiła je chwilę wcześniej w ekspresie w swojej funkcjonalnej kuchni. Przyjaźniłyśmy się w pierwszej pracy, jeszcze na studiach. Zawsze zachwycała mnie atmosfera, którą Inka potrafiła wokół siebie stworzyć. Choćby mieszkała w najmniejszym wynajmowanym pokoiku, za pomocą kilku niedrogich przedmiotów umiała wyczarować stylowe, klimatyczne miejsce, którego nie chciało się opuszczać.

Jej obecne mieszkanie, już własne, pozwoliło Ince w pełni zaprezentować dekoratorskie zdolności. Przestronne dwupokojowe studio pomalowała na odważne, ciepłe kolory. Nasycone czerwienie i czekoladowe brązy zestawiła z białymi meblami, spinając wszystko szklanymi dodatkami i dużą ilością bocznych świateł. Choć wszystko kupowała w sieciowych marketach, każda rzecz zdawała się wysmakowana i starannie dobrana do reszty. Na tym tle wystrój mojego mieszkania sprawiał wrażenie mieszanki tandetnych, niepasujących do siebie durnostojek, które po przyniesieniu ze sklepu straciły połowę swojego uroku. Inka zaś z każdego, nawet niepozornego przedmiotu wydobywała styl i klasę. Jakby rzeczy ożywały dopiero pod jej magiczną ręką.

Mimo to rzadko miewała gości. Ojca nie znała, a matka kilkanaście lat wcześniej wyjechała do pracy do Niemiec i widywały się raz na miesiąc, czasem rzadziej. Wiele wskazywało na to, że byłam jej jedyną koleżanką, ale nie spotykałyśmy się często. Martwiłam się, że Inka jest taka samotna. Wydawało mi się, że tyle godzin spędzanych codziennie w odosobnieniu musi ciągnąć się w nieskończoność. Ale z czasem dostrzegłam, że ona nie ma nic przeciwko temu, żeby być sama.

– Właściwie to mi odpowiada – powiedziała, zapadając się w fotelu w czerwone pasy. Był piękny i natychmiast zapragnęłam mieć taki sam, ale wiedziałam, że nie umiałabym go z niczym zestawić. – Teraz, kiedy w moim życiu przewija się więcej ludzi, w ciągu dnia tęsknię do tego, żeby wieczorem zamknąć za sobą drzwi.

– Przepraszam, że cię o to spytam, ale nie brakuje ci kogoś bliskiego? Nie chodzi mi o znajomych wpadających na imprezki i pogaduchy, ale żeby mieć do kogo wracać.

– Masz na myśli faceta? W takich, którzy czekaliby na mnie w domu, mogę przebierać. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu jednego spławiłam.

– Nie byłaś zainteresowana?

– Ewka, a po co mi ktoś taki? Niech się bierze do roboty, a nie siedzi w mieszkaniu – prychnęła. – To samo doradziłam dziś łachmycie, który przed sklepem prosił mnie o pieniądze. Był w naszym wieku! Zdrowe, silne chłopisko. Jak mu nie wstyd? Mówiąc poważnie, amatorów zaradnych dziewczyn nie brakuje, ale ja nie mam ochoty nikogo holować.

– Czyli jesteś sama, bo nie spotkałaś odpowiedniego partnera? – zapytałam.

– Można tak to nazwać. Ale nie powiem, żebym kogoś aktywnie poszukiwała.

– To znaczy, że nie masz takiej potrzeby?

– To cię dziwi?

– Przyznaję, że tak. Zdecydowana większość dziewczyn, które znam, chciałaby kogoś mieć. Ja chcę.

– Punkt za szczerość. Dziś nie wypada nazywać rzeczy po imieniu. Każda chce, ale za nic się do tego nie przyzna. Tak jak żadna nie powie, że czyta romanse. A przecież sprzedają się świetnie.

– Dziś nazywa się je literaturą obyczajową – zaśmiałam się.

– Odpowiadając na twoje pytanie: chciałabym, pewnie. Ale nie za wszelką cenę. Umiem bez tego żyć.

– Zazdroszczę ci – westchnęłam. – Mnie to jednak męczy. Czuję, że czegoś mi brak.

– Oczywiście, męski pierwiastek jest potrzebny i nie ma co się oszukiwać, że można go czymś zastąpić. Dlatego nie zamierzam rezygnować z seksu i na szczęście dziś jest o niego o niebo łatwiej niż kiedyś. Nowe czasy coś nam odebrały, ale i dały coś w zamian.

– Tak, seks jest dostępny od zaraz. – Pomyślałam o wirtualnych kochasiach ochoczo zapraszających mnie pod kołdrę. – Ale ja chciałabym się zabezpieczyć.

– To chyba nietrudne? – Spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami.

– Mam na myśli zatroszczyć się o przyszłość – pospieszyłam z wyjaśnieniem. – Gdzieś w głębi strasznie mnie martwi, że zostanę sama.

Inka podniosła szklankę do ust i przymknęła oczy. Nie byłam pewna, czy odgania złe myśli, czy delektuje się kawą.

– Czasami strach jest gorszy od tego, czego się obawiasz – powiedziała w końcu. – Spróbuj wykorzystać czas samotności, by zmierzyć się z tym, co cię przeraża.

– Ale jak mam to zrobić? – Głośno przełknęłam kawę.

– Nie uciekaj. Spójrz lękowi w oczy. Ja kiedyś nie miałam wyboru, musiałam to zrobić. Miałam czternaście lat, kiedy mama wyjechała i zostałam sama.

– Musiałaś być bardzo dzielna. Jak sobie poradziłaś?

– Zwyczajnie. Przeżywałam dzień po dniu. Ty też sobie poradzisz. Przyjmij, że to, czego tak

się boisz, już się właściwie stało. Jesteś sama. I czy to rzeczywiście jest takie złe?

Zamyśliłam się.

– Teraz na przykład nie jest źle. Siedzimy tu razem, zrobiłaś pyszne latte.

– Otóż to. – Uśmiechnęła się.

– Ale boję się, co będzie za rok, za kilka lat…

– Nie myśl o tym. Jest dzisiaj. I zajmij się dzisiejszym dniem. Nie pozwól, żeby obsesyjna tęsknota za czymś, co się nie wydarza, zdominowała twoje życie. Szkoda by było. Jeszcze kawy?

Rozdział dziesiąty

– Seks jest przereklamowany, a miłość nie istnieje. – Iwo wzniosła do góry szklankę whisky. Nie pozwalała nazywać się Iwoną, nie znosiła tego imienia. Studiowałyśmy razem, ale nigdy blisko się nie przyjaźniłyśmy. Zbyt wiele nas różniło. Po latach przerwy połączył nas Facebook.

Spotkałyśmy się w modnym klubie w centrum. Chłodne, minimalistyczne wnętrze ze szkła i metalu, wypełnione chilloutowym brzmieniem. Wolałam spotkać się w bardziej kameralnym miejscu, ale niepotrzebnie się obawiałam – nikt nie zwracał na nas uwagi. Pozostali klienci nieobecnym wzrokiem śledzili zawieszone na ścianach ekrany.

Usiadłyśmy za barem i stuknęłyśmy się szklankami. Po pierwszym łyku skrzywiłam się i poprosiłam barmana o dodatek coli.

– Czyli odpowiada ci życie singielki – wywnioskowałam.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie cierpię tego określenia.

Przy Iwo musiałam uważać na każde słowo.

– Prawdę mówiąc, zbieram informacje na temat osób, zwłaszcza kobiet, które wybrały życie bez zobowiązań. Taki prywatny *research*.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Powiedzmy, że szukam własnej drogi.

– Pytasz o wybór świadomy czy pozorny? To zasadnicza różnica.

– Jaka?

– Dziś wiele dziewczyn deklaruje, że nie potrzebuje mężczyzn. Ale najczęściej nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Ta czcza gadanina to najlepszy dowód na ich uwielbienie.

– Chyba nie nadążam.

– Demonstracyjne odżegnywanie się od związku to w rzeczywistości desperackie o niego wołanie. I próba dorównania facetom. Udawanie niezależności.

– OK, zapisuję. Ale ty nie udajesz? – zapytałam przymilnie.

– Nie. Poza tym nie jestem sama, więc nie wiem, czy pasuję do twojego badania.

Tego się nie spodziewałam. Nigdy nie widziałam Iwo z żadnym facetem. Nawet na zdjęciach.

– Gratuluję. Jak mu na imię? – zainteresowałam się.

– Kolejne błędne założenie. Najwyższa pora, żebyś wyszła z myślowych kolein i otworzyła swój umysł.

Podała mi paczkę papierosów. Poczęstowałam się, choć nie palę. Tylko czasami.

– Ona. Jak ona ma na imię – dokończyła Iwo, wyciągając w moją stronę zapalniczkę.

Zakrztusiłam się przy próbie odpalenia papierosa. Zbiła mnie z tropu. Iwo z kobietą? Przecież nie odzywała się do mnie przez cały trzeci rok, bo uważała, że podczas jakiejś imprezy odbiłam jej chłopaka. A ja nie pamiętałam nawet, jak wyglądał.

– Lina. – Iwo wyrwała mnie z zamyślenia.

– Słucham? – zapytałam, wciąż kaszląc.

– Ma na imię Lina.

– Ładnie – wydusiłam z siebie.

Nie wnikałam, czy to skrót od Pauliny lub Andżeliny. Pospiesznie popiłam whisky, żeby załagodzić krztuszenie. Błąd. Oczy natychmiast zaszły mi łzami.

– Sprawiasz wrażenie zdziwionej – powiedziała Iwo. Wyraźnie chciała, żebym pociągnęła ją za język i zamierzała mi w tym pomóc.

– Rzeczywiście, nie wiedziałam, że interesują cię kobiety.

– Interesują! – parsknęła. – Zgrabnie to ujęłaś. To prawda, kobiety są niezwykle interesujące. Fascynujące. – Zaciągnęła się, patrząc mi w oczy.

– Od kiedy jesteście razem?

– A jakie to ma znaczenie? Nie liczę czasu. Ważne, że jest nam razem fantastycznie.

– A jak… to się zaczęło?

Głośno się roześmiała.

– Oj, Ewa… Pomogę ci, taktowna dziewczynko. Chcesz wiedzieć, od kiedy sypiam z kobietami? Od kilku lat. Zaczęłam jeszcze na studiach.

Ostrożnie spróbowałam zaciągnąć się papierosem. Wdech i wydech.

– Nie wiedziałam.

– Ja też nie. I mogłabym jeszcze długo żyć w nieświadomości, gdybym pewnego dnia nie postanowiła spróbować. Wyświadczyłam tym sobie największą przysługę.

– To znaczy, że sama z siebie nie czułaś wyraźnego pociągu do kobiet? Przynajmniej na początku?

– Czułam przejmującą tęsknotę, głębokie pragnienie bliskości. Z rozpędu założyłam, że za mężczyznami. Ale okazało się, że moim powołaniem są kobiety.

Zgasiła papierosa w szklanej popielniczce, przypieczętowując swoje oświadczenie.

– Wybacz, ale mówisz o tym tak beznamiętnie. Jakbyś całe życie jeździła starym fiatem i nagle przesiadła się do volvo.

– Znakomite porównanie! Bardzo prawdziwe. Kiedyś wiecznie nie mogłam odpalić i ryzykowałam zdrowie, a teraz cieszę się komfortową, bezpieczną jazdą.

– Ale to brzmi tak, jakby przeniesienie uwagi na kobiety było przemyślaną decyzją, podjętą pod kątem tego, co ci się bardziej opłaca.

– Ależ tak właśnie było!

– A tak się da? Czy to w ogóle możliwe?

– Oczywiście. Ale rozumiem twoje zdziwienie. Sama byłam sceptycznie nastawiona. Złościło mnie, że ciągle mam pod górkę i wciąż muszę stawiać czoła nowym przeciwnościom. Ale byłam już tak wyczerpana głodem miłości i kolejnymi rozczarowaniami, że nie miałam wyboru. Musiałam być elastyczna.

– Chcesz powiedzieć, że związek z kobietą to jedyna alternatywa?

– Tego nie wiem. Choć to najprostsze rozwiązanie, bo podobno jest nas coraz więcej. – Zaśmiała się. – Jedno jest pewne: warto szukać nowych rozwiązań. Nie widzę możliwości, żeby stare mechanizmy dalej funkcjonowały. Z czasem będzie coraz trudniej.

– Dlaczego?

– Bo kobiety stały się zbyt silne i wymagające. A mężczyźni wpadli w popłoch i urządzają sabotaż.

– Co masz na myśli?

– Nie od dziś wiadomo, że faceci mają za uszami. Nasi, krajowi, przede wszystkim to, że znikali wtedy, gdy byli najbardziej potrzebni. Najpierw poszli na wojnę, a potem w wódę. Na dobrą sprawę nigdy nie wrócili. Teraz też nie mają pomysłu, co robić z kobietą, więc na wszelki wypadek stosują opór.

– W jaki sposób?

– A jak inaczej nazwać to, co się dzieje? Nie chcą się wiązać, żenić, mieć dzieci. Mszczą się za to, że kobiety są im niezbędne. Wściekle biorą to, czego od nich potrzebują, a potem zamykają im drzwi przed nosem. Szkoda mi czasu, żeby z tym walczyć.

– Mimo wszystko twoje rozwiązanie wydaje mi się nierealne. Może w twoim przypadku zadziałało, ale raczej nie każdy się w tym odnajdzie.

– Dlaczego?

– No nie wiem. To trochę wbrew naturze – powiedziałam. Od razu zrozumiałam swój błąd.

– Masz jakieś ideologiczne obiekcje? – żachnęła się Iwo.

– Mam na myśli to, że nie wszystko da się w sobie zaprogramować siłą umysłu. Co z biologią, wychowaniem, wpływem kultury? Nie da się tego wykreślić.

– Chodzi ci na przykład o ogłupiające książki i filmy dla kobiet? Do moich ulubionych należą takie, w których byle mimoza, nazwijmy ją „zwykła dziewczyna”, spotyka wolnego, szlachetnego, nieprzyzwoicie bogatego przystojniaka, który ściele jej się u stóp, a ona tylko

kręci na niego nosem. Zanim klepnie się w czoło i wpadnie na to, żeby się w nim zakochać, on musi ją niestrudzenie wabić, ratować z opresji bądź oferować milion dolarów za jej towarzystwo. A potem zamykasz książkę, wychodzisz z kina i pytasz: „No co jest? Dlaczego mnie nikt nie zdobywa?”. Brednie! – Podniosła drinka i wychyliła go do dna, a pustą szklankę z brzękiem postawiła na blacie. – Poza tym bycie z większością współczesnych facetów nie tak bardzo różni się od bycia z dziewczyną.

– Jak to?

– A kiedy ostatnio miałaś do czynienia z tradycyjnym, męskim mężczyzną? Pytam o naszych rówieśników, bo starsi czasem się zdarzają, ale sama nie jestem koneserką dziadków. Więc kiedy? Bo ja nie pamiętam. Wszystko teraz takie zniewieściałe, nadęte, z problemami. Kiedyś przynajmniej faceci bezwarunkowo chcieli się bzykać. A teraz? Wymagania, zastrzeżenia. A idźcie mi w cholerę! Z babą przynajmniej wiem, co jest grane.

Spojrzałam na kilku samotnych facetów za barem. Nadal patrzyli w ekrany, na których sprężystym krokiem przechadzały się modelki z Victoria’s Secret. Oparłam się łokciami o szklany blat, w którym ujrzałam nasze postawione na głowach odbicia.

– I z ręką na sercu możesz powiedzieć, że jesteś teraz sobą? – zapytałam.

Iwo kolejny raz tego wieczoru podniosła szklankę, a barman ponownie ją napełnił.

– Z ręką na sercu. To ja. Ale nowa, lepsza. Dojrzała. A teraz wypijmy. Za szczęście, które jest decyzją!

Rozdział jedenasty

Adres: www.kochanie.pl/Moreno
Wiek: 34
Stan cywilny: na zawsze wolny
Znak zodiaku: Skorpion
Praca/finanse: manager
Czas wolny: imprezy, kino, kluby
Zainteresowania: gry komputerowe, gitara, tatuaż
Szukam: kobiety

Skoro czytasz mój profil, pewnie ci się podobam. Ale pamiętaj, że to ma swoją cenę. Jestem fajny właśnie dlatego, że nie dam się urobić i nigdy nie będę dobrym chłopakiem. Na tym polega ta zabawa. Reklamacji nie przyjmuję, więc nie rób z siebie męczennicy. Jeśli jesteś zainteresowana – zapraszam. Nie sądzę, żeby istniała kobieta, która umiałaby za mną nadążyć. Ale marzenia nic nie kosztują. W każdym razie jeśli:
– nie mieszkasz w Warszawie,
– nie masz wyższego wykształcenia,
– nie uprawiasz sportu,
– nie jesteś towarzyska,
– nie chodzisz do łóżka na pierwszej randce,
– nie poszłabyś ze mną na plażę naturystów,
– nie lubisz seksu oralnego,
nie zawracaj mi… głowy. Szkoda ścierać farbę z klawiatury.

Miesiąc trzeci:
– 23 314 odwiedzin mojego profilu,
– 96 wiadomości,
– 3 dłuższe korespondencje zakończone rozczarowaniem,
– 2 niezbyt udane spotkania,
– 1 wystawienie do wiatru,
– 1 propozycja wyjazdu do Szwecji w celu matrymonialnym,
– 1 stalker (zgłosiłam nadużycie).
Miłość: 0.

– Bardzo dobrze wykonała pani zadanie. Cieszy mnie pani zaangażowanie – powiedziała psycholog, podając mi filiżankę zielonej herbaty. Opowiedziałam jej o moich obserwacjach i rozmowach, które przeprowadziłam.

– Uznałam, że to dobra okazja, żeby odświeżyć niektóre kontakty. Na początku obawiałam się, że te spotkania nie wypadną naturalnie i moje rozmówczynie mogą dziwnie zareagować, ale okazało się, że chętnie podzieliły się ze mną swoimi doświadczeniami. Dostałam od nich dużo wsparcia.

– Rozmowy z innymi kobietami są bardzo ważne. – Terapeutka usiadła naprzeciw mnie. – Można z nich czerpać siłę na każdym etapie życia. To cenny zasób, z którego warto korzystać.

– Będę o tym pamiętać.

– Czy podczas zbierania informacji i prowadzenia rozmów nasunęły się pani jakieś wnioski?

– Czy ja wiem? Chyba rzeczywiście można żyć na różne sposoby.

– Zabrzmiało to tak, jakby nie była pani przekonana. – Psycholog uważnie przyjrzała mi się znad notatnika.

– Co do tego, że różne opcje życiowe wchodzą w grę, nie mam żadnych wątpliwości. Ale sądzę, że często nie są one świadomym wyborem.

– To znaczy?

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że niektóre kobiety żyją samotnie, bo tak im się ułożyło życie. Musiały się przystosować, zaakceptować sytuację, żeby wyciszyć frustrację i poczucie niespełnienia.

– Nie możemy tego wiedzieć, dopóki nie jesteśmy w ich skórze.

– Same dały mi to do zrozumienia.

– Nawet jeśli to prawda, to czy jest w tym coś złego? Życie polega na ciągłym reagowaniu na bieżące okoliczności. Jeśli umiemy się w nich odnaleźć i czuć zadowolenie, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Jakbym słyszała Iwo.

– Chyba chodzi mi o to, że mimo istnienia innych możliwości niż związek, nie jestem nimi zainteresowana.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie czuję, żeby mogły dać mi szczęście. Nie widzę w nich siebie.

– Może warto najpierw je wypróbować i potem ocenić?

– Przecież już realizuję inny scenariusz od tego, który wybrałam. Jestem sama, a chciałabym być z kimś. I nie czuję się z tym dobrze.

– A co dokładnie nie podoba się pani w obecnym życiu?

– To, że nie mam nikogo bliskiego. Mężczyzny.

– Coś jeszcze?

– Nie, to jedyna rzecz, którą chciałabym zmienić.

– To niewiele.

Zirytowała mnie. Nie po to słono płacę jej za wizytę, żeby bagatelizowała moje zmartwienia. Powinna być zadowolona, że może łatwo zarobić na rozwiązywaniu prostych problemów.

– Być może, ale spędza mi to sen z powiek. Dlatego mam nadzieję, że szybko się z tym uporamy i rozwiążemy ten drobny kłopot – powiedziałam.

Roześmiała się.

– To śmiech pogardliwy czy kpiący? – nie wytrzymałam.

– Proszę się nie gniewać. Usiłuję panią rozweselić. Patrzy pani na tę sprawę tak śmiertelnie poważnie.

– Zależy mi na tym, żeby znaleźć rozwiązanie.

– I znajdzie pani. Ale proszę spróbować się zrelaksować. Ustaliłyśmy, że jest już pani bardzo blisko celu.

– Nie wydaje mi się, żebym była bliżej niż podczas mojej pierwszej wizyty.

– Mam na myśli to, że poza jednym brakującym elementem pani życie już jest szczęśliwe. To bardzo ważne. Co więcej, mam wrażenie, że bardziej niż doraźny brak związku dręczy panią obawa o przyszłość. Nie przeszkadza pani tak bardzo dzisiejszy brak partnera, ale zamartwia się pani, czy pojawi się on w przyszłości.

Zawahałam się.

– Może ma pani rację. W sumie lubię swoje życie. A kiedy udaje mi się na chwilę zapomnieć o tym miłosnym niedostatku, jest naprawdę przyjemnie.

– Zastanówmy się więc, skąd bierze się w pani ten lęk.

To akurat nie było trudne pytanie.

Rozdział dwunasty

– Nie jestem sama, nie będziemy mogły swobodnie pogadać – uprzedziła mnie od progu mama świszczącym szeptem, kiedy w piątkowy wieczór jak co tydzień przyjechałam do domu. – Jest u mnie Klusińska. Z Pytlową.

Czyli najbliższe przyjaciółki mamy, Łucja i Krystyna. Nie wiedzieć czemu, mimo dwudziestoletniej przyjaźni mama mówiła o nich tylko z nazwiska, przez co wydawały się postaciami lekko odrealnionymi, jak z filmu lub kart powieści. Jedna wysoka i przygarbiona, druga niska i zwrotna. Jedna ospała, druga w gorącej wodzie kąpana. Słysząc znajome nazwiska, miałam ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, ale było za późno.

– Kogo ja słyszę! Ewunia! – zawołała z pokoju pani Pytel.

Siedziały we dwie przy okrągłym stole nakrytym szydełkową serwetą. Mama wyciągnęła odświętną zastawę Cinderella, białą w pastelowe różyczki. W wazonie ustawiła tulipany. Bladoróżowe, pasujące do motywu z serwisu.

– Co tam słychać w wielkim świecie? – zapytała Klusińska z ciekawością niemal niedostrzegalnie podszytą niepokojem.

Wiedziałam doskonale, czego chciałaby się dowiedzieć.

– Bez zmian, ciociu.

Postawiłam walizkę na podłodze i ucałowałam obie na powitanie, po dwa razy w cztery policzki.

Czy można być jednocześnie uspokojonym i zawiedzionym? W każdym razie Klusińska była.

– Ewunia kupiła sobie samochód – powiedziała z dumą mama, usiłując przysłonić sedno sprawy.

Klusińska pokiwała głową z uznaniem. Pytlowa w milczeniu zamieszała srebrną łyżeczką w herbacie, dzwoniąc, jakby właśnie rozbijała w drobny mak nadzieję. Moje niespodziewane najście odwróciło ich uwagę od wymiany bieżących nowin i przypomniało to, o czym przez chwilę udało im się nie myśleć. To, kim są. Matkami samotnych córek.

Kiedyś byłyśmy ich dumą. Zbierałyśmy dobre oceny, dostałyśmy się na studia na najlepszych uczelniach, wyjechałyśmy i bez problemu znalazłyśmy pracę w mieście. Nie trzeba było nas pilnować, nie wpadałyśmy w złe towarzystwo. Zbierały za nas pochwały. Nie sprawiałyśmy żadnych kłopotów. A tu taki zawód.

Świat stanął do góry nogami. Zatriumfowały matki nieuków i puszczalskich. Kiedyś chodziły ze spuszczoną głową, po cichu wypisywały ciężarne córki ze szkół i organizowały pospieszne wesela. Po znajomości wciskały młodych do pracy, wysupłując życiowe oszczędności,

kupowały im mieszkania. A teraz? O dawnych upokorzeniach nikt już nie pamięta. Córki się dorobiły, dzieci odchowały, zajeżdżają z mężami na święta rodzinnymi samochodami. Młode, w kwiecie urody, a mają już wszystko! Liczy się spryt i mądrość życiowa, a nie wykute na piątki formułki. I co powiecie, aniołki, kujonki, cnotki niewydymki? Nikt was teraz nie chce!

– Marcinek ma nową dziewczynę – pospieszyła z odsieczą mama. – Tym razem chyba naprawdę go wzięło.

Na szczęście synowie radzili sobie zupełnie nieźle. Wiadomo, chłopakom wszystko przychodzi łatwiej. Nie muszą się tyle napracować na dobre stopnie, jakoś sami chwytają wszystko w lot. Zawsze też więcej zarobią, w końcu to przyszłe głowy rodzin. A i w miłości czas i statystyki są po ich stronie. Mają czas na te sprawy. A jak chłopak fajny, to zawsze się jakaś szybko zakręci.

Zakręcić się. Słowo klucz, podstawowa umiejętność współczesnej dziewczyny. Wiedza tajemna, którą nosi się w genach lub nabywa przez naśladownictwo. Matki od najmłodszych lat pokazują córkom przykłady tych, co to się umiały zakręcić i złapać fajnego faceta. Najpierw robią to lekko pogardliwie, z przymrużeniem oka, z czasem coraz nachalniej. I bezsilniej. Jesteś taka zdolna, więc czemu nie umiesz? Życie to walka, wyścig. Wygra szybsza, sprytniejsza. Tylko ona przetrwa. Co się stanie z pozostałymi? Tego nie wie nikt. Z samotności jeszcze żadna cało nie wróciła.

Nie miało większego znaczenia, że w dorosłym życiu, często z dala od domu, radziłyśmy sobie zupełnie nieźle. Dyplom z wyróżnieniem, dobra praca, własne mieszkanie, podróże i przyjaźnie nie wystarczały, żeby można było powiedzieć, że ułożyłyśmy sobie życie. Podstawowy egzamin niezaliczony.

– A wyobrażasz sobie inaczej?

Mama odpowiedziała pytaniem na moje pytanie, dlaczego to dla nich, matek, takie ważne, żeby ich córki założyły rodziny. Klusińska z Pytlową poszły, zostałyśmy same. Zaparzyłyśmy świeżej herbaty.

– Nie gniewaj się, mamo, ale obie wiemy, że twoje małżeństwo z ojcem trudno chyba nazwać szczęśliwym – powiedziałam.

Pochodzę z tradycyjnej rodziny. Czyli trwałej, ale pozbawionej czułości. Więcej w niej było pretensji niż komplementów. Jak wszyscy moi rówieśnicy, nigdy nie widziałam, żeby moi rodzice się całowali lub przytulali. I tak jestem szczęściarą – wychowywałam się z ojcem.

– Żaden związek nie jest do końca szczęśliwy. Każdy kosztuje mnóstwo pracy i wyrzeczeń.

– Skoro sama przyznajesz, że małżeństwo nie jest gwarancją szczęścia, może nie ma sensu za wszelką cenę do niego dążyć?

– Lepiej być samotną? Naprawdę w to wierzysz?

– Nie wiem. Próbuję się tego dowiedzieć.

Wzięłam kostkę z kryształowej cukiernicy. Przytrzymałam ją tuż nad powierzchnią herbaty, patrząc, jak nasiąka.

– Gdybyś mogła wybierać jeszcze raz, związałabyś się z ojcem? – zapytałam.

Mama nie odpowiedziała od razu. Wprawnym ruchem dłoni wygładziła serwetę.

– Myślę, że to bez różnicy. Zastąpienie jednej osoby inną nie jest rozwiązaniem problemu. Poza skrajnymi wyjątkami nie ma lepszych i gorszych partnerów. W związek dwojga ludzi frustracje i nieporozumienia są po prostu wpisane.

– Nigdy nie chciałaś odejść?

– Oczywiście, że chciałam. Ale kiedyś to nie było takie proste. A teraz, w naszym wieku, to byłoby niedorzeczne.

– A gdybyś dawniej miała moje dzisiejsze możliwości? Mieszkanie, większą niezależność finansową?

– Ale nie miałabym was: ciebie i Marcina. Byłabym teraz starą, samotną kobietą.

– Może spełniłabyś się inaczej. Są przecież kobiety, które mają wybitne osiągnięcia, podróżują, tworzą, pomagają innym. Można mieć wartościowe życie inaczej.

Za wszelką cenę próbowałam uniknąć intonacji pytającej.

Mama wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Zbierała spodki i talerzyki i układała je równiutko na tacy.

– Córciu. Niczego tym paniom nie ujmując, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to wszystko środki zastępcze. Próba zapełnienia braku, który wynika z naszej natury. Nie tylko kobiecej, ale po prostu ludzkiej. Każdy człowiek potrzebuje bliskości, rodziny. Nie próbuj z tym walczyć ani się oszukiwać. Im wcześniej to zaakceptujesz, tym lepiej dla ciebie.

Zabawne. Wydawało mi się, że już dawno przyjęłam to do wiadomości. Ale dotąd jakoś nie chciały płynąć z tego żadne korzyści.

Rozdział trzynasty

Miesiąc czwarty:
– 41 314 odwiedzin mojego profilu,
– 147 wiadomości,
– 2 seksoferty od żonatych,
– 3 spotkania bez kontynuacji,
– 1 propozycja od kobiety,
– 1 zdemaskowany emeryt podszywający się pod studenta.
Miłość: 0.

– Niewątpliwie poglądy matki są w pani silnie zakorzenione i w dużym stopniu blokują pani swobodę działania i decydowania o własnym życiu – powiedziała psycholog, notując coś w swoich zapiskach. Ruch jej dłoni sprawiał wrażenie, jakby rysowała wykrzykniki.

W zamyśleniu popatrzyła na pokryte pismem strony, a potem zdecydowanym ruchem zamknęła notes i odłożyła go na niewielki stolik obok lampy. W snopie światła padającym z wnętrza pomarańczowego abażuru wyglądał jak dowód zbrodni.

– Mimowolnie podąża pani za głosem matki, który nieprzerwanie dźwięczy w pani głowie, chociaż jest pani dorosła i dawno wyprowadziła się z domu, by zacząć samodzielne życie w nowej, innej od rodzinnego miasteczka rzeczywistości. Wydaje się pani tego świadoma, dlatego nie będziemy poświęcać mamie więcej uwagi, niż i tak od pani dostaje. Zamiast tego porozmawiajmy o mężczyznach, bo przecież to oni są pani grupą docelową.

– Chętnie. Podstawowy problem z mężczyznami jest taki, że ich nie ma.

– Jacyś się znajdą.

– Ja ich nie spotykam. Przynajmniej odkąd skończyłam szkołę i przeprowadziłam się do Warszawy.

– Poszukajmy. Zacznijmy od tych najbliższych, którzy pojawili się w pani życiu jako pierwsi.

Spróbowałam przypomnieć sobie mężczyzn z mojego dzieciństwa. W szkole przyjaźniłam się raczej z chłopcami. Zwłaszcza tymi trochę dziwnymi, nieśmiałymi. Każdy z nich miał nieobecnego ojca, który albo nie żył, albo opuścił rodzinę, albo był nieznany. Może już wtedy się to zaczęło. Znikanie mężczyzn.

Jakkolwiek to brzmi, lubiłam się też bawić z różnymi wujkami, którzy nas odwiedzali, kiedy byłam mała. W tamtych czasach przeważnie spotykano się w domach. W naszym małym mieszkaniu często mieliśmy niezapowiedzianych gości. Koledzy rodziców byli wtedy młodzi,

przystojni i dużo się śmiali. Nosili mnie na ramionach i stale czymś zabawiali. Jeden grał na gitarze, drugi pokazywał mi magiczne sztuczki, trzeci chciał się ze mną żenić. Dziś wielu z nich to bezrobotni i renciści w rozciągniętych dresach. Nowy system nie był nimi zainteresowany. Odkąd stracili pracę w fabrykach, zaczęła się ich wieloletnia tułaczka po przypadkowych fuchach, zasiłkach i zwolnieniach lekarskich. Podobnie spędzają każdy dzień w ciasnych mieszkaniach z wielkiej płyty. Dawno porzucili myśl o stawianiu domu i sadzeniu drzew o korzeniach dłuższych niż życie. Marzenia zepchnęli w niepamięć, by i one nie wytykały im porażki.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w naszym miasteczku, jako owoce pierwszych prywatnych przedsięwzięć, wyrosły pijalnie piwa *vel* osiedlowe puby. Najczęściej mieściły się w gotowych pawilonach lub przybudówkach do bloku. Jak greckie kafeniony i arabskie kawiarnie były oazami męskości. W godzinach popołudniowych schodzili się tam wszyscy okoliczni mężczyźni: starzy i młodzi, pracujący i emeryci. Zamawiali piwko, gadali i żartowali, a wieczorem zrelaksowani człapali do domów, gdzie spotykali się z krytycznym, ale pobłażliwym spojrzeniem żon. Posiedzenia w barze pozwalały się panom rozluźnić, pobyć wśród kumpli, wyostrzyć męskość stępioną przez codzienne obcowanie z kobietą i dziećmi.

Ale wiatr ustrojowych przemian zaczął wiać mocniej. Niepostrzeżenie wizyty w barze zaczęły kojarzyć się z bumelanctwem i brakiem lepszych zajęć. Ci, którzy połapali robotę w nowo powstałych firmach, zaczęli się nagle spieszyć, a świeżo upieczeni drobni przedsiębiorcy musieli pilnować interesu. Małżonki dbały o wizerunek swoich biznesmenów, nie życzyły sobie zapaszku papierosów i piwnych wyziewów. Modny stał się podział domowych obowiązków, więc czasu na towarzyskie spotkania zrobiło się mniej. W barach zostali tylko samotni nieudacznicy, którzy przegapili swoją szansę. Odwrotnie kobiety: ruszyły do kawiarń. Spotykamy się tam i narzekamy na facetów.

Opowiedziałam to wszystko terapeutce. Nie czekając na to, aż naprowadzi mnie na wnioski płynące z tej historii, podsumowałam:

– Z pewnością udało nam się zmobilizować mężczyzn do działania. Ale gdzieś po drodze zgubiła się nam część męskości, której dziś tak szukamy.

– Opowiedziała mi pani o przeszłości. Tymczasem wróćmy do teraźniejszości. Czy podobają się pani dzisiejsi mężczyźni? Co może pani powiedzieć o swoich rówieśnikach?

– Tak jak wspominałam, nasze drogi rozeszły się po maturze.

– Mówi pani tak, jakby wszyscy mężczyźni zostali w pani rodzinnym mieście. Przecież w Warszawie ich nie brakuje?

– Może jestem mało tolerancyjna i światowa, ale zupełnie nie odpowiadają mi tak zwani

wielkomiejscy mężczyźni. Mam alergię na ich kuse garniturki, obcisłe spodnie, udrapowane szale, torby po damsku przewieszone w zgięciu łokcia. Tęsknię do zwykłych facetów – westchnęłam.

– A kto to jest ten zwykły facet?

– Zaczynam się zastanawiać, czy taki typ w ogóle istnieje. Zwykły, czyli mający cechy, które tradycyjnie kojarzą się jako męskie.

– Czyli jakie?

Musiałam sobie przypomnieć.

– Przebojowość, poczucie humoru, zdecydowanie. Odwaga, pewność siebie. Honor.

– Nie widzi pani tych cech u rówieśników? – zapytała terapeutka.

– Nie.

– Czy zechciałaby pani rozwinąć tę odpowiedź?

– Zdolni i bardziej przedsiębiorczy chłopcy z mojej miejscowości albo wcześnie założyli związki, albo wyjechali za granicę, więc nie mam z nimi kontaktu. Na miejscu zostali życiowi minimaliści, którym zmiany nie są potrzebne do szczęścia. Ich zdaniem mieszkanie z rodzicami ma tyle samo plusów i minusów co każdy inny wariant. Po co więc na kredyt udowadniać sobie dorosłość?

– Czy mężczyzna powinien mieć tylko te cechy, które pani wymieniła?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale złe cechy też mogą być bardzo męskie. Dominacja, upór, bezkompromisowość. Z chęcią bym się z nimi zmierzyła, dla odmiany.

– Na jakiej podstawie sądzi pani, że większość mężczyzn nie ma tych cech?

– Ci, z którymi się spotkałam, nie mieli. Zatem wiem to z doświadczenia.

– A jak duże jest to doświadczenie?

– Chodzi o moje przeszłe związki?

– Na przykład.

– Były dwa, krótkie, szkolne. Nic poważniejszego.

– Zatem poznała pani kogoś, kto odwzajemnił pani zainteresowanie. Proszę o tym pamiętać, kiedy znów ogarnie panią obawa, że nikogo pani nie spotka. Jak te związki się zakończyły?

– Pyta pani o dramatyczne przeżycia? Nie było takich, ani żadnych innych, które miałyby znaczenie. Nikt mnie nie zranił, bo przeważnie wybieram osoby, które nie są w stanie zadać sobie nawet tyle trudu, żeby się ze mną spotkać.

– A niewiele znaczące przeżycia? Przelotne znajomości, flirt, jednorazowe randki?

Tylko na to czekałam. Tutaj pozwoliłam sobie na wywód o paśmie moich internetowych porażek, wulgarnych zaczepek i szowinistycznych anonsów, które zwiastowały niechybny

koniec porozumienia między kobietą a mężczyzną.

– Kontakty internetowe rządzą się swoimi prawami – powiedziała psycholog. – Są na tyle powierzchowne i podlegają tak licznym manipulacjom, że radzę je traktować bardziej jak wstęp do znajomości niż rzeczywistą relację z drugim człowiekiem. Nasze dzisiejsze spotkanie dobiega końca. Proszę spróbować stwarzać sobie więcej okazji do kontaktów z mężczyznami. Bezinteresownie. Nie oceniać każdego pod kątem potencjalnego związku. Proszę wybierać różnych mężczyzn, nawet tych z pozoru nieciekawych. Wdawać się w przypadkowe rozmowy, słuchać, po prostu się przyglądać. To, co poznamy, nie wydaje się już tak obce.

Rozdział czternasty

Witaj Moreno,
zaintrygował mnie Twój opis. Muszę zaznaczyć, że raczej nie spełniam Twoich parametrów, sama też nie jestem zainteresowana znajomością na proponowanych przez Ciebie zasadach. Zaciekawiło mnie jednak Twoje nastawienie i sądzę, że mogłabym się od Ciebie czegoś nauczyć. Piszesz, że męczą Cię ciągłe nieporozumienia w komunikacji z kobietami. Myślę, że gdybyś odpowiedział mi na kilka pytań, mógłbyś mi pomóc w lepszym zrozumieniu facetów, za co pewnie niektórzy byliby Ci wdzięczni.
Ewa

RE:
Ok, wal.
M.

RE: RE:
Może się spotkamy?
E.

Zabrałam się do pracy. Cieszyłam się, że psycholog wyznaczała mi zadania polegające na interakcji z ludźmi. Przed zapisaniem się na terapię obawiałam się, że będę musiała robić to, co zalecają kobiece magazyny i poradniki: skupić się na sobie. Do tej pory nie udało mi się ustalić, co to właściwie znaczy. Nie byłam sobie w stanie wyobrazić, jak masaże, dobre odżywianie i medytacja miałyby pomóc mi osiągnąć cel w postaci spełnienia w relacji z drugim człowiekiem.

Zgodnie z poleceniem szukałam więc wszelkich okazji do bezpośredniego kontaktu z gatunkiem męskim. Przełamanie oporów zaczęłam od umówienia się z nieprzystępnym Moreno. Czułam się tak, jakbym musiała zaplanować safari, żeby na żywo zmierzyć się z przedstawicielem drapieżnego gatunku. Nieważne, jak ryzykowna miała być ta wyprawa, byłam gotowa podjąć wyzwanie.

Odezwałam się do Marcina. No jasne! Przecież mam starszego brata, a on musi mieć kolegów. Pięcioletnia różnica wieku nie stanowi już problemu jak w dzieciństwie, kiedy dzieliliśmy pokój. Teraz się przyjaźnimy. Kiedyś? Nie do pomyślenia.

Dawniej, kiedy odwiedzali go kumple z podwórka, musiałam opuszczać nasz wspólny pokój. Marcin w tajemniczy sposób zamykał się z nimi od środka, choć w drzwiach nie było

zamka. Nie pozwalał mi się do nich odzywać ani iść za nimi, kiedy gdzieś razem wychodzili. Na każdym kroku, zwłaszcza w sytuacjach publicznych, próbował się mnie pozbyć. Kiedy byłam w pierwszej klasie i mama kazała Marcinowi odprowadzać mnie do szkoły, szedł szybkim krokiem daleko przede mną, tak że nie mogłam go dogonić.

Panicznie bronił przede mną prywatności. Szafki ze swoimi rzeczami obwarowywał własnoręczną plątaniną drutu i kłódek. W całym mieszkaniu miał ukryte rozmaite skrytki, a kiedy spędzaliśmy wakacje na wsi, chował się przede mną w coraz to nowych kryjówkach. Wspinał się na strych, między gałęzie drzew, na wysoką szafę – byle tylko być poza moim zasięgiem. Ta niedostępność doprowadzała mnie do szaleństwa. Wyobrażałam sobie, że beze mnie Marcin przeżywa niesamowite przygody. Leśny szałas z patyków, który sam zbudował, czy stara skrzynia w szopie, w której przesiadywał, urastały do rangi baśniowych krain kryjących najwspanialsze skarby. Z całych sił pragnęłam, by wtajemniczył mnie w ten niedostępny świat.

Moje koleżanki, które w tym samym czasie zmagały się ze złymi siostrami i walczyły z nimi o lalki, a potem o ciuchy, zazdrościły mi starszego brata. Wyobrażały sobie, że to taki domowy rycerz, który mnie broni, wprowadza w sekrety dorosłych i przedstawia mi przystojnych kolegów. Skąd mogły wiedzieć, że często od niego obrywałam i to on wymyślał mi najokrutniejsze przezwiska? Nie wyprowadzałam ich jednak z błędu.

Wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy rodzice rozdzielili nasze pokoje. Później zaczęliśmy chodzić do innych szkół i spędzaliśmy razem coraz mniej czasu. A po tym, jak Marcin wyjechał na studia i wyprowadził się z domu, staliśmy się bardzo zżyci. Nie wiem, co bardziej sprzyjało naszej zażyłości: czas czy odległość.

– Wpadnij do nas w piątek, będzie trochę ludzi – zadzwonił Marcin parę tygodni po tym, jak zapytałam, czy nie ma jakichś fajnych kumpli. Nie musiałam mu tłumaczyć, o co chodzi, wziął sprawy w swoje ręce. Może próbował w ten sposób odpokutować wszystkie przeszłe występki.

Uruchomiłam też inne kontakty, żeby odrobić ćwiczenie zadane przez panią psycholog i wyjść facetom naprzeciw. Zadzwoniłam do Magdy i umówiłyśmy się na wieczorny wypad. Każda z nas miała jeszcze kogoś wyciągnąć, żeby było nas więcej. Dwójka to najgorsza możliwa liczba na wyjście do klubu. Albo jedna zostaje sama, albo nikt nie podejdzie. Tak źle i tak niedobrze.

Rozesłałam kilka esemesów, poszukując chętnych na wspólne wyjście. Przy okazji umówiłam się na kawę z dziewczynami. Na tym etapie przeżyłam moment olśnienia. Skoro mam przyjaciół, którzy towarzysko świetnie sobie radzą i umieją szczęśliwie dobierać się

w pary, a ja raz po raz dokonuję złych wyborów, to może powinnam zwrócić się do nich po pomoc? Po ostatnich niepowodzeniach i falstartach doszłam do wniosku, że strzelam na oślep i zupełnie nie mogę polegać na swoich wyborach. Może lepiej poprosić kogoś, kto dobrze mnie zna, żeby wskazał mi osobę, która według niego do mnie pasuje?

Snując te rozmyślania, poczułam na sobie surowy wzrok terapeutki, i odgoniłam natrętne myśli. Przypomniałam sobie, że w kontaktach z ludźmi mam być bardziej samodzielna. I bezinteresowna. Coś mi mówiło, że będzie to tak samo trudne jak skupienie się na sobie.

Rozdział piętnasty

Gdyby nie widok za oknem, byłoby jak w Paryżu. Duża witryna francuskiej patiserii wychodziła na upstrzone billboardami skrzyżowanie i odrapaną wietnamską budkę, jeden z ostatnich przyczółków, jakie oparły się inwazji kebabów. Na szczęście zapadał zmrok, a szyba nie przepuszczała dźwięków z zewnątrz, chroniąc jasne i przytulne wnętrze przed niemiłą oku ulicą. Elegancja Francja i skrzekot pospolitości – oto Warszawa. Może dlatego po dziesięciu latach wciąż się nie zaaklimatyzowałam i nie miałam tu swoich ulubionych miejsc.

Z głośników radia w stylu retro płynął kojący śpiew Édith Piaf. Kremowe meble i pastelowa terakota otulały wchodzących słodyczą jak lukrowa polewa. Na ażurowych krzesłach poukładano szare i lawendowe poduszki, a na ścianach zawisły czarno-białe fotografie przedstawiające kawiarniane stoliki na Montmartre. Na czarnej tablicy zawieszonej nad kontuarem białą kredą napisano listę dostępnych dań. Wszystko świeże, prosto z pieca. Nachyliłam się, by pożreć wzrokiem ciastka-arcydziełka, wystawione na szklanych paterach.

– Café au lait i croque madame – usłyszałam nad głową. – Nie pożałujesz.

Odwróciłam się i zobaczyłam Magdę z Olką.

– Jak croque, to tylko monsieur – odpowiedziałam, mrugając do chłopaka za ladą. Uśmiechnął się. Sukces.

Zadzwonił metalowy dzwonek i w drzwiach wejściowych stanęła Lena, ściągając czapkę i rozplątując wielki supeł szalika.

– Szlag by to trafił, jakiś kretyn ciągle zajeżdżał mi drogę, a policjant zrobił korek. Siadamy?

Zajęłyśmy stolik w rogu, przy oknie. Wśliznęłam się na krzesło z widokiem na ulicę. Zawsze tak robię.

– Opowiadajcie, co u was – zagaiła Magda.

Nie miało szansy wiele się zmienić, biorąc pod uwagę, że spotykamy się co miesiąc. Od zakończenia studiów minęło kilka lat, a my wciąż trzymamy się razem i w niezmienionym składzie omawiamy aktualne wydarzenia lub ich brak. Skończyłyśmy ten sam kierunek, ale pracujemy w różnych branżach. Olka uczy, Lena tłumaczy, Magda pracuje w wydawnictwie, a ja z bratem w rodzinnej firmie.

Nasze spotkania dodają mi otuchy. Dowodzą, że matki mogą się mylić.

Kiedy tylko dostałam się na studia, moja poradziła mi inwestować w relacje międzyludzkie. Jej zdaniem ważną funkcją studiowania było poznawanie nowych ludzi, którzy mogli się przydać w starcie w życie rodzinne i zawodowe.

– Baw się i spiesz – powtarzała. – Później wszyscy się sparują, pożenią, porodzą dzieci i pozamykają się w domach. Zostaniesz sama. Zobaczysz, po studiach wszystko się skończy.

Ale się nie skończyło. Byłyśmy tu nadal, wolne, bezdzietne i niepoważne. Mama nazywała naszą czwórkę Poczekalnią i wróżyła jej nieuchronny rozpad, kiedy tylko któraś z nas znajdzie sobie kogoś na stałe.

Z jednej strony nie chciałam wierzyć w jeszcze jedną z jej małomiasteczkowych mądrości. Z drugiej przeczuwałam, że tym razem mama może mieć rację. Najmocniej trzymało nas ze sobą to, że jechałyśmy na tym samym wózku.

W liceum otaczały nas głównie dziewczyny. Na trzydzieści osób w klasie przypadało kilku chłopaków. Podobny przekrój zastałyśmy na studiach filologicznych. Może dlatego nasi koledzy wydawali nam się wciąż za mało męscy. Chciałyśmy, by byli męskim koncentratem, który nadałby naszej grupie wyrazisty smak i zabarwił całość żywym kolorem. Pod ciężarem naszych wymagających spojrzeń nieliczni chłopcy bledli, kurczyli się i zapadali coraz głębiej w wątłe ramiona, z których smętnie zwisały workowate plecaki i flanelowe koszule. Nie mieli odwagi nas podrywać, a my odbierałyśmy to jako lekceważenie. Drwiłyśmy z nich, więc uciekali przed ekrany komputerów lub w męskie ramiona. Byle dalej od nas.

Pierwsza praca w damskich branżach – i znów większość kobiet, proporcje były inne tylko na szczeblu kierowniczym. W naszym życiu brakowało okoliczności, w których mogłybyśmy spotykać chłopaków. Poznawać ich na neutralnym gruncie, obserwować w codziennych sytuacjach, w jakichś wspólnych środowiskach. Postanowiłyśmy więc takie okazje stwarzać. Z narażeniem zdrowia uczyłyśmy się męskich sportów, wyjeżdżałyśmy na studenckie wyprawy, zapisałyśmy się nawet do klubu górskiego na politechnice. Chciałyśmy, żeby w tych przelotnych momentach, w których nasze światy się zazębiały, chłopcy byli stuprocentowymi mężczyznami. Nasze gorące pragnienie przynosiło jednak odwrotny efekt: wypadali żałośnie. Albo byli bierni, albo za bardzo się wysilali. Wszystko robili nie tak. Im bardziej Puchatek zaglądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było.

Czułyśmy się nimi wiecznie rozczarowane. Nasza irytacja mieszała się z poczuciem coraz większej bezsilności. Pragnienie udanego związku stało się naszym więzieniem. Potrzebowałyśmy mężczyzn i nie znosiłyśmy ich za to, jacy byli. Na własnej skórze odczułyśmy, że tęsknota i wściekłość, miłość i nienawiść mogą iść ze sobą w parze. Może dziś tylko takie pary są możliwe?

Mamy więc wspólnego wroga i choć żadna z nas by się do tego nie przyznała, spotykamy się głównie po to, żeby ponarzekać na facetów. Tak jakby wymiana złych doświadczeń utwierdzała nas w przekonaniu, że jeszcze nie zwariowałyśmy. I że to z nimi jest coś nie tak,

nie z nami.

– Ewka, jak twoje internetowe podboje? – zaczęła Magda. Przyjaźniłyśmy się najbliżej, więc miała najświeższe informacje z moich postępów, a raczej ich braku.

– Szkoda słów. Porażka za porażką.

– Tak łatwo się nie wywiniesz – zaprotestowała Olka. – Dawaj jakieś smaczki.

– Sęk w tym, że nawet nie ma o czym opowiadać. Jak dotąd z nikim się nie umówiłam. I nikogo nie widziałam na własne oczy.

– Od jak dawna masz konto? – zapytała Lena.

– Niedługo minie pół roku.

– I nic? – zdziwiła się Olka. – Nawet ćwierć zboczeńca ani lubieżnego tatuśka?

– No właśnie nic. Niby widzę, że tłumnie oglądają mój profil, czasem ktoś się odezwie, ale potem przestaje i do spotkania nie dochodzi.

– Skoro nie dochodzi, to nie wróży to najlepiej…

– Olka! – skarciła ją Magda. Potem zwróciła się do mnie: – A nie możesz pierwsza zaczepiać tych, którzy wpadną ci w oko?

– Próbowałam. Jeśli w ogóle odpisują, to nic, co dziewczyna chciałaby czytać.

– To znaczy? – ożywiła się Olka.

– „Wyczuwam w twojej wiadomości szablon, który mnie nuży”. „Nie mam czasu na wymianę liścików. Zadzwoń, jeśli chcesz się spotkać”. „A co to, *Sto pytań do…*? Mało sexy”. A co mogę napisać do kogoś, kogo nie znam i kto może udawać kogoś innego niż ten, za kogo się podaje? Gubię się w tym. Mam wrażenie, że aby być intrygującą, powinnam wysyłać pustą wiadomość z wymownym milczeniem.

– Ten, co chce się od razu spotykać, nie musi być zły. Może lubi konkrety – wtrąciła Magda.

– E tam! – Olka pokręciła głową. – Faza podrywu to czas, kiedy obie strony najbardziej się starają. Skoro facetowi już na wstępie nie chce się wywierać dobrego wrażenia, to znaczy, że nie ma nic do zaoferowania.

– Za to ja mam za sobą pewne niecodzienne spotkanie – powiedziała Lena, przełamując na pół croissanta i zanurzając jeden koniec w kawie. – Umówiłam się z barmanem z tej nowej knajpy, w której byłyśmy ostatnio.

– Z tym z kolczykami? Fajny był! Mówiłam, że ci się przyglądał! – triumfowała Magda.

– Tak, z nim. Kiedy płaciłam za siebie, razem z paragonem podał mi karteczkę z numerem telefonu.

– Romantycznie! – zachwyciła się Magda. – Może obsłudze nie wolno zadawać się z klientami i tak to obszedł? Musiał być zdeterminowany.

– Raczej leniwy – mruknęła Olka. – I co, zadzwoniłaś do niego?

– Nie musiałam. Tamtego wieczoru spotkaliśmy się jeszcze raz.

Gwizdnęłam.

– Zostawiłam pod stolikiem torbę z laptopem i musiałam po nią wrócić. Zaczęliśmy rozmawiać. Od słowa do słowa umówiliśmy się na następny dzień, miał wtedy wolne.

– I co? Dokąd cię zabrał? – zapytała Olka.

– Do siebie. Powiedział, że ma dosyć knajp. Przypadłość zawodowa.

– Nie bałaś się? Miałam kilka takich zaproszeń, ale nie skorzystałam – wtrąciłam.

– Spokojnie, na miejscu była pełna kultura. To znaczy prawie.

– Pchał się z łapami? – dociekała Olka.

– Kochana, gdybym nie brała pod uwagę pchania łap, umówiłabym się z nim na spacer. Chodzi o to, że zanim daliśmy się ponieść fali namiętności, pan usadził mnie naprzeciwko siebie i lojalnie poinformował, że jest w stałym związku i chciałby, żebym o tym wiedziała, bo on nie zamierza niczego zmieniać. I nie sądzi, żeby mu się odwidziało po wspólnej nocy, bo już to przerabiał, więc żebym nie robiła sobie złudzeń. Ale odniósł wrażenie, że mi się podoba i że jestem chętna, więc on jest otwarty.

– Otwarty na równoległy związek? – zapytała Magda.

– Raczej podrzędny – sprostowała Lena. – Bo nadrzędny już ma, ze swoją dziewczyną.

– A z tobą to niby co miałoby być?

– Romans, przyjaźń z łóżkiem, ciche dymanko na boku. Jak kto woli.

– A w praktyce czym by to się różniło od jego związku z dziewczyną? Skoro podejmował cię w garsonierze, to znaczy, że nie mieszkają razem – dopytywała Magda.

– Statusem. Nie przedstawiałby mnie znajomym, nie widywalibyśmy się w święta, nie jeździlibyśmy razem na wakacje, nie dodałby mnie do znajomych na Facebooku.

– I co ty na to? – zapytałam.

– Powiedziałam, że na podstawie mojego doświadczenia radzę mu, żeby takie zastrzeżenia zgłaszał dopiero po wspólnym prysznicu. Bo mnie się właśnie odwidziało. Mało sexy.

– Dobrze mu tak! – zawołała Magda. – Choć ten przynajmniej był uczciwy. Moją kumpelę koleś okazjonalnie pukał przez rok, a kiedy zaniepokojona tym, że spotykają się tylko w sypialni, spytała, czy są parą, skarcił ją za kompulsywną potrzebę etykietowania relacji.

– Cóż, barman przynajmniej wiedział, czego chce. Najgorsi są tacy, którzy nie wiedzą, po co mają – zawyrokowała Olka. – Magda, a jak ten twój?

– W porządku. Myślimy z Lukiem o tym, żeby razem zamieszkać. I tak większość czasu spędzamy u mnie.

– Uważaj – ostrzegła Lena. – Moja znajoma właśnie zakończyła takie pomieszkiwanie ze złamanym sercem i pustym portfelem. Przez dwa lata chłopak gościnnie nocował w jej wynajmowanej kawalerce. Kiedy kupił własne mieszkanie, zaproponował, by przeniosła się do niego. I w połowie spłacała mu kredyt. Zgadnijcie, czy on dokładał się do opłat, kiedy był jej gościem.

– Nie macie wrażenia, że otaczają nas sami kretyni? – zapytała Olka.

– Może to ten słynny kryzys męskości w odpowiedzi na emancypację kobiet? – zastanowiłam się.

– To nie kryzys, to zemsta – odparła Olka. – Magda, a ten twój Luk rokuje na przyszłość? Z tego, co mówisz, to chyba nie jest zbyt samodzielny?

– Jak się łatwo domyślić, jest maminsynkiem. Ale to raczej nieszkodliwe.

– Spryciulek. Przefrunął spod skrzydeł starej kwoki prosto do młodej kurki. Co on robi w życiu poza tym, że u ciebie pomieszkuje? Studiuje, pracuje?

– Olka, odpuść. Magda przynajmniej kogoś ma, trzeba się cieszyć, a nie czepiać. Lepiej nam opowiedz, jak to się robi. – Lena zwróciła się do Magdy. – Nasze matki stawiają nam cię za wzór.

– Trzeba działać, zamiast się zamartwiać. Każda dziewczyna, która wychowała się w typowej polskiej rodzinie, boi się, że zostanie sama. Albo że z nikim się nie zwiąże, albo że mężczyzna od niej odejdzie, albo że zostawi ją ze wszystkimi obowiązkami. Te obawy blokują nas w kontaktach z facetami. Ale nie da się żyć w ciągłym strachu. Trzeba próbować do oporu.

– Nie zmienia to faktu, że nie mamy żadnego oparcia w mężczyznach – zawyrokowała Olka. – Poczucie bezpieczeństwa musimy zapewnić sobie same. Wszystkie jesteśmy w wieku, w którym warto zaplanować zajście w ciążę, jeśli chcemy mieć dzieci. Ale czy któraś z was czuje się na siłach, by podjąć taką decyzję, mając do dyspozycji samych tchórzliwych, wygodnickich leni? Ryzykowne. I weź tu szanuj tych durni.

– I dobrze wam tak! – syknął łysy facet z sąsiedniego stolika. Siedział sam nad filiżanką espresso i rozłożoną gazetą.

– Słucham? – zapytała Olka.

– Jeszcze tego by brakowało, żebyście się rozmnożyły.

– Co takiego?

– Nie zasługujecie na to, żeby mieć mężczyzn. Słucham was i uszy mi więdną od tego zrzędzenia. Wszystko źle. Skoro jesteście takie doskonałe, to po co wam chłopy?

Słuchałyśmy go w osłupieniu. Facet poczerwieniał na twarzy. Zwinął gazetę i wymachiwał nią jak wskaźnikiem. Jego podniesiony głos sprawił, że wszyscy klienci patrzyli w naszym

kierunku.

– Co, nagle zapomniałyście języka w gębie? Ja wam powiem, po co wam jesteśmy. Chcecie nas zaprząc w chomąto i jeździć po nas jak po łysej kobyle. Mamy być posłuszni i robić, co nam każecie. A dlaczego, pytam? Kim wy niby jesteście? Nic wam się nie należy! Wypadamy z tej gry. Radźcie sobie same!

Na dowód tych słów rzucił gazetę na stół i wstał, sięgając po płaszcz przewieszony na oparciu. Zanim wyszedł, pochylił się nad naszym stolikiem.

– A na to, jak was traktują mężczyźni, zasłużyłyście sobie same. Rozszyfrowaliśmy was. I będziemy się mścić!

W tym momencie po obliczu łysego spłynęła gęsta, ciemna substancja. Olka zastygła z uniesioną w powietrzu filiżanką po kawie.

– Suka! – wrzasnął łysol.

Olka skoczyła w jego kierunku, po drodze przewracając krzesło. Wyrwała mu gazetę i zaczęła go nią okładać. Pomogła sobie kilkoma kopniakami.

Kiedy chłopak z obsługi ich rozdzielił i podał facetowi papierowy ręcznik do wytarcia twarzy i koszuli, Olka wysyczała:

– Zapamiętaj, samcu, nadeszły nowe czasy. Kobiety nie są już bezbronne. I to my będziemy wyrównywać rachunki. Zadbam o to, żebyś nieraz się o tym przekonał!

Niestety, najwyraźniej musiałyśmy na te nowe czasy jeszcze poczekać, bo to nas, a nie łysola, wyrzucono z kawiarni.

Rozdział szesnasty

Poczekalnia, poza funkcją grupy wsparcia, cieszy mnie z jeszcze jednego powodu. Jest moim sukcesem. Nawiązałam przyjaźń z dziewczynami i udaje mi się ją utrzymać. To jedyna trwała relacja, jaką zdołałam samodzielnie stworzyć. Umiem się chociaż przyjaźnić. Nie zawsze tak było.

W dzieciństwie podobnych niepowodzeń, jakie dziś przeżywam z mężczyznami, doświadczałam z koleżankami. Kilkuletnie dziewczynki w ogóle nie zaprzątają sobie głowy chłopcami. Jest tyle ciekawszych spraw! Nie oznacza to, że od najmłodszych lat nie biorą udziału w uczuciowych rozgrywkach. Dramat rozgrywa się po prostu gdzie indziej. Pierwsze przyjaźnie między dziewczynkami to scena, na której z rozmachem wystawia się ponadczasową klasykę: wielkie namiętności, zazdrość, nienawiść i łzy.

Najczęstszym powodem tragedii jest ta trzecia. Wie to każda dziewczynka, której nowa odebrała przyjaciółkę. Przyjaźń między trzema małymi kobietkami można od razu włożyć między bajki. Nie może istnieć, bo nie występuje w naturze. Choć na pierwszy rzut oka trzy bawiące się koleżanki sprawiają wrażenie zaprzyjaźnionych i szczęśliwych, to tylko gra pozorów. W rzeczywistości toczy się tam cicha wojna, w której wszystkie chwyty są dozwolone. Manipulacja, spisek, nielojalne zmiany sojusznika – wszystko, byleby utrzymać się na szczycie: to jest zostać w parze, nie poza nią.

Ja na ogół lądowałam na zewnątrz. W przedszkolu przyjaźniłam się z Basią, niebieskooką blondyneczką. Babcia przyprowadzała ją późnym rankiem. Właściwie mogły zostawać razem w domu i czasem ku mojemu głębokiemu rozczarowaniu tak się działo, na ogół bez żadnego ostrzeżenia. W przeciwieństwie do mnie, Basia chodziła do przedszkola z wyboru. Uważała to za lepszą zabawę niż siedzenie z babcią, a jej rodzice byli zdania, że w ten sposób szybciej rozwinie inteligencję społeczną. Mnie mama przyprowadzała z konieczności, już o siódmej, przed wyjściem do pracy.

Nie mogłam się doczekać, kiedy przyjdzie Basia. Poranna samotność w opustoszałym przedszkolu niemiłosiernie mi się dłużyła, zwłaszcza zimą, kiedy za oknami było jeszcze ciemno. Wymyśliłam, że czas upłynie mi szybciej, jeśli przed nadejściem przyjaciółki będę układać plan, w co będziemy się bawić. Zanim przyszły inne dzieci, rezerwowałam dla nas najlepsze zabawki, kładąc je na blacie stolika, który lubiłyśmy najbardziej, w kąciku przy oknie. Ze skrzynki z kredkami wyciągałam te dobrze zatemperowane, w tym najbardziej pożądaną, brzoskwiniową, którą można było rysować kolor ciała. Kiedy Basia siadała obok mnie, wszystko było już przygotowane. Przedtem siedziałam i patrzyłam w stronę drzwi,

czując przyjemne mrowienie. Czekałam.

Pewnego ranka zauważyłam, że mimo wczesnej pory oprócz mnie w przedszkolu jest jeszcze jedna dziewczynka, której przedtem nie widziałam. Miała kręcone włosy i czarne jak węgielki oczy. Kiedy bez słowa podeszłam do półki z zabawkami, żeby zwyczajowo zarezerwować wspólne mienie, zorientowałam się, że brakuje białego konika. Wystarczyło mi jedno spojrzenie z ukosa: trzymała go nowa. Czułam się zawiedziona, bo konik był najlepszy. Bez niego zabawa lalkami traciła połowę uroku – nie wchodziły w grę podróże, porwania i ucieczki. Poważna strata.

Pomyślałam, że aby ta sytuacja więcej się nie powtórzyła, muszę porozmawiać z mamą o najlepszej godzinie przyprowadzania mnie do przedszkola. A nowej nie pokazałam, jak bardzo uwiera mnie brak konia. Zamiast tego postanowiłam ją obserwować i w chwili jej nieuwagi niepostrzeżenie przejąć kucyka. Ale czarnulka podeszła do mnie i z uśmiechem zapytała, czy może koło mnie usiąść. Nie byłam zachwycona, ale się zgodziłam. Szybko zaczęłam tego żałować. Nowa rozsiadła się na dobre i bawiła w najlepsze. Oglądałam się nerwowo w stronę drzwi i gorąco pragnęłam, żeby już sobie poszła. Myślałam tylko o tym, że za chwilę przyjdzie Basia i kiedy zobaczy, że miejsce obok mnie jest zajęte, usiądzie gdzie indziej.

Tak się nie stało. Onieśmielona Basia bez słowa przysiadła się do nas. Szybko okazało się, że Patrycja (nowa) zna całkiem fajne zabawy i nauczyła nas nowej wyliczanki. Śmiałyśmy się wszystkie do rozpuku i tego dnia pani kilka razy zwracała nam uwagę. Kiedy mama przyszła mnie odebrać, byłam szczerze zawiedziona.

Następnego dnia obudziłam się sama i dopiero kiedy zaniepokojona zapytałam mamę, dlaczego jeszcze nie wychodzimy do przedszkola, powiedziała mi, że jest sobota. Kiedy zrozumiałam, że przede mną dwa długie dni w domu, byłam niepocieszona. Sobota i niedziela ciągnęły się w nieskończoność, a ja marudziłam i grymasiłam. W niedzielę wieczorem dostałam stanu podgorączkowego. Ku mojej rozpaczy mama zdecydowała, że poniedziałek spędzę w domu.

Wtorek był jednym z nielicznych dni, kiedy przyszłam do przedszkola później. Zostałam zapisana na poranną wizytę u lekarza, który na moje stanowcze żądanie pozwolił mi pójść do przedszkola. Przez całą drogę poganiałam mamę, żebyśmy szły szybciej. Miałam okropnie niemiłe uczucie, które w późniejszym życiu często mi towarzyszyło: że jestem w złym miejscu i coś fantastycznego właśnie mnie omija.

Kiedy w końcu dotarłyśmy do przedszkolnej szatni, mama wydobyła mnie ze skafandra, czapki kominiarki, szalika i rękawiczek na sznurku i przebrała w kapcie i fartuszek. Już

w progu poczułam, że coś jest nie tak. Sala była gwarna i pełna dzieci, do czego nie przywykłam. Szukałam wzrokiem Basi i Patrycji, ale nasz stolik zajmowało dwóch chłopców. Stałam zdezorientowana i rozglądałam się dookoła.

– Szukasz Basi? – zapytała pani opiekunka. – Jest tam.

Wskazała ręką w głąb sali. Basia siedziała z Patrycją przy innym niż zwykle, mniejszym stoliku. Dwuosobowym. Nie widziały mnie, całkowicie pochłonięte sobą. Chciałam się do nich zbliżyć, ale zawahałam się. Ich skupienie na wspólnej zabawie w połączeniu z brakiem wolnego krzesełka wytwarzało tajemniczą barierę, a ja byłam po drugiej jej stronie.

– Cześć – powiedziałam, kiedy w końcu podeszłam i stanęłam przy ich stoliku.

– Cześć – odpowiedziały jedna po drugiej.

I tyle.

Nie padło więcej słów, a jednak wszystko zostało powiedziane. Witając się, spojrzały na mnie, a potem wróciły do zabawy, zupełnie ignorując.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Przestępowałam z nogi na nogę i stałam w milczeniu przy stole, przy którym nie było już miejsca. Z niedowierzaniem przyjmowałam do wiadomości, co się właśnie wydarzyło. Puchł we mnie ból, który dusił w klatce piersiowej i wpychał do oczu łzy. Chcąc je powstrzymać, zaciskałam mocno powieki. Miałam nadzieję, że kiedy je otworzę, świat będzie w innym miejscu.

Liczyłam, że kiedy znów będę przychodzić do przedszkola wcześniej, wszystko wróci do normy. Nic z tego. Kolejne poranki tylko potwierdziły beznadziejną sytuację. Basia z Patrycją nie zwracały na mnie uwagi i siadały tylko we dwie. Moja krótka nieobecność spowodowała nieodwracalne zmiany. Próbowałam uciekać się do szantażu i zabierałam najlepsze zabawki, ale nic nie robiło na nich wrażenia. Nawet biały konik. Najlepiej bawiły się we własnym towarzystwie. Choćbym miała wszystkie zabawki świata, nie były mną zainteresowane.

Wydawało się, że wszystko stracone. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jeszcze kilka dni wcześniej moja przyjaźń z Basią kwitła w najlepsze. Przekreśliło ją pojawienie się Patrycji. Pomyślałam, że gdy znów będę mieć szansę pobyć z Basią sama, sprawy wrócą do normy. Zaczekałam na nadejście kolejnej soboty. Działo się to w czasach, kiedy dzieciom wolno było wychodzić na plac zabaw bez opieki rodziców. Basia mieszkała w sąsiednim bloku. Stanęłam pod jej oknem i zawołałam jej imię, jak robiłam to już w przeszłości. Najpierw raz, potem drugi. Cisza. Zawołałam jeszcze kilka razy. Bez skutku. Wołałam coraz głośniej, przeciągając samogłoski.

– Baaaasiaaaaa!

Jednocześnie wpatrywałam się w okna. Wydawało mi się, że coś drgnęło za firanką, więc

ponowiłam wołanie, głośniejsze i poparte machaniem rękami. Zostało w końcu wysłuchane, ale przez moją mamę, która zeszła na dół i ostrymi słowami skarciła mnie, że nie wolno się tak narzucać. Zabrała mnie do domu, a ja się rozpłakałam. Mama myślała, że to dlatego, że na mnie nakrzyczała.

Kiedy wszystkie starania zawiodły, poczułam się wyczerpana, choć cała historia musiała trwać zaledwie kilka dni. W kolejny poniedziałek oświadczyłam, że więcej nie pójdę do przedszkola, i tym razem naprawdę się rozchorowałam.

W szkole miałam jeszcze kilka bliskich koleżanek, ale za każdym razem kończyło się podobnie: zostawałam samotna i zraniona, a moją jedyną bronią było obrażanie się i zrywanie wszelkich kontaktów. Raził mnie każdy drobny akt nielojalności i każdy objaw niedostatecznego zaangażowania. Spóźnienie, brak odpowiedzi na list, niepamiętanie o urodzinach, odwoływanie spotkań, żarty za moimi plecami. Nie rozumiałam, dlaczego otrzymuję taką zapłatę za lojalność i oddanie.

Kiedyś usłyszałam, że jestem zbyt zaborcza. Że osaczam i jestem za bardzo zasadnicza. Najpierw zrobiłam to, co umiałam najlepiej, czyli się obraziłam. A potem kupiłam sobie poradnik.

Upływający czas spłycał moje rozczarowania i tępił idealistyczne, karmione baśniami podejście do przyjaźni. Po omacku, metodą prób i błędów, opanowywałam skomplikowaną sztukę międzyludzkich interakcji. Uczyłam się, jak nie brać złego traktowania do siebie, a lekceważenie nazywać prawem do zmiany zdania. Niewiele rozumiejąc, rezygnowałam z tego, co uważałam za słuszne, i wybierałam to, co działało w praktyce. Lepiej lub gorzej opanowałam sztukę posiadania koleżanek i teraz cieszę się z naszych spotkań. Dają mi wiarę, że skoro udało mi się z przyjaźnią, to może uda się też nauczyć miłości.

Rozdział siedemnasty

– Pani wiele oczekuje od ludzi – zdiagnozowała psycholog, inkasując sto pięćdziesiąt złotych. Za tyle można kupić sukienkę, cztery książki lub tygodniowe zaopatrzenie spożywcze dla jednej osoby. Ja zainwestowałam w jedną wizytę – jeden stopień na schodach do spełnienia. Zaczęłam się zastanawiać, ile mi ich jeszcze zostało.

– Być może, ale dużo też daję w zamian. Najwięcej wymagam od siebie – odpowiedziałam.

– A czy ktoś panią o to prosił?

– Żebym od siebie wymagała? Ba!

– Kto?

– Wszyscy. Od dziecka każą mi się starać, poprawiać, korygować niedociągnięcia. Słyszałam to w domu, w szkole, w kościele. Na zajęciach fitness, w pracy…

„I tutaj”, miałam ochotę dodać. Powstrzymałam się.

– Większość z tych nakazów jest tylko w pani głowie. W rzeczywistości nikt pani o nic nie prosi ani nikt nie podziękuje. Za to pani stawia ludziom żądania. I boli panią, że oni ich nie spełniają.

Zarumieniłam się jak skarcona uczennica.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że sama sobie tego nie wymyśliłam – broniłam się. – Nikt nie rodzi się z wewnętrznym przymusem zachowywania się poprawnie. Musiałam zostać tak wychowana.

– Chciałabym podkreślić, że nie jest już pani dzieckiem i może sama decydować, kogo słuchać.

– Próbuję słuchać siebie. Chociaż to też jest jakiś powszechny nakaz. Szczerze powiedziawszy, nie bardzo wiem, co on oznacza i co z nim zrobić.

– I to jest klucz do problemu. Proste rozwiązania bywają najtrudniejsze.

– Co pani radzi? – zapytałam zniecierpliwiona.

– Nie może pani wpłynąć na zachowanie innych ludzi. Może pani zmienić jedynie siebie.

– A co z moimi potrzebami? Do ich zaspokojenia potrzebni są inni.

– Pani potrzeby też leżą w pani mocy.

– Czyli… co powinnam z nimi zrobić?

– Przede wszystkim nie wybiegać myślą w przyszłość. Niech się pani wsłucha w to, kim pani jest, co jest dla pani ważne. Chce pani stworzyć związek? Proszę działać w tym kierunku. Skoncentrować się na tym, co można w tej sprawie zrobić. Na dążeniu do stworzenia relacji, a nie na samej relacji.

Nic z tego nie rozumiałam.

– Ale jak to zrobić w praktyce?

– Nie robić nic szczególnego. Żyć jak dotąd i robić swoje. Nie starać się patrzeć na zdarzenia pod kątem tego, do czego one prowadzą. Zanurzać się w chwili, być tu i teraz. Nauczyć się cieszyć z samej możliwości spotkania z drugim człowiekiem, niezależnie, co z tego wyniknie.

Jako pojętna uczennica od razu wcieliłam naukę w życie. W geście spontaniczności nie umówiłam się na następną wizytę.

Rozdział osiemnasty

– Czekamy. – Ochroniarz zawiesił przed nami odwróconą dłoń. W kąciku ust trzymał wykałaczkę. Od czasu do czasu wyjmował ją i wydychał parujące na zimnie powietrze jak chłopiec, który udaje, że pali papierosa.

Razem z Magdą, Lukiem i Inką czekaliśmy na naszą kolej wejścia do klubu. Czerwony dywan, obiecujący hollywoodzki splendor, kończył się przed drzwiami niskiego, pomalowanego na czarno baraku bez okien. Choć było już późno, za nami uformował się spory ogonek.

– Przed północą nie ma tu czego szukać – wyjaśniła Magda, przytupując na mrozie.

– Puchy i lipa – sprecyzował Luk, naciągając kaptur.

Proponowałam, żebyśmy spotkali się wcześniej. Wytrwanie do tej godziny po całym tygodniu pracy samo w sobie było dla mnie wyzwaniem, nie mówiąc o tym, żeby dobrze przy tym wyglądać. Szczypały mnie uszy. Odliczałam w myślach kolejne minuty, zastanawiając się, czy będę zmuszona w końcu włożyć czapkę. Musiałabym zostać w niej przez cały wieczór, bo publiczne pokazanie się ze spustoszeniem, jakie zrobiłaby w mojej fryzurze, nie wchodziło w grę. Miałam to przećwiczone.

Zdecydowałam, że w ten weekend nie pojadę do rodziców. Potrzebowałam przerwy. Chciałam się odciąć i zrobić sobie urlop od cotygodniowego raportowania niezadowalającej kondycji mojego życia osobistego. Dobrym sposobem na zagłuszenie głosów w głowie wydał mi się ogłuszający wieczór w klubie.

– Zapraszam. – Ochroniarz przyszedł mi na ratunek, uchylając ciężką zasłonę wiszącą w drzwiach.

Poczułam się, jakby w lodowatą pustynną noc wpuścił nas do namiotu szejka. Za kotarą przywitały nas fala ciepła i przepych kolorowych świateł, poruszających się w takt radosnej muzyki. Instynktownie zwróciłam się w tamtym kierunku.

– Trzydzieści złotych. – Barczysty mężczyzna ubrany od stóp do głów na czarno wyciągał w moją stronę dłoń, patrząc gdzieś ponad moją głową. W drugiej, uniesionej ręce trzymał gotowy do strzału stempel.

– Aż tyle za sam wstęp? – zapytałam nieśmiało. Nie odpowiedział. Jego kamienne oblicze ani drgnęło.

Zapłaciłam i wyciągnęłam do niego rękę. Nadrukował na moim nadgarstku rząd cyfr, nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Równie dobrze mogłabym podstawić mu czoło. Lub coś innego.

– Masz dwa złote na szatnię? Obowiązkowa! – zawołała do mnie Inka. Magda już machała do nas z parkietu w głębi klubu, obracając się i prezentując czerwoną koronkową sukienkę. Ustawiłyśmy się z Inką w kolejce za Lukiem, objuczonym stertą Magdzinych ciuchów.

– Szczęściara – szepnęła mi do ucha Inka, wskazując brodą na Luka.

– Nie przesadzajmy. – Zmierzyłam go spojrzeniem. – Poza tym Magda przywiozła drewno do lasu. Ta noc należy do nas. – Puściłam oko.

Inka westchnęła, patrząc w stronę parkietu.

– Obyś miała rację. Tymczasem szykuj się do walki. Wchodzimy na ring.

Wnętrze klubu raz po raz rozświetlał inny kolor płynący z metalowych reflektorów zawieszonych pod sufitem. Na lewo od wejścia ciągnął się srebrny bar, oznaczony podłużnymi neonami jak droga ewakuacyjna. Na tle podświetlonych na błękitno półek z alkoholami uwijało się kilku barmanów, usiłujących zapanować nad naporem hałaśliwego tłumu. Tuż obok lśniła konsola DJ-a i duże plazmowe ekrany wyświetlające animacje i teledyski. Do czarnych ścian tuliły się podesty z nielicznymi stolikami. Pośrodku pulsował rojny parkiet, na który co parę chwil spadał deszcz kolorowego konfetti.

Piątkowy wieczór. Czas, kiedy wszystko wydaje się możliwe. W powietrzu wisi obietnica, jak pierwszego dnia wakacji. Tuż za progiem czai się coś ekscytującego. I to coś czeka, żeby się wydarzyć, właśnie dziś, już za chwilę. Nieważne, ile razy przedtem weekend przeszedł bez echa i przetopił się w gnuśną niedzielę, a wakacje nie przyniosły nic poza nudą. To uczucie zawsze wraca. Nadzieja nie umiera i o wyznaczonej porze jak w zegarku staje na baczność.

Uderzyła nas fala tropikalnego powietrza, gorącego i wilgotnego od tysięcy oddechów. Magda śmiała się i coś pokazywała, ale nie była w stanie przekrzyczeć muzyki. Upłynęło kilkanaście minut, zanim mój organizm przystosował się do natężenia dźwięku, wprawiającego w drgania serce, żołądek i membrany uszu. Kiedy zaczęłam odróżniać piosenki, zauważyłam, że zmieniają się szybciej, niż przypomnę sobie słowa i zdążę coś zanucić. Wielu kawałków nie rozpoznałam w ogóle. Nie miało to jednak znaczenia dla tańca. Wszyscy poruszali się w uniwersalnym rytmie, nie starając się przesadnie urozmaicać nieskomplikowanej sekwencji kroków. Masowy pląs na parkiecie przypominał plemienne tańce w kręgu, przeciągane aż do osiągnięcia rytualnego transu.

Parkiet otaczały barierki ze srebrnymi linkami. Za nimi tłoczył się szpaler niemych obserwatorów przyglądających się tańczącym poniżej.

– To arena, na której toczą się igrzyska – wyjaśniła Inka. – Walka wręcz, w której obowiązuje tylko jedno prawo: dżungli.

Po kilkunastu kawałkach przecisnęłyśmy się na zewnątrz i stanęłyśmy w kolejce do toalety.

W korytarzu dało się chociaż porozmawiać.

– Masz na myśli blondynę, która prawie przebiła mi stopę obcasem? – zapytałam, zdejmując balerinkę, żeby ocenić straty.

Poruszając się w falującym tłumie, uświadomiłyśmy sobie, jak bardzo jesteśmy bezbronne. Na tle pozostałych dziewczyn byłyśmy kompletnie nieprzygotowane. W pobliżu naszych odsłoniętych ciał szczerzyły się ostro zakończone tipsy, ćwieki i cekiny. W dolnych partiach niebezpieczny labirynt tworzyły podkute metalem glany lub cienkie jak sztylety szpilki. Ale nawet tak uzbrojone, zamknięte w gorsetowych zbrojach zawodniczki padały ofiarą wszędobylskich męskich rąk, które niepostrzeżenie oblepiały talie i pośladki. Nie pomagał slalom uników ani ścieśnianie się w damski pierścień. Zwyciężały te, które przyszły z obstawą.

– Chodziło mi o zawody w stawianiu na swoim – powiedziała Inka, poprawiając włosy przed lustrem. – Ale zwycięsko wyjdzie z tej gry niewielu. A może nikt.

– Brzmi groźnie. A myślałam, że ludzie przychodzą tu tylko potańczyć.

– Nie ma czegoś takiego jak „tylko potańczyć". Nigdy nie było. Taniec zawsze pełnił określoną funkcję. Godową, obrzędową, religijną.

– A jakie cele ma ten tutaj?

– Sprzeczne – wymruczała Inka przez zaciśnięte usta, rozprowadzając na wargach błyszczyk.

– Naprawdę dyskoteka jest tak wielowymiarowa?

– Po co tu przyszłaś? – spytała Inka zniecierpliwiona. Wskazała na wolną toaletę. Zajęłyśmy sąsiadujące kabiny.

– Spotkać się z wami. Potańczyć. Wyjść z domu. Zmienić otoczenie – wyliczałam przez ściankę z dykty.

– Bzdura. Ty i ja, jak wszystkie dziewczyny, które tu dzisiaj przyszły, jesteśmy tu po to, żeby poznać fajnego faceta.

– Wszystkie? Część przyszła z chłopakami.

– I co z tego? Przecież mogą wyjść z kimś innym. W razie pojawienia się atrakcyjniejszego kąska, ochroniarza-sponsora można szybko spławić i przejść pod skrzydła następnego. Tu nikt nie dyskwalifikuje za nieprzestrzeganie zasad *fair play*.

– A po co przyszli faceci? Upić się?

– Za trzy dychy na wejściu i dychę za wodniste piwo? Niby po to wyłazili z domu i się myli? Żarty – prychnęła Inka.

– No dobrze, więc też po to, żeby kogoś poznać.

– Poznawanie kogoś to ostatnia rzecz, na którą mają ochotę w środku nocy po całym

tygodniu roboty. – Na podkreślenie tych słów Inka spuściła wodę. – Chcą kogoś bzyknąć jeszcze tej nocy.

Kiedy myłyśmy ręce, do łazienki wtoczył się spocony osiłek, energicznie rozpinając rozporek. Spojrzał na nas, przeprosił z obleśnym uśmiechem i szybko się wycofał.

– Przyszedł na przeszpiegi do obozu przeciwnika – powiedziała Inka. – Klubowy parkiet to odwieczne starcie sprzecznych interesów, które musi zakończyć się obustronnym rozczarowaniem – kontynuowała. – W najlepszym razie sprytniejszy odniesie zwycięstwo nad bardziej zdesperowanym.

– Podejrzewam, że ofiary to na ogół my, dziewczyny?

– Niekoniecznie. Na tym specyficznym polu walki role co chwila się zmieniają. Raz jesteś ofiarą, raz oprawcą.

Wyszłyśmy na zewnątrz i łapałyśmy oddech przed powrotem na parkiet.

– Popatrz na brunetkę w różowym. Przed chwilą zmysłowo się kołysała, kusząc dryblasa z dredami. Kiedy ten obojętnie się oddalił, do czarnej doskoczył krępy pulpecik. Rozmarzony uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy. Najpierw odwróciła się do koleżanek, a kiedy pulpet niezrażony wciąż parł do niej, dała mu w końcu po łapach.

– A dred właśnie gestykuluje przy barze. Chyba próbuje zrobić wrażenie na drobince z krwistoczerwonymi ustami.

– Klasyka: duży leci na małe i odwrotnie. Tymczasem dziewczątko już łypie na nadzianego seniora, który samotnie sączy whisky. *Neverending story*.

– Czyli dziewczyny chcą się ustawić, a faceci kogokolwiek przelecieć? To chyba zbytnie uproszczenie.

– Motywy mogą być różne, ale niezmienną przyczyną porażki jest dążenie w przeciwnych kierunkach. Konflikt pogłębia obustronna chęć natychmiastowego zwrotu z inwestycji.

– Jak to inwestycji?

– A ile czasu szykowałaś się dziś do wyjścia? – Inka otaksowała mnie wzrokiem. – Malowanie, układanie włosów, manikiur, wyprawa po nowe ciuchy? Niektóre dziewczyny poświęcają na to cały dzień. A w klubie walczą o spojrzenia jak na targu niewolnic. Niestety, większość z nich wróci dziś do domu zawiedziona, a staranny makijaż będą zmywać łzami.

– A jak inwestują faceci?

– Prysznic, wstęp do klubu, czas spędzony w durnym miejscu, taksówka, może drinki dla panienki. To wszystko kosztuje. Jeśli tej nocy nic się nie trafi, za tydzień trzeba będzie powtórzyć całą operację.

– A może da się pogodzić te sprzeczne interesy? – zapytałam. – Przykre jest to założenie

„kto kogo”. Jeśli facet na początku trochę się postara i zgodzi być z jedną partnerką, to przecież w związku będzie miał ten seks. Dziewczyny też go chcą.

– Za dużo zachodu. – Inka machnęła ręką. – Żeby przekonać do siebie kobietę nastawioną na zawiązek, faceci muszą odprawić skomplikowany towarzyski rytuał. Przetańczyć z nią pół nocy, potem wziąć numer telefonu. Odczekać kilka dni, żeby nie wyjść na napaleńca, i zadzwonić. Umówić się kilka razy, wznosząc się na kolejne stopnie wtajemniczenia. Dopiero potem mogą liczyć na seks, w dodatku obwarowany tysiącem oczekiwań i zastrzeżeń. Po co tracić czas i wpędzać się w koszty? Jak widzisz, każdy dąży do czegoś innego, traktując drugą stronę instrumentalnie.

– Dziewczyna chcąca się związać z facetem traktuje go instrumentalnie?

– Pewnie. Wobec kogo masz największe wymagania, jeśli nie wobec własnego partnera?

– Nie wiem, bo go nie mam.

– Ale założę się, że już wiesz, jaki powinien być.

Niechętnie musiałam przyznać Ince rację.

Wróciłyśmy na parkiet, przeciskając się przez tłum. Znowu zrobiło się za głośno, żeby rozmawiać. I dobrze, bo Inka ze swoimi teoriami zaczynała działać mi na nerwy. Po co tu przyszła, skoro z góry wszystko wie? Poklepałam ją w ramię, wskazałam ręką na bar i odwróciłam się, nie sprawdzając, czy za mną pójdzie.

Byłam zła.

Na Inkę, która odebrała mi frajdę ze spontanicznej zabawy. Na psychologię. Na ciągłe narzekanie dziewczyn. Nie obchodziły mnie życiowe mądrości Inki i wszystkich, którzy próbowali mnie oświecić. Dlaczego miałabym w nie wierzyć? Brak mi doświadczenia, żeby wyrobić sobie własne zdanie. Ba, nie mam na koncie niemal żadnych przeżyć, do których mogłabym się odnieść. To mój największy problem. Ludzie się zakochują, rozstają, cierpią z miłości, nudzą się sobą, zdradzają. Przeżywają etapy euforii i rozpaczy. Uczą się siebie i innych. Zbierają wspomnienia, by kiedyś móc powiedzieć: żyliśmy ciekawie. A ja? Każdego dnia czuję, że moje własne życie mnie unika.

Czekając na swoją kolej przy barze, patrzyłam na parkiet. Magda wygłupiała się w tańcu z Inką, obok nich podrygiwał Luk. Tworzyli razem kółko. Czasem jakiś bezprizorny biedaczysko próbował je rozbić i wyjąć którąś z dziewczyn, ale po kilku okrążeniach oddalał się zniechęcony. Spojrzałam na zegarek, zbliżała się trzecia. O tej porze muzyka zamieniała się w jednostajną, trudną do zniesienia sieczkę. Pierwszy sygnał zbliżającego się końca imprezy. Obserwowałam, czy tańczący spróbują zintensyfikować wzajemne zakusy, żeby zdołać wyjść z klubu zwycięsko, ale nic takiego nie zauważyłam. Większość rytmicznie podrygiwała, tępo

wpatrzona w ekrany, na których kiwali się czarnoskórzy faceci w złotych łańcuchach, oplatani przez ślicznotki w bikini. Wszyscy wyniośli, poważni, bez cienia uśmiechu.

Inka nie miała racji. Obecni w klubie nie skanowali parkietu w poszukiwaniu zdobyczy, ale prezentowali się przed publicznością. Odgrywali przed sobą i innymi własne wersje premium. Wielbili swoje wieczorowe wydanie. Oczami wyobraźni widzieli się w teledyskach. Adorowali samych siebie. *I'm sexy and I know it. Only girl in the world. All eyes on us.*

Stałam wciąż przy barze, zastanawiając się, co ja tu robię. Potarłam wewnętrzną stronę nadgarstka. Numery nabite przez ochroniarza lekko się rozmazały. Czułam się jak naznaczony więzień, zmuszony do udziału w idiotycznych, upokarzających procedurach. Byłam jak Ewa, która nie ma prawa istnieć bez Adama.

Marzyłam o tym, żeby się od tego wszystkiego uwolnić. Włożyłam między bajki romantyczną fazę zakochania. Chciałam po prostu mieć już to za sobą. Wierzyłam, że związek da mi taką wolność. Zapełni brak i rozwieje niepokój. A potem mogłabym zająć się innymi sprawami. Jakimi? Jeszcze nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Mogę postawić ci drinka?

Wpatrywał się we mnie chłopak w koszulce Placebo. Lekko potargane włosy, dżinsy, w ręku zwinięta szara bluza.

– Może najpierw zatańczymy? – Uśmiechnęłam się.

– Ale zaraz jest nasza kolejka. – Chłopak wskazał ręką na bar. – Potem znów będziemy musieli długo czekać.

– Nie lubisz czekać? – niezdarnie spróbowałam flirtować. Dramat.

– Słucham?

– Spieszy ci się? – krzyknęłam, próbując przebić się przez klubowy jazgot.

– Nie rozumiem, słabo cię słyszę. Chcesz tego drinka?

No tak, to nie miejsce na rozmowy.

– Poproszę. Może być martini.

Spojrzałam na parkiet. Magda uniosła kciuk do góry. Inka ścisnęła wargi w całus. Obie się roześmiały. Szybko się odwróciłam.

– To twoi znajomi? – zapytał Placebo, podając mi kieliszek. Drugą dłonią schował portfel do tylnej kieszeni spodni.

– Nie, nie mam pojęcia kto to.

– Widziałem was razem.

– Tak. To znaczy… przyszliśmy razem. Znajomi – próbowałam krzyczeć.

Placebo pokazał na swoje ucho i wzruszył ramionami. Rozbawił mnie. On też się śmiał,

ukazując białe, równe zęby. Nie zauważyłam go wcześniej. Na tle klubowej galerii osobliwości naprawdę miło było na niego patrzeć.

Piliśmy w milczeniu.

– Idziemy? – krzyknął w końcu.

– Dokąd? – zapytałam.

Nachylił się nade mną, żeby lepiej słyszeć. Pachniał proszkiem do prania. Zaskoczył mnie ten zapach. I rozczulił.

– Na zewnątrz. Pogadać.

Zawahałam się i rozejrzałam dookoła, żeby zyskać czas do namysłu.

– Poczekaj, zapytam resztę, czy chcą już iść.

– Ale ja chcę wyjść tylko z tobą.

– To może umówimy się na spokojnie jutro? Jest już późno – powiedziałam.

Błąd. Spojrzałam na jego twarz i usłyszałam, jak z hukiem spada jego zainteresowanie.

– Dasz mi swój numer? – dodałam szybko. Drinki mają magiczną moc.

– Zbyt skomplikowane – uciął.

Odstawił pustą szklankę i wyjął z kieszeni numerek z szatni.

Popatrzyłam na parkiet. Magda z Lukiem tańczyli przytuleni, Inka samotnie opierała się o filar. Parkiet wyraźnie się przerzedził. Tuba z nadmuchem znów wznieciła w powietrzu tuman konfetti. Papierowe serca opadały na podłogę jak rozwiane nadzieje. Jedne i drugie za chwilę miały zostać zdeptane.

– Poczekaj! – Złapałam Placebo za rękę. Spojrzał na mnie, a potem położył mi dłoń na karku i przyciągnął do siebie.

Chyba słyszałam, jak ktoś woła moje imię, ale nie obejrzałam się za siebie, kiedy razem wychodziliśmy.

Rozdział dziewiętnasty

– Jesteś pierwsza – przywitał mnie Marcin. – Asię już poznałaś.

Skinął w jej stronę, gdy pojawiła się w drzwiach pokoju. Kiedy jakiś czas temu prosiłam ją o komentarz mojego randkowego profilu, nie wiedziałam, że się spotykają. Weszłam do łazienki umyć ręce. Na półce pod lustrem stało kilka damskich kosmetyków. Widać sprawa nabierała tempa.

U Placebo nie zauważyłam śladów kobiecej obecności. Typowa męska kawalerka, jednopokojowe studio z otwartą kuchnią. W miarę uporządkowana, wyposażona w podstawowe rzeczy. Rozkładany szary narożnik, brzozowe biurko z laptopem, kwadratowy stolik z dwoma krzesłami. Dużo półek na książki i płyty. Głośniki, brak telewizora. W łazience grafitowe kafelki i prysznic z hydromasażem.

– Wina? – zapytał Marcin. – Białe, półsłodkie.

Skinęłam głową.

Placebo zaproponował mi cydr. Tylko to miał w lodówce oprócz piwa. Był przygotowany na wizytę kobiety, ale bez przesadnych zabiegów. Usiedliśmy na rozłożonym narożniku, schludnie przykrytym narzutą. Neutralne rozwiązanie: niewinnie posłane łóżko, którego w razie czego nie trzeba w pośpiechu rozkładać, psując nastrój.

– Co słychać? – zapytałam Marcina. – Ładne poszewki – zwróciłam uwagę na fioletowe poduszki wyszywane kryształkami, leżące na śmietankowej kanapie. Na pewno nie wybrał ich mój brat.

Z Placebo rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Pochwaliłam widok z okna, on opowiedział, dlaczego lubi swoją dzielnicę. Przerzucaliśmy się miastami, w których chcielibyśmy mieszkać. Przejrzałam jego kolekcję płyt i powiedziałam, czego lubię słuchać. Było też trochę o filmach i książkach. Nikt o nic nikogo nie pytał. Przyjemna odmiana po rozmowach kwalifikacyjnych na Kochanie.pl.

Marcin otworzył drzwi komuś, kto pukał. W korytarzu rozległy się męskie śmiechy.

– Poznajcie się. – Marcin przedstawił mi dwóch kolegów.

– Cześć, jestem Robert.

– A ja Maciek.

– Ewa.

Placebo nie zdradził mi swojego imienia. Wyjaśnił, że z przedstawianiem się różnie bywa. Dużo zależy od indywidualnych gustów. Imię może wydać się żenujące albo budzić złe wspomnienia i wtedy wszystko zepsuje. Zaproponował, żebym wybrała sobie, jak chcę go

nazywać. Poza adresem, który zapamiętałam, nie zdobyłam o nim żadnej informacji. Nic do wrzucenia w wyszukiwarkę. Nic do porównania i poddania analizie.

Marcin podał mi kieliszek. Salon szybko się zapełniał. Przyszedł jeszcze jeden kolega i jeszcze trzy pary. Żadnych samotnych dziewczyn. Lojalny brat zadbał, żebym była bezkonkurencyjna.

– Dzięki za podanie mi ich na tacy – szepnęłam z przekąsem.

– Możesz wybierać jak na okazaniu.

– Powiesz mi coś o nich tytułem wstępu?

– Co tu dużo gadać, sama oceń. To kumple ze studiów, mniej więcej w moim wieku. Robert, grafik. – Marcin skinął w stronę przysadzistego miśka z postępami w łysieniu. – Kinoman, mieszka z rodzicami, nie ma motywacji, żeby się wyprowadzić. Maciek, informatyk, rozstał się z dziewczyną i właśnie wrócił z kilkumiesięcznej podróży po Azji.

Maciek wyglądem bił Roberta na głowę. Wysoki, ubrany starannie, ale na luzie, z kilkudniowym zarostem, o atrakcyjnym ciele podróżnika, czyli wyrzeźbionym przez trekking i ozłoconym przez słońce.

– Seba, tester gier – kontynuował Marcin. – Miłośnik imprez, żadna kobieta nie utrzymała go na długo, ale może tobie się uda.

Jak na mój gust Seba był za bardzo wymuskany. Zbyt staranna fryzura, przesadnie wystylizowany strój. To zapowiadało kłopoty, z których obsesyjne dbanie o wygląd, nagminne blokowanie łazienki i tendencja do rozrzutności to najmniejsze zmartwienia.

Wytypowałam mojego faworyta i nagle wydało mi się śmieszne, że znów miałam przestawić się na tryb wabiąco-poszukujący i brać udział w żenującym obrzędzie dobierania się w pary.

Poprzedniego wieczoru, z Placebo, przystałam na jasny układ. Noc z nieznajomym, bez planu, bez dalszego ciągu. Chwila pozbawiona perspektyw i zmierzająca donikąd. Zamknęłam oczy i skoczyłam. Puściłam się. Pani psycholog powinna mi pogratulować.

Wcześniej sądziłam, że to musi być przykre. Już po wszystkim ubierać się i żegnać, mimowolnie tęsknić, beznadziejnie wyczekiwać na telefon i następne spotkanie. Wyrzucać sobie łatwość i naiwność, oceniać siebie oczami drugiej strony. Ale kiedy z góry przyjęłam, że po wspólnej nocy nic więcej się nie wydarzy, paradoksalnie poczułam się bezpiecznie. Bo to była moja decyzja. Sama dokonałam wyboru. Nie myślałam o tym, co będzie – ustaliłam wcześniej, że nic. Nie miałam nic do stracenia. Mogłam tylko zyskać.

Marcin zostawił mnie samą na placu boju. Napiłam się wina i podeszłam do kandydata numer jeden. Poprzedni wieczór dodał mi pewności siebie.

– Słyszałam, że wróciłeś z podróży – zagaiłam.

– Tak, choć żałuję, że musiałem – odparł Maciek, otwierając butelkę piwa.

– Jak było?

– Wybacz, ale mam wrażenie, że słyszę to pytanie po raz setny. Długo by opowiadać. Trudno streścić trzy miesiące wędrówki w paru zdaniach. Sam nie obejrzałem jeszcze zdjęć, przywiozłem ich ponad siedem tysięcy.

– Gdzie byłeś?

– Azja Południowo-Wschodnia.

– To znaczy?

Popatrzył na mnie z pogardą.

– Mam na myśli, w których krajach – wyjaśniłam.

– Sporo tego było. Wszystko możesz przeczytać w moim blogu. – Pociągnął łyk piwa, omijając mnie wzrokiem. – Www.nevergoback.com.

– A jednak wróciłeś. – Uśmiechnęłam się.

– Słucham?

– To może zdradzisz, co zrobiło na tobie największe wrażenie?

– Czy ja wiem? Nie wyjechałem w poszukiwaniu wrażeń.

– A po co?

– Jak to po co? Po prostu.

Zmierzaliśmy donikąd.

– Inaczej: co najlepiej wspominasz?

– To była niesamowita podróż, mogę tu stać i opowiadać, ale trzeba tego doświadczyć, żeby móc zrozumieć.

– Mimo wszystko spróbuję. – Uśmiechnęłam się. Wyraz twarzy Maćka wyrażał co najmniej powątpiewanie. – Wymień trzy miejsca, które warto zobaczyć.

– Czy ja wyglądam na informację turystyczną? Przejrzyj sobie przewodnik. Albo mojego bloga. Jeśli mnie polubisz na fejsie, co parę dni będziesz dostawać *update*.

Spróbujmy jeszcze raz. Ominęłam Sebę i postanowiłam dać szansę Robertowi. Już w pierwszych zdaniach pochwalił się, że utrzymuje się tylko z inwestycji giełdowych, gardzi etatem i jest zwolennikiem anarchii. Nie widział nic sprzecznego w tym, że jednocześnie mieszka z rodzicami, a brzuch pęczniejący pod czarną koszulką z heavymetalowym zespołem zapasł na maminych obiadkach.

– Nie widziałaś Marcina? – zapytał. Należał do tych, którzy nie lubią za długo przebywać sam na sam z kobietą.

– Poszedł do sklepu po wódkę – odpowiedziałam. Dobrze się składało. Była mi potrzebna.

– Chciałem pożyczyć od niego parę filmów. Zaczekam, aż wróci.

– Podobno trudno o film, którego nie widziałeś. Słyszałam, że w tej dziedzinie nie masz sobie równych.

– Rzeczywiście, lubię kino.

I kolor czarny, dopowiedziałam w myślach, mierząc go wzrokiem. Jego strój nie zawierał ani jednego elementu o innej barwie.

– Czekoladkę? – wyciągnęłam w jego stronę kryształową miseczkę.

– Dziękuję, słodycze jadam tylko raz w tygodniu.

– A to nie może być dzisiaj? – zapytałam z ustami pełnymi kokosowych kulek.

– Nie. Desery jadam tylko w piątki. – Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Podziwiam twoją dyscyplinę. Ale możesz mi zaufać, nikomu nie powiem. – Mrugnęłam do niego.

– Naprawdę, dziękuję. Mam tendencje do tycia.

To odstaw domowe kotleciki, pomyślałam.

Sparzona po rozmowie z Maćkiem, bałam się pytać Roberta o jego ulubione filmy. Chłopaka z miasta należało czymś zaintrygować. Najlepiej nim samym.

– Pewnie trudno cię zagiąć z kinematografii – spróbowałam.

– Przeciwnie, jest całe mnóstwo filmów, których nie znam. Produkcje lokalne, offowe, krótkie formy. A z tych, które możesz kojarzyć, na przykład nowy Polański.

– Niemożliwe!

– A jednak.

– Wolisz oglądać w kinie czy w domu?

– Musiałbym zatrudnić się w kinie i w nim zamieszkać, żeby wyrobić się czasowo i finansowo, więc na ogół oglądam w sieci. Minusem jest jakość, która na ogół pozostawia wiele do życzenia. Dlatego kiedy jakiś film mi się spodoba, idę do kina. Albo pożyczam DVD, na przykład od Marcina. Coś długo go nie ma. – Robert rozejrzał się nerwowo.

– Słuchaj, a co robisz jutro? Też chciałabym obejrzeć Polańskiego. Może wybierzemy się do kina? – Szłam jak burza. Terapia Placebo w połączeniu z kieliszkiem wina dawała zdumiewające efekty.

– Dziękuję za propozycję, ale jutro jest niedziela.

– Masz inne plany?

– Nie, ale niedziele spędzam w domu. Nigdzie nie wychodzę, odpoczywam.

Nie martw się, jesteś na dobrej drodze, by wkrótce odpoczywać wiecznie.

Rozległ się dzwonek domofonu.

– To pewnie Marcin, otworzę – powiedziałam.

– Pójdę z tobą. – Robert odprowadził mnie do drzwi. – Wiesz, możemy umówić się w innym terminie. Daj mi tylko chwilę. – Wyciągnął z kieszeni telefon.

Jedną ręką energicznie stukał w przyciski, a po chwili w skupieniu wpatrzył się w ekran. Otworzyłam usta, żeby podyktować mój numer telefonu. A jednak!

– Na przykład za dwa tygodnie. Widzę w kalendarzu, że mam wolną sobotę.

– Dobrze. Skoro możesz dopiero wtedy…

Kokietka ze mnie.

– Świetnie. Zapisz sobie: piętnastego marca. Ja zapraszam. Podam ci przez Marcina hasło dostępu do panelu, żebyś mogła się zalogować w ramach mojego abonamentu. Ja obejrzę w jednym serwisie, a ty w tym samym czasie w drugim, żebyś nie musiała płacić. A potem wymienimy wrażenia na czacie.

Energiczne pukanie do drzwi rozległo się akurat w chwili, kiedy docierała do mnie finezja propozycji Roberta. Przerwało nieuchwytny moment, kiedy mój uwodzicielski uśmiech zamieniał się w rozdziawioną gębę. Łomot przywołał mnie do rzeczywistości, jakby ktoś życzliwy zdecydowanie zaczął wybijać mi z głowy głupoty. Zdążyłam pomyśleć, że zdawanie się na innych przy wyborze partnera nie było chyba najlepszym pomysłem. Dziwacy, których wybierałam sama, przynajmniej mnie pociągali.

Zbliżyłam się do drzwi. Dźwięk rozległ się znowu, ale tym razem nie było to już pukanie, a walenie pięścią.

– Szybko, to pewnie Marcin! – zaniepokoił się Robert. – Coś musiało się stać, może ktoś go goni! – ponaglał, nie ruszając się przy tym z miejsca.

– Gangsterskie porachunki zdarzają się głównie w filmach. Obstawiam policję – odpowiedziałam.

Dałam reszcie sygnał, by ściszyli muzykę, a sama chwyciłam za klamkę.

W chwili kiedy pociągnęłam drzwi do siebie, do środka z impetem wpadł zamaskowany napastnik, w mgnieniu oka powalając mnie na ziemię. Poczułam przeszywający ból, kiedy z całej siły natarł na mnie łokciem i usztywnionym ramieniem. Upadłam, uderzając głową o podłogę. Pociemniało mi przed oczami. Gdzieś w oddali usłyszałam stłumiony dziewczęcy pisk. A potem spadło na mnie coś ciężkiego, przygniatając mnie i wyłączając wszystko wokół.

Rozdział dwudziesty

Wciąż było ciemno. Nie mogłam oddychać. Na piersi czułam potworny ciężar. Niespodziewanie owiał mnie dławiący opar alkoholu. Paradoksalnie podziałał na mnie trzeźwiąco. Spróbowałam się poruszyć, ale nie mogłam. Chociaż nadal nic nie widziałam, resztą zmysłów zorientowałam się, że ktoś na mnie leży. Przyciskał mnie swoim ciężarem. Dłonie miał oparte o ziemię, skutecznie unieruchamiając moje ręce wyciągnięte wzdłuż ciała. Nagle lekko się na nich uniósł, a potem ponownie opadł. Po chwili znów uniósł się i znów mnie przytłoczył. I znów.

Ogarnęła mnie panika.

– Zabiję cię! – Powietrze rozdarł czyjś krzyk.

Wciąż nie mogłam oddychać. Nagle czyjaś magiczna ręka podniosła ciężar, który mnie przytłaczał. Najpierw nad moją twarzą zawisł cień, a potem zrobiło się jasno. Oślepiająco jasno.

– Ewuniu, słyszysz mnie? – zapytał miękko Głos.

Nie było nikogo widać. Otaczała mnie jasność. Jak okiem sięgnąć biel. Patrzenie bolało. W filmach to oznacza tylko jedno.

– Jesteś aniołem? – zapytałam z trudem Głosu.

– To ja, Marcin – odpowiedział. – Jestem tutaj.

– Och, nie – jęknęłam. – Tylko nie to.

Mój rozbity umysł powoli składał w bolesną całość strzępy bodźców i informacji. Padłam ofiarą napadu. Włamywacz był zdesperowany i uzbrojony, nie zważał na to, że w mieszkaniu są ludzie. Zaatakował mnie. Chwilę później wszedł Marcin i rzucił mi się na pomoc. Niestety, zapłacił za to wysoką cenę. Zginęliśmy oboje.

– A więc istnieje… i jesteśmy po właściwej stronie. Po stronie światła… – wymruczałam. Zasłoniłam dłońmi oczy.

– Zgaście światło! – odezwał się inny, niższy głos.

– Ha, ha, ha, ha, ha – ktoś roześmiał się złowieszczo.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie gaście! Błagam! Nie…

Ktoś wymierzył mi policzek, żeby mnie uciszyć. A potem znów zapadł mrok. Gęsty, nieprzenikniony mrok.

Nadstawiłam drugi policzek i przyjęłam kolejny cios. Szczypało.

– Ewka! Ocknij się!

Otworzyłam oczy i intensywnie mrugałam. Już nie otaczała mnie jasność. Po kilku chwilach

mój wzrok zaczął się wyostrzać. W otaczającej ciemności zaczęłam dostrzegać bliżej nieokreślone kształty.

– Odezwij się! – Czyjeś ramiona mocno mną potrząsały.

– Marcin? – zapytałam.

– Chwała Bogu!

– Ha, ha, ha! – rozległ się znów ochrypły rechot.

– Co cię tak bawi, kretynie?! – krzyknął Marcin.

Pomógł mi wstać. Dookoła stali ludzie i na nas patrzyli. Powoli rozpoznawałam ich twarze. Robert, Maciek, Seba i inni goście, którzy przyszli na imprezę. Impreza. Teraz sobie przypomniałam. Była też Aśka. Blada, z szeroko otwartymi oczami. Na podłodze siedział chłopak w skórzanej kurtce i bluzie z kapturem. To on się śmiał. Trzymał się za brzuch i zanosił się śmiechem.

– Połóżmy ją na kanapie – powiedziała Aśka. Marcin minął ją w milczeniu i pomógł mi wstać. – Powiedz coś! – powiedziała błagalnym tonem. Nie wiem, o kogo z nas jej chodziło.

– Zaraz sobie pogadamy – powiedział Marcin, najwyraźniej nie do mnie. Ruszył z powrotem w stronę przedpokoju. – Wstawaj, gnoju!

Znów rozległ się głośny śmiech.

– Już ja zadbam o to, żeby ci nie było do śmiechu! – krzyknął Marcin. – Won stąd!

Przez otwarte drzwi salonu widziałam, jak zaciska pięści.

– No nie mogę – wystękał chłopak, klepiąc się po udach. Brakowało mu powietrza.

– Tak cię to bawi?

– Ja chciałem… w drzwi, nie w nią… – stękał ni to chichocząc, ni to łkając. – Nikt nie otwierał i nie otwierał. To wziąłem rozbieg i… polecieliśmy! – Znów się roześmiał, tupiąc butami w terakotę.

Mówił niewyraźnie. Zaczęłam łączyć fakty. To chyba on chuchał mi wcześniej w twarz.

– Nastukany jak dzięcioł – zauważył Maciek.

– Ale miał wejście jak w *Mortal Combat*! – zauważył z uznaniem Seba.

– Zamknijcie się! – warknął Marcin. – A ty się wynoś!

Chłopak śmiał się jeszcze przez chwilę, a potem przestał. Nagle spoważniał. Wstał, lekko się zataczając.

– Nie tym tonem – powiedział w końcu, otrzepując rękawy.

– To moja siostra! Pobiłeś moją siostrę!

– Siostrę przepraszam. To przypadek. Chodziło mi o ciebie.

– Coś ty powiedział? Precz z mojego domu!

– Tak witasz kumpla? Imprezkę robisz i nawet mnie nie zaprosiłeś?

– Nie będę się z tobą szarpał. Dzwonię po policję. – Marcin wyciągnął z kieszeni komórkę.

– I co im powiesz?

– Zgłoszę wtargnięcie.

– Świetnie! Dzwoń. Ja też złożę na ciebie doniesienie, złodzieju!

Marcin poczerwieniał. Zacisnął pięść i wziął zamach.

– Przestańcie! – krzyknęła Asia, wbiegając między nich. – Marcin, nie daj się sprowokować.

– Tak, Marcinku, bądź twardy i zimny jak dotąd! – przedrzeźniał ją intruz. – Niech ci powieka nie drgnie, jak znów będziesz dymał przyjaciela!

– Czego chcesz? – zapytała Aśka.

– O, odezwałaś się do mnie. I co, w oczy też mi spojrzysz?! – krzyczał chłopak.

Aśka odwróciła się i poszła w stronę sypialni. Weszła do pokoju i trzasnęła za sobą drzwiami.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co tu chodzi? – zapytałam, stając w drzwiach salonu.

– Ja jestem Paweł. Twój brat to złodziej cudzych kobiet, a jego dziewczyna to dziwka, która puszcza się za mieszkanie – wyjaśnił chłopak.

Zapadła cisza.

– A, to wszystko jasne, dziękuję – powiedziałam.

– Wynoś się albo policzysz pyskiem każdy schodek! – wrzasnął Marcin z nienawiścią w oczach.

– Spoko, już się zbieram. Wpadłem tylko zobaczyć, jak się urządziliście. Człowiek musi czasem o sobie przypomnieć, bo wszyscy by o nim zapomnieli. Ale masz rację, przyjęcie to nie najlepsza pora na wyrównanie rachunków. Miło było poznać. – Wyciągnął dłoń w moim kierunku.

– Zabieraj łapy i siebie razem z nimi – syknął Marcin, otwierając drzwi.

Paweł stał nieruchomo, posyłając mu przeciągłe spojrzenie. W końcu zrobił kilka powolnych kroków i wyszedł. W całym mieszkaniu panowała napięta cisza.

– Ale kino – wydusił w końcu Robert.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Co za noc – powiedziałam, uśmiechając się do Marcina. Chciałam go rozweselić, był strasznie spięty.

– Nie wiem, co powiedzieć. Gdybym wiedział, że on…

– Nie mogłeś tego przewidzieć.

– Teraz żałuję, że nie dałem mu w pysk.

– Spokojnie. Ochłoń. Nic się takiego nie stało.

– Pokaż, nic ci nie jest? Może przyłożysz sobie lodu? Chodźmy do kuchni.

– Wiesz, może lepiej nie.

– A może chcesz skorzystać z łazienki? – zapytał Marcin.

– Prawdę mówiąc, chyba już pójdę – powiedziałam.

– Proszę, nie idź. Nie pozwólmy, żeby ten cymbał zepsuł nam zabawę. Ta impreza jest dla ciebie.

– Wiem i bardzo ci dziękuję. Ale jest już późno, poza tym poznałam wystarczająco dużo osób. – Poklepałam Marcina po ramieniu. – Umówiłam się nawet na jedną randkę. Za dwa tygodnie.

– Dopiero za dwa?

– Tak, więc lecę się przygotowywać. Rozumiesz, muszę być świeża i wyspana. Choć randka jest zdalna.

– Jeszcze nie wiem, który to, ale już mi za niego wstyd. Odprowadzę cię. – Marcin sięgnął po kurtkę wiszącą na wieszaku.

– Daj spokój, przecież to kwadrans piechotą!

– Ale jest noc.

– Myślę, że wyczerpałam już limit przygód na dziś. Lepiej zajmij się gośćmi, chyba czują się nieco zagubieni. – Wskazałam kuchnię, z której dobiegały przyciszone głosy.

– Mam ich gdzieś. – Marcin machnął ręką. W kuchni od razu zrobiło się cicho.

– W takim razie zajrzyj chociaż do Asi. – Skinęłam głową w kierunku sypialni. – A ja dam znać, jak tylko dotrę do domu. I obiecuję, że zamknę drzwi od środka. – Ucałowałam go w policzek.

W tym momencie zza drzwi salonu wyłonił się Robert.

– Do piętnastego! – powiedział czule.

Kiedy opuściłam duszne od emocji mieszkanie i wyszłam na zewnątrz, przyjemnie orzeźwił mnie powiew mroźnego powietrza. Mój policzek pulsował i piekł. To niemożliwe, żeby

Marcin cucił mnie tak mocno. Musiałam uderzyć się podczas upadku. Miałam nadzieję, że nie zostanie mi siniak.

Zgarnęłam rękawiczką trochę śniegu z ogrodzenia. Uformowałam kulkę i przyłożyłam sobie do policzka. Poczułam kojący chłód. A potem wzdrygnęłam się i całe moje ciało przeszył dreszcz. Nie wiedzieć czemu lodowaty dotyk poczułam też na karku i plecach. Mój przytłoczony nadmiarem wrażeń umysł dopiero po kilku sekundach pojął, że ktoś rzucił we mnie śnieżką.

– Pardon! – usłyszałam znajomy głos. – Celowałem w okno. To znowu ty?

Paweł. Ten sam, który powalił mnie na ziemię u Marcina. Znalazłam się z nim sam na sam w ciemną noc, poza ogrodzeniem strzeżonego osiedla, i byłam krewną jego największego wroga. Niedobrze.

– Tak, ale już sobie idę. – Podniosłam ręce w pokojowym geście. Zdecydowałam się zawrócić do Marcina.

– Najmocniej przepraszam.

– Nie szkodzi, nic się nie stało.

– Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Naprawdę nie chciałem. Ja nie biję kobiet. W życiu na żadną nie podniosłem ręki.

Mówił to z dłonią wciąż uniesioną, gotową do rzucenia śnieżką. Zorientował się, że mu się przyglądam, i szybko ją opuścił.

– Wierzę. Wypadki się zdarzają.

– To nic osobistego, słowo! – zapewniał.

– Rozumiem. W porządku.

– Musisz mi wybaczyć! – zawołał.

– Wybaczam.

– Ale nie tak na odczepnego. Tylko szczerze, z przekonaniem – bełkotał.

– Najszczerzej wybaczam.

– Nie tak szybko. Musisz być tego pewna.

– Dobrze. Daj chwilę pomyśleć. Hmm. Po namyśle: wybaczam.

– Nie, tak tego nie zostawię. Muszę odpokutować. Jak mogę ci to wynagrodzić?

– Możesz przenieść chęć zadośćuczynienia na mojego brata. Odpuść mu i będziemy kwita.

– O nie! Tak to ze mną nie graj. – Paweł poniósł głos, a ja poczułam się nieswojo. – To męska sprawa, między mną a nim. I tobie nic do tego.

– Dobrze. W takim razie coś wymyślę i odezwę się do ciebie.

– Mam lepszy pomysł. Odprowadzę cię do domu! – Rozpromienił się.

– Ale ja właśnie… wracam na imprezę. Zapomniałam czegoś.

– To się nawet dobrze składa. Pójdę z tobą. Jeszcze nie skończyłem z Aśką – oznajmił. – Idziemy?

– Wiesz, jednak może jutro wezmę to, co miałam wziąć dziś.

– Chodź, z tobą cieć mnie wpuści. – Pociągnął mnie za rękaw.

– Zmieniłam zdanie. Odprowadź mnie do domu, mieszkam niedaleko. – Ruszyłam przed siebie.

– Baby! Nigdy nie wiecie, czego chcecie.

Westchnął i obejrzał się w kierunku bloku. Wydawało mi się, że w oknie sypialni poruszyła się firanka. W środku było ciemno, więc nie miałam pewności.

*

Szliśmy przez uśpione, ośnieżone osiedle. Choć znajdowaliśmy się w środku miasta, panowała absolutna cisza. Ciepło oddechu skraplało się w parę. Wdychane mroźne powietrze drapało w gardło tysiącem lodowych igiełek. Delikatnie, jakby w zwolnionym tempie prószył śnieg, przykrywając białą warstwą kałuże, ohydne o tej porze roku trawniki i rysy w karoserii samochodów. Wygładzał i retuszował rzeczywistość, zmieniając ją w zimowy landszaft.

Chodniki pokryła cienka warstwa lodu. Nogi tańczyły nam na śliskiej nawierzchni, więc posuwaliśmy się małymi kroczkami, idąc ciasno przy sobie, pod rękę. Poziom alkoholu we krwi Pawła nie ułatwiał nam trzymania pionu. Nie miałam innego wyboru, szłam więc zawieszona na łokciu, który godzinę temu wymierzył mi obezwładniający cios.

– Tak się nie postępuje – odezwał się Paweł. – Takich rzeczy nie robi się przyjaciołom. Ani nikomu. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– A ona… Kochałem ją. I co? Nie mogła zaczekać. Musiała mieć to, czego chciała. Jak tak można?! – grzmiał. Echo niosło jego skargę nad miastem.

– Nie wiem…

– Ja dla niej to wszystko… Boże, co ja zrobiłem? – Stanął jak wryty, prawie nas przewracając. – Według ciebie to jest normalne? Też byś tak zrobiła? – pytał, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziałam, przechodząc przez furtkę. – Trafisz sam do domu?

– A cóż to jest dom? – Minął mnie i poszedł przodem.

– Mieszkanie? Akademik? Miejsce, gdzie nocujesz?

– Skoro tak, to może być gdziekolwiek. Na przykład tu. – Usiadł na schodku przed wejściem

do mojej klatki schodowej. Włożył ręce w kieszenie kurtki i oparł się o ścianę.

– Nie możesz tu zostać.

– Dlaczego?

– Nie mieszkasz tu. – Rozejrzałam się. – Poza tym jest zimno, a ty jesteś cienko ubrany. Gdzie mieszasz?

– Nigdzie.

– Powiedz mi – zniecierpliwiłam się. Byłam zmarznięta i obolała. – Dzwonię po taksówkę. – Wyjęłam telefon.

– Nie mam pieniędzy.

– Zapłacę za ciebie.

– Nie chcę. Posiedzę sobie chwilę i pójdę.

– Jeśli nie podasz mi adresu, będę musiała zapytać Marcina.

Staliśmy blisko portierni, więc się nie bałam.

– Dzwoń! – krzyknął. – Niech ci z Asią powiedzą, gdzie mieszkam. Oni wiedzą najlepiej!

Drzwi portierni otworzyły się i w naszą stronę ruszył ochroniarz. Nie chciałam awantury. Zanim do nas dotarł, zdołałam postawić Pawła na nogi. Uwiesił się na mnie, otaczając mnie ramieniem.

– Jakiś problem? – zapytał ochroniarz.

– Nie, nie, wszystko pod kontrolą.

– Co jest, dziadku? Jakiś problem?! – zawołał Paweł.

– To pani znajomy?

– Tak, bardzo przepraszam za kolegę.

– Hałasuje, cały blok obudzi. Mam go wyprowadzić?

– Tylko spróbuj mnie tknąć!

– To nie będzie konieczne. Jak pan widzi, chłopak za dużo wypił. Biedaczysko musiał odreagować zmartwienia – szepnęłam z zatroskaną miną.

– Tacy jak ty, to moje zmartwienie. – Biedaczysko wycelował w ochroniarza palcem.

– Zabiorę go i położę na kanapie, niech wytrzeźwieje, bo jeszcze narobi kłopotów – powiedziałam przepraszającym tonem, jedną ręką wstukując kod wejściowy, drugą podtrzymując Pawła za kaptur.

– A jak ty w ogóle masz na imię? – zapytał po tym, jak wstawiłam go do windy.

– Ewa. Zapraszam. – Otworzyłam drzwi mieszkania i zapaliłam światło w przedpokoju.

– To twoje? – zapytał, kiedy położyłam go na kanapie w salonie. – Własnościowe?

Potem zamknął oczy. Wydał z siebie kilka świszczących oddechów, które po kilkunastu

sekundach zamieniły się w miarowe chrapanie.

Rozdział dwudziesty drugi

Miesiąc piąty:
– 61 076 wszystkich odwiedzin mojego profilu,
– 201 wiadomości,
– 1 kobieta z brodą,
– kilka mało obiecujących znajomości,
– 1 propozycja zdalnej randki,
– 1 clubbing,
– 1 noc z nowo poznanym.
Miłość: czy liczy się fizyczna?

Wydawało mi się, że seks z nieznajomym jest trochę bardziej niezwykły. Ale nie jest. Nie ma w nim nic szczególnego poza tym, że na początku czujesz się niepewnie i nawet trochę boisz. Ale przecież każdy pierwszy raz z kimś nowym wiąże się z lękiem. Jedyna różnica polega na tym, że zadając się z kimś obcym, martwisz się raczej o siebie niż o drugą osobę. Towarzyszy ci naturalna obawa o własne bezpieczeństwo, która pod wpływem alkoholu i adrenaliny szybko się ulatnia. Nie przejmujesz się tak bardzo tym, jak wypadniesz, czy zdasz egzamin i dostaniesz promocję do następnego razu. Następnego razu nie ma i nie będzie. Nie dbasz też o to, co ktoś o tobie pomyśli, przecież się nawet nie znacie, więc co ci zależy? Rozstaniecie się przed śniadaniem lub tuż po, więc nie będzie za dużo czasu na czucie się niezręcznie. Jeśli ktoś będzie kogoś oceniał, to tylko ty samą siebie.

I oceniasz. Z mieszanką wstydu i ciekawości obserwujesz siebie w nowym wydaniu. Jeśli w pokoju jest lustro, zerkasz w jego kierunku. Jeśli nie, odgrywasz to, co się dzieje, w wyobraźni. Bezwstydnie podglądasz samą siebie.

Oto inna ty. Bez hamulców, wyzwolona, odważna. Łatwa, głupia, nieszanująca się. Nieokiełznana, rozrywkowa, kochająca życie. Bezmyślna, zagubiona, poszukująca. Pusta, dekadencka, zmanierowana. Tak wiele ocen, tak różne głosy, a wszystkie cudze.

I o co tyle hałasu? Przecież nic się takiego nie stało. Ot, spotkanie dwojga ludzi. Ani uniesienie, ani zniesmaczenie. Po prostu kontakt dwóch ciał, przyjemny, trochę nieudolny i nie do końca zgrany. Fizyka bez mety. Doznania? Ciepło skóry, miękkość ciała, zapach włosów, dotyk pościeli. Emocje? Chwilowy wstyd własnej nagości. Ciekawość. I tyle. Nic więcej.

Nierozsądnie byłoby oczekiwać, że taki start może zapoczątkować dłuższą znajomość. Więc nie oczekiwałam. Zaakceptowałam jasny układ. Tam, w klubie, kiedy Placebo czekał, czy z nim pójdę, przez chwilę się zawahałam. Bałam się przyznać sama przed sobą, że zgadzam

się z konieczności. Chciałam coś przeżyć, czegoś doświadczyć, i to była jedyna droga. Tak czy inaczej, podjęłam decyzję. Moją własną, świadomą.

W chwili, kiedy przyjęłam, że nie mam prawa niczego sobie obiecywać, dokonałam zdumiewającego odkrycia. Poczułam się wolna. To brak oczekiwań mnie uwolnił. Przestałam się martwić o to, co będzie potem, w jakiej atmosferze się rozstaniemy, jak się będę czuć i jak on się później zachowa. Ani ja, ani on nie musieliśmy już nic.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Masz ochotę na śniadanie?

Potrząsnęłam delikatnie ramieniem Pawła wystającym spod koca. Przykryłam go, kiedy zasnął. Leżał tak, jak go zostawiłam, nie zmienił nawet pozycji. Dochodziła pierwsza po południu.

Zanim go dotknęłam, przyglądałam mu się przez kilka minut. Niespokrewniony ze mną młody mężczyzna, u mnie w domu, na mojej kanapie. Co prawda doszło do tego w przypadkowych i kuriozalnych okolicznościach, ale zawsze. Zupełnie nowa scena i dziwne uczucie. Uśmiechnęłam się do siebie. Dostałam, czego chciałam. Tylko co teraz? Co się z nim robi?

Zaczęłam od najprostszych czynności: zajrzałam do lodówki. Na szczęście w sobotę zdążyłam kupić coś więcej poza mlekiem i płatkami. Wróciłam od Placebo nad ranem, wzięłam gorący prysznic i zasnęłam na kilka godzin. Po przebudzeniu ubrałam się i wyszłam do sklepu. Sobotnie przedpołudnie, kiedy jestem wypoczęta i mam czas, to jedyna pora w tygodniu, kiedy zakupy spożywcze, na co dzień uciążliwe, zmieniają się w przyjemne celebrowanie. Przynoszę świeże, chrupiące pieczywo, trochę warzyw, wędlinę i sery i robię sobie porządne śniadanie. Do tego mocna herbata z cytryną, a potem kawa, często dwie lub trzy pod rząd, pite powoli w czasie czytania gazety. Tym razem dodatkowo świętowałam przeżycia minionej nocy i nowo dokonane życiowe odkrycie.

Wyciągnęłam dwa nakrycia i położyłam je na kuchennym stole. Kiedy wybierałam go w sklepie, wyobrażałam sobie wspólne śniadania z ukochanym lub przyjaciółmi. Chciałam prowadzić dom otwarty, ale tak się nie stało. Prawie zawsze jadałam sama.

Paweł wstał i zniknął w łazience. Zrobiłam grzanki, jajecznicę i kanapki. Wycisnęłam sok z pomarańczy i zaparzyłam dzbanek kawy. Włączyłam radio. Spojrzałam na zegarek. Za półtorej godziny miałam się spotkać z Moreno.

– Będę leciał. Dzięki, że mogłem przekimać. – Paweł stanął w drzwiach kuchni, blady, z podpuchniętymi oczami. Spojrzał na mnie zawstydzony, jakby nie był pewien, co zdarzyło się minionej nocy.

– Zapraszam, śniadanie gotowe. – Wskazałam stół nakryty dla dwojga.

Popatrzył zdziwiony. W tej chwili pomyślałam, że chyba przesadziłam. Nagle cała śniadaniowa aranżacja wydała mi się nachalna i wysilona. Mogłam sobie darować serwetki dopasowane kolorystycznie do zastawy i dekorację ze świeżych ziół. Cóż, za późno. Paweł usiadł, a ja odwróciłam się i zamieszałam jajecznicę.

– Wybacz, ale pamiętam tylko urywki z poprzedniej nocy. Wygląda na to, że zupełnie mi

odbiło. Chciałbym cię przeprosić.

– Cóż, zrobiłeś na mnie powalające wrażenie. – Roześmiałam się.

– Na ogół nie zachowuję się w ten sposób.

– Nie ma o czym mówić. Jajecznicy?

– Poproszę. Pachnie niesamowicie.

Jedliśmy w milczeniu. Nie wiedziałam, o czym moglibyśmy rozmawiać. Wszystko, co nas łączyło, było kłopotliwe.

– Jeszcze kawy? – zapytałam. Nie czekając na odpowiedź, włączyłam ekspres, żeby zagłuszył niezręczną ciszę.

Skinął głową, spoglądając w stronę ekspresu. Zdawał się zamyślony. Postawiłam przed nim parujący kubek.

– Fajna kuchnia – powiedział w końcu. – Taka ciepła, przytulna. I kolory ładnie dobrane.

– Dzięki. Wszystko jest w miarę nowe, dlatego jeszcze dobrze wygląda.

– Ładnie się urządziłaś. Tak naturalnie, lekko, jakby bez wysiłku.

Zdziwiłam się, że jest taki uważny i uprzejmy. Poprzedniego wieczoru nie sprawiał takiego wrażenia.

– Cieszę się, że mam to już za sobą. A brak wysiłku to pozory. Wykańczanie mieszkania to koszmar, zwłaszcza kiedy nie masz sprawdzonej ekipy ani faceta przy boku. Co chwila coś pęka, odpada albo nie pasuje wymiarem. Wściekałam się na rodziców, że kupili mi dziurę w ziemi i kazali radzić sobie samej.

Paweł w milczeniu grzebał widelcem w talerzu. Po co wspomniałam o braku faceta?

– Nie to, że jakoś desperacko potrzebny mi facet, ale w takich sytuacjach się przydaje – brnęłam dalej.

– Kiedy się wprowadziłaś? – Zmienił temat. Byłam mu za to wdzięczna.

– Trzy lata temu.

– I jak ci się tu mieszka?

– W porządku. Dobry dojazd. Cicho, choć to praktycznie centrum.

– To prawda. Mieszkałem kiedyś w tej okolicy.

– A teraz gdzie mieszkasz? Próbowałam to wczoraj ustalić, ale bezskutecznie. Dlatego tu jesteś. – Uśmiechnęłam się.

– Prawdę powiedziawszy, aktualnie nigdzie nie mieszkam. Wyprowadziłem się na jakiś czas z Warszawy i wczoraj przyjechałem, żeby obejrzeć kilka mieszkań do wynajęcia. Miałem zamiar wrócić tego samego dnia albo zatrzymać się u kumpla. Ale uciekł mi ostatni autobus, a kumpla nie zastałem, bo wyjechał. Postanowiłem przeczekać w barze na dworcu. Finał

znasz.

– Udało ci się znaleźć coś ciekawego? – zapytałam, wyciągając w stronę Pawła koszyk z chlebem.

– Mieszkanie? Nic specjalnego. Drogie albo z fatalnym dojazdem. Poszukam jeszcze. Jeśli nic się nie trafi, trzeba będzie brać, co jest.

– Mamy początek marca. Wynajmiesz coś od ręki czy dopiero w kwietniu?

– Różnie bywa. Jeśli mieszkanie stoi puste, można się wprowadzić od razu.

– A czego konkretnie szukasz? Kawalerka, pokój, coś większego? – drążyłam, kurczowo trzymając się neutralnego tematu, wdzięczna za to, że się pojawił.

– Najchętniej pokój. Osobne mieszkanie to znacznie większy koszt.

Wstałam i zebrałam talerze, żeby włożyć je do zmywarki.

– Przepraszam cię, ale jestem umówiona i muszę wyjść – powiedziałam.

– Jasne, już się zbieram. Dzięki za śniadanie.

Zajrzałam na chwilę do najmniejszego z moich trzech pokoi, którego używam jako garderoby. Jest prawie pusty, wstawiłam tu tylko prosty sosnowy regał i wąski tapczan, na którym rozkładam ciuchy, żeby się nie gniotły. W zamyśle miał to być pokój gościnny.

Przebrałam się i spotkałam się z Pawłem w przedpokoju.

– Jedziesz teraz na dworzec? – zapytałam.

– Tak, wracam do siebie. Wpadnę znów w przyszłym tygodniu, obejrzeć mieszkania, które się pojawią. Mam też kilka rozmów o pracę.

Włożyliśmy kurtki. Przepuściłam Pawła w drzwiach, a potem zamknęłam je od zewnątrz.

– Możesz się zatrzymać na jakiś czas u mnie, jeśli chcesz – powiedziałam, przekręcając klucz w zamku.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Skoro czeka cię kilka rozmów o pracę i oglądanie mieszkań, przyda ci się baza wypadowa. Nie ma sensu, żebyś tłukł się co parę dni autobusami.

– Jakoś sobie poradzę. – Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. W każdym razie mam jeden pusty pokój. Poza tym masz małe szanse na pracę, jeśli przyjdziesz wymięty, prosto z autobusu. – Uśmiechnęłam się.

– Dzięki, dogadam się z moim kumplem.

– Przecież wyjechał – przypomniałam.

– Ale ty prawie mnie nie znasz.

– Nie szkodzi. Powiedzmy, że chciałabym w ten sposób wynagrodzić ci straty moralne.

Spojrzał gdzieś w dół, jakby nerwowo przeczesywał zakamarki pamięci.

– Wiesz, brat złodziej, bratowa dziwka – przypomniałam mu. – Ktoś musi ci to zrekompensować. W razie czego znasz adres. Wieczorami na ogół jestem w domu.

Wyszliśmy z klatki schodowej. W portierni siedział już inny ochroniarz.

– Ładnie wyglądasz – odezwał się Paweł, podając mi dłoń. – Randka?

– Trudno powiedzieć.

– Nie wiesz?

– W dzisiejszych czasach niczego nie można być pewnym. Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć najlepiej.

Rozdział dwudziesty czwarty

Czy bałam się iść na spotkanie z Moreno? Oczywiście. Odwiedzenie go w domu było większym wyzwaniem niż pójście do Placebo. Po pierwsze, nie wiedziałam nawet, jak on wygląda. Mimo zdjęcia w sieci Moreno mógł okazać się starcem, brzydalem lub kobietą. Po drugie, Placebo poznałam przy świadkach, którzy w razie potrzeby mogli złożyć zeznania i stworzyć portret pamięciowy. Prawdopodobnie nagrała go też kamera monitoringu. O Moreno nikt nie wiedział nic. Napisałam do Magdy, że idę na randkę w ciemno, podałam pod jaki adres i załączyłam link do profilu Moreno na Kochanie.pl. Nie zadzwoniłam, żeby nie zdołała mnie odwieść od tego pomysłu. Kto nie ryzykuje, ten nie ma.

Poczułam ulgę, kiedy zdjęcia okazały się prawdziwe, a Moreno w rzeczywistości jeszcze przystojniejszy. Powiedziałabym nawet, że był zachwycający. Mój ulubiony typ urody, a jednocześnie gatunek, który zawsze omijałam z daleka. Czyli taki, który jest świadomy własnej broni masowego rażenia i nigdy nie waha się jej użyć.

Był wspaniale zbudowany. Jednoznacznie i niezaprzeczalnie, bez względu na preferencje. Wysoki, o szerokich ramionach i wąskich biodrach. Sprane dżinsy i biała koszulka dyskretnie podkreślały jego świetną sylwetkę. Kiedy prowadził mnie w głąb mieszkania i wskazywał, gdzie mogę usiąść, był swobodny i rozluźniony, choć jego ciało sprawiało wrażenie cudownie sprężystego. Na tle rozlazłych, galaretowatych ciał filologów, wyglądał jak zwarta, gęsta esencja męskości.

Skórę miał taką, jak lubię: w złotawym, słonecznym odcieniu, ani bladą, ani śniadą. Włosy: ciemny orzechowy blond. Miękkie, krótkie, niczym nie nabłyszczone. Żadnych żelowych kolców ani grzywki sięgającej uszu. Oczy brązowe, usta pełne, ale nie przesadnie wydęte. Niewymuszone, jak niewspomagane piękno w najszlachetniejszej postaci.

– Napijesz się czegoś?

Mieszkał w kawalerce w starym budownictwie, za to w jednej z najlepszych dzielnic w mieście. W niewielkim salonie połączonym z kuchnią stał okrągły stół z ciemnego drewna, a na podłodze z dębowej klepki leżał szeroki materac. Okno przysłaniała roleta z nadrukowanym motywem gałęzi drzew. Z głośników wieży starego typu sączył cichy smooth jazz. Przyjemnie, lecz skromnie jak na pieczarę uwodziciela. Niedługo stanę się ekspertką od męskich mieszkań.

– Białe wino, jeśli masz.

Usiadłam przy stole. Alternatywą był tylko materac.

– Mam, ale wina możesz się napić wszędzie. Mówią, że robię dobre drinki, więc warto

spróbować.

– Dobrze, będę miała co wspominać. Oczywiście, jeśli będę po nich cokolwiek pamiętać.

– Co lubisz?

– Pytasz o drinki? Owocowo, kolorowo.

Moreno postawił przede mną wysoką szklankę z zieloną zawartością. Rozpoznałam smak mięty, cytryny i limonki.

– Denerwujesz się? – zapytał.

– Pewnie. Możesz mi dodać otuchy, opowiadając, jak to zazwyczaj przebiega.

– Nie ma żadnego zazwyczaj.

– Odniosłam wrażenie, że jesteś… – szukałam właściwego słowa – …doświadczony.

– To nic nie zmienia. Każde spotkanie jest inne.

– Nie wypracowałeś sobie żadnych reguł i skrótów? Po kilkudziesięciu czy kilkuset powtórzeniach pojawiają się chyba schematy.

– Najwyraźniej mnie przeceniasz, jeśli chodzi o ilość, i nie doceniasz, jeśli chodzi o jakość. Mam tylko jedną regułę: do każdego człowieka podchodzę indywidualnie. Schematy niczego nie ułatwiają, a mogą wprowadzić w błąd.

– Mógłbyś podzielić się swoimi obserwacjami z kolegami. Pewnie byliby ci wdzięczni.

– Uważasz, że traktuję kobiety instrumentalnie. Nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Zastanawiam się wobec tego, dlaczego tu jesteś – zapytał. – Choć skoro mowa o schematach, to akurat z takim zjawiskiem stykam się często.

– Z jakim?

– Kobieta, która się na mnie wścieka, ale się ze mną spotyka.

– Mój powód już znasz. Zaintrygował mnie twój opis, który jest dla mnie odległy i niezrozumiały. Jestem tu po to, żeby coś zrozumieć.

– Spróbuj się więc otworzyć. Smakuje?

– Znakomity drink. Dziękuję.

Przyjemnie było na niego patrzeć. Na żywo nie wydawał się arogancki ani zarozumiały.

– Czyli szanujesz kobiety. Jak się to ma do tego, że się z nimi nie wiążesz?

Dziewczyny byłyby ze mnie dumne.

– A co jedno ma z drugim wspólnego?

– Seks bez zobowiązań nie jest wymarzonym scenariuszem dla większości kobiet. Zdajesz się czerpać przywileje zarezerwowane dla związku, ale nie dajesz w zamian bliskiej relacji.

– Uważam, że trudno o bliższą relację niż seks. Ale wiem, o co ci chodzi. Prowadziłem już podobne rozmowy.

– Z jakim skutkiem?

– Na ogół oznaczały koniec znajomości. Ale tak jak przeczytałaś w moim opisie, wbrew pozorom jestem otwarty na związek. Po prostu nie spotkałem nikogo, kto by mi odpowiadał.

– Może nigdy nikogo takiego nie spotkasz?

– To mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę liczbę kobiet na świecie. Nie spieszę się, rozglądam, a przy okazji dobrze bawię. Co w tym złego?

– To mi trochę pachnie polityką przymusu.

– Co takiego?

– Korzystasz z uprzywilejowanej pozycji bycia atrakcyjnym, wolnym mężczyzną i dyktujesz warunki. Kto chce się do ciebie zbliżyć, musi się na nie zgodzić.

– Nikogo do niczego nie zmuszam. Każdy może stawiać własne warunki. Kiedy ludzie się spotykają, godzą się na nie lub nie. Jesteśmy wolni.

– Wolność… to słowo lubi być nadużywane. Nie uważasz, że stało się przykrywką dla braku odpowiedzialności i zaangażowania?

– Nie zgadzam się z tobą. Tego akurat nie pozwolę sobie zarzucić. Dbam o moje kobiety i jestem im oddany.

– Wierny aż do rana?

– Nigdy nie spotykam się z więcej niż jedną kobietą w tym samym czasie.

– Tyle że ten czas może dobiec końca po wspólnej godzinie.

– Zabezpieczenie biorę na siebie. Podczas spotkania daję z siebie wszystko, pod każdym względem. Dlaczego więc zakładasz, że kogoś wykorzystuję? Przeciwnie, uważam, że mam wiele do zaoferowania.

– Szlachetne. Wobec tego co cię powstrzymuje przed wchodzeniem w związki?

– Uczciwość. Nie mam w zwyczaju oszukiwać, żeby coś ugrać. Wolę dojrzałe układy za obopólną zgodą.

– Zgrabne słowo: układ – zauważyłam.

– Według mnie o wiele lepsze niż związek. Źle się kojarzy. Więź, wiązać, uwiązanie, więzienie.

– Skąd w was, mężczyznach, ten lęk przed bliskością?

– Skąd w was, kobietach, to przywiązanie do tradycji? Pytasz o radę w postępowaniu z facetami. Spróbuj podejść do życia bez gotowych odpowiedzi, za to z większą ciekawością. Będzie ci łatwiej.

– Łatwiej na pewno, ale czy lepiej?

– Spróbuj. I wtedy zdecydujesz.

Roześmiałam się. Czułam, że się rumienię, a jednak ustąpiło moje początkowe zdenerwowanie i wojowniczość, którą zagrzewałam się do boju przed rozmową z Moreno. Dobrze się z nim rozmawiało. Przez głowę przemknęła mi myśl, że wcześniej nie miałabym szansy spędzać czasu z kimś takim. Co prawda nie było to spotkanie na moich wymarzonych warunkach, ale mimo wszystko byłam tu z nim. Sama sobie dałam tę możliwość.

– Od czego radzisz mi zacząć? – zapytałam.

– Najpierw zrobię ci jeszcze jednego drinka. A potem ci pokażę.

Tak jak powiedziała Lena, gdybym nie brała pod uwagę łóżkowego finału, zostałabym w domu i nigdzie nie wychodziła. Liczyłam się z tym, że może to nastąpić. W przeciwieństwie do Leny z góry założyłam brak szans na rozwój znajomości. Dla własnego dobra nie spodziewałam się niczego innego.

Po spotkaniu z Placebo było mi nieco łatwiej. Wbrew temu, co mówił Moreno, wcześniejsze doświadczenie bardzo się przydaje. Od wieczoru w klubie minęły wprawdzie niecałe dwie doby, ale zdążyłam już zaliczyć jedną domówkę, dwie schadzki i pozwoliłam, żeby ktoś się do mnie wprowadził. Machina przemian została nieodwołalnie wprawiona w ruch. Dotąd nie miałam czasu, żeby zastanowić się, jak się z tym czuję.

Zgodnie z internetową etykietą nie zamierzałam poruszać kwestii naszych imion, ale Moreno podając mi dłoń, przedstawił się jako Bartek. Zastanowiłam się, czy ma to jakieś znaczenie, i chyba faktycznie nie miało.

Postawił przede mną pełny kieliszek. Poprosiłam o to samo. Nie chciałam mieszać alkoholi, wyczerpałam już limit ryzyka na ten wieczór. Po dwóch niedospanych nocach bolały mnie mięśnie i kręgosłup, a drink przyjemnie rozluźniał moje ciało. Najchętniej wyciągnęłabym się w pozycji leżącej, ale nie chcąc prowokować Moreno, zostałam na krześle. Łudziłam się, że może przebieg wieczoru nie jest jeszcze przesądzony. Musiałam wyglądać na zmęczoną, bo stanął za mną i dotknął moich ramion. Zaczął je delikatnie masować. Nie zapytał o pozwolenie, a ja nie zaprotestowałam.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam w końcu.

– Możliwe, że z tych samych powodów, dla których ty tu jesteś. Podobasz mi się. Poza tym sprawianie przyjemności sprawia mi przyjemność.

– Czuję się trochę skrępowana.

– Mam przestać? Wystarczy jedno słowo.

Spryciarz.

– Nie wiem. Nie mogę pozbyć się uczucia, że cokolwiek zrobię, będę tego żałować. Nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

– Więc nie rób nic.

– Przyszłam tu, zaznaczając, że nic się nie wydarzy, a jestem na najlepszej drodze do tego, żeby pójść z tobą do łóżka. Jeśli tego nie zrobię, pewnie coś fajnego mnie ominie. Jeśli to zrobię, wyjdę na niekonsekwentną przed tobą i sobą.

– Jesteś dla siebie bardzo surowa. A ja jestem ostatnią osobą, która mogłaby cię osądzać.

Jego dłonie zataczały coraz szersze kręgi, schodząc niżej, wzdłuż kręgosłupa. Masował naprawdę wspaniale. Dłonie miał duże, ciepłe i suche.

– Boję się, co będzie jutro. Próbuję niczego nie oczekiwać, ale to niełatwe. Cenisz szczerość, to masz.

– Nie mogę ci obiecać tego, co będzie. Ale tu i teraz jestem cały dla ciebie.

Powiedział to trybem oznajmującym. Nie pytał ani nie przypuszczał. I dotrzymał danego przez siebie słowa.

Spodziewałam się po nim czegoś innego. Sama nie wiem czego. Może nowocześniej urządzonego wnętrza? Mebli ze szkła i chłodnej w dotyku skóry? Ale kawalerka Moreno była swojska, a on sam skupiony na mnie. Bez słowa poddawałam się wszystkiemu, co ze mną robił. Kiedy zdjął T-shirt, cała się spięłam. Pomyślałam, że ktoś z takim ciałem i bagażem doświadczeń będzie oczekiwał ode mnie pokazu umiejętności. Ale ja nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca. Moje ciało było bardzo ciężkie, a materac szeroki i miękki jak ocean. Popatrzyłam na Moreno niepewnie, a on położył mi palec na ustach i skinął głową z uśmiechem. Zamknęłam oczy i brałam. Więcej i więcej. Wydawało mi się, że trwa to w nieskończoność. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślałam, że nie mam już siły oceniać, kto na kim bardziej korzysta. I że nie chcę już dłużej nikogo nienawidzić. A potem wszystko się rozmyło.

Rozdział dwudziesty piąty

Miesiąc szósty:
– 70 076 wszystkich odwiedzin mojego profilu,
– 301 wiadomości,
– 1 propozycja towarzyszenia inwalidzie w zamian za mieszkanie,
– 6 nowych spotkań,
– 1 współlokator.
Miłość: trudno powiedzieć.

Einstein miał rację. Szaleństwem jest robić wciąż to samo i spodziewać się innych rezultatów. Jedyna droga do zmiany to przełamać schemat. Chyba mogę powiedzieć, że przyjęłam nowy styl życia. Może to stwierdzenie jest trochę na wyrost, ale rewolucja już się zaczęła i przejmuje władzę nad starym porządkiem.

Z perspektywy współczesnych obyczajów umawiając się z różnymi partnerami, nie robię nic szczególnie wywrotowego. Nieważne. To moja przemiana, mój osobisty przewrót. Epoka wielkich odkryć w skali mikro. Ryzykuję, badam, eksperymentuję, a każde nowe spostrzeżenie witam z entuzjazmem odkrywcy. Zdjęłam filtr oceny. Zapomniałam o tym, co znałam, i ustalam wszystko od początku.

Nadaję czynnościom i słowom nowe znaczenia. Na przykład: „dać ciała". To już nie: „zawieść", ale: „puścić ciało w obieg", „uwolnić". Moje ciało jest teraz po coś. Rano budzi się do życia, a nie tylko po to, by wstać. Stojąc naga przed lustrem, cieszę się, że ujrzało światło dzienne.

Pod lustrem mam półkę z kosmetykami. Każdego dnia używam co najmniej dwudziestu. Szampon, odżywka, żel pod prysznic. Masło do ciała, olejek ujędrniający. Krem pod oczy i do twarzy. Podkład, puder, róż, cienie, tusz do rzęs. Balsam do ust, lakier do włosów. Mleczko do demakijażu i żel oczyszczający. Krem na noc, do stóp, do rąk. Odżywka do paznokci. Peeling, błyszczyk, maseczka. Od niedawna nakładanie ich wszystkich ma sens. Czas poświęcony na mycie i pielęgnację urody, który w skali życia można liczyć w latach, kilometry kwadratowe powierzchni nacieranej balsamami. Już nie tylko po to, żeby wszystko zmyć, a następnego dnia zacząć od nowa, z nadzieją, że kiedyś to zaprocentuje. Nie muszę już czekać. Moje ciało zostało udostępnione i cieszy. Daje przyjemność i ją czerpie. Żyje.

Leżąc w pościeli Moreno, czułam błogość. Podobne uczucie znam z wakacji, w rzadkich momentach całkowitego odprężenia. Na przykład: pływam w ciepłym morzu. Moje ciało jest wtedy niemal w całości zanurzone w wodzie, tak że nie czuję jego ciężaru, ale mogę

swobodnie oddychać. Nogi i ręce luźno się unoszą, dookoła tańczą moje miękkie włosy. Zamykam oczy, bo świeci oślepiające słońce, które przenika promieniami wodę i przyjemnie ją rozgrzewa. Czuję nieważkość ciała i złączenie z naturą. Tą zewnętrzną i moją własną.

W takich chwilach zdumiewa mnie dziwność człowieka. Żadna inna istota żywa nie jest tak oderwana od ziemi. Dawno temu porzuciliśmy nasz naturalny stan i szczelnie odgradzamy się od reszty przyrody. Zapinamy się w kokonach wielowarstwowych ubrań, budujemy miasta. A miasto nie sprzyja ciału. Strach tu chodzić boso i kąpać się w rzece. Tutaj ciało więdnie, zanim na dobre się rozbudzi. Ukryte w sztucznych tkaninach blednie i traci sprężystość. Obumiera na długo przed biologicznym końcem. Choroby i niedobory dotyku przyjmujemy z irytacją. Spowalniają nas w marszu, zostawiają w tyle. A kiedy raz na jakiś czas decydujemy się wyjechać, płacimy duże pieniądze za chwilowe powroty na łono natury. Tam, skąd przez resztę roku w popłochu uciekamy.

Kto by pomyślał, ile ciekawych rzeczy pozwala dostrzec pozornie płytki seks. Choć jest słowo, które podoba mi się bardziej: zbliżenie. Nie wiem, czego jeszcze mnie nauczy, ale coś mi mówi, że to dopiero początek.

Rozdział dwudziesty szósty

Mieszkam z mężczyzną. Właściwie lepszym określeniem jest, że w moim domu na stałe przebywa mężczyzna. Ale to pod wieloma względami oznacza to samo.

Na przykład, musiałam zrobić mu miejsce. Podobno, jeśli chce się coś w życiu przyciągnąć, należy przygotować na to przestrzeń, nawet jeśli z pozoru nic się nie zapowiada. Przeznaczyłam dla niego mały pokój, w którym wcześniej trzymałam suszarkę do ubrań i deskę do prasowania. Łóżko już tam było. Opróżniłam półki regału. Jeśli Paweł zostanie na dłużej, pomyślę o biurku i szafie z wieszakami. W mojej łazience pojawiły się męskie kosmetyki, druga szczoteczka do zębów i maszynka do golenia. W przedpokoju stanęły dodatkowe pary butów. Paweł zadzwonił i zapytał, czy przywieźć swoje naczynia, ale przecież mam wystarczający zapas. Ilości i przestrzenie, które wcześniej mnie przygnębiały, wreszcie się na coś przydadzą.

Kiedy pokazałam mu jego pokój, zdawał się onieśmielony, jakbym okazała mu wielki gest. Wyjaśniłam, że prawie nie korzystałam z tego pokoju. Żeby nie ział pustką, trzymałam w nim nieużywane na co dzień drobiazgi, na przykład maleńkie dekoracyjne filiżanki. Bez problemu rozmieściłam je w pozostałych częściach mieszkania.

Przyznałam się Marcinowi, że Paweł się u mnie zatrzymał. Uznałam, że prędzej czy później wyszłoby to na jaw. Marcin o nic mnie nie pytał, tylko ostrzegł, żebym uważała. Domyśliłam się, że dłuższa rozmowa na ten temat byłaby dla niego niezręczna. I dobrze, nie miałam ochoty na zbędne dyskusje.

Dziewczyny mówią, żebym była ostrożna. Żeby Paweł się u mnie nie zalągł, „przypadkowo” nie zasiedział. Bo faceci to manipulanci. „Najmilsze są drobne panie z ogromnym mieszkaniem” – podśpiewywała wymownie Olka, kiedy się ostatnio spotkałyśmy. Oszczędziłam im szczegółów, skąd się z Pawłem znamy. Zamiast tego przypomniałam słowa Magdy:

– Nie można całe życie trwać w strachu, że zostanie się wykorzystaną. Nie chcę żyć w przekonaniu, że wszystkie relacje to rozgrywki nastawione na ukryty cel. A nawet jeśli, co z tego? W końcu wszyscy w jakiś sposób sobą manipulujemy.

Zdaję sobie sprawę, że Paweł wiele zyskuje na obecnej sytuacji. Chętnie przystał na moją propozycję i widzę, że nie spieszy się z szukaniem pokoju do wynajęcia. Na początku częściej dokądś wychodził, z kimś się umawiał. Teraz przeważnie jest w domu. To znaczy w mieszkaniu. Chyba dobrze się tu czuje. Znalazł pracę, więc dokłada się do czynszu, nalegał na to. Mam świadomość, że płaci ułamek tego, co musiałby wydać na wynajmowany pokój,

ale nie mam nic przeciwko temu.

Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Nic na tym nie tracę, a sama czerpię z naszego porozumienia korzyści. Czy można sobie wymarzyć lepszą okazję do nauki, jak żyć z mężczyzną pod jednym dachem? Mam pod nosem domowe laboratorium stosunków damsko-męskich. Sprawdzam, ile prawdy jest w opowieściach o trudnych do zniesienia męskich przyzwyczajeniach. Podglądam, jak facet zachowuje się w domu, jak wpływa na zużycie wody i prądu, o ile większe trzeba robić zakupy. Jakie różne oblicza przyjmuje osoba, którą widuje się codziennie. Sprawdzam też sama siebie: czy nie za bardzo przywykłam do mieszkania w pojedynkę?

Po pierwszych dwóch miesiącach nie zaobserwowałam nic szczególnego. Jasne, mieszkam z drugim człowiekiem, który ma swoje przyzwyczajenia, wydaje dźwięki, korzysta ze sprzętów i wnosi ze sobą pewne zmiany, ale ogólnie rzecz biorąc, da się żyć. Nie zauważyłam u Pawła tendencji do rozsiewania bałaganu i unikania obowiązków. Bywa, że wkrada się chaos i czasowy nieporządek, ale sama nie jestem na tym punkcie zbyt czuła, więc zupełnie mi to nie przeszkadza.

Nie, nie poszliśmy ze sobą do łóżka. Śpimy osobno, choć czuję, że mu się podobam. Nie tylko jemu.

Coś się odblokowało. Po miesiącach posuchy nadszedł czas towarzyskiej prosperity. Tak to w życiu jest, jak nic, to nic, jak coś, to wszystko naraz. Podobno to powszechne. Równolegle z prowadzeniem obserwacji Pawła czytam poradniki o związkach, więc wiem, że klęska urodzaju ma swoje naukowe wyjaśnienie. Psychologia dowodzi, że u mężczyzn zainteresowanie budzi zainteresowanie. Innymi słowy, mężczyźni chętniej wybierają kobiety, na które ktoś wcześniej zwrócił uwagę. Potrzebują zapewnienia, swego rodzaju atestu, że towar jest sprawdzony i można go zarekomendować. Nie ma to nic wspólnego z obiektywnymi walorami kandydatek. Teza ta została potwierdzona serią eksperymentów. W badanej grupie studentów podstawiony kolega powtarzał, że pewna nieatrakcyjna koleżanka o aparycji śniętej ryby niesamowicie go pociąga. To wystarczało. Niemal z dnia na dzień akcje ryby rosły, zostawiając ładniejsze koleżanki daleko w tyle.

Tak jest też w moim przypadku. Poza wspólnym mieszkaniem nic mnie z Pawłem nie łączy, więc nie zrezygnowałam z kontaktów z innymi. Poza doraźną przyjemnością i gromadzeniem pouczających przeżyć, moje niezobowiązujące spotkania, których tak się obawiałam, dały mi nieprzewidzianą korzyść: pieczęć z napisem „atrakcyjna”. Lub, jak mówią poradniki, wzrosła moja pewność siebie i zaczęłam wysyłać w kierunku mężczyzn sygnały o właściwej częstotliwości. Nieistotne. Cokolwiek to jest, ważne, że działa.

Rozdział dwudziesty siódmy

– Czy zgodzisz się wystąpić w roli mojej osoby towarzyszącej?

– Wydawało mi się, że już nią jestem – odpowiedział Paweł, podając mi masło. – Jak by na to nie spojrzeć, towarzyszę ci w życiu.

Miał rację. Wychodziliśmy do pracy mniej więcej o tej samej porze, ale najpierw jedliśmy razem śniadanie. Dawniej wystarczały mi płatki z mlekiem, jednak teraz polubiłam nasze wspólne, staranniej przygotowane posiłki. Wstawałam wcześniej, więc częściej to ja nakrywałam do stołu, szykując twarożek ze szczypiorkiem, kolorowe kanapki i dzbanek herbaty z cytryną. Siadaliśmy razem i opowiadaliśmy sobie o tym, co nas czeka nadchodzącego dnia. Z grubsza tak wyobrażałam sobie poranki z moim facetem.

– Mam na myśli funkcję bardziej tradycyjną. Zostałam zaproszona na wesele. Za dwa tygodnie. Uciążliwa rodzinna okazja. Jeśli nie chcesz, zrozumiem.

– W porządku. Mam spore doświadczenie w tej dziedzinie.

– Etatowy weselnik?

– Raczej eskorta. Zawsze występuję incognito. W domu mam kilkanaście stołowych etykiet z napisem „Osoba towarzysząca". Żadnej z moim nazwiskiem.

– Może to pomysł na biznes? – zapytałam. – Dzisiaj na wszystkim można zarabiać. A na ciebie widać jest popyt. Samotne pojawienie się na weselu to upokorzenie. Są kobiety gotowe wiele zapłacić, żeby go uniknąć.

– To jest myśl. Mógłbym rozwinąć ten pomysł, z czasem rozkręcić agencję. Zamówić reklamy z moim zdjęciem w regionalnej prasie i na autobusach.

– Lepiej nie. Wtedy stałbyś się rozpoznawalny i z dyskrecji nici.

– Ale na etapie reklam byłbym już szefem i nie musiałbym sam występować. To ile płacisz?

– Rozliczmy się pomysłem, który ci podsunęłam. Poza tym cała noc darmowego jedzenia i picia. I wycieczka na Mazury gratis.

Jaki jest sens ciągnięcia gości kilkaset kilometrów i płacenia fortuny za mazurski hotel, kiedy każde wesele przebiega dokładnie tak samo? Odczyszczoną flotą samochodową zajeżdża Rzeczpospolita Weselna. Buty w szpic, błyszczące garsonki, sztywne upięcia, różowe koszule, w dłoniach cyfrowe kamerki. Ślub, życzenia, pochód do restauracji. Toast, rosół, taniec. Stoły, muzyka, wódka. Oczepiny lub występ artystyczny. Tort i męczarnie do rana. Podwiędłe sałatki, rozpuszczone galarety, odciski na stopach, spływające makijaże i poluzowane krawaty. Gdybym była na miejscu młodych, wolałabym oszczędzić sobie zachodu, a pieniądze przeznaczyć na podróż poślubną.

Konieczność szukania drugiej połowy uważam za wystarczająco męczącą. Ale żeby jeszcze organizować wesele? To już masochizm, którego nie potrafię zrozumieć. W tym miejscu stawiam granicę. Czy wesele daje komukolwiek radość? Na pewno nie młodym, przytłoczonym organizacją i świadomym kosztów. Rodzicom? Tylko ich stresuje, czy wszystko się powiedzie i jak zostanie ocenione. Gościom? Nie wypada nie przyjść, trzeba dać prezent o odpowiedniej wartości i wytrwać za stołem do rana. Frustrujący festiwal przykładania się do obowiązujących miar. Myślałam o tym wszystkim, stojąc w kolejce do życzeń, dziwiąc się, że sama zgodziłam się na udział w tej grze. Zawsze powtarzałam, że ludzie to dziwne istoty.

– Zauważyłeś, że śluby nigdy nie wypadają we właściwym momencie? – szepnęłam do Pawła. – Albo za wcześnie, bo wpadka, albo za późno, bo związek przechodzony. Nie wiadomo, co gorsze. A jeśli jesteś gościem, też się wściekasz, bo albo masz lepsze plany na weekend, albo kolejny raz to nie ty stoisz przy ołtarzu.

– Ostatnie zastrzeżenie pada raczej ze strony kobiet – zauważył Paweł.

– Nigdy nie chciałeś się żenić?

Nie odpowiedział.

– Przepraszam, nie moja sprawa – zreflektowałam się.

– Chciałem, ale nie wyszło.

– Żałujesz?

– Trudno powiedzieć. Powiedzmy, że od tamtej pory staram się nie przywiązywać do tego, czego chcę.

– Robić swoje, a wszystko się ułoży? – podpowiedziałam.

– Raczej nie myśleć, żeby nie zwariować. A ty? – zapytał. – Nie szukasz nikogo?

– Nie wiem. Zdaję się na los.

– Widziałem kiedyś twoje zdjęcie w sieci.

Zarumieniałam się.

– Na Kochanie.pl?

– Tak.

– Zarejestrowałeś się?

– Tak. Kompletny niewypał.

– To dziwny portal.

– Nie, to ja zawaliłem sprawę.

– Jak to?

– Nie napisałem do ciebie.

Po złożonych życzeniach wynajęty autokar zabrał nas z powrotem do hotelu.

Zakwaterowaliśmy się tam już wcześniej, przed uroczystością. Zaparkowaliśmy samochód, przebraliśmy się i zostawiliśmy bagaż. Mistyfikacja z chłopakiem powiodła się: dostaliśmy pokój z podwójnym łożem. Widać rodzina chciała przychylić mi nieba i przygotować grunt pod zalążek naszego związku. Na szczęście łóżko było na tyle szerokie, że można było się w nim ganiać.

Hotel był przytulny, leżał na uboczu, nad samym brzegiem leśnego jeziora, widocznym z dużej, przeszklonej jadalni. Młodzi i najbliższa rodzina dostali pokoje na górze, w głównym budynku z ciemnoczerwonej cegły. Nas razem z pozostałymi gośćmi rozlokowano w niskich zabudowaniach ukrytych wśród drzew.

W restauracji urządzonej w skandynawskiej bieli czekały na nas szampan i okrągłe stoły przypominające waniliowe torty. W przeszklonych drzwiach od strony jeziora ukazali się kroczący pod rękę nowożeńcy. Panna młoda, niska brunetka w krótkiej koronkowej sukience i czerwonych szpilkach, dyskretnie sterowała misiowatym mężem na pierwszych metrach nowej drogi życia. Skorzystaliśmy z zamieszania i wymknęliśmy się z Pawłem na molo.

– Posłuchaj, jak tu cicho – szepnął. – Wspaniałe miejsce.

Wstrzymaliśmy oddech. Mimo odurzającego, wybujałego lata wokół panowała niemal absolutna cisza. Nieruchoma tafla wody, niezmącona najmniejszym podmuchem wiatru, z drobiazgową starannością odbijała upstrzone chmurami niebo. Ciemnozielona ściana drzew trwała w milczeniu. Dopiero kiedy samotna kaczka poderwała się do lotu i chlapiąc na wszystkie strony, zakłóciła to misterium, poczułam się uprawniona do zabrania głosu.

– Podoba ci się? Cieszę się, bo miałam wyrzuty sumienia, że ciągnę cię taki kawał.

– Przywiozłaś mnie samochodem, zajechałem jak Kopciuszek na bal. A miejsce jest niesamowite. Gdybym miał tu pracę, rozejrzałbym się za ziemią. Najchętniej sam postawiłbym taki ośrodek, na początek choćby mały pensjonat. Chociaż wolałbym trochę bliżej moich stron. Tam też są piękne miejscówki, a do Warszawy sporo bliżej.

– Jest plan, jest dobrze. – Uśmiechnęłam się, nie odwracając wzroku od krajobrazu.

– Poza tym to wyjątkowe wesele. Inne niż te, na których byłem do tej pory.

Poczułam, że Paweł mi się przygląda.

– Dlaczego?

– Załatwiłaś mi etykietkę z nazwiskiem. Czuję się wyróżniony.

– Chciałeś, to masz. Ale to oznacza, że w przyszłości będziesz musiał posługiwać się pseudonimem artystycznym. Inaczej zostaniesz rozpoznany.

– Chciałbym ci podziękować. Za… wszystko. Dlatego dzisiaj jest twój wieczór. Będę robić, co zechcesz . *Full service*. – Mrugnął do mnie.

– Ale ja… niczego nie oczekuję – powtórzyłam moją mantrę ostatnich miesięcy.

– Mówię serio. Jaki jest twój pierwszy rozkaz?

Pomyślałam o tym, jak mógłby skończyć się ten wieczór. Wystarczy jedno moje skinienie i po kilku kieliszkach wina zaczniemy głośniej się śmiać, przypadkowo się dotykać. Kiedy zrobi się ciemno, przyjdziemy znów na molo, skąpo oświetlone przez oddalone światła hotelu. Potknę się, on mnie podtrzyma i już nie wypuści z rąk. Pocałuje mnie. Potem znów, mocniej. Nie będziemy chcieli już wracać. Wymkniemy się do naszego pokoju, z tym wspaniałym łóżkiem, wprost stworzonym do tego, by szaleńczo się na nim kochać. To wszystko mogło się zdarzyć. Lub nie. Obie wersje zdawały mi się równie dobre. To, co poczułam na myśl o tym, chyba było wolnością.

– Chodźmy – powiedziałam i wyciągnęłam rękę. – Zatańczymy.

Zajęliśmy miejsce na parkiecie i w takt wolnej piosenki zaczęliśmy kołysać się obok innych par. Obok pary młodej, w której ona postawiła na swoim, choć on nie bardzo chciał się żenić. Obok starego małżeństwa przeżywającego kryzys z powodu kochanka żony. I niedoszłego małżeństwa, poprzedzonego czternastoletnim narzeczeństwem. Obok wolnego związku, bez ślubu, za to z trójką czarujących dzieci. Rozwodnika i wdowy. Zamożnego wuja z młodą narzeczoną. Dwójki zbiegłych kochanków, którzy porzucili dotychczasowych partnerów.

Uśmiechnęłam się do Pawła i przytuliłam się do niego. Wygląda na to, że okrężnymi drogami dotarłam tam, gdzie chciałam. Wszyscy mówią, że taka ładna z nas para. Przystojni, odświętnie ubrani, gładko wpasowaliśmy się w rodzinny obrazek. Dodaliśmy własny wariant do przekroju damsko-męskich układów. Czy żyjąc razem, jak dotąd, jesteśmy w czymś gorsi od reszty? A może przeciwnie, odkryliśmy nowy model harmonijnego współistnienia kobiety i mężczyzny, skrojony na miarę naszych czasów? Łączy nas przecież prawie wszystko. Wspólny dach nad głową, wspólne sprawy, codzienność. A miłość? Może też mogłaby się pojawić. Ale czy trzeba się przy niej upierać, skoro jest po prostu dobrze?

– Padam na nos – zamruczał Paweł. – Jak dobrze, że rano wracamy do domu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Czas pracy nad oswajaniem mężczyzn odmitologizował moje podejście do seksu. Nigdy nie byłam szczególnie pruderyjna, ale czułam jego wagę lub – jak kto woli – ciężar. Ale to się zmieniło. Przestałam się go bać, a zaczęłam lubić. Przyjęłam, że należy mu poświęcać tyle uwagi, na ile zasługuje. Nie więcej. Być może na pewnym etapie przestałam nawet doceniać tkwiący w nim potencjał. Czy seks może być początkiem związku? Podobno. Czy seks może być początkiem nowego życia? Tak. Jak cholera.

Zaszłam w ciążę. Pewnie zabrzmi to niewiarygodnie, ale jestem zaskoczona. W pierwszej chwili oniemiałam. A potem, tak jak tyle razy wcześniej, dotarło do mnie z całą ironią: tak, to miało pełne prawo się zdarzyć. To naturalna konsekwencja moich czynów. Przecież przydarza się tylu osobom, więc dlaczego nie mnie? Poza tym, czy nie tego właśnie chciałam? Chyba nie można wyobrazić sobie bardziej dosłownej realizacji marzeń o miłości niż dziecko. Wypowiedziałam życzenie, a ono się spełniło.

Nie wzięłam pod uwagę takiego obrotu spraw. Dlaczego? Dobre pytanie. Sama nie wiem. Uwierzyłam, że dzieje się coś nowego, innego. Czułam, że coś zmieniam, odkrywam moją prawdę. Że wreszcie chwyciłam los we własne ręce i samodzielnie nim kieruję. Byłam przekonana, że uczestniczę w czymś ważnym, większym niż biologia. A ja zwyczajnie oderwałam się od ziemi. Upadek z wysokości musi boleć.

To tyle? Po to było to wszystko? Żeby się załatwić na resztę życia? Nie mogłam w to uwierzyć. Próbując uciec od utartej ścieżki, jeszcze szybciej wtłoczyłam się w jej koleiny. Walcząc o lepszą jakość życia, właśnie je straciłam.

Trudno o większą ironię, bo macierzyństwo jest wbrew wszystkiemu, czego musiałam się nauczyć. Od pierwszych dni życia pracowałam nad tym, żeby oddzielić się od innych i przywyknąć do samotności. Żeby nie potrzebować przez cały czas mamy i wytrzymywać dłużej w łóżeczku. Cierpliwie czekać na powrót dorosłych z pracy i nie absorbować ich sobą, kiedy są zmęczeni. Częściej bawić się samej. Bez protestów i płaczu wychodzić do przedszkola. W szkole nie być zazdrosną o koleżanki. Nie narzucać się innym dzieciom, nie przesiadywać za długo w ich domach. Nie uganiać się za chłopakami. Nie dzwonić pierwsza ani dwa razy z rzędu. Czekać. Opanowałam warsztaty z trzymania się z daleka i ćwiczenia z brania się w garść.

Z każdym dniem uczyłam się powstrzymywać moją tęsknotę do innych. Cierpliwie ćwiczyłam trudną sztukę zajmowania się sobą. A teraz nie jestem już sobą, lecz osobami. Zrośnięciem dwóch istot. W moim ciele rozwija się ktoś całkowicie na mnie zdany

i wymagający mojej niepodzielnej uwagi, opieki i oddania. Czy ja tego jeszcze chcę? Czy ja to jeszcze potrafię?

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Musimy porozmawiać.

Co za nieszczęsne zdanie. Słysząc płaczliwy dźwięk własnych słów, zrozumiałam, dlaczego mężczyźni go nie znoszą. Nienawidziłam się za to, że musiałam je wypowiedzieć. I za to, że miałam zepsuć ten wieczór i prawdopodobnie zniszczyć wszystko.

Paweł siedział z laptopem na kolanach. Co chwila podnosił wzrok na telewizor, w którym leciała komedia. Był zajęty pisaniem, ale po każdym spojrzeniu na ekran bezwiednie się uśmiechał. Przyglądałam się jego twarzy, pozwalając mu na ostatnie chwile beztroskiego szczęścia. A potem podniosłam pilota i wycelowałam w ekran. Mała wprawka przed oddaniem decydującego strzału. Paweł podniósł na mnie pytający wzrok.

– Przepraszam – powiedziałam. – Możemy pogadać?

– Zabawne… nigdy nie słyszałem, żebyś to mówiła. To chyba nie wróży nic dobrego, prawda?

– Dlaczego tak myślisz?

– Złe wspomnienia. Słucham.

Usiadłam w fotelu obok. Nabrałam powietrza.

– Najpierw chciałabym cię zapewnić, że nic z tego, co powiem, nie jest skierowane przeciwko tobie.

Paweł zamknął laptop. Nic nie powiedział, ale znieruchomiał.

Teraz, pomyślałam.

– Jestem w ciąży.

Trzy słowa o mocy trzęsienia ziemi. Zbliżają ludzi, rozbijają rodziny, łamią kariery, łagodzą obyczaje, rodzą skutki prawne, mogą być bezpośrednią przyczyną zawału lub czyjegoś nagłego zniknięcia. A w ułamku sekundy, który poprzedza te wszystkie możliwe skutki, wywołują też wyrazy twarzy kojarzące się ze zwierzętami. Osioł, baran, muł, ryba, glonojad. Kozioł, zdecydowałam, patrząc na Pawła.

– Ze mną? – zapytał. – O Boże, nie to chciałem powiedzieć. Przepraszam cię, to pierwsza rzecz, którą ślina przyniosła mi na język. Sama widzisz, jestem w szoku. Wybacz.

– Nic się nie stało.

– Przepraszam. Daj mi chwilę, muszę zebrać myśli.

– Zaczekaj. Zbierzesz je, kiedy dokończę. Skoro już to powiedziałeś, to… Przykro mi, ale nie mogę mieć pewności, że to twoje dziecko.

Zmieniłam zdanie. Oświadczenie „Jestem w ciąży” to lekki wstrząs na tle tego, które

właśnie wypowiedziałam. Kozioł przybrał postać ryby.

– Chyba nie nadążam. Chcesz mi powiedzieć, że jesteś w ciąży z kimś innym?

– Nie. Nie wiem.

– Czy mogłabyś wyrażać się jaśniej? Odnoszę wrażenie, że to ważna sprawa.

– Możliwe, że to twoje dziecko, ale nie jestem o tym przekonana w stu procentach.

– A w ilu?

– Słucham?

– W ilu procentach?

– Nie wiem, nie liczyłam.

– To chyba prosty rachunek. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt?

Zarumieniłam się. Paweł spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Masz więcej kandydatów?

– Tak.

Nie odpowiedział.

– Który to miesiąc?

– Początek trzeciego.

Spojrzał w niewidzialny punkt zawieszony nad podłogą. Liczył.

– To mogło się stać na Mazurach albo niedługo po. Pozwól mi wytłumaczyć. Wtedy jeszcze nie byliśmy razem. Mam na myśli to, że wcześniej my nie… i to dlatego…

– Co zamierzasz?

Ryba gdzieś zniknęła. Wyraz twarzy Pawła zrobił się bardzo przytomny. Chłodny.

– Jestem tak samo zaskoczona jak ty. Wiem dopiero od kilku dni.

– Miałaś więc trochę czasu do namysłu.

– Jeszcze nie wiem, co zrobię. Zacznę chyba od tego, że urodzę to dziecko.

– Nie możesz tego zrobić – odparł stanowczo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To szaleństwo. – Nadal patrzył w dół. Lub gdzieś głęboko w siebie.

– Nie umiem sobie wyobrazić innej możliwości.

– Szkoda, że wcześniej zabrakło ci wyobraźni.

– Rozumiem, że jesteś zraniony i zaniepokojony. Ogromnie mi przykro, że naraziłam cię na taki stres.

Zacisnął usta. Na jego skroni nabrzmiała niebieska żyła.

– Świetnie, kolejny raz dowiaduję się od kogoś, co czuję. Trochę na to za późno, nie uważasz? Lepiej skup się na tym, jak zminimalizować skutki tego, co się stało.

– Urodzi się dziecko z wpadki, to wszystko, co się stało. Wiem, że to dla ciebie szok. Ale nie obawiaj się, niczego od ciebie nie oczekuję. Wszystko biorę na siebie. Masz moje słowo.

– Twoje słowo? Powiedzmy, że ostatnio sporo straciło na wartości.

– Jeszcze raz przepraszam. Nie cofnę czasu. Ale dla ciebie to nie musi niczego zmieniać. Naprawdę. Możemy to zabezpieczyć.

– Zabezpieczyć? Teraz? Dobre!

– Mam na myśli to, że możemy uregulować dokumenty, spisać jakieś oświadczenie…

– Zaraz, zaraz. Stop. Widzę, że wszystko już zaplanowałaś. Ale najpierw chciałbym się upewnić, czy to w ogóle prawdopodobne, że mógłbym być ojcem.

Wzięłam głęboki oddech.

– Przecież liczyłeś.

– To jakiś absurd! Chyba sama to słyszysz. Jak w tej sytuacji w ogóle możesz brać pod uwagę, że…

– Wiem, to wszystko jest szalenie trudne, ale ja nie mogę inaczej.

Podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

– Najbardziej ceniłem cię za to, że niczego ode mnie nie chcesz. Myślałem, że jesteś inna.

– Ależ ja niczego od ciebie nie oczekuję – zapewniłam.

– To jakiś żart?! – krzyknął. – Mam żyć ze świadomością, że być może mam dziecko? To gorsze niż mieć pewność. Jak możesz nakładać na mnie taki ciężar?

– Możemy zrobić badania.

– I mam czekać na wyrok niemal rok? Ja nawet nie wiem, czy chcę być ojcem. A jeśli wynik będzie negatywny? Pomyślałaś o tym dziecku? Jak ono będzie się czuło, żyjąc ze świadomością, że nie wie, kto jest jego tatą? A ci faceci, z którymi spałaś? Będziesz ich odstrzeliwać po kolei? Jak możesz ich tak obciążać? Zniszczysz im życie.

– Nie dowiedzą się. Nie ma szans. To były jednorazowe kontakty – odparłam.

– Dlaczego? Mnie przecież powiedziałaś.

– Ty nie jesteś jednorazowym kontaktem. Mieszkasz ze mną. Prędzej czy później i tak byś się dowiedział. Uznałam, że szczera rozmowa to najlepsze rozwiązanie.

– Kiedy zostałaś sama z brzuchem, nagle stałaś się zwolenniczką szczerości? – wycedził. – Chyba zaczynam rozumieć, co tu jest grane.

– Nigdy cię nie okłamałam. Na początku nie sprawiałeś wrażenia zainteresowanego związkiem. Kiedy zbliżyliśmy się do siebie, przestałam spotykać się z innymi. Mogłam zataić przed tobą moje wątpliwości co do ojcostwa. Ale nie zrobiłam tego.

– Co za wspaniałomyślność! – krzyknął. – A może doszłaś do wniosku, że to również się

wyda, bo dziecko może być czarne?

– Proponuję, żebyśmy na tym zakończyli, zanim powiesz coś, czego będziesz żałował.

– Nie sądzę, żebym mógł czegoś bardziej żałować niż tego, co już się stało. – Paweł gwałtownie się podniósł, zrzucając laptop z kolan. – Zrozum, nie możemy czekać! Błagam cię, bądź rozsądna. Który to tydzień?

– Nie będę udzielać ci takich informacji. To niczego nie zmieni – ucięłam.

– Nie masz prawa tak postępować. Ta sprawa mnie też dotyczy.

– Cieszę się, że to dostrzegasz. Już myślałam, że zapomniałeś, skąd się biorą dzieci – rzuciłam cierpko.

Od razu tego pożałowałam. Chciałam zachować klasę. Obiecałam sobie trzymać emocje na wodzy i nie dolewać oliwy do ognia. Ale przecież w końcu jestem kobietą w ciąży.

– Nie próbuj obarczać mnie skutkami twojego stylu życia. Ta sytuacja jest wyłącznie twoją winą – podkreślił.

– Zgoda. Skoro mam ponosić całą odpowiedzialność, przyjmę ją, ale razem z nią prawo do decyzji w tej sprawie.

– To jakiś spisek? Szukałaś kogoś, kto ci zrobi dziecko, a teraz chcesz się mnie pozbyć? A może się, jak to mówicie, nie sprawdzam? Déjà vu. Cholerne déjà vu.

– Uwierz, jestem tak samo zaskoczona jak ty. Poza tym nikt nie zamierza się ciebie pozbywać. Zostań, jeśli chcesz.

– No pewnie, kusząca propozycja. Sprytne, przyznaję. Ale nie zostawię tak tego. Skoro nie chcesz dyskutować ze mną, może wolisz ze wszystkimi tatusiami.

Odwrócił się i podszedł do krzesła, na którym leżała moja torba. Wyjął z niej futerał z laptopem.

– Oddaj mi to – poprosiłam, wstając z kanapy. – To nic nie da.

– Nie szkodzi. Mają prawo wiedzieć. Dlaczego tylko ja mam mieć zniszczone życie?

– Co chcesz przez to osiągnąć?

– Chcę, żebyś zrozumiała, co zamierzasz zrobić. Spojrzała w oczy nam wszystkim – oświadczył, zdzierając futerał z komputera. Próbowałam mu go odebrać, ale mnie odtrącił.

– Każdy z nich musiał liczyć się z konsekwencjami, utrzymując przygodne kontakty seksualne.

– Podejrzewam, że mogą mieć na ten temat inne zdanie – powiedział, włączając mój laptop, który położył za stole.

– Zaprosisz ich i urządzisz lincz?

Nie zabezpieczyłam dostępu hasłem. W ogóle słabo się zabezpieczałam.

– Najpierw muszę się z nimi skontaktować. Masz ich nazwiska, adresy, telefony? – pytał Paweł, a jego palce nerwowo biegały po klawiaturze.

– Nie wszystkie.

– To jak ich poznawałaś? Na ulicy?

– Różnie. – Spojrzałam na niego. – Tak jak ciebie.

Podniósł wzrok znad ekranu i zatrzasnął klapę. A potem chwycił laptop i rzucił nim o podłogę. Obudowa pękła, a kilka drobnych elementów, grzechocząc, potoczyło się po panelach. Odruchowo osłoniłam ręką brzuch.

– Jesteś dziwką.

Nabrałam powietrza i powiedziałam:

– Być może. Ale to wy ją ze mnie zrobiliście. A teraz proszę, żebyś wyszedł. Potrzebuję spokoju.

Rozdział trzydziesty

Muzyka się skończyła. Koniec zabaw w psychologię. Po kilku nieprzespanych nocach, przeleżanych z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit, zabrałam się do roboty. Na szczęście natura również. Hormony zaczęły działać i kiedy spisałam plan działań na najbliższe miesiące, pomyślałam, że to wszystko właściwie nie musi być takie złe. Przynajmniej coś się działo.

Żeby dodać sobie otuchy i uporządkować myśli, wypisałam plusy mojego obecnego położenia. Niewątpliwie mam co wspominać. Finansowo sobie poradzę, jestem materialnie zabezpieczona (dobrze, że chociaż o to zadbałam w porę). Mam mieszkanie, w którym można wygodnie zmieścić się z dzieckiem. I co najważniejsze, będę mieć własną rodzinę. Rodzice najpierw się zmartwią, ale z czasem dostrzegą powody do zadowolenia. Babcia na pewno będzie mnie wspierać. Może mogłabym na początku zamieszkać u niej? Byłoby mi lżej. I raźniej.

Na plusach postanowiłam poprzestać. Minusy były dość oczywiste, poza tym w obecnej sytuacji mogły mieć na mnie negatywny wpływ. Zamknęłam notatnik.

I wtedy usłyszałam dzwonek do drzwi.

– Witaj, Paweł.

Nie widziałam go od tygodnia. Nie kontaktowaliśmy się od czasu ostatniej rozmowy.

– Dzień dobry. Czy mogę wejść? – zapytał. Był skrępowany.

Cofnęłam się w głąb mieszkania i zaprosiłam go ruchem ręki.

– Oczywiście. Przecież masz tu swoje rzeczy.

– Tak. Wróciłem po to, co jest moje.

– Proszę, wejdź. Czuj się swobodnie, nie będę ci przeszkadzać.

Odwróciłam się i wróciłam do salonu. Usiadłam w fotelu, tyłem do drzwi. Schowałam się przed jego wzrokiem. Nie chciałam, żeby widział, jak trudno mi zapanować nad emocjami.

– Czy to dziecko może być moje? – usłyszałam głos za plecami. Paweł wszedł do pokoju i stanął przede mną.

– Tak, to możliwe.

Milczał i patrzył mi w oczy, jakby szukał dowodu na to, że mówię prawdę.

– Powiedziałam ci już, że możemy zrobić badanie – dodałam. – Niestety to wszystko, co mogę ci teraz zaproponować.

– Zostawmy to. Skoro istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że ono może być moje, to wystarczy.

– Co to znaczy?

– Chcę zostać z wami. Jeśli mi pozwolisz.

Odwróciłam twarz.

– Ja nie mam tu nic do pozwalania – westchnęłam. – Ale nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

– Dlaczego? Myślałem, że tego oczekujesz.

– Tego właśnie się obawiam. Że jesteś tu, bo myślisz, że jak tak chcę.

– A nie chcesz?

– Ważne, czego ty chcesz. Mam wrażenie, że teraz działasz pod wpływem emocji.

– Przez ostatnie dni nie myślałem o niczym innym. – Paweł włożył ręce do kieszeni bluzy, tej samej, którą miał na sobie, kiedy się ostatnio widzieliśmy. – Jestem tu, bo tak czuję.

– Nie wiem, czy będziesz tak czuł zawsze.

– Też tego nie wiem. Ale chcę spróbować.

– Obawiam się, że będziesz walczył sam ze sobą – powiedziałam. – W głowie będziesz słyszał: „Niańczę cudzego bachora. Wrobiła mnie w dziecko”.

– A ty? Nie słyszysz takich głosów? „Wkręcił się w mieszkanie. Muszę go finansowo holować. Mści się na Marcinie moim kosztem”. Co gorsza, częściowo pewnie to prawda. Ale mimo to przyjęłaś mnie z tym bagażem i wydaje mi się, że byliśmy szczęśliwi.

– Tak. Też tak myślę.

– Więc ja też spróbuję cię zaakceptować. Razem z moimi głosami.

Usiadł na podłodze i dotknął moich stóp.

– Czyli… kim my właściwie mielibyśmy być? – zapytałam. – Współczesną rodziną? Wolnym związkiem z dzieckiem? Układem wzajemnych korzyści?

– To się okaże. Na początek: ludźmi, którzy się potrzebują.

– Ktoś kiedyś powiedział, że miłość niedojrzała mówi: „Kocham cię, bo cię potrzebuję”. A dojrzała mówi: „Potrzebuję cię, bo cię kocham”.

– Też to słyszałem. I prawdę powiedziawszy, nigdy nie rozumiałem różnicy między jednym a drugim.

*

Miesiąc trzeci (dwunasty tydzień):

– 0 nowych wiadomości,

– 1 zawieszone konto (Kochanie.pl),

– 3 x mdłości (dziennie),

– kilkadziesiąt gratulacji,

– dwoje obrażonych (Marcin i Aśka),

– 5 nowych poradników (temat: macierzyństwo).

Miłość: 1 (+1).

Część trzecia

Zachłanna

Jestem artystą życia.
Moim dziełem jest moje życie.

Suzuki

Rozdział pierwszy

Marcin powtarza, że wszystko, co nas spotyka, jest konsekwencją naszych działań. Przypadek nie istnieje. Zewnętrzne okoliczności, na które nie mamy wpływu, również poddają się prawu skutku i przyczyny. Jeśli dobrze się zastanowić, może się okazać, że z pozoru ślepe zrządzenia losu też sprowadzamy na siebie sami.

Na przykład: giniemy w wypadku samochodowym. Do wypadku dochodzi, ponieważ samochód przygniata drzewo. Drzewo przewraca się powalone przez wichurę. Wichura zerwała się z powodu różnic w temperaturze powietrza, które nasilają się w związku ze zmianami klimatycznymi. Te ostatnie wynikają z kolei z zanieczyszczenia środowiska. Środowisko zanieczyszczają spaliny, które emitują silniki samochodów. Na przykład silnik naszego samochodu. Zatem można powiedzieć, że śmierć sprowadziliśmy na siebie sami!

Oczywiście to dość pokrętna teoria i skrajny przykład. Mimo to zdarzenia niezależne od nas należą do mniejszości. W dziewięćdziesięciu procentach to my decydujemy o tym, co nam się przydarza.

Ewa, sypiając z nieznajomymi, musiała liczyć się z tym, że igra z życiem. Mogła powołać na świat nowe lub stracić własne. Spotkało ją jedno i drugie.

Teoretycznie takie rzeczy nie mają prawa się zdarzyć. Nie dziś, nie w Europie. Zakażenie wirusem HIV w dobie bezpiecznego seksu? Błyskawiczne rozwinięcie się choroby w młodym silnym organizmie przy obecnym poziomie rozwoju medycyny? A jednak tak się stało. I nie ma co do tego wątpliwości, że Ewa sama odpowiada za to, co jej się przytrafiło.

Ale jej śmierć dotknęła też innych. Jej rodziców, brata, córkę. I mnie. Czy w myśl teorii Marcina w jakiś sposób przyczyniliśmy się do jej śmierci, która stała się też naszym udziałem? Jeszcze nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie.

Rozdział drugi

Tamtego dnia rozmawialiśmy o mocy świadomych wyborów. Miałam na sobie zielony jedwabny sarong i pomarańczowy top. Kilka dni wcześniej wróciliśmy z Indonezji. Zanim zadzwonił telefon z wiadomością o chorobie Ewy, który zmienił wszystko, cieszyliśmy się letnim popołudniem, udając, że wciąż jesteśmy na wakacjach. Siedzieliśmy na tarasie i piliśmy zmiksowane koktajle z ananasów. U naszych stóp leniwie wygrzewał się kot. W misie wyplatanej z liści bananowca ułożyłam owoce. Niestety, te kupione w Polsce w smaku nawet nie przypominały szczypiącej w język słodyczy tropikalnych cytrusów. Mimo wszystko cieszyłam się z tego, że już wróciliśmy. Marcin nie.

– To jakaś parodia lata – skomentował widok na osiedlowy trawnik i drzewa.

– Mnie się podoba – odpowiedziałam. – Łagodna temperatura, cisza, opustoszałe miasto.

– Kotek, no co ty? Czy my byliśmy w tym samym miejscu? Widziałaś te palmy? Lazurową wodę w lagunach? Naprawdę nie razi cię zamiana na beton?

– Czy ja wiem? Pewnie, natura była piękna, ale beton akurat mnie cieszy. Rozumiesz: cywilizacja. Bambusowe chatki to niekoniecznie mój klimat.

– Myślałem, że ci się podobało. Kolonialny styl, łazienka pod gołym niebem…

– I nieproszeni goście w nocy. To miła odmiana nie musieć spać pod duszną moskitierą.

– Jak uważasz. Ale dla mnie Indonezja to wymarzone miejsce na ziemi. Tamtejsi ekspaci wiedzą, o czym mówię. Realizują mój plan na przyszłość.

– Naprawdę chciałbyś spędzić tam emeryturę?

– Jasne. Choć mam nadzieję, że nie będę musiał czekać tak długo. – Marcin uniósł do góry szklankę z koktajlem. Zapomniałam o kolorowych parasolkach.

– Sądzisz, że to cię uszczęśliwi? Jesteś pewien, że po miesiącu ci się nie znudzi?

– Słuszne pytanie. Wielu ludzi, którzy w końcu osiągają to, o czym marzyli, odczuwa zagubienie. To dlatego, że nie wiedzą, czego chcą.

– A może dlatego że to, co zdobyli, nie dało im satysfakcji?

– To znaczy, że nie tego naprawdę pragnęli.

– Dlaczego więc do tego dążyli?

– Wydawało im się, że to jest ich marzenie. Ale prawdopodobnie nie sprecyzowali swoich pragnień. Chcieli czegoś bliżej nieokreślonego. To częsty błąd.

– Nie rozumiem.

– Chciałabyś wygrać w lotto? – zapytał Marcin.

– Oczywiście. Znasz kogoś, kto by nie chciał?

– Myślę, że wbrew pozorom parę osób by się znalazło. Tak czy siak, dlaczego chciałabyś wygrać?

– Żeby mieć pieniądze.

– A nie masz?

– Mam, ale niewielkie.

– A po co ci większe?

– Co za pytanie. Żeby je wydawać. O nic nie musieć się martwić. Być niezależną – wyliczyłam.

– Ale co konkretnie zrobiłabyś z wygraną?

– A jak wysoka jest nagroda?

– A ile byś chciała? – Marcin odbijał pytanie za pytaniem.

– Nie wiem. Dużo.

– Pierwszy błąd. Jeśli nie wiesz, jakiej kwoty pragniesz, nigdy jej nie zdobędziesz.

– Powiedzmy pięćdziesiąt milionów.

– OK. Pięćdziesiąt baniek jest twoje. Co z nimi robisz?

– Najpierw upijam się z radości. Potem zabezpieczam pieniądze, lokując je w różnych bankach.

– Co dalej?

– Kupuję wszystko, na co mam ochotę.

– Czyli?

– Dom, o jakim marzę. Kilka letnich siedlisk w Prowansji, w Toskanii. Jakiś fajny samochód. Mnóstwo pięknych ubrań.

– Co robisz z resztą pieniędzy?

– Płacę ludziom, żeby robili za mnie różnie rzeczy. To największy luksus. Wreszcie ktoś by mi sprzątał, prał i gotował. Robił masaże.

– To wszystko?

– Część wygranej przeznaczam na dobroczynność. Z reszty będę żyć. Zwalniam się z pracy, bo nie muszę już zarabiać na utrzymanie. Gram na nosie wszystkim poprzednim szefom. Jestem wolna i mogę robić, co chcę.

– To znaczy?

– Totalny luz. Wysypiam się, odpoczywam, mam na wszystko czas.

– Na co konkretnie?

– Na przyjemności. Spotkania z przyjaciółmi, książki, kino. Szaleję na zakupach.

– Brzmi dość zwyczajnie. Teraz też to robisz, tylko w bardziej ograniczonym zakresie.

– Otóż to. A mając pieniądze, nie musiałabym się ograniczać.

– Istnieje ryzyko, że szybko byś się znudziła.

– Coś bym wymyśliła.

– Ale co?

– Pisałabym książki i sama je wydawała. – Roześmiałam się. – Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie musiałam.

– I tu jest pies pogrzebany. Pragnienie pieniędzy to najczęstsze marzenie. Ale same pieniądze, jak słusznie mówi przysłowie, szczęścia nie dają. Są tylko możliwością. Sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, co zrobić, kiedy już się nadarzy. – Marcin ukroił kawałek różowego arbuza i dwoma palcami włożył go sobie do ust. Sok skapnął mu na białą koszulę.

– A czy sama wolność już nie jest szczęściem?

– Tak się tylko wydaje. Myślisz, że pieniądze rozwiązałyby twoje problemy. Zdjęłyby z ciebie wszystkie ograniczenia: materialne, lokalizacyjne, czasowe, nawet towarzyskie. Otworzyłyby drzwi do raju, idealnego świata. Ale jeśli nie wiesz, co tam ze sobą zrobić, jesteś zgubiona. Historie wielu laureatów lotto są do siebie przygnębiająco podobne. Zazwyczaj, nie mając żadnego pomysłu, przejadają pieniądze, albo nigdy ich nie wykorzystują. W każdym razie ich zadowolenie z życia, z wyjątkiem krótkiej euforii, utrzymuje się na poziomie sprzed wygranej.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy tak pochłonięci codziennymi zmartwieniami, że nikt nie ma głowy do snucia takich rozważań. Skąd mamy wiedzieć, co by nas uszczęśliwiło, gdybyśmy o nic nie musieli się troszczyć? Znakomita większość ludzi nigdy nie stanie przed taką możliwością.

– Tu akurat sami są sobie winni. Jeśli nie wiedzą, do czego dążą, jak mogą to osiągnąć?

– To chyba tak nie działa. Ludzie pracują, żeby mieć lepsze jutro. Niektórym się udaje, innym nie, jeszcze inni odnoszą zdumiewający sukces. Nie ma reguły.

– A ja wierzę, że jest. Jedno jest pewne. Jeśli nie wiesz, czego chcesz, mogę ci zagwarantować, że nic z tego nie wyjdzie.

– Skoro to takie proste i wystarczy wypowiedzieć konkretne życzenie, dlaczego tylko znikomy procent ludzi to bogacze? Czemu inni się nie połapali?

– Właśnie dlatego, że nie myślą o przyszłości. – Marcin nasunął na nos ciemne okulary i oparł się w fotelu, kładąc nogi na stoliku.

– Powiedz to bezrobotnym i drobnym ciułaczom na śmieciowych umowach. Oni też są sami sobie winni?

– W większości przypadków niestety tak. Nie szukają, nie próbują dość mocno. Skarżą się,

zamiast opracować plan i działać. Czasem złe położenie jest im na rękę.

– Myślisz, że nie marzą o lepszym życiu?

– Widocznie niewystarczająco mocno. Albo nie chce im się podjąć wysiłku i wziąć odpowiedzialności za swoje życie, albo brakuje im wyobraźni. Poruszają się w kieracie i nie patrzą, dokąd zmierzają. Dlatego kręcą się w kółko.

– Ja też tak kiedyś pracowałam. I mogłabym tak dalej, gdybym nie poznała ciebie. To nie jest przypadek? – zapytałam.

Marcin podniósł okulary na czoło, przesiadł się na kanapę i przyciągnął mnie do siebie.

– Jeśli już, to przeznaczenie. – Pocałował mnie. – Choć ja tłumaczę to sobie tak, że zapragnęłaś zmiany i wtedy pojawiłem się ja. Byłaś czujna, czekałaś na swoją szansę. I umiałaś ją wykorzystać. Co ważniejsze, kiedy już zdobyłaś to, czego chciałaś, umiesz być z tego zadowolona. Angażujesz się w nasz związek, a w nowej pracy wciąż się czymś wykazujesz. Dokonałaś właściwego wyboru. – Pocałował mnie w czoło. – Wszystko zawdzięczasz sobie.

Rozdział trzeci

Tutaj chciałabym dodać kilka słów wyjaśnienia. Marcin mówi o początku naszego związku w taki sposób, że automatycznie nasuwają się pewne wnioski. I łatwe oceny. Na przykład: kobieta jest jak małpa, nie puści gałęzi, na której siedzi, póki nie chwyci następnej.

To prawda, zanim się do siebie zbliżyliśmy, czułam głębokie pragnienie, żeby coś się w moim życiu zmieniło. Uważam, że biorąc pod uwagę moją ówczesną sytuację, było to naturalne. Potrzebowałam stabilizacji i własnego miejsca. Skończyłam studia i bezskutecznie poszukiwałam pracy na przyzwoitych warunkach. Mój szkolny związek trwał już bardzo długo i coraz wyraźniej rysowały się różnice między mną a moim chłopakiem. Stawało się jasne, że inaczej wyobrażamy sobie przyszłość i mamy inne priorytety. Sytuacja ekonomiczna dodatkowo pogłębiała nasz kryzys, uniemożliwiając budowanie codzienności, która zadowoliłaby nas oboje.

Tak, byliśmy zaręczeni, ale tę decyzję podjęliśmy, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi. Nasz związek nie przetrwał próby czasu, jak tyle innych znajomości zawieranych zbyt wcześnie. Szkoła i studia to cała epoka w rozwoju człowieka. W tym okresie dopiero się formujemy i zmieniamy nie do poznania, nawet sami dla siebie. Nastoletnie związki niemal zawsze skazane są na porażkę. Intensywne wspomnienia, wspólne odkrywanie świata i długa zażyłość sprawiają, że rozstania bywają bardzo bolesne. Mimo to trzeba przejść przez ten etap, żeby w przyszłości zbudować dojrzalszą relację i bardziej świadomie pokierować swoim życiem.

Nie da się tutaj uniknąć zranienia. Szczególnie mocno cierpi osoba, która jest porzucana. Wolałabym oszczędzić Pawłowi świadomości, że związałam się z kimś innym od razu po naszym rozstaniu. A właściwie, kiedy jeszcze byliśmy razem. Ale nie stało się tak w wyniku moich zaplanowanych działań. Wszystko niefortunnie zbiegło się ze sobą w czasie. Choć może to zabrzmieć cynicznie, sądzę, że postąpiłam uczciwie i dołożyłam wszelkich starań, aby jak najmniej go skrzywdzić. Odeszłam, kiedy tylko zrozumiałam, że nigdy nie będziemy szczęśliwi i każdy dzień oddala nas od szczęścia. Myślę, że lepiej dla nas obojga, że rozstaliśmy się wtedy niż za kilka lat.

Pojawienie się Marcina pomogło mi się przełamać i szybciej podjąć niełatwą decyzję o odejściu. Tak, Paweł był kolegą Marcina. Przyjaźniliśmy się w trójkę. Wiem, że w męskim kodeksie honorowym związanie się z dziewczyną kumpla jest niewybaczalne. Ale gorąco wierzę, że tak jest lepiej dla wszystkich i Paweł też kiedyś na tym skorzysta.

Tłumaczę to wszystko, uprzedzając oskarżycielskie głosy, bo sama długo się obwiniałam.

Paweł był bliski nam obojgu. Życzę mu jak najlepiej. Martwię się o to, jak mu się ułoży. Nie ma dnia, kiedy bym o nim nie myślała. Nic nie zapowiada, żeby miało się to zmienić. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy na najlepszej drodze do zostania rodziną.

Rozdział czwarty

Podczas naszej ostatniej podróży Marcin mi się oświadczył.

Kilka tygodni wcześniej przeprowadzałam dla naszych klientek konkurs gwiazdkowy. Zadanie polegało na nadesłaniu odpowiedzi na pytanie o najpiękniejszy świąteczny prezent, jaki kiedykolwiek dostały. Połowa prac konkursowych opowiadała o tym, jak w czasie świąt uczestniczki dowiedziały się o ciąży lub urodziły dziecko. Druga połowa opisywała bożonarodzeniowy wysyp zaręczyn. Pomysłowi narzeczeni natchnięci romantyczną porą roku wymyślali najróżniejsze fortele, jak w oryginalny sposób wręczyć pierścionek zaręczynowy. Zawieszali go na choince, ukrywali w śnieżce, którą obrzucali przyszłą małżonkę lub wkładali w owoc pomarańczy. Mój faworyt podał klejnot zatopiony w krokiecie z kapustą. Narzeczona, dokonując odkrycia niespodzianki, była podwójnie szczęśliwa: że poproszono ją o rękę oraz że się nie udławiła.

Na szczęście Marcin oszczędził mi podobnych pomysłów. Nie otworzył przede mną sprężynowej muszli ani nie wrzucił pierścionka do kokosa. Któregoś popołudnia wsunął mi go na palec, kiedy leżeliśmy razem w hamaku. Zadbał o oprawę w postaci widoku jak z folderu biura podróży. Hamak był zawieszony na werandzie naszego bungalowu stojącego na palach w rajskiej lagunie. Otaczały nas turkusowe wody, rozbielone plamami piasku, zamknięte pierścieniem rafy koralowej, chroniącym zatoczkę przed otwartym oceanem. Od strony wyspy osłaniała nas ściana smukłych palm o srebrnych pniach i zielonych, pierzastych czuprynach.

Poza efektowną scenerią Marcin postawił na niezwykły pierścionek. Zrobiony z platyny, z przepięknym czarnym oczkiem w otoczeniu mniejszych, białych brylantów.

– Należał do mojej babci. Dostała go od dziadka z okazji zaręczyn. Przed ślubem rozdzieliła ich wojna. Pierścionek przetrwał wojnę ukryty w kominie kamienicy, z której zostały tylko ruiny. Wkrótce po tym, kiedy babcia go odnalazła i włożyła z powrotem na palec, dziadek wrócił. Przez resztę życia byli nierozłączni.

– Piękna historia. – Wzruszyłam się.

– Przed wyjazdem poszedłem do jubilera. Wysoko ocenił jego dzisiejszą wartość, na którą wpływają kamienie, kruszec i wzornictwo. Ale wiedziałem, że tobie pierścionek spodoba się przede wszystkim ze względu na jego historię. Podobno ma szczególną moc.

Marcin nie rozpieszcza mnie częstymi prezentami. Wie, że tego nie oczekuję. Kiedy coś od niego dostaję, jest to wyjątkowa okazja. Moje urodziny lub jakaś szczególna data związana z naszymi wspomnieniami. Nie daję mu punktów za ilość, ale za jakość. Nie domagam się wciąż tych samych banalnych upominków i nie dąsam się z powodu ich braku. Ile razy można

dostawać róże, bieliznę lub czekoladki? Niełatwo wymyślić coś oryginalnego. Poza tym nawet najciekawsze, najstaranniej wybrane podarunki nie cieszą, jeśli dostaje się je za często.

Na palcach jednej dłoni mogę policzyć dotychczasowe prezenty od Marcina. Na każdy z nich musiałam odpowiednio długo poczekać. Ale wiedziałam, że cierpliwość się opłaci.

Oboje cenimy rzeczy wyjątkowe. Co to właściwie znaczy? Dziś wszystko promuje się jako jedyne w swoim rodzaju. Spróbuję więc wyjaśnić to na przykładzie.

Jaki jest wasz najcenniejszy przedmiot? Podejrzewam, że odpowiedź nie nasuwa się szybko. Nic dziwnego. Żyjemy w czasach, kiedy wartość rzeczy bardzo się obniżyła. Z jednej strony mamy wszystkiego w nadmiarze i każdego stać na to, co kiedyś było zarezerwowane tylko dla wybranych: podróże, prywatny telefon, kawę z profesjonalnego ekspresu. Posiadamy więcej rzeczy, niż potrzebujemy i jesteśmy w stanie zużyć. Z drugiej strony znakomita większość tych dóbr, na które w sumie wydajemy sporo pieniędzy, nie przedstawia niemal żadnej wartości. Które z używanych przedmiotów dałoby się z zyskiem sprzedać lub przynajmniej odzyskać wartość zakupu? Ubrania z sieciówki? Telewizor z marketu? Komputer, którego wartość spada niemal o połowę krótko po opuszczeniu sklepu? Fajansową zastawę? Sztuczną biżuterię? Prawie nikt nie posiada dziś kosztowności. To słowo pachnie przeszłością. Nie pasuje do świata darmowych treści, promocji i kredytów. Bo nowoczesność jest ogólnodostępna. I bezwartościowa.

Dlatego, nie licząc pamiątek o wartości sentymentalnej, cenimy z Marcinem sztukę. Rękodzieło, porcelanę, obrazy. Stare przedmioty o wartości historycznej, limitowane edycje, egzemplarze kolekcjonerskie. Unikaty. To, co posiada niewiele osób lub – najchętniej – nikt inny.

Pierścionek babci Marcina jest właśnie taki. Oczywiście powiedziałam „tak”.

Rozdział piąty

Poza słabością do niezwykłych przedmiotów żyjemy skromnie. Pracujemy, oszczędzamy, inwestujemy. Bierzemy los we własne ręce. Nie czekamy na to, że państwo zapewni nam emeryturę. Marzeniem Marcina jest móc przestać pracować w wieku czterdziestu lat.

– Jeśli nie masz gotówki albo trzymasz ją na koncie oszczędnościowym, pozwalasz, żeby ktoś na tobie zarabiał – tłumaczy mi Marcin. – To znak, że pora na zamianę ról.

– Dlatego założyłeś własną firmę? – zapytałam.

– Tak – odpowiedział. – To pierwszy krok do zyskania finansowej wolności: przestać pracowa

na kogoś innego.

Marcin od zawsze chciał zosta

rentierem i utrzymywa

się z przychodu pasywnego. Najbardziej bolał nad tym, że najlepsze lata młodości musiał poświęcać najemniczej pracy. Dlatego założył internetową perfumerię. Kolejnym etapem w jego planie było rozwinięcie firmy tak, aby sama na siebie pracowała, lub sprzedanie jej z dużym zyskiem. W ostatnim czasie dwóch inwestorów złożyło mu nawet propozycję wykupienia Desire.pl, ale Marcin uznał, że jest jeszcze za wcześnie. Równolegle planował inwestycje w nieruchomości, żeby za kilka, kilkanaście lat móc utrzymać się z samego wynajmu. Marzył o tym, żeby wynieść się do kraju takiego jak Indonezja i spędzić tam resztę życia. Niekoniecznie dopiero jego drugą połowę.

Marcin powtarza, że aby dojść do celu, trzeba wiedzieć, dokąd i dlaczego się idzie. Często cytuje przy tym znanych inwestorów i finansistów.

– Robert Kiyosaki podaje dwa powody, dla których chciał zostać młodym bogatym rentierem – powiedział, kiedy szykowaliśmy razem kolację. – Po pierwsze, miał dość ciągłej walki o przetrwanie. Po drugie, męczyła go jego własna przeciętność.

Kiedy Marcin dodawał do pieczeni czerwonego wina, ja nalałam sobie kieliszek i myślałam o tym, co powiedział. O pierwszy z podanych powodów otarłam się w przeszłości. Powód drugi towarzyszył mi od zawsze.

Rozdział szósty

Perfumeria Marcina sprzedaje markowe kosmetyki w konkurencyjnych cenach. Nazwał ją Desire.pl. Ewa prowadzi w niej księgowość, ja zajmuję się marketingiem i PR-em. Firma dynamicznie się rozwija, do tego stopnia, że przygotowujemy się do otwarcia pierwszego stacjonarnego salonu w centrum. Wbrew kryzysowi przetaczającemu się przez kraj i wbrew obiegowej opinii mamy się świetnie, choć nie sprzedajemy rzeczy niezbędnych.

Sukces w biznesie polega dziś na kreowaniu potrzeb, których ludzie nie odczuwają. Dopóki nie spróbują, nie poczują, że potrzebują. Aby przypodobać się nabywcom i wydobyć od nich pieniądze, sprzedawcy rywalizują w udoskonalaniu produktów i jakości usług na zmianę z obniżaniem ich cen. Masowy klient urósł w oczach sprzedawców do roli możnowładcy, który decyduje o ich być albo nie być. Wybrzydza, kaprysi i napawa się potęgą własnej siły nabywczej. Domaga się wciąż nowych rozrywek. Jest okrutnie nielojalny. Niezaspokojony bez mrugnięcia okiem rzuci dostawcę na pożarcie konkurencji.

Producenci prześcigają się więc w zabawianiu swojego chlebodawcy. Błyskają niepowtarzalnym opakowaniem, nową ofertą, taryfami, formułami, metodami, składnikami. Kuszą technologią, machają przed oczami innowacją. Podlizują się troską o środowisko i biedne dzieci. W pakiecie z produktem gwarantują szczęście, podbudowane poczucie własnej wartości i seksualne spełnienie.

Tak wiele za tak niewiele. Trzeba tylko to wszystko jego wysokości klientowi uświadomić, by dłużej nie tracił tego, o czym nie ma pojęcia. I tym właśnie zajmuję się zawodowo.

Rozdział siódmy

Łatwo powiedzieć: kochaś wkręcił ją do firmy i załatwił przyjemną robotę, nic dziwnego, że na niego poleciała. Błąd. Owszem, jestem wdzięczna Marcinowi, że dzięki niemu mam dobre warunki pracy i możliwości rozwoju. Ale uważam, że sama wcześniej zapracowałam na tę szansę. Imałam się w życiu różnych zajęć, które pomogły mi zdobyć szerokie doświadczenie. Od połowy studiów pracowałam właściwie nieprzerwanie.

Na przykład: roznosiłam ulotki. To jedna z nielicznych branż, w których pracę można dostać praktycznie od ręki. Bez koneksji, z ogłoszenia. Mogłam zacząć dzień po tym, jak zadzwoniłam.

Dzięki mapie bez trudu dotarłam do niewielkiego biura na parterze szeregówki. Pierwszą rzeczą, którą kupiłam w kiosku na dworcu tuż po przyjeździe do Warszawy, był plan miasta. Zawsze mam go przy sobie, kiedy jadę w nowe miejsce. Dzięki temu czuję się pewniej, poza tym budzę pozytywne reakcje otoczenia. Warszawiacy są życzliwi i chętni do niesienia pomocy. Widząc młodą osobę pochyloną nad mapą, zagadują, proponują, że pokażą drogę. Szczególnie pomocni bywają starsi panowie. Kiedyś jeden z nich kazał mi na siebie uważać, a szczególnie wystrzegać się szalejących chorób wenerycznych. Szkoda, że Ewa nie spotkała go na swej drodze. Zapisał mi na kartce adres swojego mieszkania (własnościowe) i zapraszał w odwiedziny (w razie kłopotów bądź towarzysko). Kartkę z tym adresem, tak jak mapę, do tej pory noszę przy sobie – nigdy nic nie wiadomo.

Firma Ulot.com zajmowała dwa pokoje, niemal całkowicie zastawione kartonami. Aby dotrzeć do biurka koordynatora przydzielającego kolporterów do dzielnic, należało przecisnąć się przez wąski labirynt z pudeł i ryz papieru. Na podłodze i wszelkich płaskich powierzchniach piętrzyły się równo ułożone stosy broszur, prospektów, wrzutek, katalogów i gazetek promocyjnych. Widok, który każdemu ekologowi zjeżyłby włos na głowie.

– Zaczynasz pod Rotundą – powitał mnie zarośnięty czterdziestolatek w kamizelce, mój nowy szef. – Płacimy ci za godzinę, ale miej świadomość, że wszyscy roznoszący są kontrolowani. Nie próbuj wyrzucać ulotek do kosza, zabierać ich do domu ani chować do torby. Zawsze miej przy sobie zapas, na wypadek gdyby udało ci się rozdać więcej niż zakładana norma. Rozliczasz się co tydzień i na początku każdego tygodnia zgłaszasz, gdzie i kiedy będziesz stać. Przysługuje ci jedna trzydziestominutowa przerwa po czterech godzinach od rozpoczęcia zmiany. Jeśli kontroler nie zastanie cię na miejscu w zgłoszonych przez ciebie godzinach, wylatujesz. To samo, jeśli znajdzie w okolicznym koszu pęk ulotek, zobaczy cię rozmawiającą ze znajomym lub przez telefon, piszącą esemesy albo stojącą biernie, bez

wykazywania inicjatywy. Nie wchodzi w grę dogadywanie się z innymi, podrzucanie im swoich ulotek, zamienianie się na dni i godziny. Pytania?

– Czy mogę zobaczyć ulotki na ten tydzień? – zapytałam.

– Proszę bardzo. Jakieś preferencje? Dylematy moralne? Troska o środowisko?

– Nie o to mi chodzi. Chciałabym przygotować się na to, jakich odbiorców wybierać w zależności od promowanego towaru czy usługi – wyjaśniłam. – Na pewno zleceniodawcom zależy, żeby ich ulotki trafiały we właściwe ręce – powiedziałam tonem zdradzającym, że to tylko wierzchołek góry moich kompetencji.

– No, no! Ambitna. Proszę bardzo. Mnie interesuje tylko, żeby nakład schodził w określonym czasie. To wszystko masz rozdać w tym tygodniu. – Brodacz wskazał dwa średniej wielkości tekturowe pudełka. – Na oko jakieś trzydzieści tysięcy egzemplarzy. Masz samochód?

– Nie – odpowiedziałam, zastanawiając się, jakim cudem miałabym opłacić benzynę przy stawce sześć złotych brutto za godzinę.

– Przyjeżdżaj więc co rano po dzienną porcję, bo możesz się na raz nie zabrać.

– Dam radę.

– Zaufaj mi.

Dopiero kiedy schyliłam się, żeby podnieść wypełnione ulotkami kartony, zrozumiałam, że wiedział, co mówi.

Wieczorem wyjęłam ulotki, które udało mi się zatargać do mieszkania, i rozłożyłam je na tapczanie. Posegregowałam je tematycznie i podzieliłam na porcje. Próbowałam obliczyć powierzchnię, jaką zajęłyby wszystkie ulotki rozdawane codziennie w Warszawie. Wyobraziłam sobie, że ktoś ułożył je równo jedna przy drugiej, tworząc ogromny papierowy dywan rozciągający się nad miastem. Czy zdołałby przykryć je całe? Niebo nad spacerującymi po Łazienkach zasłoniłaby pstrokata płachta ofert szkół językowych. Kierowców stojących w korku na Wisłostradzie otuliłaby wielka kołdra broszur o wyrobach wełnianych. Na Stadionie Narodowym usiadłaby gigantyczna pizza z setek tysięcy kuponów do pizzerii, a Pałac Kultury jak ogromny fallus wzniósłby się triumfalnie nad morzem biustów i pośladków prężących się na karnecikach agencji towarzyskich.

Zdjęłam morze ulotek z tapczanu i zasnęłam, nie chcąc się spóźnić pierwszego dnia w pracy.

Serce Warszawy bije pod przystankiem Centrum. Przejście podziemne pod Rotundą przypomina pulsującą komorę, którą sieć korytarzy łączy z pozostałymi organami. Wielka pompa stresu nieprzerwanie wytwarza ciśnienie, pospiesznie wtłaczające strumień ludzkich krwinek w rozedrgane tętnice, by po wielu godzinach przejąć je z powrotem, wtłoczyć na noc

do domów dla zaczerpnięcia tlenu i od rana znów przepychać w różnych kierunkach.

Świeże, dotlenione krwinki kręcą się chwilę w komorze serca, zanim popłyną dalej przez naczynia krwionośne chodników i ulic. Panuje tu nieustanny gwar rozmów i dzwoniących telefonów. Całość regularnie wprawiają w drgania przejeżdżające tramwaje. Wartki nurt pospiesznych kroków przetacza się tu niestrudzenie o każdej porze. Zawsze, kiedy tamtędy przechodzę, na chwilę się zatrzymuję. Zamykam oczy i słucham. Stukają obcasy i podeszwy, szpilki, glany, lakierki. Nie sposób odróżnić moich kroków od pozostałych. Moje kroki nikomu nie robią różnicy.

Pierwszy dzień roznoszenia ulotek zaczęłam właśnie tam, pewnego jesiennego poranka. Punktualnie o siódmej trzydzieści rano wyciągnęłam z torby garść broszur i zajęłam pozycję przy schodach wychodzących z podziemi, tuż pod Rotundą. Rozglądałam się chwilę, kątem oka podglądając innych rozdających. Stali ustawieni w dwóch szpalerach po obu stronach chodnika. Obserwowałam, jak wyciągają dłonie uzbrojone w ulotki, tarasując przejście tym, którzy pędzili schodami na powierzchnię. Jak na płatnym parkingu: weź bilecik, a szlaban pójdzie w górę. Ci, którym się spieszyło, robili unik, potrącając tych, którzy próbowali wyprzedzić ich na sąsiednim pasie ruchu. Nerwowe syknięcia, cmokania. Obijające się o siebie torby i plecaki. Kiedy w końcu ktoś pobierał świstek, ręka rozdającego na chwilę sięgała do stosika w drugiej dłoni i jak na sprężynie zagradzała drogę następnemu pędzącemu.

Spojrzałam na twarz najbliższego rozdającego. Wzrok skupił na wysokości dłoni przechodniów. Nie nawiązywał z nimi kontaktu wzrokowego ani werbalnego. Na uszach miał markowe słuchawki, reklamowane hasłem „Ucieknij z miasta, zanurz się w świecie muzyki”. W wyobraźni był pewnie zupełnie gdzie indziej. Może układał w głowie wzory skomplikowanych równań lub szukał rymów do pisanej przez siebie piosenki? Może stał tam tylko na chwilę, tuż przed ukazaniem światu swego prawdziwego talentu?

Podobnie nieobecny zdawał się napierający na sito rozdających tłum. Robienie uniku czy pobieranie ulotki odbywało się beznamiętnie, nieświadomie, w ramach bezwarunkowego odruchu wyuczonego po tysiąckrotnym pokonaniu tej samej trasy. Instynkt mieszczucha działał bezbłędnie.

Wyobrażałam sobie, o czym myślą pędzący w swoją stronę przechodnie. O której dziś uda się wyjść z pracy, co będzie na zebraniu, czy on ma poważne zamiary. Gdyby wszystkie te myśli było słychać, największe sanktuaria mogłyby się schować przed gromkim chórem powtarzanych tu litanii. Modlitwa o spełnione życzenia nigdy tutaj nie cichnie.

Przerwałam rozmyślania i ustawiłam się na końcu rządka rozdających. Nagle ogarnął mnie strach, że ktoś mnie zobaczy, i zrobiło mi się wstyd. Rozdawanie było gorsze niż podrzucanie

ulotek do skrzynek. Miałam zamiar narzucać się i naruszać czyjś spokój i robić to z podniesioną przyłbicą. Wystawiłam się na widok publiczny.

Wzięłam plik ulotek w obie dłonie. Pozostali ulotkarze spojrzeli na mnie z niezadowoleniem. Jeszcze jedna w kolejce rozdających, psułam im rewir. Przechodnie pędzili do przodu, nie dostrzegając mnie. Mijały cenne sekundy, a ja wciąż nie zaczęłam rozdawać. Musiałam wykazać inicjatywę.

Nieśmiało wyciągnęłam przed siebie dłoń z ulotką. Wylewający się z podziemi strumień nie reagował. Pomogło, kiedy wystąpiłam o krok do przodu i zaburzyłam swobodny przepływ pochodu. Co któraś osoba brała ulotkę i wyrzucała do kubła obok. Ci z czulszym sumieniem wtykali ją do kieszeni lub torebki, gdzie druczek mógł odleżeć swoje przed trafieniem do śmieci. Ale to już nie obchodziło mojego szefa. Zadanie spełnione, towar dostarczony.

Kilka metrów od ulotkowego szpaleru, w nieco bardziej zacisznym punkcie, ustawił się kolporter darmowej gazety. Ten miał większe powodzenie. Z zazdrością patrzyłam, jak przechodzący zwalniają i sami wyciągają ręce w jego stronę. W ciągu kilku minut rozdał prawie wszystko. W tym samym czasie po ulicy kursował sprzedawca płatnego dziennika. Na czerwonym świetle podchodził do samochodów i wtykał gazetę kierowcom. U niego poziom stresu był najwyższy. Nie dość, że się narzucał, to jeszcze naruszał prywatną przestrzeń klimatyzowanych aut. Stukał w przyciemniane szyby, zakłócał płynącą z radia muzykę i wyciągał rękę po pieniądze. To nie mogło wzbudzać przyjaznych reakcji.

Czasem któraś szyba łaskawie się opuściła. Nerwowe spojrzenie na światła: uda się czy się nie uda? Dziesięć sekund do zmiany. Gazeta jest już w samochodzie. Osiem sekund do zmiany. Kierowca nie ma drobnych. Cztery sekundy do zmiany. Sprzedawca sięga po resztę do saszetki, którą nosi przy pasie. Trzy sekundy do zmiany. Monety rozsypują się na jezdnię. Jedna sekunda do zmiany. Szyba jedzie w górę. Sprzedawca schyla się, by podnieść bilon. Zmiana. Z tyłu rozlegają się klaksony. Samochód rusza. Sprzedawca w ostatniej chwili odskakuje na krawężnik.

Za szybą kierowca wściekle wymachiwał rękami. W myślach słyszałam, jak wyrzeka na ślamazarnego sprzedawcę, oszusta niewydającego reszty, a potem na żonę, przez którą go obtrąbili, bo to ona się uparła na tę gazetę. Czy nie widzi, że to nie miejsce na zakupy, że normalny człowiek nie kupuje niczego na ulicy w trakcie jazdy? Wreszcie wygraża tym, co wciąż trąbią i oglądają się na niego z dezaprobatą. Znów zapaliło się czerwone światło. Sprzedawca otrzepał spodnie i ponownie ruszył wzdłuż pasa ruchu z naręczem gazet.

Ja ruszyłam przed siebie, nie oglądając się do tyłu.

Rozdział ósmy

Każdy poradnik psychologiczny w dużej części składa się z opisywania nieocenionych korzyści, które lektura gwarantuje czytelnikowi. Zawiera też podziękowania dla mistrzów i osobiste wynurzenia autora. Na konkretne porady i wskazówki nie zostaje więc już wiele miejsca. Na końcu na ogół pojawia się wniosek, że i tak wszystko zależy od nas i każdy we własnym zakresie musi odkryć swoją drogę.

Podobne proporcje dotyczą szkoleń. Na warsztatach z poprawiania efektywności pracy w telemarketingu, którą podjęłam po falstarcie w ulotkach, mimo zapewnień organizatora nie dowiedziałam się, jakich uniwersalnych zwrotów i słów użyć, by skutecznie przekonać ludzi do zakupu. Dowiedziałam się za to, że muszę zmienić moje nastawienie. Częstym utrapieniem pracujących „na słuchawce" jest poczucie, że pracują w biznesie polegającym na naciąganiu i oszukiwaniu innych. Naturalną konsekwencją takiego myślenia jest obawa przed odrzuceniem. Przecież nikt nie lubi naganiaczy, każdy opędza się od nich jak od natrętnej muchy. Błąd. Należy wyjść z założenia, że praca w charakterze konsultanta telefonicznego polega na niesieniu ludziom pomocy. Czy nie chciałabym, żeby mój klient był zadowolony? Czy nie zależy mi na tym, żeby cieszył się produktem lub usługą wysokiej jakości? Czy mój produkt nie zapewni mu wymiernych korzyści? Zatem powtarzajcie za mną: praca telemarketera jest potrzebna. Daje on ludziom to, o czym marzą. Po dwóch minutach sami się przekonają i będą do niego wracać. Polecać go znajomym. Przyprowadzać nowych klientów. Ta praca to misja. A konsultant to prorok dobrej nowiny!

No to jedziemy. *Cold calling* – telefonowanie do obcych osób, które nie znają rozmówcy i nie spodziewają się kontaktu z jego strony. Wymaga zimnej krwi.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z panem Markiem? *(Pogodny, lekko kokieteryjny ton, kobiecy wdzięk)*.

– Tak. *(Pierwsza pozytywna odpowiedź)*.

– Pan Marek Woźniak? *(Dowodzę, że zadałam sobie trud, by zapamiętać jego nazwisko. W dzisiejszych anonimowych czasach ludzie lubią czuć się dostrzeżeni)*.

– Tak. *(Nie mówi: nie!)*

– Czy jest pan właścicielem kawiarni Luna? *(Wiem, z kim mam zaszczyt rozmawiać, jako kobiecie imponuje mi jego pozycja)*.

– Tak, to ja. (*Trzy razy tak, jest dobrze)*.

– Dzwonię, żeby przedstawić panu nowy produkt firmy FiltraPure, który jest w stanie podwoić obroty pana lokalu. *(Kusząca propozycja podszyta znajomością branży)*.

– Czy pani wie, która jest godzina? Jak można dzwonić o siódmej rano z ofertą handlową? *(Wybacz, stary, straciłabym pół zmiany, czekając, aż wszyscy wstaną. A ty lepiej pilnuj kulawego interesu, zamiast wylegiwać się w łóżku).*

– Zależy mi na tym, żeby zapoznał się pan z naszą propozycją, zanim zrobi to konkurencja. *(Tak, wiem, że od miesiąca twoją nastrojową kawiarenkę wykańcza nowo otwarta sieciówka).*

– Naprawdę, to nie jest odpowiedni moment. (*Żaden nie jest*).

– Obiecuję, że rozmowa nie potrwa dłużej niż minutę. Potem sam pan zdecyduje, czy będziemy kontynuować. *(W domyśle: naszą intrygującą znajomość).*

– Ale o co w ogóle chodzi? *(Jestem twoja, dopóki nie rzucisz słuchawką!)*

– Mam dla pana coś, co sprawi, że pańska kawa stanie się legendą w mieście. *(Wiem, że napociłeś się nad oryginalnym wystrojem, który miał przyciągnąć klientów – z marnym skutkiem*).

– Do rzeczy, proszę. *(Nie denerwuj się, skarbie).*

– Chodzi o innowacyjny filtr do wody. Naprawdę chciałabym, żeby go pan wypróbował. Kiedy ma pan wolne popołudnie? *(Pif-paf. Konkret przedstawiony zachęcająco, ale zwięźle – szanuję jego czas. „Chciałabym" zamiast „musi pan" - nie stosuję słów o negatywnym wydźwięku. Nie pytam: „Czy możemy się spotkać?", pozwolenie nie jest konieczne).*

– Proszę pani, ja nie mam wolnych popołudni. Codziennie do wieczora jestem w kawiarni. *(Zanotowałam w kalendarzu).*

– Świetnie, zatem możemy umówić się właśnie tam. Jutro? *(Kuję żelazo, póki gorące).*

– Ale ja nie jestem zainteresowany kupnem filtra. *(I tu się mylisz).*

– Jestem przekonana, że jako koneser od razu poczuje pan różnicę w smaku między kawą na wodzie z Wisły a kawą na wodzie z filtra. *(Doceniam cię, ważniaku*). Zgodzi się pan ze mną, że jakość jest najważniejsza? (*I jak z tego wybrniesz?)*

– Nie przewiduję wydatków na nowy filtr. *(To się jeszcze okaże).*

– Dla klientów biznesowych przygotowaliśmy specjalne zniżki i możliwość bezpłatnej konserwacji. *(Kto nie chciałby dołączyć do elitarnego grona klientów biznesowych?)*

– Prawdopodobnie nie będę mieć czasu na rozmowy. *(Jasne, już widzę, jak tłumy do ciebie walą).*

– Nie szkodzi, wtedy po prostu zamówię pana niezrównane espresso. *(Nie używam słowa „jeśli", które daje możliwość wyboru).* Do zobaczenia! *(Nigdy „do widzenia", bo to oznacza tyle, co „żegnam na wieki").*

Oto modelowy scenariusz, jak skutecznie doprowadzić do spotkania z klientem. Odrobina

sprytu i perswazji i gotowe. Niestety, w rzeczywistości nigdy nie udało mi się przeprowadzić takiej rozmowy. Dobrnęłam najwyżej do etapu „nie jestem zainteresowany”. Nie wspominam o wszystkich nieudanych próbach nawiązania połączenia (nie pomaga dzwonienie z numeru zastrzeżonego, a o dzwonieniu z numeru zawierającego trzy takie same cyfry można od razu zapomnieć) czy trzasku odkładanej słuchawki natychmiast po moim przedstawieniu się. Kierownik naszego *open space'u* wpadł na pomysł, jak podnieść morale i zredukować poziom stresu w zespole. Za każde usłyszane w słuchawce przekleństwo czy inwektywę zbierało się punkt. Za okrągłe liczby punktów dostawało się na koniec tygodnia upominek motywacyjny. Niestety, wybór upominków był raczej ograniczony, w dodatku ze względu na szalejący od lat kryzys ekonomiczny były to wyłącznie gadżety reklamowe z logo firmowym (smycz, kubek, długopis), co niekorzystnie wpływało na domowy relaks pracowników. Pomysł upadł po miesiącu.

Ponieważ moja pensja miała być naliczana w systemie prowizji, przez pierwszy miesiąc prawie nic nie zarobiłam. Postanowiłam zrezygnować, a wtedy zobowiązano mnie do pokrycia kosztów szkolenia (bezpłatnego dla stałych pracowników). Mój *coach* powiedział, że zbyt łatwo się poddaję i nie jestem wystarczająco zmotywowana. Myślę, że się mylił. Byłam zmotywowana, ale do innych celów. Na przykład, żeby zarobić na życie.

Zanim zaczęłam pracować w firmie Marcina, moje CV było zestawieniem mniej lub bardziej zbędnych funkcji, które pełniłam podczas kilku lat zmagań na rynku pracy. Wciskałam ludziom produkty, których nie chcieli, i umowy, z których trudno się wyplątać. Namawiałam ich na pożyczki, których żałowali, i inwestycje, które nigdy nie przyniosły zysku. Opracowywałam szkolenia, na które nikt nie miał czasu przyjść. Sprzedawałam niedostrzegalne reklamy. Spamowałam skrzynki mejlowe. Pozyskiwałam fundusze na kampanie społeczne, które nikogo nie obchodziły. Wdrażałam innowacje w dobie oszczędności i odpowiadałam za rozwój biznesu, kiedy większość firm była na etapie zwijania. Robiłam to wszystko z pokorą i uśmiechem. Nie rozumiałam tylko jednego: dlaczego ciągle oczekiwano ode mnie udawania, że moja praca ma sens?

Niepotrzebne zawody. Ich wykonawcy są wśród nas. Sprzedają z bagażnika świecące miecze, puszczają ci pod nogi nakręcane żabki, budzą ofertą lokaty. Kiedy jedziesz skacowany tramwajem, niemożliwie piłują harmoszkę, kiedy właśnie spławiasz panienkę, podtykają pod nos kosz czerwonych róż. Chcą pieniędzy, budzą litość, wchodzą w drogę. Gdy ich spotkasz, zawsze będzie ci gorzej.

Rozdział dziewiąty

– Mógłby się zająć czymś konkretnym – syknął Marcin. – Tacy jak on psują to miejsce.

Smagły indonezyjski sprzedawca w koszulce z Bobem Marleyem trzymał przed nim szeroko otwartą czarną kasetę. Na czerwonej wyściółce pyszniły się wisiory ze sztucznej masy perłowej. Czekaliśmy na łódź, która miała nas zabrać z rajskiej wysepki. Miniaturowy port składał się z chybotliwego pomostu, kiosku z napojami i trzech bambusowych ławek w cieniu palm.

– *Good price, boss* – zachwalał sprzedawca. – *Lady like*. – Spoglądał na mnie z nadzieją.

– *Lady not like* – zaprzeczył Marcin.

– *Like, like. Look*. – Handlarz kiwał głową. Pokazywał na mnie. Nie mogłam ukryć uśmiechu.

– Te naszyjniki są tak ohydne, że aż urocze – powiedziałam.

– Nie śmiej się, bo nigdy się nie odczepi. Gotów wsiąść z nami na łajbę. *No, thank you!* – warknął w stronę sprzedawcy. Ten uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– *Special price for you. Souvenir for lady!* – kusił przyciszonym głosem.

– *No*. – Marcin pokręcił głową i oparł skrzyżowane ramiona na zapinanej w pasie saszetce z pieniędzmi.

– *OK, secret price. Just for you. Not tell nobody.* – Handlarz chwycił patyk i narysował cyfrę na piasku.

– *No means no* – zniecierpliwił się Marcin.

– *No?* – z niedowierzaniem zapytał Indonezyjczyk. – *No gift? Lady so nice* – zasmucił się.

– *Go away!* – krzyknął Marcin, odganiając młodego jak muchę.

– Przestań! – zwróciłam mu uwagę. – Nie krzycz na niego.

– Powtarzam pięćdziesiąt razy, a on nic. Teraz przynajmniej zrozumiał.

Poskutkowało. Urażony sprzedawca oddalił się w kierunku pary Niemców. Byli bladzi, pewnie dopiero przyjechali. Istniała szansa, że chętniej skuszą się na pamiątki.

– Możesz nie mieć ochoty na zakupy, ale każdemu należy się szacunek – powiedziałam.

– Chce szacunku, to niech się bierze do roboty, a nie naciąga na badziewie. – Marcin zdjął okulary przeciwsłoneczne i przetarł je brzegiem koszulki.

– A na ile by cię naciągnął? Wiele byś nie stracił.

– Tylko się nie obrażaj. Jak chcesz, to kupię ci ten syf.

– Nie o to chodzi. Chodzi o atmosferę. Jest miło, są wakacje. Wyluzuj.

– Tacy jak on wszystko psują. Przyjechałem tu po święty spokój, a ten truje dupę.

– Podziękuj i już. W końcu sobie pójdzie.

– A wcześniej mam znosić jego trucie przez godzinę? Kupiłbym już to badziewie na odczepnego, ale wiem, że to by tylko pogorszyło sprawę. Już bym się od niego nie opędził.

– Przynajmniej pracuje. Uszanuj to.

– Pracuje ten, kto składał te świecidełka chińskimi rączkami. Tamten tylko naciąga, sprzedając to gówno. Pewnie bierze sporą marżę. – Marcin zdjął sandały i otrzepywał stopy z piasku.

– Macie więc wiele wspólnego – powiedziałam.

– Słucham?

– Przecież ty też pośredniczysz w handlu. Nie wytwarzasz tego, co sprzedajesz.

– Naprawdę porównałaś mnie to tego chłystka? Nie wierzę. To chyba przez upał.

– Pracujecie w tym samym sektorze. – Zaśmiałam się. – Ja zresztą też.

– Powiedziałbym, że są między nami zasadnicze różnice.

– Jakie? On też sprzedaje przyjemne zbytki. Odwołuje się do przyjemnych skojarzeń: pamiątka z cudownego urlopu, upominek. Skupia się na dotarciu do tych, którzy są akurat w wakacyjnym, zakupowym nastroju i chętniej wydają pieniądze.

– Przed chwilą się nad nim żaliłaś, a teraz robisz z niego speca od handlu? Chyba trochę go przeceniasz.

– Nie. Pewne mechanizmy są stare jak świat, nie trzeba tu wielkiej wiedzy.

– W tej chwili deklasujesz i mnie, i siebie. A my oferujemy znacznie wyższy poziom usług. I nie narzucamy się nikomu, kto nie ma ochoty na zakup.

– Nie? A reklamy, newslettery, kupowanie baz danych? To dość natrętne środki.

– OK, co chcesz mi udowodnić? To jakieś wariactwo.

– Nic. Mógłbyś tylko spróbowa

postawić się w jego sytuacji.

– Po co? Ja i on nigdy nie będziemy w tej samej sytuacji. Mamy inne priorytety.

Nie byłam tego taka pewna, ale nie zamierzałam się kłócić. Choć często drażni mnie upór Marcina i to, że zawsze musi mieć ostatnie słowo, wiem, że związałam się z nim właśnie z tych powodów. Imponuje mi to, że wie, czego chce, i jest zdeterminowany, żeby to zdobyć. Pod tym i pod innymi względami jesteśmy do siebie podobni. Mamy sprecyzowane pragnienia. Nie czekamy na to, co przyniesie los, bierzemy sprawy w swoje ręce. Próbujemy różnych sposobów, żeby dojść do celu i stać się tym, kim chcemy. Nigdy nie zapominamy o tym, żeby pracować na siebie. Marcin na rzecz swojej firmy, ja – na swoje nazwisko.

Rozdział dziesiąty

Wiadomość o chorobie Ewy zaskoczyła mnie z dwóch powodów. To zrozumiałe, że byłam wstrząśnięta samym faktem, że tak poważnie zachorowała i może odejść. Ta mrożąca krew w żyłach informacja spadła na nas wszystkich tak niespodziewanie. Na Ewę, na Marcina, na ich na rodziców, na Pawła. Ale poza naturalnym szokiem zdziwiło mnie coś jeszcze.

Chociaż to okropne nieszczęście przytrafiło się mojemu narzeczonemu i towarzyszyłam mu w tym trudnym okresie, to naturalne, że nie przeżywałam tej tragedii tak głęboko jak on. Mogłam wcześniej nabrać pewnego dystansu. Kiedy po wielu telefonach, pilnie zwoływanych spotkaniach z rodziną, wszystkich kryzysowych naradach i rozpaczliwym szukaniu znajomych lekarzy pierwsze emocje opadły, znalazłam chwilę na refleksję.

Zauważyłam, że do tej pory w obliczu nieprzewidzianych kłopotów w naszym związku to Marcin szybciej się otrząsał i ze wzmożoną siłą wracał do pracy. Kiedy w firmie natrafialiśmy na przeciągające się trudności, nie pozwalał mi na chwile zwątpienia, które odciągały moją uwagę od wyznaczonego zadania. Zabraniał mi wtedy narzekać, kazał przestać myśleć i więcej pracować. Podwajał wysiłki, żeby szukać nowych możliwości i omijać przeszkody. Nigdy nie tracił z oczu ostatecznego celu.

Tym razem było inaczej. Na złe wieści o Ewie zareagowaliśmy odwrotnie niż zwykle. To ja zachowałam większą przytomność umysłu, a Marcin zupełnie się załamał. W ciągu dnia starym zwyczajem rzucał się w wir walki z chorobą siostry. Jeździł po całej Europie na spotkania z lekarzami i naukowcami z rozmaitych ośrodków badań, wręczał łapówki, przetrząsał internet w poszukiwaniu najnowszych informacji i najlepszych ośrodków leczenia. Sprowadzał drogie leki, badał niekonwencjonalne terapie. Nie chciał biernie się przyglądać i szukał rozwiązania, ale w końcu zrozumiał, że może go po prostu nie być. Rzeczywistość, która do tej pory posłusznie przybierała kształt nadawany jego wprawnymi dłońmi, tym razem zupełne wyrwała się spod kontroli.

Marcin przestał się golić, rzadko pojawiał się w firmie. Wieczorami zupełnie się rozsypywał. Kiedy akurat nie był w drodze lub w szpitalu, kładł się wcześniej spać lub leżał na kanapie, nie mogąc zasnąć. Próbowałam z nim rozmawiać, żeby mu ulżyć, ale reagował milczeniem lub wściekłością. Nie chciał rozmawiać o Ewie, a wszystkie inne tematy uznawał za niestosowne.

Postanowiłam, że będę mu pomagać na inne sposoby. W szpitalu, a potem w hospicjum pojawiałam się rzadko. Kiedy Ewa była jeszcze przytomna, czuła się skrępowana swoim stanem. Jej rodzice byli zrozpaczeni, a moja obecność wprawiała ich w zażenowanie

z powodu niechlubnej choroby córki. Jakby tego było mało, widok Marcina i Pawła, pochylonych nad Ewą, pogodzonych i złączonych tym koszmarnym finałem, rozdzierał mi serce. Czułam się potem okropnie i długo dochodziłam siebie. Uznałam, że moje wizyty nikomu ani niczemu nie służą, dlatego ograniczyłam je do niezbędnego minimum.

Zamiast tego dbałam, żeby Marcin nie musiał troszczyć się o inne sprawy. Codziennie przygotowywałam mu ciepły posiłek, opłacałam rachunki i zajmowałam się mieszkaniem. Sprawdzałam kurs jego akcji na giełdzie. Pilnowałam, czy najemcy w jego dwóch kawalerkach regularnie płacą czynsz. Tymczasowo przejęłam zarządzanie firmą, trzymając rękę na pulsie, aby nikt z pracowników, klientów i kontrahentów nie odczuł żadnej zmiany. Nikomu nie zdradziłam szczegółów, przekazałam tylko ogólną informację, że Marcin ma pewne kłopoty ze zdrowiem, co przecież pośrednio było prawdą.

Pełne ręce roboty każdego dnia stawiały mnie na nogi i napędzały do działania lepiej niż filiżanka mocnej kawy. Ale codzienna krzątanina była tylko jedną stroną medalu. W całym tym zamieszaniu starałam się nie zatracić siebie i nie zapomnieć o marzeniach. Przeciwnie, umieranie Ewy zmobilizowało mnie do przyspieszenia ich realizacji. Ów przedziwnie realny szept *memento mori* szeroko otworzył mi oczy na cel, który postawiłam sobie już dawno. Zdobycie nieśmiertelności.

Rozdział jedenasty

Nie przepadam za podróżami. Marcin dla odmiany je uwielbia, powtarza, że urlopy są mu niezbędne do życia. Porównuje je do oddechu nabieranego w płuca między jednym zanurzeniem głowy pod wodę a drugim. Kilka tygodni spędzonych na wyjeździe traktuje jak skrawki prawdziwego życia, z konieczności przemieszane z codzienną fikcją, czyli chodzeniem w kieracie pracy i mieszkaniem w bloku w szarobrunatnej Polsce. Nie może się doczekać, kiedy przestanie sprzedawać cenne dni swojego życia za dach nad głową i jedzenie i zacznie żyć w pełni.

Mnie natomiast podróże kojarzą się głównie z dyskomfortem. Już długa droga niesie ze sobą jakiś niepokój, zwłaszcza kiedy zaczyna się wstawaniem w nocy, aby zdążyć na poranny samolot. Dzwonek budzika w ciemnościach i wynoszenie walizek na opustoszałą klatkę schodową do złudzenia przypomina ucieczkę. Kiedy docieramy na miejsce, też przypominamy uchodźców: zmęczeni, nieumyci, głodni.

– Kto przy zdrowych zmysłach świadomie skazuje się na taki trud i jeszcze słono za niego płaci? – pytam wtedy Marcina.

Nie to jest jednak najgorsze. Kiedy wsiadamy do samolotu i maszyna podrywa się do góry, Marcin z każdą sekundą czuje, jak jego problemy się oddalają. Stają się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu znikają z pola widzenia, jak budynki otaczające lotnisko. Tłumaczy, że ogrom świata i świadomość, że każdego dnia w tym samym czasie w odległych zakątkach planety życie toczy się swoim zwyczajnym, niezachwianym trybem, pomagają mu nabrać zdrowego dystansu do życia. Sprawiają, że codzienne zmagania i frustracje wydają się błahe i nieistotne. Poczucie, że w globalnej perspektywie jego drobne bolączki nie znaczą absolutnie nic, działa na niego kojąco.

Na mnie wprost przeciwnie. Widok zza okien i mapa pokazująca przemieszczanie się maleńkiego samolociku nad rozległymi kontynentami wywierają na mnie przygnębiające wrażenie. Uświadamiają mi, że niewiele znaczymy. W tej skali nikniemy tak samo jak problemy Marcina. Cały świat wypełniony jest miliardami ludzkich istnień. Jak więc każde z nich z osobna może mieć znaczenie? Jak odróżnić je od pozostałych? Nie myślę nawet o dokonywaniu epokowych osiągnięć zapisujących się w historii i zmieniających jej bieg. Ale żeby chociaż dać się zapamiętać, nie przejść bez echa wśród tysięcy codziennych narodzin i śmierci. Sześć miliardów ludzi, a każdy z nich ma swoje potrzeby, pragnienia, życzenia. W jaki sposób Bóg mógłby ich wszystkich wysłuchać?

Jest jeszcze coś. Podróżujemy do krajów tropikalnych, co na ogół oznacza miejsca

biedniejsze i mniej rozwinięte niż Polska, których mieszkańcy zmagają się z niedostatkiem, chorobami, brakiem podstawowych warunków do godnego życia. Dzieci muszą pracować, poziom analfabetyzmu bywa zaskakująco wysoki. Bieda i bezrobocie prowadzą do przemocy i konfliktów zbrojnych. Jakby tego było mało, najbiedniejsze państwa są nękane katastrofami naturalnymi: powodziami, tsunami, trzęsieniami ziemi. Ta przytłaczająca zbieranina nieszczęść, kłębiąca się tuż za ogrodzeniem naszego hotelu, wywiera na mnie dużą presję.

Leżąc nad brzegiem hotelowego basenu, rozmyślam o tym, jak wielka ciąży na mnie odpowiedzialność. Nie mówię o próbie niesienia pomocy wszystkim pokrzywdzonym przez los – moje indywidualne działanie byłoby tylko niewiele znaczącą kroplą w morzu potrzeb, więc z góry postanowiłam nie zaprzątać tym sobie głowy. Mam na myśli odpowiedzialność za samą siebie.

Jestem zdrowa, niezależna finansowo, mam wygodne mieszkanie. Zdobyłam wykształcenie i dobrą pracę. Stać mnie na przyjemności, mam dobre widoki na przyszłość. Stworzyłam nawet związek, który tak wielu kobietom jest niezbędny do szczęścia (i przez to często wpędza je w kłopoty). Co prawda przykra sytuacja z Ewą w jakiś sposób mnie dotyczy, ale tylko przejściowo. Mówiąc wprost, nie jest to moje zmartwienie, należy ono przede wszystkim do innych. Podsumowując, można powiedzieć, że mam doskonały start w życie. Czysty rachunek i pełne pole do popisu. Nie ma nic, co mogłoby mnie usprawiedliwić i odwrócić moją uwagę od tego, żeby zająć się moim życiem.

Czuję w związku z tym nieznośny ciężar możliwości. Dostałam wszystkie niezbędne warunki do prowadzenia idealnego życia. *Tabula rasa*. Mogę być, kim zechcę. Nic nie stoi na przeszkodzie. Czuję się zobowiązana do tego, by przeżyć wspaniałe, nieprzeciętne życie.

Wiem, że mój dylemat wydaje się wydumany na tle ciężkiej doli innych, ale tak już urządzono ten świat. Kiedy podstawowe potrzeby są zaspokojone, pojawiają się te bardziej wysublimowane. Nic na to nie poradzę, nie będę się cofać do położenia tych, którzy mają gorzej, żeby doceniać to, co mam. Zresztą nie jest to konieczne. Jestem świadoma tego, jak wiele otrzymałam. Dziękuję losowi za wszystkie cenne zasoby, jakimi dysponuję, i chcę udowodnić, że potrafię dobrze je wykorzystać.

Tylko jak to zrobić?

Rozdział dwunasty

– Używaj życia. Jesteś piękna, młoda, zdolna. To twoje najlepsze lata – powtarza mi mama. – Ciesz się nimi, bo skończą się, zanim się obejrzysz.

Te słowa stały się dla mnie przekleństwem. Za każdym razem, kiedy je słyszę, czuję na plecach oddech przemijania. Czas nieubłaganie płynie, a ja, wyposażona we wszystko, co niezbędne, nie umiem go odpowiednio wykorzystać. W moim wieku ludzie mają już za sobą pierwsze wybitne dokonania i ugruntowane kariery. Nagrywają płyty, kręcą filmy, trafiają na okładki gazet. Stają się twarzami i nazwiskami. Konsekwentnie i terminowo realizują życiowy plan maksimum. Mnie wciąż paraliżuje strach o to, jak najpełniej i najwspanialej żyć, tak żeby niczego nie żałować. Analizuję każdy dzień pod kątem tego, czy przeżyłam go wystarczająco dobrze i czy w przyszłości będę mieć co wspominać.

Rodzice zapewnili mi dobre wykształcenie i wysokie poczucie własnej wartości.

– Jesteś wyjątkowa – powtarzali. – A świat tylko czeka, by się o tobie dowiedzieć.

Postanowiłam zaoszczędzić mu czasu i sama mu się przedstawić.

Zakładałam, że nie powinno być z tym większego problemu. W liceum byłam dzieckiem szczęścia. Wygrany konkurs polonistyczny załatwił mi egzaminy wstępne, a później było tylko lepiej. Najwyższa średnia w szkole, finały olimpiad, certyfikaty językowe, referaty i wszystkie regionalne konkursy traktowałam jako programową normę. Szansę na wybicie się widziałam we wszystkim, co twórcze i niestandardowe. Założyłam szkolną gazetkę i reaktywowałam radiowęzeł. W porozumieniu ze szkolnym pedagogiem powołałam licealne centrum rozwoju z semestralnym programem warsztatów z pewności siebie, asertywności i autoprezentacji. Organizowałam panele dyskusyjne, ściągałam do szkoły pisarzy i polityków. Stale odbierałam pochwały, nagrody i dyplomy. Bycie docenianą przyjmowałam jako naturalną konsekwencję mojego zaangażowania. Wszystko szło według planu i logicznego porządku panującego we wszechświecie.

Mój plan błyskotliwego wejścia w życie przebojem zbiegł się w czasie z rozpoczęciem studiów. Zdałam maturę z wyróżnieniem, a na psychologię na najlepszej polskiej uczelni dostałam się w pierwszej dwudziestce zdających. Byłam z siebie dumna, a rodzice zabrali mnie na wakacje do Hiszpanii. Moje zdjęcie zawisło w szkolnej gablocie w ramce zdolnych absolwentów.

Lato po maturze spędziłam na planowaniu wszystkich wspaniałych rzeczy, które robi się na studiach. Czułam się świetnie przygotowana i nie mogłam się doczekać mojej akademickiej przygody. Mój plan był następujący: przebojem podbić uczelnię, zgromadzić prace naukowe

i publikacje, zacząć udzielać się w mediach jako psycholog, wreszcie zdobyć własny program telewizyjny z rozwiązywaniem problemów na antenie. Do tego pisałabym popularne poradniki psychologiczne, prowadziła wykłady i warsztaty na całym świecie. Wszystko wskazywało na duże prawdopodobieństwo mojego sukcesu: znalazłam się w czołówce zdających, a wiadomo, że przyjezdni są lepiej przygotowani i bardziej zdeterminowani od warszawiaków. Wiedziałam, że na uczelni będę musiała od początku przebyć drogę do zaistnienia i zapisania się w pamięci. Zdawałam też sobie sprawę, że konkurencja wyselekcjonowana z najlepszych szkół w kraju będzie silniejsza niż w małomiasteczkowym ogólniaku, ale wierzyłam, że się uda. Podczas wydziałowych dni otwartych nie poinformowano mnie jednak, że każdy przyjeżdżający studiować w wielkim mieście dostaje prywatny kubeł zimnej wody.

Alma Mater mnie odtrąciła, jak odtrąca się dorastające dziecko. Słodkie i wychuchane oczko w głowie przestaje zachwycać, gdy staje się irytującym, pryszczatym nastolatkiem wydzielającym zapach potu. Kończy się tulenie, obcałowywanie, wpatrywanie się jak w obrazek. Bezwarunkową adorację zastępuje krytyka i chęć poprawiania licznych niedoskonałości, które każdego dnia wychodzą na jaw, obnażając przed światem bolesną prawdę: jesteś nikim.

Po pierwszym tygodniu zajęć i pierwszych zadanych do domu lekturach zapomniałam o zaszczytach i wyróżnieniach. Zrozumiałam, że sztuką będzie przetrwać i utrzymać się na roku. Słuchałam wykładów i rozmów innych studentów i odkryłam, że mam ogromne braki w wiedzy. Najwyraźniej w mojej szkole pomijano całe partie materiału, skoro nie miałam pojęcia, o czym mówią moi koledzy. Przeliczyłam liczbę zadanych stron materiału przez liczbę godzin, które zostawały mi po odjęciu zajęć, dojazdów i snu. Prosty rachunek uświadomił mi, że standardowa nauka nie miała prawa się udać. Jeśli chciałam wnikliwie przestudiować materiał i kilka razy go powtórzyć, mogłam wybrać sobie jeden, dwa przedmioty, a resztę zdawać w przyszłości. W tym trybie studia mogłyby trwać kilkanaście lat. Ogarnęło mnie przerażenie. Musiałam znaleźć inne wyjście.

Mój umysł musiał przestawić się na nowy sposób pracy. Nie było mowy o uważnej nauce. Jeśli chciałam jeść i spać, mogłam przyswajać co trzeci zadany kilkudziesięciostronicowy tekst i ryzykować oblanie kolokwium. Mogłam też czytać wszystkie teksty, ale każdy tylko raz. Postawiłam na jednokrotne czytanie ze zrozumieniem. Wyposażona w zakreślacz skanowałam materiał w poszukiwaniu wyrażeń-kluczy, najważniejszych terminów i nazwisk, licząc na to, że pojawią się w testach wyboru i będę miała szansę przywołać odpowiedź na zasadzie skojarzeń. Nastawiałam w zegarku alarm. Kiedy dzwonił, oznaczało to, że czas na dany przedmiot się skończył i nadchodziła pora na następny.

Przytłoczenie pracami domowymi, lekturami i obowiązkowymi wykładami (to mit, że tylko zajęcia praktyczne mają listę obecności) sprawiło, że nie zostawało mi czasu na koła zainteresowań, kluby dyskusyjne i inne działania, w które mogłabym się zaangażować. Na wydziale nikt o tym nie myślał. Wszelkie formy studenckich inicjatyw zamarły. Wszyscy wokół byli zbyt zajęci utrzymywaniem się na liście studentów.

Na trzecim roku sytuacja nieco się poprawiła. Wprawdzie liczba zajęć się nie zmniejszyła, ale nasze wytrenowane mózgi rozpracowały system efektywnego filtrowania materiału, a testy układane przez wykładowców okazały się przewidywalne, poza tym okazało się, że można je kupić od starszych kolegów wraz z kompletem odpowiedzi. Nikt już jednak nie myślał o tym, żeby uzyskany w ten sposób cenny czas poświęcać uczelni, która i tak by się nie odpłaciła. Była to najwyższa pora, żeby zacząć inwestować w karierę. I tak mieliśmy już kilka lat poślizgu, które zostawiały nas w tyle.

Postanowiłam przełożyć potrzebę samorealizacji na czas kariery zawodowej. I znów czekałam na coś, co nie nadchodziło. Dużym osiągnięciem było zaczepienie się gdziekolwiek. Przetaczające się przez kraj reorganizacje i optymalizacje kosztów ucinały wszelkie twórcze inicjatywy. Masowo zwalniano pracowników, nawet tych, którzy wcześniej spędzali w firmie życie, słysząc, że są niezastąpieni. Nagle po kilku dniach od wręczenia wypowiedzenia nikt już o nich nie pamiętał. Ci, których nie zredukowano, przejmowali obowiązki byłych kolegów i siedzieli w nich po uszy. Nowatorskie rozwiązania i szkolenia dla pracowników zarzucano na rzecz maksymalnego obniżania cen produktów i usług. Przestały mieć sens inwestycje w reklamę i kreatywną promocję. Firm i produktów zrobiło się za dużo, żeby klienci mogli je wszystkie spamiętać. Do otępionego nadmiarem nabywcy przemawiał tylko jeden argument: niska cena. I trzeba było mu ją dać – za wszelką cenę.

Jedyną strategią rozwoju firm stało się obniżanie kosztów. Słowo „podwyżka” zostało wyparte przez podobnie brzmiące „obniżka”, przy czym coraz częściej dotyczyło ono pensji. Po kilku latach zarobkowej tułaczki byłam wdzięczna za każde dłuższe zajęcie i zrozumiałam, że czasy wielkich karier zawodowych nieodwołalnie się skończyły. Stało się jasne, że nie mam co liczyć na to, że firma mnie doceni i nagrodzi awansem. Mityczny, omnipotentny byt „Zarząd” (do dziś nie wiem, dlaczego zawsze jest pisany wielką literą) w istocie był przypadkową zbieraniną zalęknionych o własne posady najemników. Mimo fikcyjnych haseł o lojalności i motywacji nikt nie oczekiwał ode mnie niczego, tylko żebym dalej godziła się wykonywać swoje obowiązki za minimalną pensję.

Kiedy zaczęłam pracę u Marcina, troska o przyszłość mnie nie opuściła. Wolałam nie przywiązywać się do aktualnej sytuacji. Chciałam stworzyć coś swojego, ponadczasowego.

Zrozumiałam, że jeśli teraz, po zdobyciu wykształcenia i przed założeniem rodziny, nie zainwestuję w swój rozwój, zostanę z niczym. Po latach przypadkowych, bezmyślnie wykonywanych zawodów obudzę się wypalona i zawstydzona, że nic nie osiągnęłam. Jeśli chciałam czegoś więcej niż słuchania cudzych poleceń do śmierci (bo przecież nie do emerytury), musiałam działać na własną rękę. I to szybko.

Rozdział trzynasty

Po rozczarowaniu studiami i rynkiem pracy trzecią próbę pokazania światu moich możliwości zdecydowałam się podjąć po godzinach, nie czekając na sprzyjające okoliczności.

Podczas porannych dojazdów przepełnionym autobusem przyglądałam się współpasażerom zmierzającym do swoich zajęć. Niewyspani i nieszczęśliwi, że muszą tłoczyć się w publicznym transporcie, unikali się nawzajem wzrokiem. Zamykając się w sobie, próbowali wywalczyć odrobinę prywatnej przestrzeni. Ja natomiast otwarcie przyglądałam się pozostałym podróżnym, budząc w nich niepokojące uczucie bycia obserwowanym. Zamiast tępo patrzeć w okno, wykorzystywałam czas na przemyślenia. Zastanawiałam się nad tym, co sprawia, że niektórzy ludzie spędzają życie uwieszeni na autobusowym drążku, podczas gdy inni idą do przodu, wznosząc się ponad przeciętność. Oraz nad tym, jak się stąd wydostać.

Nie chodziło mi o zamianę autobusu na wygodny samochód, którym w cieple i przy dźwiękach muzyki mogłabym podróżować sama. Chciałam wystąpić z anonimowego tłumu codziennie podążającego utartymi szlakami na linii praca – dom, ale nie zależało mi na odosobnieniu. Wprost przeciwnie. Pragnęłam poczuć się kimś szczególnym i do osiągnięcia tego celu inni byli mi niezbędni. To zwykłość pozostałych potwierdziłaby moją wyjątkowość, stawiając na mnie znak jakości. Każde, nawet najwspanialsze dzieło sztuki potrzebuje stosownej oprawy, a każda nieprzeciętna osobowość – publiczności.

Przekonałam się nieraz, że znaczenie grona odbiorców jest nie do przecenienia w biznesie oraz w mediach. Podobnymi prawami rządzi się internet. To tam postanowiłam spróbować swoich sił. Sieć to cudowny wynalazek, który stwarza ogromne możliwości, dostępne od ręki i dla każdego. Pozwala niemal bezpłatnie i bez wysiłku prezentować swoją twórczość lub prowadzić firmę, docierając do szerokiego audytorium. Nowoczesny i niezależny, niestwarzający barier jak przestarzała prasa czy nadęta telewizja, internet to najlepszy łowca talentów i kreator sław. Współcześni projektanci, muzycy, pisarze wybijają się online. To w sieci widziałam szansę, by dać się zauważyć i zostać rozpoznawalną marką, sygnowaną moim własnym nazwiskiem.

Sprawdziłam wszystkie aspekty internetowej działalności. Zapoznałam się z kwestiami prawnymi i obowiązkami wynikającymi z ochrony danych osobowych. Zorientowałam się w kosztach wykupienia domen, wymyśliłam kilka chwytliwych, łatwo zapadających w pamięć nazw. Zrobiłam nawet szybki kurs graficznego projektowania stron. Przeanalizowałam różne modele: sklep internetowy, serwis tematyczny, blog, forum. Możliwości było wiele. Zbyt wiele.

Podstawowym minusem internetu jest to, że łatwy i powszechny dostęp niekontrolowanie mnoży liczbę zakładanych stron. Na zapisanie się w zbiorowej świadomości mają szansę tylko te, które notują wysokie statystyki odwiedzin. Żeby się przebić, trzeba mieć oryginalny pomysł i realizować go na tyle dobrze, żeby nie dało się go łatwo skopiować. Sieć pełna jest ludzi, którzy próbują łączyć przyjemne z pożytecznym i żyć ze swojej pasji, zarabiając na robieniu tego, co kochają. Uwierzyłam, że mogę stać się jedną z nich. Problem polegał na tym, że jeszcze nie odkryłam, co mnie pasjonuje.

Utknęłam na pytaniu, czym właściwie chciałabym się zajmować. Byłam świetnie przygotowana formalnie, ale brakowało mi materii, na której mogłabym pracować. Lubię czytać, interesuje mnie moda i psychologia. Podobno robię ładne zdjęcia, ale amatorskie. Zapisałam się raz na warsztaty fotograficzne, ale nigdy nie opanowałam skomplikowanych ustawień i czasu naświetlania. W wolnym czasie chodzę na fitness. I to by było na tyle. W dzieciństwie marzyłam o tym, że zdobywam sławę i jestem podziwianą modelką, tancerką, łyżwiarką figurową lub skrzypaczką, ale nic z tego nie wyszło. Rodzice doradzili mi zdobycie ogólnego wykształcenia, a o tym, co chcę robić w życiu, miałam zdecydować, gdy dorosnę. Nie wzięli pod uwagę tego, że wtedy będzie za późno, żebym w jakiejś dziedzinie stała się wybitna.

Moim naturalnym wyborem mogłaby być psychologia w internetowym wydaniu. Szybko uznałam jednak, że nie tędy droga. Bez naukowego dorobku ani wsparcia mediów nie byłam żadnym autorytetem, który mógłby przyciągnąć czytelników. Poza tym zdobycie popularności na psychologii graniczyło z cudem. Masowy odbiorca w sieci miał zdecydowanie mniej wysublimowane zainteresowania i oczekiwał czegoś prostszego.

Pomyślałam o pisaniu na jakiś fajny temat. W szkole polonistka zawsze chwaliła mnie za wypracowania i zachęcała do prób literackich. Umiałam pisać na każdy temat. Czułam się dobrze i w poezji, i w prozie. Nie było stylu, którego nie umiałabym podrobić, ani zagadnienia, którego bym nie wyczerpała. Na zawołanie sypałam argumentami na poparcie wybranej tezy, a w rękawie miałam zestaw uniwersalnych cytatów wywołujących wrażenie oczytania i elokwencji. Umiałam pisać oszczędnie i rzeczowo jak reporter lub wznosić się na wyżyny pseudointelektualnego, niezrozumiałego dyskursu do złudzenia przypominającego twórczość przedstawicieli młodej literatury współczesnej. Sentymentalnie rozdzierałam szaty w obronie romantycznego patriotyzmu lub hołdowałam lakonicznej grotesce. Wszystko na życzenie. Niestety, bez narzuconego tematu byłam zupełnie bezradna. Nie miałam pomysłu, co sama, własnymi słowami chciałabym wyrazić. Pomysł z pisaniem w sieci na dobre pogrążyło to, że w dobie informacji każdy temat został już wcześniej poruszony, a internetowy odbiorca

niechętnie czytał, wolał oglądać.

Moim następnym planem było projektowanie biżuterii. To zajęcie wydawało mi się wprost idealne: łatwe, twórcze i zawsze jest na nie zapotrzebowanie. Ładne, kolorowe zdjęcia powinny załatwić problem oglądalności. Widziałam siebie jako oryginalną młodą projektantkę, w wyobraźni otwierałam mały butik na Mokotowie albo artystycznej Pradze. Mój zapał zmienił się we frustrację po pierwszych próbach stworzenia rękodzieła. Oczywisty brak artystycznego drygu i zdolności manualnych, który wcześniej przeoczyłam, zaowocował kilkoma długimi wieczorami, podczas których zniszczyłam większość zakupionych materiałów i stworzyłam jedną parę rachityczny kolczyków.

Mniej więcej na tym etapie ogarnęło mnie niepokojące przeczucie, że moje problemy mogą być czymś więcej niż chwilowym poszukiwaniem własnej drogi. Zawsze chciałam coś w życiu osiągnąć, ale nie wzięłam pod uwagę, że do tego potrzebny jest talent. Zaczęłam podejrzewać, że być może nie mam żadnych ponadprzeciętnych zdolności. Nie rozumiałam, jak mogło do tego dojść, skoro przeszłam całą ścieżkę edukacji chwalona i wysoko oceniana. Ostatecznie, mimo początkowych trudności, nawet dyplom obroniłam na piątkę. Zdobywałam wszelkie możliwe wyróżnienia, jakie były do zdobycia. Szkoły utrzymywały mnie w fikcyjnym przekonaniu, że jestem wyjątkowa i za ich murami czeka mnie fascynująca przyszłość. Jak to się stało, że w rzeczywistości niczym się nie wyróżniam? Wyuczona, wytresowana i ogólnokształcona, ale bez polotu i wyjątkowych umiejętności. Bez własnego punktu widzenia. Bez własnego głosu.

Rozdział czternasty

Pewnej zimowej nocy, już po tym, gdy zachorowała Ewa, miałam koszmar. Śniłam o przypowieści o talentach. Nieznany głos podszyty katedralnym echem podkładał narrację pod biblijne obrazy z moim udziałem.

– Stanie się podobnie jak z człowiekiem, który zamierzając wyjechać, przywołał sługi swoje i powierzył im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, a trzeciemu jeden: każdemu według zdolności jego; potem odjechał.

W moim śnie byłam ostatnim skromnym sługą z jednym talentem. Narrator kontynuował:

– Ten, który otrzymał pięć talentów, poszedł natychmiast, zarabiał nimi i zyskał dalsze pięć. Podobnie ten z dwoma talentami dorobił jeszcze dwa talenty. Natomiast ten, który tylko jeden talent otrzymał, poszedł i wykopawszy w ziemi dół, skrył w nim pieniądze swego pana. Po długim czasie powrócił pan owych sług i począł rozliczać się z nimi.

W tym momencie nastąpiła seria pochwał pod adresem sług od pięciu i dwóch talentów, którzy umieli wykorzystać powierzone im dobra. Jak łatwo przewidzieć, przyszła i moja kolej. W obliczu moich zerowych osiągnięć usłyszałam złowieszcze słowa:

– Zabierzcie mu więc ten talent i dajcie go temu, który ma dziesięć talentów. Bo temu, który ma, będzie dane, i to w obfitości; a temu, który nie ma, będzie zabrane nawet to, co ma. A sługę niepożytecznego wyrzućcie precz w ciemności: tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Pozostali słudzy chwycili mnie za ramiona i zaprowadzili na cmentarz.

– I tak naprawdę nie żyłaś. Tu jest twoje miejsce – powiedzieli i odeszli.

Zostawili mnie przed bielejącym w mroku nagrobkiem – moim własnym. Był zaniedbany i pusty, widać, że nikt go nie odwiedzał. Poza datami urodzin i śmierci, które dzieliło sto lat, na tablicy wyryto motto: „Znikąd przybyłem, nikim zostałem”. Poza tym nic. Ani słowa podsumowującego długie życie. Żadnego dokonania. Ani nawet mojego imienia.

Obudziłam się z krzykiem. Ogarnął mnie spotęgowany przez ciemność lęk, że nie mam żadnego talentu, który odróżniłby moje istnienie od miliardów innych, niegodnych zapamiętania. Groziła mi przeciętna egzystencja. Z miejsca, w którym się znajdowałam, mogłam już dostrzec moje życie w całej jego długości, na której osadzono kilka standardowych wydarzeń (ślub, dzieci, przeprowadzki, przejście na emeryturę) poprzeplatanych zwyczajnością (praca, odpoczynek, sen, opieka nad dziećmi). Byłam przerażona.

Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że ten lęk o dobre życie w pewien sposób łączył mnie i Ewę. Podczas którejś wizyty w hospicjum mimowolnie stałam się kimś w rodzaju jej

spowiednika. Tak jakby chciała wytłumaczyć się z tego, co ją spotkało.

– Żałuję tylko tego, że muszę rozstać się z Mają i Pawłem – powiedziała. – Niczego innego. Wyruszyłam w niebezpieczną podróż po miłość, bo chciałam żyć bardziej. I udało mi się. Ale widocznie prawdziwe, skondensowane życie jest mniej rozciągnięte w czasie. Może na dłuższą metę nie dałoby się go znieść.

Rozdział piętnasty

Tamtej nocy, kiedy obudziłam się, rozmyślając o talentach, wstałam i po ciemku poszłam do łazienki. Dopiero tam zapaliłam światło. Odkręciłam wodę, pochyliłam się nad umywalką i przemyłam twarz wodą. Podniosłam wzrok na lustro. Przestraszyłam się swojego odbicia. Blada, ziemista cera, podkrążone oczy. Przyciśnięty do szyi podbródek zrobił się podwójny. Dotknęłam dłonią skóry na gardle. Zdawała się miękka i wiotka. Jednym szarpnięciem zrzuciłam koszulę nocną i stanęłam naga w bezlitosnym świetle halogenowej lampy. Odwróciłam się bokiem do lustra. Zobaczyłam przygarbioną postać z opadającym biustem, przykurczonymi pośladkami i wydętym brzuchem. Szybko się wyprostowałam i wciągnęłam powietrze, żeby nadać ciału lepszy profil. Podniosłam głowę, zadzierając nos, aby wygładzić szyję. Lepiej. Odpędziłam widmo starej kobiety, która jeszcze przed chwilą na mnie patrzyła. Dostałam czasowe odroczenie przemijania. W mieszkaniu panowała cisza, nerwowo odmierzana tykaniem zegara w przedpokoju.

Poszłam do kuchni. W mikrofalówce podgrzałam sobie mleka z miodem i usiadłam przy stole. Czekając, aż kubek ostygnie, sięgnęłam po kolorowy magazyn dla kobiet. Na okładce nonszalancko rozparta aktorka promowała swój wywiad. Zauważyłam, że rozmowy ze znanymi kobietami można podzielić na trzy rodzaje: albo gwiazda jest szczęśliwie zakochana i na nowo odkrywa siebie przez pryzmat miłości, albo właśnie się z kimś rozstała i dopiero teraz, sama, jest naprawdę sobą, albo urodziła dziecko i teraz to już na pewno poznała najprawdziwszą siebie, więc może wracać do zawodu i czeka na ciekawe propozycje. W piśmie, które miałam w dłoniach, wywiad dotyczył fazy pierwszej, szczęśliwej. Zachwycona dziennikarka pytała, jak to jest być kimś tak wspaniałym. Aktorka przyznała, że bardzo przyjemnie, ale przypominała, że za sławą stoi ciężka praca. „Dziesięć procent talentu i dziewięćdziesiąt procent pracy” – powiedziała.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Biorąc pod uwagę ostatni serial z udziałem aktorki, wzmianka o proporcji talentu wydawała się prawdziwa. Próbowałam sobie przypomnieć jej inne role, ale poza telenowelą nic nie przychodziło mi do głowy. Irytowało mnie namaszczenie, z jakim dziennikarka przeprowadzająca wywiad odnosiła się do rozmówczyni. Przekartkowałam magazyn w poszukiwaniu innych sław. Poza nielicznymi przypadkami starszych gwiazd, od lat pojawiających się w niezmienionym składzie na telewizyjnych galach sylwestrowych, osoby, które rozpoznawałam, kojarzyłam z jednego muzycznego lub telewizyjnego hitu. Sporo twarzy widywałam od czasu do czasu, ale nie umiałam połączyć ich z żadną produkcją.

Pomyślałam, że to muszą być celebryci. Znani z tego, że są znani. W opisach pod zdjęciami

wyczytałam, że miałam przed sobą menedżerkę gwiazd, kreatorkę fryzur czy znanego blogera-stylistę. Zaintrygowała mnie też nosicielka sensacyjnej kreacji obnażającej intymne miejsca, która swoje szokujące wystąpienie przygotowywała przez dwa lata wspólnie z ekspertem do spraw wydobywania potencjału. Czy ci ludzie mieli talent? Nie sądzę. Zamknęłam gazetę i wypiłam mleko. Po moim spiętym wnętrzu rozeszła się przyjemna fala ciepła. Poczułam się lepiej. Ciężka praca to coś, w czym jestem naprawdę dobra.

Wróciłam do łóżka i położyłam się obok Marcina. Musiałam go niechcący obudzić. Przyciągnął mnie do siebie i otoczył ramieniem, mówiąc, żebym się nie martwiła i że razem to wszystko przetrwamy.

Rozdział szesnasty

Następnego dnia obudziłam się wyspana i jeszcze przed wyjściem z łóżka sięgnęłam po kalendarz i długopis. W nocy ułożyłam w głowie gotowy plan działania, który pozostawało przelać na papier. W miarę pisania uzyskiwałam jasność myśli i cudowne, uskrzydlające poczucie trzymania steru w dłoniach. Byłam podekscytowana. Wiedziałam już, co chcę robić.

Mój plan wyglądał tak: założyć blog poświęcony osiąganiu sukcesu. Przecież to właśnie interesowało mnie najbardziej! W dodatku moje wykształcenie doskonale wpisywało się w ten pomysł. Kreowanie wizerunku, autoprezentacja i *coaching* – chciałam pisać o wszystkim, co jest potrzebne, żeby zdobyć to, czego się pragnie w dowolnej dziedzinie. Blog miał być skierowany przede wszystkim do kobiet. Poza artykułami i poradami przedstawiałabym sylwetki znanych kobiet, które opowiadałyby o swoich doświadczeniach i stawały się inspiracją dla innych. Przy okazji zamierzałam sama się od nich uczyć.

Po zapełnieniu bloga treścią pozostawało mi zdobyć dużą oglądalność i przebić się z tekstami do prasy i telewizji. Tematyka dotycząca znanych osób i nawiązanie z nimi kontaktów powinny mi w tym pomóc. W nocy przed zaśnięciem wpadłam na pomysł, jak uniknąć powszechnych problemów, na które napotykają wszyscy stawiający pierwsze kroki w internecie, czyli walkę o pokonanie pierwszego progu oglądalności, kontakty z interesownymi mediami żądającymi opłat za wszystko oraz trudną sztukę dyscypliny po godzinach, kiedy zmęczenie po etatowej pracy odbiera siłę przebicia w rozwijaniu prywatnych projektów. Remedium na to było połączenie mojego bloga z internetową perfumerią Marcina. Istniejąca witryna miała już sporą liczbę użytkowników, a czas poświęcony na pisanie i budżet przeznaczony na kontakty z mediami łatwo mogłam podpiąć pod działania marketingowe na rzecz firmy. Takie rozwiązanie zdawało się idealne. Angażując się w promocję perfumerii, z czystym sumieniem pracowałabym na własne nazwisko jako autorka bloga, a docelowo popularnego portalu dla kobiet.

Temat, który wybrałam, wydawał się dla mnie stworzony. Zapewniał mi możliwość wykorzystania wszystkiego, czego się nauczyłam. Stworzenie własnej internetowej przestrzeni nadawało sens moim dotychczasowym doświadczeniom i poszukiwaniom. Od dawana marzyłam, żeby zamiast wiecznie obserwować i poszerzać swoje horyzonty przez konsumowanie cudzych dzieł, w końcu zacząć tworzyć własną jakość. Poczułam, że wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Była sobota, Marcin najwyraźniej pojechał już do Ewy. Wstałam z łóżka i odsłoniłam żaluzje, wpuszczając dzienne światło do sypialni. Po raz pierwszy od wielu krótkich,

podobnych do siebie zimowych dni wyszło słońce. Po gęstych, niepokojących ciemnościach sprzed kilku godzin nie było śladu. Sprzęty groźnie czające się w mroku o poranku wyglądały przytulnie i swojsko.

Włożyłam szlafrok wiszący na oparciu wiklinowego fotela i zrobiłam sobie cappuccino z dodatkową porcją spienionego mleka. Przechodząc obok radia, nastawiłam stację jazzową. Wyciągnęłam z zamrażarki dwa croissanty i odgrzałam je w piekarniku. Ciepłe i chrupiące ułożyłam na miętowym talerzu i postawiłam obok kawy, na stole przykrytym lnianym obrusem. Obok ustawiłam doniczkę z lawendą. Zatrzymałam się i popatrzyłam na uroczą scenkę, którą zaaranżowałam. Niech żyją małe życiowe przyjemności.

Przyniosłam z kanapy kilka kobiecych magazynów, których nie zdążyłam wcześniej przeczytać. W spisie treści znalazłam moją ulubioną rubrykę *Metamorfozy*. Uwielbiam patrzeć na niewiarygodną przemianę, jaką przechodzą bohaterki reportażu. Z wyblakłych, zaniedbanych mam i żon z pomocą sztabu ekspertów przeobrażają się w atrakcyjne, świetnie ubrane kobiety. Workowate swetry i wypchane spodnie zamieniają na dopasowane sukienki w nasyconych kolorach. Bezkształtnym sylwetkom nadają szlachetne formy dzięki szpilkom i modelującej bieliźnie. Mysie włosy z odrostami zastępują efektownymi cięciami i kolorami. Kosmetyczka przywraca ich skórze blask, a stomatolog wybiela im zęby. Pierwsza strona artykułu poraża kontrastem między zdjęciami „przed” i „po”. Nie przeszkadza mi, że po bliższym przyjrzeniu się wychodzą na jaw detale sztucznie podkreślające różnice, takie jak kąt fotografowania, brak lub obecność makijażu, postawa czy mina. Zdaję też sobie sprawę, że te imponujące efekty nie utrzymują się długo, a powrót bohaterek do prawdziwego życia nieuchronnie oznacza powrót do starych, złych nawyków. Mimo to lubię *Metamorfozy*, ponieważ tak jak bajki dają mi wiarę w cuda. A raczej w wymierne efekty, które nawet w beznadziejnych przypadkach można osiągnąć ludzkimi rękami.

Pozytywna przemiana to mój ulubiony motyw książek i filmów. Wyszukuję kolejne historie o tym, jak ktoś siłą woli przeprowadził w życiu osobistą rewolucję. Nałogowo oglądam poradnikowe programy o porządkowaniu zaśmieconych domów, zrzucaniu wagi i wymianie garderoby. Z zapartym tchem śledzę gruntowne remonty mieszkań i poskramianie niesfornych dzieci. Wszystko wokół dowodzi, że zmiana na lepsze zawsze jest możliwa. Jedynym warunkiem jest chęć do działania.

Przyszła pora i na mnie. Otworzyłam laptop i spisałam kilkanaście propozycji tematów do poruszenia w blogu. Porównałam ze sobą popularne serwisy dla kobiet i jeszcze bardziej utwierdziłam się w przekonaniu, że mój pomysł zasługuje na realizację. Wynotowałam, czego brakuje w istniejących portalach. Ponieważ podstawą są dobre zdjęcia, znalazłam kilka

agencji fotograficznych, które część swoich zasobów udostępniały bezpłatnie. Zrobiłam listę nieprzeciętnych kobiet, z którymi chciałam umówić się na wywiad. Opracowałam strategię wprowadzenia bloga do sieci i wybrałam kluczowe kobiece magazyny, które zaproszę do współpracy.

Postanowiłam, że zorganizuję konferencję prasową. Jak mierzyć, to wysoko, jak działać, to z rozmachem. Najwyższa pora zacząć się przyzwyczajać.

Rozdział siedemnasty

Poza dobrym pomysłem i solidnym planem nic tak nie poprawia samopoczucia jak dostrzegalne efekty podjętych działań. Założyłam blog pod nazwą *All you desire* w domenie Desire.pl i w ciągu dwóch tygodni opublikowałam kilkanaście artykułów. Ze względu na powiązania z perfumerią zaczęłam od wpisów o tym, dlaczego bycie zadbaną jest kluczowe dla zbudowania pewności siebie i osiągnięcia sukcesu. Przytoczyłam kilka przykładów udanej zmiany wizerunku wśród znanych kobiet. Dobrze się przy tym bawiłam. Napisanie tekstu pod własnym nazwiskiem dawało mi poczucie dobrze spożytkowanego czasu i więcej satysfakcji niż cały dzień spędzony na biurowej krzątaninie, o której nazajutrz nikt nie pamięta.

Praca w firmie internetowej przypominała bicie przezroczystej piany. Większość podejmowanych przez nas czynności odbywała się w sposób niewidoczny dla oka. Nasze niewielkie, funkcjonalne biuro wyposażyliśmy jedynie w biurka i komputery. Tylko w pokoju Ewy stał regał z dokumentami. W pozostałych pomieszczeniach nie było nawet drukarki, bo nikt z niej nie korzystał. Gros spraw załatwialiśmy telefonicznie i mejlowo. Dostawy kosmetyków realizował magazyn i wynajęte przedsiębiorstwo logistyczne, a rozliczenia i administrację wspierała zewnętrzna firma. Gdyby z jakichś przyczyn Marcin postanowił zamknąć lub przenieść interes, wyprowadzka zajęłaby nie więcej niż dwie godziny. Po kilkuletniej działalności i codziennej, wielogodzinnej pracy nie zostałby niemal żaden ślad.

Często nachodziły mnie wątpliwości w sens naszej pracy. Poza jej wirtualnym, nienamacalnym charakterem nurtowało mnie pytanie, czy jest komuś potrzebna. Czasami zwracałam Marcinowi uwagę, że niczego nowego nie wnosimy, niczego nie tworzymy.

– Producenci kosmetyków, z którymi pracujemy, przynajmniej wprowadzają nowe produkty. Mniej lub bardziej kreatywne, ale jednak ich działanie przynosi widoczny owoc – mówiłam.

– Krem, który zostanie wchłonięty przez skórę, lub perfumy, które się ulotnią? To, co po nich zostanie, to opakowanie zanieczyszczające środowisko. My przynajmniej jesteśmy proekologiczni – odpowiadał Marcin.

– Nigdy nie miałeś potrzeby, żeby bardziej się zasłużyć dla polskiego biznesu? Desire.pl zbiera branżowe nagrody. Może warto pójść o krok dalej i opracować coś własnego? Na przykład linię kosmetyków. Na początku we współpracy z którymś z producentów, ale później, kto wie?

– Zbyt skomplikowane i za duże ryzyko. Nie warto.

– To może chociaż założyć fundację i wspierać uczelniane laboratoria?

– Kotku, nie jesteśmy aż tak silni, żeby bawić się w filantropię.

– Przecież twoi finansowi guru na każdym kroku podkreślają magiczną moc dobroczynności. Kiedy dajesz datki, wysyłasz do świata sygnał, że nie brak ci pieniędzy, i dostajesz ich więcej. Pamiętasz?

– Nie brałbym tego tak dosłownie. To pewien snobizm, na który jeszcze nie możemy sobie pozwolić. Ale przecież już teraz wspieramy innych, chociażby dając im pracę.

– Wiem, tylko czasami myślę, że skoro świat jest tak urządzony, że trzeba kawał życia poświęcić pracy, to dobrze to robić z sensem.

– Uważasz, że to, co robimy, nie ma sensu?

– Nie o to mi chodzi. Po prostu czasem chciałabym wziąć coś do ręki, popatrzeć na to i pomyśleć: to moje dzieło, mój wkład w ten świat. Jak piekarz, ogrodnik.

– Przecież chleb i warzywa znikają w żołądkach. To, co po nich zostaje, niekoniecznie chciałabyś podziwiać i brać do ręki.

Na tym etapie zirytowana przerywałam rozmowę, a Marcin mnie pocieszał, że przynajmniej zajmujemy się sprawianiem ludziom przyjemności, a nie przysparzaniem zmartwień, jak na przykład banki. Choć trudno się z nim nie zgodzić, gdzieś w głębi zawsze pragnęłam czegoś więcej. Tym czymś było uczucie, które dało mi stworzenie własnej przestrzeni i powołanie do istnienia *All you desire*.

Jednocześnie z wrzucaniem pierwszych artykułów założyłam profil na Facebooku, żeby informować o pojawianiu się nowych wpisów. Wysłałam zapraszający newsletter do moich znajomych i klientów sklepu. Na zachętę do lajkowania i komentowania zorganizowałam konkurs. Ułożyłam łatwe pytanie, a na wygraną przeznaczyłam kosmetyki. Wiedziałam z doświadczenia, że nagrody inne niż doręczone pod drzwi dobra materialne były nieatrakcyjne. Wygrana wymagająca jakiegokolwiek wysiłku, jak pójście do kina czy skorzystanie z rabatu podczas zakupów, nie przyciągała wystarczającej liczby uczestników.

W pierwszych tygodniach osiągnęłam lepsze rezultaty, niż się spodziewałam. Prawie dwa tysiące fanów na Facebooku i kilkadziesiąt polubień dla każdego wpisu. Najpopularniejsze były te poświęcone modzie i dietom. W każdym artykule przemycałam pasujący do kontekstu kosmetyk z naszej oferty. Puder rozświetlający przy tekście o złotej biżuterii, morskie perfumy przy opisie marynarskich trendów i tak dalej. Nie mogło zabraknąć zdjęć gwiazd w roli wizerunkowych wyroczni. Przeglądając bazy zdjęć z celebrytkami, zaznaczałam potencjalne kandydatki na moją ambasadorkę. Ostatecznego wyboru miałam dokonać wspólnie z agencją eventową, z którą umówiłam się w celu przygotowania konferencji.

Sporo czasu poświęcałam na *research*. Przeglądałam popularne blogi modowo-urodowe i wczuwałam się w ich klimat. Ważnym elementem, którego jeszcze nie wprowadziłam, było

pokazywanie swoich zdjęć. To bez wątpienia najszybsza droga do wypromowania własnej twarzy. Mimo silnej konkurencji ja też zamierzałam spróbować. Przykład celebrytki z nagim kroczem mądrze uczył, że do publicznego objawienia należało się dobrze przygotować.

Rzucenie się w wir pracy nad blogiem nie było z mojej strony próbą wstąpienia w szeregi bezwartościowych gwiazdek, które niczego sobą nie reprezentują. Chciałam stać się rozpoznawalna, żeby inni zechcieli mnie dostrzec i wysłuchać. Kobiety desperacko walczące o rozgłos za pomocą gołego tyłka wiedzą, że każdy, nawet najbardziej żenujący i powszechnie piętnowany rozgłos to prawo głosu. Każdy początkujący dziennikarz odbijający się od drzwi redakcji potwierdzi, że najpierw musisz być kimś, żeby ktoś chciał cię czytać. Nieważne, że teksty debiutujących autorów są dobre. To bełkotliwe felietony gwiazd sprzedają gazetę.

Ja też walczyłam o swoją szansę, którą mogłabym wykorzystać do celów znacznie szczytniejszych niż stworzenie jeszcze jednego frywolnego miejsca w blogosferze. Moją idolką była Milena Maj, kiedyś bohaterka durnego talent show i rozbieranych sesji, dziś prezeska prokobiecej fundacji, redaktor naczelna najlepszego magazynu dla kobiet i producentka własnego programu telewizyjnego. Milena wzorcowo wykorzystała swój moment. Zanurkowała w showbiznesowym szambie, by wypłynąć na powierzchnię i przejąć władzę. Po serii upokarzających castingów i kretyńskich występów przed nadętym jury, teraz to ona dyktuje warunki. Z nadwornego błazna i podnóżka stała się medialną królową. Najlepsze zachowała na koniec. Pokazała, na co ją stać we właściwym momencie. Wcześniej nikogo by to nie interesowało.

Rozdział osiemnasty

Blog całkowicie mnie pochłonął. Wpadłam w rytm i czułam się świetnie. Codziennie pracowałam nad tym, by nadać *All you desire* rozpędu i jako jego autorka stać się postacią bardziej rozpoznawalną. Zastanawiałam się, jak w dobrym stylu zacząć udostępniać moje zdjęcia. Musiałam to dobrze przemyśleć, żeby zminimalizować ryzyko krytyki i złośliwych komentarzy. Mogłabym robić sobie zdjęcia podczas wywiadów ze znanymi kobietami, ale wpadłam też na inny pomysł – nagrania wideo. Byłaby to atrakcyjniejsza i bardziej przystępna forma dla odbiorców, a dla mnie oszczędność czasu i prostsza droga do zainteresowania sobą telewizji, o czym zawsze marzyłam.

Zamierzałam przedstawić się szerszej publiczności w dniu konferencji prasowej. Liczyłam na to, że jeśli zaproszę kilka gwiazd, wydarzenie nagłośnią media. W związku z tym czekały mnie dwa spotkania: z agencją eventową oraz z Max & Moritz, największym wydawcą prasy kobiecej w kraju. To wszystko razem składało się na oczywisty wniosek: zakupy.

Nie przepadam za galeriami handlowymi. Tęsknię za czasami, kiedy na zakupy chodziło się od sklepu do sklepu, centralną ulicą miasta. Kiedy jeszcze mieszkałam z rodzicami, gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych, czasami wsiadałyśmy z mamą w pociąg i jechałyśmy na Piotrkowską do Łodzi. Taka wycieczka zajmowała nam całą sobotę. Zaczynałyśmy od placu Wolności i godzinami szłyśmy w kierunku Domu Towarowego Central. Wieczorem zapalały się na nim neony z postaciami kobiety i mężczyzny, na których pojawiały się i znikały ubrania. Niespieszną wędrówkę po sklepach przerywałyśmy przystankiem na obiad w McDonaldzie, a potem na deser w Hortexie. Wchodziłyśmy do sklepów z tkaninami, indyjskich, antykwariatów i bogato zaopatrzonych szmateksów. Nad naszym spacerem wśród zabytkowych kamienic unosił się klimat znakomitej, kupieckiej przeszłości włókienniczej stolicy. Sobotnie zakupowe wyprawy miały w sobie coś z polowania. Jeździło się po rzeczy niespotykane, niedostępne nigdzie indziej. Przywoziłyśmy do domu kilka niedrogich drobiazgów, ale trud, z jakim je zdobywałyśmy, nadawał im status skarbu lub co najmniej rzadkiego okazu. W pociągu powrotnym ostrożnie zaglądałyśmy do toreb, pilnując, aby nikt ze współpasażerów nie zagroził ich zawartości. W domu, już bezpieczne, wyciągałyśmy zakupy i podziwiałyśmy je w pełnej krasie, rozłożone na kuchennym stole. Dziś wycieczki do Łodzi nie miałyby sensu. Większości sklepów już nie ma, a te same towary można kupić w każdym mieście.

Z braku handlowej ulicy w Warszawie wybrałam dzielnicową galerię, do której miałam najbliżej. Wcześniej spisałam listę zakupów. Potrzebowałam nowych ubrań i dodatków, czegoś fotogenicznego i wyrazistego, co zapadałoby w pamięć. Jeśli chciałam pracować

z kobietami sukcesu i sama stać się jedną z nich, musiałam wyglądać jak one. Odpadały sieciówki – internetowa publiczność bywała bezwzględna. Przeglądałam właśnie listę markowych sklepów na tablicy informacyjnej, kiedy zadzwonił mój telefon. Marcin.

– Gdzie jesteś? Dzwoniłem do ciebie na biurko, ale nie obierałaś.

No tak, powinnam być w pracy.

– Musiałam na chwilę wyskoczyć, niedługo wracam.

– Dobrze. Zrób, co masz do zrobienia, bo przez kilka dni będziesz musiała popracować z domu.

– Coś się stało?

– Trzeba się zająć Mają. Opiekunce coś wypadło i musi wyjechać na kilka dni. Paweł pracuje, a wieczorami siedzi z Ewą.

– Nikt nie może tej niani zastąpić? Sama powinna kogoś zorganizować. Czy ona jest z agencji?

– Nie wiem, chyba nie.

– Zapytaj Pawła. Agencja ma obowiązek zapewnić zastępstwo.

– Nie mam czasu teraz się tym zajmować. Poza tym to tylko kilka dni, wytrzymasz.

– Ale… to chyba nie jest najlepszy pomysł – powiedziałam.

– Innego nie mam – zirytował się Marcin. – Pomożesz czy nie?

Zamknęłam oczy i policzyłam do pięciu.

– Tak jest, szefie.

Rozdział dziewiętnasty

Właśnie dlatego nie spieszyło mi się do posiadania dzieci. Teoretycznie miałam idealne warunki do założenia rodziny: narzeczonego, stabilizację finansową, wystarczająco duże mieszkanie i skończone trzydzieści lat. A jednak decyzja o ślubie i ciąży wydawała mi się zbyt prosta, zbyt oczywista. Uważałam, że to pójście na łatwiznę z braku innego pomysłu na siebie. Nie byłam zdeklarowaną przeciwniczką macierzyństwa, ale wiedziałam, że narzuca ono potężne ograniczenia. Nie ma co się oszukiwać: dziecko to koniec, zwłaszcza dla kobiety. Minimum dwadzieścia lat wyjętych z życiorysu, tych najlepszych, najbardziej produktywnych. Partnerstwo w opiece nad dzieckiem i łączenie kariery z macierzyństwem to fikcja. Kiedy przyjdzie co do czego, to kobieta zawsze zostaje z dzieckiem. Nawet jeśli próbuje pogodzić życie rodzinne z pracą, skazuje się na chroniczne zmęczenie i wyrzuty sumienia, że nic nie robi porządnie. Nie da się i koniec.

Dlatego po studiach, znalezieniu partnera i ugruntowaniu pozycji na rynku pracy zrobiłam sobie wolne. Nie zapisałam się na następne życiowe zaliczenie. Po ponad dwudziestu latach ciągłego udowadniania, że jestem pełnowartościowym członkiem społeczeństwa, zasłużyłam na to, żeby zrobić coś tylko dla siebie. Rozejrzeć się, pomyśleć, czym chciałabym się zajmować. Prokreację poprzedzić kreacją i spróbować najpierw osiągnąć osobisty sukces. W bardziej rozwiniętych krajach to normalne, robi się rok przerwy na podróż lub zwyczajne zebranie myśli. U nas prawie nikt nie ma takiej możliwości. Ja dałam ją sobie sama.

Co innego Ewa: w wyznaczonym terminie zawładnął nią nieokiełznany biologiczny zew. Pamiętam ją z okresu, kiedy umawiała się na internetowe randki. Trawiło ją atawistyczne pragnienie znalezienia sobie pary. To musiało się skończyć dzieckiem.

To dziecko, dziś czteromiesięczne, siedziało teraz przede mną i wodziło dookoła wzrokiem. Wiedziałam, że czegoś chce albo za chwilę będzie chciało. Wsadziłam je do huśtawki, którą ustawiłam w salonie. Pracowałam przy stole stojącym obok. Pospiesznie stukałam w klawiaturę laptopa, zanim Maja znów zażąda mojej uwagi.

Paweł przywiózł ją kilka godzin wcześniej. To był pierwszy raz, kiedy widzieliśmy się sam na sam od naszego rozstania. Nie wszedł do mieszkania, w przedpokoju przekazał mi nosidełko z Mają, razem z małą torbą podróżną. Był zaaferowany. Źle wyglądał. Mniej więcej jak ktoś, komu właśnie umiera dziewczyna. Na chwilę zszedł na parking i wrócił ze składanym kojcem i przenośną huśtawką.

– Wszystko, czego możesz potrzebować, jest w torbie – powiedział. – Pieluchy, chusteczki, zasypka, gryzak, smoczek, butelka i mleko w proszku. Przeczytaj instrukcję na opakowaniu.

Spakowałem też kilka zmian ubrań.

– Poradzę sobie – odpowiedziałam. – Jedź.

– Dzięki.

Oboje chcieliśmy mieć to spotkanie jak najszybciej za sobą.

Maja przywitała mnie radosnym, bezzębnym uśmiechem. Widziała mnie kilka razy wcześniej, choć wątpię, by mnie zapamiętała. Wzięłam ją na ręce i spacerowałyśmy chwilę po mieszkaniu. Wolała być odwrócona do mnie plecami, żeby móc oglądać świat. Przytknęłam nos do jej ciepłej główki, wdychając zapach mleka i siana. Podobnie pachniało futerko kociąt u mojej babci na wsi. Wsłuchiwałam się w swoje uczucia. Nie zaskoczył mnie żaden poryw emocji ani nagły przypływ instynktu macierzyńskiego. Tylko lekkie, bliżej nieokreślone ukłucie na myśl o tym, że to córka Pawła i innej kobiety.

Pierwszy dzień z Mają potwierdził moje podejrzenia, że praca z domu, kiedy ma się małe dziecko, to fikcja. Próbowałam pisać w przerwach w zabawie i karmieniu, ale mogłam się skupić najwyżej przez kilka minut. Maja szybko nudziła się w jednej pozycji i sygnalizowała to płaczem lub nerwowym stękaniem. Zabawki zajmowały ją na chwilę, ciągle chciała, żeby ją nosić. Co jakiś czas, zdumiewająco często, trzeba ją było przewijać. W efekcie przez cały dzień załatwiłam tylko kilka najpilniejszych spraw związanych z firmą i przygotowałam dwa krótkie wpisy, składające się głównie ze zdjęć. Co więcej, nie zapowiadało się, że w najbliższym czasie będę mieć możliwość dokończenia przerwanych zakupów.

W takich momentach zdumiewała mnie pokora, z jaką Ewa oddawała swoje życie. Teraz, kiedy cicha i blada leżała w hospicjum, ale i wcześniej, kiedy niespodziewanie dowiedziała się, że jest w ciąży. Nie miała wątpliwości, że chce tego dziecka, i bez wahania pozwoliła mu przejąć władzę nad swoim ciałem i całym istnieniem. Nieraz zazdrościłam jej wewnętrznego spokoju i przyzwolenia na życie takie, jakim ono jest. Była zadowolona z tego, co przyniósł jej skąpy los, i nie pragnęła niczego więcej. Ja nie znałam takiego stanu. Jeszcze.

Pod pewnymi względami Ewa przypominała mi moich rodziców. Pogodnych minimalistów, którzy woleli wyciągnąć się wygodnie na kanapie, niż stawiać sobie kolejne wyzwania. Tuż po ślubie z pomocą całej rodziny wybudowali dom i na tym zakończyli realizację życiowych ambicji. Byli zdrowi, mieli stałą pracę i niczego więcej nie pragnęli. Kiedy po transformacji ich znajomi zakładali firmy i się bogacili, oni przyglądali się temu ze zdziwieniem. Mieli przed sobą szanse, o których moje pokolenie może tylko pomarzyć. Niemal każdy, kto wykazał wtedy odrobinę inicjatywy i przedsiębiorczości, odnosił sukces i dorabiał się na tyle, że starczało mu na resztę dostatniego życia i zabezpieczenie przyszłości dzieci. Tak jak rodzice Ewy i Marcina. Ale nie moi. Oni nie widzieli takiej potrzeby. Uważali, że mają wystarczająco

dobre życie, za które należy dziękować Bogu. I mnie radzili to samo.

Kiedy chodziłam do szkoły, nie zapisali mnie na żadne dodatkowe zajęcia. Wyszukiwałam je sobie sama – kółko plastyczne, taniec towarzyski, angielski. Traktowali je jak mój dziecięcy kaprys i pobłażliwie się na nie godzili. Z podobnym nastawieniem przyjmowali moje zmieniające się zawodowe marzenia i pomysły na zakładanie własnej firmy.

– Dziecko – mówił ojciec. – Po co ci to? Znajdziesz dobrą pracę i nie będziesz musiała niczym się przejmować.

– I męża – dopowiadała mama. Jej ideałem był scenariusz, kiedy kobieta nie musi pracować i może mieć święty spokój. Ja nie wyobrażam sobie, co miałabym wtedy robić przez całe życie.

– Czas tak szybko leci, córeczko – mówili oboje. – Szkoda stresu i szarpaniny. Znajdź sobie swoje miejsce na świecie i staraj się nim cieszyć. Zanim się obejrzysz, życie gdzieś przeleci i będzie po wszystkim.

I właśnie do tego nie zamierzałam dopuścić.

Rozdział dwudziesty

Z właścicielką agencji organizującej bankiety i konferencje spotkałam się w restauracji, w której miała się odbyć uroczysta premiera mojego bloga. Patrycję poleciła mi znajoma producentka kosmetyków. Mówiła, że dziewczyna jest konkretna i dobrze zorganizowana.

– Patrycja – przedstawiła się i powitała mnie zdecydowanym uściskiem dłoni. Miała na sobie skórzane spodnie i jedwabną koszulową bluzkę, na którą opadały rozprostowane popielatoblond włosy. Elegancka i stylowa, ale gotowa zakasać rękawy do pracy. – Zapraszam. – Wskazała na krzesło przy stoliku, jakby była u siebie.

Restauracja Passiflora mieściła się na Starym Mokotowie. Z wyjątkiem seledynowych zamszowych kanap meble wykonano wyłącznie z przejrzystych materiałów: szkła i pleksi. Wykładziny i zasłony w panoramicznych oknach miały kolor butelkowej zieleni. Jedyną ozdobą wszystkich pomieszczeń były rośliny. Po ścianach wspinały się pnącza, a z kamiennych donic wyrastały kępy bambusów. Wysokie, cięte kwiaty na grubych łodygach wypełniały cylindryczne wazony ustawione na stołach. W zacienionym korytarzu prowadzącym do toalet posadzono białe storczyki.

– Ciekawy styl – powiedziałam.

– Prawda? Kojący, a jednocześnie dyskretny, pozwalający skupić uwagę – podkreśliła Patrycja.

– Często tu pani pracuje?

– Pyta pani, ile imprez wcześniej tu zorganizowałam? Bez obaw, nie tak wiele, to wciąż nieodkryte miejsce na mapie miasta. Ale zaufane, znamy się z właścicielami. Panie Marku, poproszę o dodatkową kartę. – Skinęła na kelnera. – Dla mnie woda.

Zamówiłam białą herbatę z kwiatem wiśni.

– Przejdźmy do szczegółów konferencji. – Zamiast notesu wyjęła tablet w etui z lakierowanej skóry. – Otrzymałam od pani termin i planowaną liczbę gości oraz maksymalny budżet. Zaproponowałam Passiflorę, ponieważ idealnie pasuje do kobiecego profilu państwa perfumerii, a przy tym obecnie restauracja sama mocno się promuje, co oznacza, że proponuje konkurencyjne ceny. W podanej przez panią kwocie uda się zawrzeć opłatę za wynajem, zaplecze techniczne, obsługę i podstawowy catering w formie przekąsek. – Jej palce przesuwały się wzdłuż ekranu. – Pora na ustalenie przebiegu spotkania. Od czego zaczniemy?

– Myślałam o tym, żeby zacząć od poczęstunku. Na pewno część gości się spóźni, więc pozostałym wypełnilibyśmy w ten sposób czas. Poza tym po zaspokojeniu pierwszego głodu łatwiej się skupić na słuchaniu.

– Odradzam taką kolejność. – Patrycja pokręciła głową. – Jedzenie już na wstępie wprowadzi chaos. Zacznie się bitwą o to, kto pierwszy dopadnie bufetu, a potem szczęk sztućców i rozmowy do kotleta zagłuszą część oficjalną.

– Co więc pani proponuje?

– Jeśli państwa wystąpienie nie potrwa za długo, spokojnie możemy zaplanować poczęstunek po jego zakończeniu.

– Tak jak wspominałam, chcemy zaprezentować wiosenne premiery w ofercie naszej perfumerii, więc roślinny wystrój świetnie pasuje do takiego tematu. Poza kosmetykami przedstawimy coś specjalnego, czyli blog z inspiracjami, który stworzyliśmy dla klientek. Będą więc dwie prezentacje.

– Kto będzie je prowadził? Czy zamierzają państwo zatrudnić moderatora?

– Prawdę mówiąc, nie myślałam o tym.

– Mam ze sobą listę nazwisk, które mogę polecić. – Zadbane, perłowe paznokcie Patrycji znów zastukały w tablet.

Poleciła mi kilku znanych dziennikarzy. Wyobraziłam sobie, że mój blog przedstawia publiczności któryś z nich. Byłoby wspaniale, nie mówiąc o tym, że chciałabym te osoby poznać osobiście.

– Wiąże się to oczywiście z dodatkowymi kosztami – oznajmiła.

– Jakiego rzędu?

– Pierwsza dziesiątka nazwisk na liście od dziesięciu tysięcy netto. – Obróciła ekran tabletu w moją stronę.

– Sporo. Ile może trwać prowadzenie części oficjalnej?

– Nie dłużej niż godzinę. Tańsze nazwiska zamieściłam na dole, od trzech tysięcy.

– Zastanawiam się, czy sama nie mogę poprowadzić tego spotkania. Co pani o tym sądzi?

– To dobry pomysł, osobiste podejście do gości jest mile widziane. Pozwoli zaoszczędzić pieniędzy, a czasem wstydu. Ostatnio byłam świadkiem, jak jeden z prowadzących z górnej półki pomylił Carlo Rossi z Gino Rossi. Czyli poprowadzi pani. – Patrycja zapisała coś w pliku z notatkami. – Omówmy teraz listę gości.

– Kilkanaście osób z branży, a reszta to dziennikarze.

– Chętnie spojrzę na listę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Jeszcze ją kompletujemy. Mamy pewną bazę, ale na podstawie naszej dotychczasowej współpracy z mediami nie jestem pewna, czy skuteczną.

– Mogę polecić kilka nazwisk. Przejdźmy do budżetu na relacje z konferencji.

– Budżetu? Relacje są dodatkowo płatne?

– Jeśli chce pani mieć gwarancję, że notatki i zdjęcia z konferencji się ukażą, trzeba za nie zapłacić.

– Wydawało mi się, że idea konferencji polega na tym, że dziennikarze piszą, bo potrzebują materiałów do rubryk urodowych. Lub chociaż na zasadzie wdzięczności za zaproszenie. Poza poczęstunkiem na koniec każdy dostanie upominek od firmy. To nie wystarczy, żeby ich sobie zjednać?

– Oficjalnie tak jest, a w praktyce wszyscy łapią torby z prezentami i znikają bez śladu. Nie odpowiadają na mejle, a kiedy uda się do nich dodzwonić, rozkładają ręce, że dział reklamy nie pozwala im zamieszczać bezpłatnej promocji. Niestety, prawdziwe dziennikarstwo umarło wraz z wynalezieniem reklamy.

Wyciągnęłam z torebki kolorowy magazyn i położyłam go na stole. Otworzyłam na rozkładówce z kroniką towarzyską, prezentującą galerię zdjęć z pokazów mody i promocji kosmetyków.

– Czyli wszystkie te relacje zostały opłacone?

– Przeważnie. Chyba że organizator jest klientem reklamowym i regularnie wydaje w danym magazynie duży budżet. Czy tak jest w państwa przypadku?

– Pod tym względem jestem na etapie negocjacji z wydawnictwami – skłamałam. Przecież planowałam spotkanie w Max & Moritz.

– Czasem pisma i portale chętniej coś napiszą, jeśli przyjdą gwiazdy. Czy chce pani zaprosić znane twarze?

– W przypadku gwiazd będę liczyć na pani pomoc. Zależy mi na nawiązaniu kontaktów, także ze względu na tematykę naszego bloga.

– Jaki mamy budżet?

– To znaczy?

– Jakie honorarium za przyjście są państwo skłonni zapłacić?

– Możemy zapewnić dobrą zabawę, błysk fleszy i specjalny kosmetyczny prezent. – Uśmiechnęłam się. – Poza tym gwarantujemy wywiad na łamach naszych stron.

– Obawiam się, że to nie wystarczy. – Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Przecież dla celebrytów wywiad i pojawienie się na medialnym wydarzeniu to świetna promocja.

– Niestety, to już nie te czasy.

– A ile to by miało kosztować?

– W zależności od popularności – od kilkuset złotych do kilkunastu tysięcy. Plus ewentualny dodatek na ciuchy, fryzjera i makijaż.

– Co mieści się w takim honorarium?

– Pojawienie się na bankiecie i stanięcie na ściance fotograficznej z logo firmy.

– Skąd ten rozstrzał w stawkach?

– Najdroższe są osoby z pierwszych stron gazet. W branży eventowej mówimy na nie „ryje”. Obecność ryja gwarantuje, że zdjęcia obiegną portale plotkarskie. Półryje są tańsze, bo ogólnie gorzej zarabiają i godzą się na niższe stawki.

– Półryje?

– Przebrzmiałe sławy, aktorzy familijnych seriali, muzycy znani z jednej płyty wydanej dekadę temu. Żądają pieniędzy za bankiety, bo muszą z czegoś żyć. Tylko zera przychodzą za darmo. Wystarczy im, że się pokażą i najedzą.

– Zera?

– Sezonowe gwiazdki z telewizyjnych talent show, wyrośnięte serialowe dzieci, piosenkarki z zespołów znanych z dawnych czasów, kiedy miały inną wokalistkę. Ci walczą o to, żeby nie ulec zapomnieniu.

– W takim razie bierzmy zera.

– Dobrze, polecę pani kilku starych wyjadaczy. Nazwiska pewnie nic pani nie powiedzą, ale założyłam folder ze zdjęciami. Namawiam jednak, by zainwestować w kogoś bardziej rozpoznawalnego, inaczej nie przyjdą fotoreporterzy. A bez nich zdjęcia z konferencji nie pójdą w świat, a zera nie będą miały się przed kim poprężyć. Jak pani widzi, nie unikniemy dodatkowych kosztów, więc lepiej zainwestować w porządniejszą gwiazdę. Może pani pomyśleć o opłaceniu ambasadorki, która stałaby się na jakiś czas twarzą Desire. Wtedy zyskają państwo dodatkową promocję, a obecność na konferencji będzie gratis. Wyjdzie taniej.

– Mimo wszystko kwota kilkunastu tysięcy jest dla nas zaporowa w połączeniu z kosztami konferencji i reklamy w prasie. Jesteśmy małą firmą.

– Proszę zdać się na mnie. Na pewno razem wybierzemy coś ciekawego w dobrej cenie – oznajmiła Patrycja. – Panie Marku, prosimy o rachunek. Na koszt firmy. – Mrugnęła do mnie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Następnego dnia Patrycja zgodnie z obietnicą przesłała mi prezentację zawierającą wizerunki znanych postaci, które za niewygórowane stawki proponowały świadczenie swoich promocyjnych usług. Przeglądałam katalog przecenionych gwiazd i przypominałam sobie czasy, kiedy świeciły najjaśniej.

Sandra Kłos, była Miss Polonia z czasów, kiedy taki tytuł dużo znaczył. Pełniła funkcję honorowej ambasadorki największych firm, reklamowała samochody i prowadziła telewizyjne gale. Podróżowała po całym świecie, brała udział w wyborach Miss World i Miss Universe. Nosiła błyszczące suknie, strojne naszyjniki i nieodłączny diadem. W końcu poślubiła bajecznie bogatego biznesmena, który wzniósł dla niej kiczowaty pałac pod Konstancinem. Dzisiejsze miss przechodzą bez echa. Żadnej z ostatnich nie umiem rozpoznać, a co dopiero wymienić z nazwiska.

Monika Milewicz, piosenkarka, zwyciężczyni pierwszego muzycznego show w polskiej telewizji. W finale pobiła rywali na głowę brawurowym wykonaniem piosenki z repertuaru Mariah Carey i wygrała kontrakt na wydanie własnej płyty. Reprezentowała też Polskę w konkursie Eurowizji. Zajęła jedno z ostatnich miejsc, a nagrana przez nią płyta nie odniosła sukcesu. Pozostali finaliści programu choć nie wygrali, własnymi siłami wydali albumy, które stały się hitami i zapewniły im stałą pozycję na krajowej estradzie. Monika nie umiała wykorzystać swojej szansy, kiedy konkursy talentów jeszcze realnie ją dawały. Dziś konkurencja jest o wiele silniejsza, a po zwycięstwie laureatami nikt się nie interesuje. Dostają zapłatę za rolę w telewizyjnych igrzyskach i dalej muszą radzić sobie sami. Atrakcyjniejsi dla publiczności są jurorzy programu, którzy domagają się wciąż nowych ofiar. Następny, proszę.

Ada Kalinowska, piętnaście lat temu była pupilką telewidzów. Gwiazdka serialu *Pokolenia*, w którym jako dziewczynka grała rozkoszną córkę pary głównych bohaterów. Patrząc na jej aktualne zdjęcie, trudno mi w niej rozpoznać wdzięczną blondyneczkę w stylu Shirley Temple, którą kiedyś była. Ada, jak to często bywa, ze ślicznego dziecka wyrosła na nijaką dziewczynę. Przytyła i ściemniały jej włosy. Błyskotliwy debiut na ekranie pozostał rolą jej życia, nigdy nie zagrała w żadnej innej produkcji. Wciąż czeka na wielką szansę, choć wszystko wskazuje na to, że ma ją już za sobą.

Nieraz zastanawiam się, co dzieje się z osobami, które kiedyś były sławne, a potem przestały. Jak wygląda życie po sukcesie? Czy Ada nadrobiła zaległości w szkole, którą w dzieciństwie musiała odłożyć na dalszy plan? Co czuła, gdy po przerwie na uzupełnienie

braków w edukacji okazało się, że o niej zapomniano? Możliwe, że obwinia rodziców za głos rozsądku, który złamał jej karierę. Jak Sandra znosi bezlitosny upływ czasu, który odbiera jej urodę, zaciera wspomnienie o dawnym sukcesie i przybliża widmo przerażająco niskiej emerytury? Z czego żyją dawne gwiazdy, które były zajęte popularnością, podczas gdy ich przeciętni rówieśnicy zdobywali zawód i rodzinę oraz zapewniali sobie tak zwaną bezpieczną przyszłość? Mało prawdopodobne, żeby przebrzmiałe sławy zgromadziły oszczędności, które zapewniłyby im utrzymanie na resztę życia. Może były zmuszone założyć własne firmy albo zawarły korzystne małżeństwa. Czy powrót do normalnego życia przyjęły z ulgą, czy poczuciem porażki?

Półryje z prezentacji Patrycji starały się utrzymać z tego, co umiały najlepiej: z bycia znanymi. Podejmowały rozpaczliwie próby wskrzeszania wspomnień o chwilach swojej krótkotrwałej świetności, wiedząc, że odejście w zapomnienie oznacza ich nieodwołalny koniec. Patrycja załączyła ich zdjęcia z reklam i śniadań prasowych. Wszystko wskazywało na to, że każą sobie płacić za publiczne zakupy i poddawanie się zabiegom w salonach piękności. Na ściśle określonych warunkach przyjmują prezenty w postaci markowych ubrań i butów. Biorą pieniądze za obecność na przyjęciu, używanie wybranego produktu, polecenie książki i jeżdżenie samochodem danej marki. Nie robią nic bezinteresownie, ich rekomendacja zawsze podlega wycenie. W show-biznesie nie ma przysług. Producenci to wiedzą i sami stosują się do tej zasady. Gwiazdy i firmy to związek oparty na wymianie wymiernych korzyści. W sumie nie ma w tym chyba nic złego.

Po namyśle zdecydowałam się na Sonię Lubicz. Mimo ostatnich skandali darzę ją szacunkiem za to, co osiągnęła. Uważam, że w przeciwieństwie do wielu celebrytów Sonia czegoś dokonała. Poza tym jest bezdyskusyjnie piękną kobietą. Ma klasyczną, szlachetną urodę i szczupłą mimo upływu lat figurę. Choć brukowce nie szczędzą jej krytyki za modowe wpadki, Sonia prawie we wszystkim wygląda znakomicie.

Dziesięć lat temu była jedną z najpopularniejszych dziennikarek telewizyjnych. Weszła na szczyt dzięki własnej pracowitości i determinacji. Zaczynała od prowadzenia *Teleexpressu*, wkrótce potem dopracowała się własnego talk-show, który porównywano z programem Oprah Winfrey. Założyła fundację na rzecz dzieci z wadami serca, wspieraną przez największe media. Prowadziła najważniejsze medialne imprezy i noworoczne gale. Jej twarz stale zdobiła okładki magazynów z programem telewizyjnym. Wyszła za mąż za nieprzyzwoicie bogatego przedsiębiorcę i wyglądało na to, że nigdy nie będzie musiała o nic się martwić. Niestety, przedsiębiorca okazał się gangsterem i po głośnej aferze trafił za kratki, a Sonię oskarżono o współudział w wielu podejrzanych transakcjach. Czarne chmury, które zgromadziły się nad

jej głową, spowodowały u niej silną depresję. Pewnego razu pojawiła się na balu charytatywnym organizowanym przez jej fundację kompletnie pijana. Podczas transmisji na żywo chwiała się i bełkotała. Cała Polska była oburzona jej występem, tym bardziej że na widowni siedziało wielu małych podopiecznych fundacji. Sonia została powszechnie potępiona. Jej fundację zamknięto po serii kontroli finansowych, a talk-show zdjęto z anteny. Małżeństwo z gangsterem rozpadło się w atmosferze skandalu. Nigdy nie podniosła się z tego upadku.

Nie ustawała jednak w staraniach, żeby znów znaleźć się w centrum uwagi. Obserwując jej działania, miałam wrażenie, że chodziło jej o odzyskanie nie tyle pozycji zawodowej, co zainteresowania swoją osobą. Sonia chciała być znów kochana i mile widziana. Wystrojona wciskała się na bankiety i pokazy mody, pozowała na ściankach, wydawała poradniki o dietach i walce z przeciwnościami losu. Niezrażona falą internetowej nienawiści, prowokowała odważnymi strojami i kontrowersyjnymi związkami. Zachowywała się jak desperatka, która znudziła się swojemu kochankowi i bezskutecznie próbowała wskrzesić dawną iskrę. Wolała już być obrzucana błotem niż niedostrzegana. Wszystko na próżno. Wokół jej nazwiska zapanowała zmowa milczenia – media przestały o niej choćby wspominać. Społeczeństwo pełne pijących mężczyzn nigdy nie wybaczyło pijącej kobiecie.

Postanowiłam okazać Soni wparcie w trudnym momencie, w jakim się znalazła, i zaprosiłam ją do współpracy. Jej walka o uwagę była mi w pewien sposób bliska. Chciałam podać ją czytelniczkom bloga za przykład na to, jak można wspiąć się na sam szczyt. Nie wiedziałam tylko, jak wytłumaczyć to, że z hukiem się z tego szczytu stoczyła. Uznałam jednak, że mimo opinii kobiety upadłej nadal ma klasę i nadaje się do roli ambasadorki eleganckiego kobiecego portalu. Współpraca z gwiazdą, zwłaszcza budzącą silne emocje, zapewniłaby mi szum, którego w początkowej fazie nie mogłabym zdobyć sama. Przy okazji dawała mi możliwość uczenia się od profesjonalistki.

Rozdział dwudziesty drugi

Z wydawnictwem Max & Moritz skontaktowałam się, korzystając z numeru podanego w stopce redakcyjnej „Blasku” – najwyżej pozycjonowanego magazynu o modzie i gwiazdach. Próbowałam dotrzeć bezpośrednio do redakcji, ale nie udało mi się przemknąć przez kordon działu reklamy. Sekretariat zapytał, czy życzę sobie, by połączono mnie z działem pism poradnikowych czy luksusowych. Wybrałam luksusowe.

W wyznaczonym terminie przyjechałam pod niski, rozłożysty biurowiec wzniesiony na działce wciśniętej między osiedla. Błyszcząca w słońcu szklana fasada kontrastowała z sąsiednimi blokami z wielkiej płyty. Nieutwardzona droga dojazdowa i liczne rozkopy wskazywały na to, że teren musiał zostać zagospodarowany niedawno. Jedynym wytłumaczeniem, dlaczego nic tu wcześniej nie wybudowano, musiały być ogródki działkowe. Okoliczne gierkowskie wieżowce, które stały tam od kilkudziesięciu lat, zdawały się przygląda

nowej budowli ze wścibskim zdumieniem. Podobny wyraz malował się na twarzach rdzennych mieszkańców osiedla, którzy spacerowali ze swoimi nieurodziwymi psami, robiącymi kupy na drogę przygotowaną dla eleganckich samochodów pracowników wydawnictwa.

Zaparkowałam na parkingu ułożonym z kostki, spomiędzy której wychodził jeszcze piasek. Na sąsiednich miejscach przeważały czarne terenówki. W przeciwieństwie do zamożnych dzielnic miasta napęd na cztery koła rzeczywiście przydawał się na pobliskim placu budowy. Weszłam przez obrotowe drzwi do budynku, a potem przez obrotową bramkę. Zakręciło mi się w głowie, dopiero kiedy spojrzałam na wiszącą w hallu ogromną tablicę z wykazem działów i redakcji. Z pomocą przyszła mi jedna z trzech recepcjonistek. Długim białym korytarzem wyłożonym niebieską wykładziną zaprowadziła mnie do przeszklonej sali konferencyjnej. Zniknęła na chwilę i wróciła z zamówioną przeze mnie kawą. Zostawiła mnie samą i wyszła, nie zamykając drzwi. Z zewnątrz dobiegał biurowy szum.

Po kilku minutach oczekiwania usłyszałam zbliżające się kroki. Ktoś energicznie szedł na wysokich obcasach. Przez szklane ścianki sali zobaczyłam atrakcyjną, ciemnowłosą czterdziestolatkę w obcisłych czarnych rurkach, białej tunice i czerwonych szpilkach. Szła wyprostowana, sprężyście, jakby kroczyła po wybiegu. Za nią podążała dziewczyna w moim wieku. Miała na sobie chabrowy żakiet, zielone spodnie i granatowe baleriny z metalowymi czubkami.

– Jagoda Bilska. – Starsza wyciągnęła do mnie rękę.

– Aneta Bińczyk – przedstawiła się młodsza.

Wstałam, żeby się przywitać. Jagoda wyjaśniła, że jest kierownikiem działu i przyszła mnie poznać jako nową klientkę, a teraz powierza mnie opiece swojej podwładnej. Uśmiechnęła się do mnie i przeprosiła za to, że musi wrócić do innych obowiązków. Wychodząc, posłała w stronę Anety niemal niedostrzegalne spojrzenie, na które ta odpowiedziała skinieniem głowy.

Kiedy usiadłam, Aneta postawiła przede mną kartonową torbę z logo „Blasku".

– Przygotowałam dla pani aktualne wydania naszych pism i drobny upominek od firmy – powiedziała. – W środku znajdzie też pani propozycję świadczeń reklamowych, harmonogram wydawniczy oraz cennik.

– Dziękuję. – Zajrzałam do środka i wydobyłam stos kilkunastu magazynów. Na dnie torby zauważyłam pudełeczko z markową biżuterią. – Widzę, że państwa oferta wydawnicza jest bardzo szeroka. Od czego zaczniemy?

– Proponuję rozpocząć od określenia państwa potrzeb oraz budżetu. Każdą ofertę budujemy indywidualnie na podstawie tych dwóch czynników.

– Prawdę mówiąc, nie mamy ściśle ustalonej kwoty, jaką możemy przeznaczyć na promocję w państwa tytułach. Chciałabym się zorientować, jakie mają państwo propozycje, i wtedy podjąć decyzję.

– Rozumiem. A czy zależy państwu na kampanii krótkiej, ale intensywnej, czy bardziej rozciągniętej w czasie? – zapytała Aneta, otwierając swój komplet magazynów na stronach z zaznaczonymi reklamami i advertorialami.

– Jesteśmy otwarci na państwa sugestie. Obecnie pracujemy nad nowym projektem, który chcemy wypromować. Ale zależy nam także na stałej współpracy.

– Wspaniale. Ma pani przed sobą przykłady realizowanych przez nas akcji promocyjnych. – Aneta podsunęła mi kilka rozkładówek. – A oto cennik. Podane ceny są cenami przed rabatem. Na początek współpracy zaproponuję państwu specjalne stawki. Przy większym zamówieniu możemy porozmawiać o rabacie. Jakie formaty reklam najbardziej panią interesują?

Spojrzałam na cennik. Najmniejsze reklamy, o powierzchni ćwierć strony, zaczynały się od czterdziestu tysięcy netto. Rozkładówka kosztowała dwieście. Przełknęłam ślinę.

– Prawdę mówiąc, skłaniamy się raczej ku niestandardowym formom promocji – powiedziałam. – Sami reklamujemy produkty z naszej oferty i wiemy, że bezpośrednia reklama odnosi słabszy skutek niż działania społecznościowe, nastawione na interakcję z odbiorcą.

– Wobec tego proponuję konkurs dla czytelniczek.

– Brzmi ciekawie. Na jakich zasadach moglibyśmy go przeprowadzić?

– Fundują państwo nagrody i na wykupionej przez państwa powierzchni przeprowadzamy konkurs. Przy czym uprzedzam, że nagrody nie mogą mieć niższej wartości niż dziesięć tysięcy złotych. To w naszym i państwa interesie, bo tańsze nagrody nie wzbudzą zainteresowania czytelniczek.

– Czyli jeśli dobrze rozumiem, musielibyśmy ufundować nagrody i dodatkowo zapłacić za powierzchnię, którą zajmie konkurs? Tak jak za reklamę?

– Tak to działa – uśmiechnęła się Aneta.

– Zatem konkurs kosztowałby nas więcej, mimo że ufundowalibyśmy nagrody?

– Ale jak sama pani zauważyła, jest skuteczniejszym narzędziem promocji.

– Rozumiem. Tak się składa, że ja też przygotowałam dla państwa pewną propozycję. – Wyjęłam z torby laptop i uruchomiłam stronę z *All you desire*. – Oto nasz blog dla kobiet, który chcemy wypromować. Zamieszczamy w nim materiały, które mają pomóc kobietom osiągnąć cele, które sobie wyznaczyły. Doradzamy w sprawach wizerunku, oferujemy treści *coachingowe*, pomagamy dobrać produkty pielęgnacyjne i zabiegi urodowe. Jesteśmy w trakcie przygotowywania cyklu wywiadów z najbardziej znanymi kobietami, żeby podzieliły się swoimi doświadczeniami z drogi na szczyt.

– Gratuluję ciekawego pomysłu. – Aneta wypiła łyk kawy z białej biurowej filiżanki.

– Sądzę, że jest to tematyka, która mogłaby zainteresować państwa czytelniczki.

– Bez wątpienia.

– Dlatego chciałabym państwu zaproponować współpracę na zasadzie wzajemnej promocji. Z przyjemnością udostępnimy państwu bezpłatnie nasze artykuły i pisemne wywiady z gwiazdami. W zamian poprosimy jedynie o podpis, że materiały pochodzą z naszego serwisu. Dodatkowo oferujemy zamieszczenie logo państwa tytułów jako partnerów naszego serwisu.

– Znakomity pomysł. Skonsultuję się z redakcją, ale myślę, że jest to do zrobienia. Podsumowując, jaka powierzchnia państwa interesuje?

– To chyba zależy od tego, ile materiałów wybierze redakcja?

– Państwo decydują o zakresie wykupionej powierzchni, a redakcja się dostosuje. Proszę zostawić to mnie. – Aneta puściła do mnie oko.

– Przepraszam, ale chyba nie mówimy o tym samym. Tak jak wspomniałam, zamiast wykupienia bezpośredniej reklamy, chcielibyśmy udostępnić państwu treści redakcyjne w zamian za podpisanie nas jako źródła.

– Oczywiście, jednak w dalszym ciągu sprowadza się to do wykupienia przez państwa powierzchni pod zamieszczone treści.

– Sądziłam, że moglibyśmy współpracować barterowo. Nasz wkład polegałby na zapewnieniu wartościowych materiałów, co zaoszczędziłoby pracy redakcji.

Na dźwięk słowa „barter” uśmiech zniknął z twarzy mojej rozmówczyni.

– Mimo wszystko takie materiały traktujemy jako promowanie działalności państwa firmy i nie możemy ich zamieszczać bezpłatnie. – Aneta znów sięgnęła do czasopism. – Widzi pani te przepisy na sałatki? Albo ten poradnik makijażu? Lub artykuł o tym, jak wybrać najlepsze ubezpieczenie podróżne? Te pozornie redakcyjne artykuły to materiały promocyjne, za zamieszczenie których zapłacili sponsorzy. W każdym wydaniu oferujemy państwu dotarcie do kilkuset tysięcy starannie wyselekcjonowanych odbiorców. To musi kosztować. Ale proszę się nie obawiać, jeśli tylko określi pani budżet, na pewno będę mogła zaproponować jakąś ciekawą akcję.

– Rozumiem. Pozwoli pani, że wcześniej skonsultuję się z moim wspólnikiem. Przejrzymy magazyny i zdecydujemy, które działania najbardziej nas interesują i w jakim zakresie.

– Oczywiście. – Aneta wręczyła mi swoją wizytówkę i wyciągnęła do mnie dłoń. – W razie jakichkolwiek pytań jestem do dyspozycji. Dziękuję pani za spotkanie. Będziemy w kontakcie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wyszłam z wydawnictwa z piekącymi policzkami. Kiedy wyjeżdżałam rozkopaną drogą, wjechałam w kałużę, która ochlapała cały bok mojego świeżo umytego samochodu. „Będziemy w kontakcie!” Ile razy słyszałam to pożegnanie z ust tych, którzy uważali, że nie warto dalej ze mną rozmawiać.

Nie mogłam zrozumieć, jak media mogą być tak wyrachowane. Niechęć do publikowania artykułów nikomu nieznanych autorów to jedno, ale żądanie opłaty za wszystko, nawet za eksperckie materiały i wywiady ze znanymi osobami? Ciekawe, czy nadęte dziunie, które chciały mnie przystrzyc na reklamach też płacą za to, że Max & Moritz pozwala im pracować w swoich prestiżowych szeregach. Byłam pewna, że tuż po moim wyjściu Aneta wróciła do Jagody i pogardliwie pokręciła głową. Moje wymijające pożegnanie musiało zdradzić, że nie mam żadnego budżetu na reklamy. Nigdy nie przejdę pod troskliwą opiekę działu klientów kluczowych ani nie dostanę więcej upominków.

W drodze powrotnej z wydawnictwa musiałam wstąpić do firmy, a później odebrać Maję od sąsiadki, która zgodziła się jej popilnować. Ona też oczekiwała zapłaty. Po południu umówiłam się z Zuzą, koleżanką ze studiów, którą ze względu na Maję musiałam zaprosić na kawę do mieszkania. Potrzebowałam czegoś, żeby ją poczęstować. Robiłam zakupy z poczuciem, że wolałabym pisać, niż tracić czas na przygotowanie przekąsek i słuchanie przewidywalnych wynurzeń Zuzy o kolejnym nieudanym związku.

Do konferencji zostało kilka tygodni, a ja nie nadążałam z uzupełnianiem bloga, który do czasu medialnej premiery chciałam rozwinąć do zadowalającego poziomu, żeby mieć czym się pochwalić. Zdalny nadzór nad firmą i obowiązki w domu pochłaniały dużo mojego czasu – za dużo. Kiedy już udało mi się usiąść do laptopa, musiałam walczyć ze zmęczeniem i rozproszoną uwagą. To, co pisałam w trakcie pojedynczych godzin, wyszarpanych w ciągu dnia, było marnej jakości. Wiedziałam, że stać mnie na więcej, i gdybym tylko miała lepsze możliwości, blog wyglądałby zupełnie inaczej.

Najwyraźniej szczęście początkującego zaczynało mnie opuszczać, bo wykresy statystyk strony nie wyglądały najlepiej. Po początkowym dynamicznym wzroście i zdobyciu prawie dziesięciu tysięcy fanów na Facebooku, zainteresowanie opadło. Musiałam podwoić wysiłki, żeby utrzymać wyniki z pierwszych dwóch miesięcy. Wpisy zdobywały coraz mniej polubień i najwyżej kilka lakonicznych komentarzy w stylu: „fajne” albo „to coś dla mnie”.

Chciałam jak najszybciej uruchomić wideoblog. Na moje rozmówczynie wytypowałam znaną pisarkę, projektantkę mody, popularną restauratorkę i właścicielki kilku znanych firm.

Niestety, menedżerki lub asystentki sław podkreślały, że pokazywanie ich twarzy w blogu powiązanym ze sklepem to działania prosprzedażowe, które powinny być odpłatne. Znane bizneswomen z tych samych przyczyn nie zamierzały wspierać cudzego interesu. Przeprowadziłam wywiady ze współpracującymi z perfumerią przedstawicielkami polskich producentów, ale ponieważ nie były one wystarczająco znane, artykuły nie cieszyły się wielką popularnością. Musiałam je promować bannerami, żeby zachęcić do ich czytania.

Walcząc o oglądalność, dostrzegłam pewien paradoks naszych czasów. To, co w sieci na początku wydawało się błogosławieństwem, stało się przekleństwem. Jeszcze kilkanaście lat temu informacja była pożądanym i poszukiwanym dobrem, za które ludzie byli gotowi płacić. Kupowali książki, prenumerowali gazety, sięgali do encyklopedii i korzystali z bibliotek. Dziś informacja nie tylko jest darmowa, ale trzeba przekonywać, by ktoś zechciał się nią zainteresować. Media i blogerzy walczą o odbiorcę, który z widza i czytelnika przekształcił się w target reklamowy. Należy o niego zabiegać i próbować go na różne sposoby przekupić, by poświęcił swój czas na kliknięcie i wygenerowanie odsłony.

Nasyciliśmy się informacjami i teraz pragniemy tworzyć je sami. Już nie gapimy się bezmyślnie w telenowele, próbując rekompensować sobie szarą egzystencję. O nie, spójrzcie tylko na Facebooka! Codziennie gramy tam własny serial i zapewniamy siebie i innych, że mamy fascynujące życie. Zasypujemy znajomych relacjami z wakacji, dokumentujemy ulotne chwile z codzienności, uwieczniamy unikalne kompozycje ubrań, próbując zrobić z tego ważną sprawę, która przejdzie do historii. Niestety, poza nami samymi nikogo to nie obchodzi.

A jednak niektórym się udaje.

Są ludzie, których głównym celem jest chęć dorównania innym. Są też tacy, którzy dążą do stworzenia bliskich relacji. Ale mnie najbardziej imponują ci, którzy umieją wznieść się ponad resztę i mierzyć wyżej. Ludzie, którzy stali się nieprzeciętni.

To na nich muszę się skoncentrować.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zaczęłam od spotkania z Sonią Lubicz. Za pośrednictwem Patrycji z góry uzgodniłyśmy honorarium, więc tym razem nie musiałam pokornie zabiegać o współpracę. Co za ulga.

Oficjalnie celem rozmowy było omówienie przebiegu konferencji prasowej oraz wywiad, który jeszcze przed konferencją zamierzałam wrzucić na blog. Liczyłam na to, że dzięki przełamaniu lodów z Sonią zdobędę przychylność innych znanych kobiet i pójdzie mi łatwiej z pozyskiwaniem następnych rozmówczyń. Prywatnie obiecywałam sobie po tym spotkaniu dużo więcej. Chciałam się dowiedzieć, co czuje kobieta, która jest na szczycie. Oraz jak to zrobić, żeby się tam dostać.

Żałowałam, że Sonia nie zaprosiła mnie do siebie. Zawsze marzyłam o tym, żeby odwiedzić kogoś znanego i zobaczyć, jak mieszka. Byłam co prawda w kilku muzeach urządzonych w domach pisarzy, ale to nie to samo. Kuncewiczówce, willi Koliba i leśniczówce Pranie z pewnością nie można odmówić uroku, ale brakuje im tego, co najważniejsze: żyjącego właściciela, którego obecność codziennie zostawia ledwie dostrzegalne ślady.

Sytuacja mieszkaniowa Soni pozostawała tajemnicą. Wiem, że przed rozwodem mieszkała w przedwojennym domu na Żoliborzu. Któryś z jej późniejszych partnerów mieszkał w apartamencie na poddaszu mokotowskiej kamienicy. Jej obecny status związkowy i lokalowy był mi nieznany.

Umówiłyśmy się w sieciowej kawiarni w centrum. W związku z tym nie byłam pewna, jak się ubrać. Chciałam podkreślić moje biznesowe podejście, a zarazem uniknąć sztywnego stylu korporacyjnego. Gdybym wkroczyła do środka w spódnicy i żakiecie, wyglądałabym, jakbym urwała się z któregoś z okolicznych biurowców. Zdecydowałam się na atramentowe spodnie i pomarańczową koszulę z rękawem trzy czwarte. Odbierając przy kasie kartonowy kubek z plastikową łyżką, zastanawiałam się, dlaczego Sonia nie wybrała bardziej kameralnego miejsca. Kiedy zobaczyłam ją w drzwiach, wszystko stało się jasne.

Miała na sobie niebieskie dżinsy, płaskie buty i biały top, na który opadały długie, lśniące włosy. Na szyi złoty łańcuszek z prostokątną zawieszką, a na przegubach dłoni kilka bransoletek z kolekcjonerskiej linii. Ten swobodny miejski strój uzupełniały duże ciemne okulary w kolorze gorzkiej czekolady. Pozorna osłona przed spojrzeniami, gwarantująca, że każdy popatrzy w jej stronę.

Przywitałyśmy się. Zaproponowałam, że zamówię jej kawę.

– Ja zapraszam. – Uśmiechnęłam się. Niezręcznie byłoby mi wysłać ją, żeby stanęła w kolejce przy kasie.

Poprosiła o podwójne espresso. Z zażenowaniem spojrzałam na moje ociekające mlecznym tłuszczem cappuccino. Pozostali klienci kawiarni niedyskretnie popatrywali w naszą stronę, to podnosząc wzrok znad gazety, to zawieszając głos w rozmowie. Może zastanawiali się, kim jestem?

Od razu przeszłyśmy na ty. Całkiem sprawnie ustaliłyśmy przebieg konferencji. Sonia znała się na rzeczy, w końcu to profesjonalistka. Omówiłyśmy plan wieczoru i sposób, w jaki poprowadzić rozmowę. Dałam jej do wypełnienia kwestionariusz osobowy potrzebny do sporządzenia umowy. Kiedy go uzupełniła, schowałam papiery do teczki. Nadeszła pora na wywiad, czyli przejście do tematów, które bardziej mnie interesowały.

– Taka impreza to pewnie dla ciebie rutyna – powiedziałam, włączając dyktafon. – Masz w końcu bardzo duże doświadczenie.

– Każde wydarzenie traktuję indywidualnie. I do każdego starannie się przygotowuję – zapewniła Sonia. Miała nieskazitelnie białe zęby. Przekroczyła czterdziestkę, ale widać było, że będzie się pięknie starzeć.

– Po pewnym czasie takie imprezy muszą wydawać się do siebie podobne.

– Nie powiedziałabym tak. Wszystko zależy od nastawienia. Staram się podchodzić do życia i pracy jak odkrywca, z entuzjazmem i otwartością.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dzisiejszy rozpędzony świat narzuca mechaniczne podejście pracy. Tempo jest za szybkie, żeby w pełni angażować się w to, co robimy. Przynajmniej tak jest w moim przypadku.

– Rzeczywiście, żyjemy w czasach szybkości i nadmiaru.

– Podejrzewam, że jeszcze kilkanaście lat temu było o wiele spokojniej – próbowałam ją pociągnąć za język. Zmierzałam do czasów jej świetności. Interesowało mnie wszystko, co miała na ten temat do powiedzenia.

– To prawda – odpowiedziała, bawiąc się pustym kubkiem.

– Wydaje mi się, że dziś z jednej strony mamy wiele możliwości, ale z drugiej trudniej się przebić. Na wszelkich polach konkurencja jest bardzo silna. Na przykład celebryci: gwiazdy wschodzą i zachodzą. Jest niewiele osobowości tej klasy co ty – powiedziałam przymilnie.

– Dziękuję. Cóż, sława to dziwna rzecz. Wielu jej pragnie, ale ona nie jest dla każdego.

– Co masz na myśli? Oczywiście poza tym, że nie każdy zasługuje na to, żeby być znanym.

– To akurat najmniejszy problem. Bycie rozpoznawalnym to wybór, który wymaga wielu poświęceń. Dlatego część osób po bardzo obiecującym starcie rezygnuje. Dochodzi do wniosku, że nie chce takiego życia. Ale czasami jest za późno.

– Chętnie o tym posłucham.

– Zawsze wiedziałam, że chcę być kimś. Nie interesowało mnie wyróżnienie na świadectwie, piątka z dyplomu i pochwała rodziców. Pragnęłam czegoś więcej. Szukałam swojego powołania i dość szybko je zdefiniowałam. Marzyłam o pracy w telewizji. Kiedyś to była magia. Fantastyczna, niedostępna kraina. Udało się i choć wiele się od tamtych czasów zmieniło, jestem szczęśliwa, bo uważam, że spotkało mnie coś wspaniałego. Było warto, choć płacę za to do dziś.

– W jaki sposób?

– Poświęciłam wszystko, by dostać się do telewizji. Dwadzieścia lat temu to było naprawdę coś. Najwyższy poziom, najwybitniejsi ludzie. Telewizja miała raptem kilka kanałów i ogromny autorytet. Jednocześnie tuż po zmianie systemu pojawiały się nowe możliwości, nowe formaty programowe. Braliśmy udział w czymś wielkim, niesamowitym. Ten czarujący świat wciągnął mnie bez reszty. Bardzo ciężko wtedy pracowałam. Kiedy moje koleżanki inwestowały w małżeństwa i mieszkania w spółdzielniach, ja cały swój czas oddawałam doskonaleniu moich umiejętności. Kiedy one zabezpieczały swoją przyszłość, odkładając na emerytury, ja stawiałam sobie coraz wyższe osobiste poprzeczki. Liczyła się tylko pasja, poczucie, że uczestniczę w rzeczach niezwykłych. Byłam w tym całkowicie bezinteresowna, bo wbrew pozorom nie zarabiałam aż tak dużo. W rezultacie dziś jestem sama, mieszkam z rodzicami i nie mam żadnych oszczędności. Dlatego ilekroć pojawię się na jakimś medialnym wydarzeniu, bawią mnie komentarze, że jestem sprzedajną, uzależnioną od sławy próżniaczką, której nie chce się pracować jak porządni obywatele. A co niby miałabym robić? Oddałam wszystko telewizji. Nie umiem nic innego.

Zabrakło mi słów. Byłam poruszona otwartością Soni. Od razu pomyślałam o moim blogu. Jaką wartość prezentował sam w sobie? Wybrałam go jako sposób na samorealizację, bo to najlepsze, co przyszło mi do głowy. Na tle Soni czułam, jakbym tylko podszywała się pod kogoś zdolnego.

– Ale nie żyję w poczuciu żalu – kontynuowała Sonia. – Cieszę się, że przeżyłam taką przygodę. I rzeczywiście, cokolwiek by o mnie mówili, jestem popularna. Kojarzą mnie właściwie wszyscy. Dziś na dłuższą metę trudno byłoby to osiągnąć. Miałam szczęście.

– To prawda. – Pokiwałam głową.

– Nie będę więc narzekać. Świadomie wybrałam moją drogę. I przyjmuję ją ze wszystkimi konsekwencjami.

Sonia nałożyła na usta błyszczyk. Włożyła palce we włosy i potrząsnęła nimi. Kątem oka zobaczyłam cień tuż obok mojego ramienia. Wzdrygnęłam się i odwróciłam głowę. Przy mnie stał mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i mierzył do Soni z wielkiego obiektywu. Sonia

podniosła kubek do ust. Mężczyzna zrobił kilkanaście zdjęć. Nie sprzeciwiała się. Obróciła kubek tak, żeby nie było widać logo. Pstryk, pstryk, pstryk. Potem wyciągnęła z torby gazetę i zatopiła się w lekturze. Fotograf strzelił kolejną serię. Chciałam zaprotestować, ale zanim coś powiedziałam, dał mi znak, żebym się odsunęła. Wtedy Sonia wyjęła telefon i przyłożyła sobie do ucha. Facet nadal pstrykał.

– Ustawka – prychnęła dziewczyna w kolejce do kasy.

Po południu znalazłam zdjęcie Soni z kawą w kilku plotkarskich serwisach. Te same okulary, ten sam T-shirt, ten sam kubek z zasłoniętym logo. Nagłówki: „Telefon do ukochanego?”, „Samotna w kawiarni. Ktoś ją wystawił?”, „Lubicz wspiera firmę, która wyzyskuje Afrykę”.

Ciekawe, czy wysłała do właściciela sieci kawiarń zdjęcia z widocznym na kubku logo z propozycją płatnej promocji.

Spisując wywiad, rozmyślałam o naszej rozmowie. Ostrzeżenie Soni dotyczące sławy dało mi do myślenia. Wiedziałam, że zaczynała karierę w innych czasach i aby osiągnąć ten sam efekt, czekało mnie dużo więcej pracy. Dlaczego mimo to chciałam zostać znana, w dodatku bez żadnego wybitnego talentu i domagającego się wyrażenia artystycznego głosu? Bo wiedziałam, że mogę. Obserwowałam świat wokół i czułam, że mam wystarczające zasoby, żeby to osiągnąć. Sukces był na wyciągnięcie ręki i nie skorzystać z tej szansy byłoby niewybaczalnym zaniedbaniem.

Rozdział dwudziesty piąty

Dokończyłam przerwane przez Marcina osobiste przygotowania do konferencji. Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności.

Jak sięgam pamięcią, etap oczekiwania był dla mnie bardziej ekscytujący niż to, co po nim następowało. Niektóre takie momenty wspominam do dziś. Na przykład strojenie się na pierwszą randkę albo studniówkę. Zabiegi od stóp do głów, kąpiel w pianie, przemyślane wybieranie stroju, uważne rysowanie na twarzy makijażu, wreszcie rozpylanie chmury perfum i wchodzenie w nią, żeby przeniknęła włosy i ubranie. Albo zapraszanie do domu przyjaciół: nawet kiedy spodziewałam się jednej osoby, dbałam o odpowiednią oprawę. Przeglądałam przepisy, kupowałam wzorzyste serwetki i ustawiałam pachnące świece. Robiłam to przede wszystkim dla siebie, znakomicie się przy tym bawiąc. Zazwyczaj kończyło się tym, że nawet najbardziej udane spotkanie nie spełniało obietnicy niesionej przez ekscytujące chwile oczekiwania. Przeciwnie, zawsze byłam troszeczkę rozczarowana. Po takich staraniach spodziewałam się czegoś więcej.

Konferencja prasowa zdecydowanie zasługiwała na szeroko zakrojone przygotowania. Zaczęłam od przeglądania magazynów w poszukiwaniu pomysłu na kreację. Wróciłam do galerii, żeby dokończyć przerwane zakupy. Zdecydowałam się na intensywnie zieloną sukienkę podkreślającą sylwetkę. Do tego cieliste szpilki z okrągłymi noskami.

Zaczęło się wielkie odliczanie. Dwa tygodnie do imprezy: usuwanie kamienia u stomatologa. Tydzień przed: podcięcie końcówek i grzywki, żeby nieco odrosła i dobrze się układała. Pięć dni wcześniej: kilka minut w solarium – z wyprzedzeniem w razie uczulenia. Trzy dni: regulacja brwi z henną, żeby po kilkukrotnym umyciu twarzy znikł nienaturalny nadmiar czarnej farby. Dzień przed: manikiur i peeling z maseczką.

Kilkanaście godzin do gali: całonocny sen na wysokich poduszkach, żeby uniknąć opuchniętych oczu. W dzień konferencji umówiłam się na wizytę do fryzjera, później do wizażystki. W takiej kolejności, żeby fryzura i makijaż były świeże i przetrwały jak najdłużej.

Zadbałam też o kondycję bloga. Zainwestowałam w pozycjonowanie w wyszukiwarce i płatną reklamę w mediach społecznościowych. Zadzwoniłam do panienek z wydawnictwa i zrobiłam wstępną rezerwację na dziesięć reklam. Nie zamierzałam jej realizować, ale liczyłam, że dziewczyny się postarają i zrobią ładne relacje z imprezy, żeby mi się podlizać. Miodowa słodycz w głosie Anety, kiedy składałam zamówienie, była niezapomniana.

Mimo to samej konferencji, na którą tyle czekałam i do której tyle się przygotowywałam, prawie nie pamiętam. Moje główne wspomnienie to potworny, uniemożliwiający zaśnięcie ból

stóp, bo przez cały dzień byłam na nogach.

Strój wieczorowy zabrałam ze sobą do restauracji, pogniótłby się, gdybym go włożyła od razu. Wystarczyłoby, żebym kilka razy usiadła, i opięta sukienka nie przylegałaby już idealnie do ciała. Z przodu powstałyby poprzeczne zagniecenia, a na biodrach i pośladkach odstające fałdy. Nie wiedziałam, co zrobić ze szpilkami. Nie wyglądałoby to najlepiej, gdybym przyniosła je w reklamówce. Nie wchodziło też w grę, żebym w nich przyjechała, bo na nierównym chodniku mogłabym pozadzierać obciągnięte materiałem obcasy, a potem musiałabym czyścić buty chusteczką, która na zamszu zostawia smugi. Ostatecznie zapakowałam je do papierowej torby z dobrego sklepu odzieżowego – przynajmniej nie wyglądała tandetnie.

Choć imprezę przygotowywała agencja, przez cały czas miałam coś do zrobienia. Przestawić roll upy z naszym logo w lepsze miejsce. Przetestować prezentację i zrobić próbę mikrofonów. Patrzeć na ręce obsłudze, żeby nie wynosiła toreb z upominkami. Ponaglić hostessy, żeby odpowiednio wcześnie zaczęły witać gości. Czułam, że muszę wszystkiego dopilnować osobiście. A może po prostu nie mogłam sobie znaleźć miejsca.

Jako pierwsi, pół godziny przed oficjalnym rozpoczęciem wieczoru, zaczęli się schodzić fotoreporterzy. Odznaczali się na liście akredytacyjnej i rozglądali w poszukiwaniu miejsca, z którego mogliby robić najlepsze ujęcia. Na potrzeby konferencji kazałam zamówić ściankę z logo Desire.pl, którą ustawiono pośrodku korytarza prowadzącego do sali bankietowej. Moja własna ścianka! Rząd fotografów zajął miejsca naprzeciw niej i czekał. A ja razem z nimi.

Co chwilę odwracaliśmy głowę w stronę drzwi wejściowych, skanując korytarz w poszukiwaniu rozpoznawalnych twarzy. Na początku pojawiały się pojedyncze osoby. Zmierzały w stronę hostess sprawdzających nazwiska na liście. To oznaczało, że nie byli wystarczająco znani i musieli się przedstawić. Na kilkanaście minut przed planowanym startem goście zaczęli zjawiać się tłumniej. Częstowali się powitalnym drinkiem i zajmowali miejsce przy stolikach. Czas mijał, ale nie pojawiał się nikt sławny. Fotoreporterzy przecierali obiektywy i testowali ustawienia aparatów. Spoglądali na zegarek. Weszłam do toalety i wybrałam numer Soni. Nie odbierała.

Według informacji na zaproszeniu konferencja miała się zacząć o siódmej wieczorem. Było niemal wpół do ósmej, a korytarza nie rozświetlił jeszcze błysk ani jednego flesza. Patrycja uspokajała mnie, że gwiazdy zwykle czekają z pojawieniem się do ostatniej chwili. Zaproponowała, żebym sama stanęła na ściance i wykorzystała moment na zrobienie sobie zdjęcia. Pobiegłam do toalety, żeby poprawić makijaż i włosy. Moja twarz zaczęła już

błyszczeć na całego. Nałożyłam świeżą warstwę pudru i uzupełniłam zjedzoną szminkę. Wyszłam do fotoreporterów i nieśmiało stanęłam przed ścianką. Żaden z nich się nie poruszył, a większość stała odwrócona do mnie plecami. Dopiero po instrukcji Patrycji, która wyjaśniła, kim jestem, zaczęli pstrykać. Pierwsze flesze mnie oślepiły. Przypomniałam sobie, żeby lekko skrzyżować nogi i stanąć półbokiem. Wyprostowałam się i uśmiechnęłam. Ktoś zaczął wołać: „Poproszę w prawo! Do mnie! Tak, bardzo ładnie!”. Chyba chcieli sprawić mi przyjemność. Flesze trwały dobrą chwilę, jak fajerwerki. Na moment czas się zatrzymał. Znalazłam się sam na sam ze ścianą światła. Więc tak to jest.

Kiedy flesze przestały błyskać, usłyszałam, jak Patrycja podaje fotografom moje nazwisko i funkcję. Inaczej nie wiedzieliby, jak mnie podpisać.

– Już czas – powiedziałam do niej. – Gdzie ona jest?

– Sonia! – krzyknął któryś z fotoreporterów.

Przyszła. Kroczyła korytarzem w naszą stronę, nie rozglądając się na boki. W dłoni trzymała dużą kobaltową kopertówkę. Nie niosła nic poza tym, żadnej kurtki ani tym bardziej reklamówki z butami. Miała na sobie przezroczyste szpilki i biały dopasowany garnitur. Chyba nie przyjechała tylko w tym? Nie widziałam, kiedy wchodziła.

Patrycja podeszła do niej i wskazała fotografów, którzy nie czekając na komendę, uruchomili spusty aparatów. Sonia udała zaskoczoną. Tłum reporterów rozstąpił się i wpuścił ją na ściankę, by zaraz szczelnie się za nią zamknąć. Rozległo się pstrykanie migawek, a błysk fleszy rozjaśniał cały korytarz jak dyskotekę.

– Sonia, tutaj! Do mnie! Bardziej w prawo! Popatrz na mnie!

Sonia oparła rękę na biodrze i włożyła ją do kieszeni spodni, a drugą, tę z kopertówką, nonszalancko opuściła. Przechylała głowę to na jeden bok, to na drugi, i odrzucała ją do tyłu. Uśmiechała się, a potem poważniała. Pozwalała się wielbić i uwieczniać. Nie przeszkadzało jej, że wykonane w atmosferze adoracji zdjęcia nazajutrz zostaną opatrzone jadowitymi komentarzami ani że będą wyszukiwane na podstawie słów kluczowych: „Lubicz”, „biały garnitur”, „niebieska torebka”, „sztuczne piersi”. Tak czy inaczej opisane zdjęcia na zawsze trafią do rejestrów. Będą nieśmiertelne. A ona razem z nimi.

Tymczasem w hallu pojawiło się jeszcze kilka innych znanych postaci. Dziewczyna z programu o modelkach, którego nie oglądałam, ale której twarz kojarzyłam z telewizji. Młodziutka wdowa po sędziwym polityku. Trzecioplanowy aktor z telenoweli i była żona piosenkarza, który wylansował przebój lata ’97. Czekali na swoją kolej pod ścianką, a Patrycja zabawiała ich rozmową, żeby wszyscy mogli udawać, że nie czekają na możliwość sfotografowania się i że wcale nie po to tu przyszli.

Sztuczne światło w korytarzu i bliskość lamp błyskowych ukazywały jak na dłoni wszystkie niedoskonałości na cerze Soni i jej zmarszczki, które jak na złość żłobiły zdradzieckie korytarze pod pieczołowicie nałożoną warstwą podkładu i pudru. Chyba wtedy dotarło do mnie, że bycie tak zwanym kimś to niekończąca się opowieść. Bywanie. Staranie. Przymilanie. Ciała i duszy poprawianie. Walka o to, żeby być lubianym. Nie wystarczy raz zapracować na poważanie i cieszyć się nim przez resztę życia. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby zrobić na ludziach tak długotrwałe wrażenie. Dziś nic nie jest dane raz na zawsze. Nie będzie emerytury za zasługi. Każdego dnia trzeba zabiegać o to, by nie pozwolić o sobie zapomnieć. Wciąż od nowa.

Poczułam się bardzo zmęczona.

Reszta wieczoru minęła jakby poza mną. Mówiłam coś do mikrofonu, Sonia siedziała obok mnie. Potem ona zabrała głos, a ja nie miałam już nic do dodania. Goście słuchali, jedli, potem pospiesznie ustawili się po torby z prezentami, żeby przypadkiem dla nich nie zabrakło. Patrycja mi gratulowała i umówiła się ze mną na następny dzień na doręczenie faktury. Najwyraźniej wszystko poszło zgodnie z planem. Dopiero kiedy sięgnęłam do torebki po telefon, żeby wybrać numer taksówki, zobaczyłam kilkanaście nieodebranych połączeń od Marcina. To mogło oznaczać tylko jedno.

Rozdział dwudziesty szósty

Pogrzeb był nowoczesny, jeśli można tak powiedzieć o pogrzebie. Nigdy wcześniej nie widziałam pochówku urny. Lepszym słowem od „grzebania” jest w tym przypadku „chowanie” – do niewielkiej niszy, która przypomina szafkę lub piekarnik w kuchennej zabudowie. Albo mieszkanie w piętrowym bloku. Nisza Ewy znajdowała się na samej górze, więc wieńce i kwiaty złożyliśmy na ziemi. Pozostali zmarli mogli pomyśleć, że to dla nich.

Ceremonia odbyła się w kaplicy przylegającej do kancelarii cmentarza i zakładu pogrzebowego, na którym niczym przyrzeczenie wisiał szyld z neonowo zieloną nazwą Galaxy.

Podczas uroczystości zamiast kazania wyświetlono zdjęcia Ewy. W takt piosenki *Chciałbym umrzeć z miłości* na białym rzutniku pojawiała się w różnych wydaniach: jako niemowlę zawinięta w kocyk i w ramionach rodziców, jako kilkulatka trzymana za rękę przez naburmuszonego Marcina, jako szczerbata pierwszoklasistka z kucykami. Później w swetrze w warkocze na klasowym ognisku i w czerwonej sukience na studniówce. Z maskotką na szczęście przed przystąpieniem do matury. Z przyjaciółkami w Paryżu. Wreszcie z Pawłem, chyba na jakimś weselu. Objęci i roześmiani, a przecież ja i on nie znosiliśmy wesel. I na końcu z Mają, już blada, z cieniami pod oczami, które nieświadomi mogliby zrzucić na karb niewyspania.

Zwykłe amatorskie zdjęcia wyświetlone w tak niecodziennych okolicznościach oglądaliśmy wszyscy z uwagą i namaszczeniem. Gdyby Ewa żyła, większość z nas nie wykazałaby nimi większego zainteresowania. Ona sama pewnie nie oglądała ich często, może nawet wcale. Od kiedy aparaty cyfrowe weszły do powszechnego użycia, zdjęcia robimy bezmyślnie. Mamy ich tyle, że nie sposób ich przejrzeć i przebrać, nie mówiąc o wydrukowaniu. Nie starczyłoby ścian w mieszkaniach, żeby je wszystkie oprawić i powiesić.

Wywoływanie zdjęć. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy robiłam to ostatni raz. Sama nazwa tej czynności kojarzyła mi się z duchami, przywoływaniem minionych czasów. Magia. Tysiące fotografii zalegających na dyskach i kartach pamięci dokumentują nasze życie ze wszystkimi jego detalami w sposób, o jakim nasi przodkowie mogli tylko pomarzyć. I co z tego? Do uwiecznionych chwil i tak nie da się wrócić. Przejrzenie choć raz pokaźnego archiwum zdjęć nieodwracalnie pochłonęłoby kawałek teraźniejszości, w którym mogłoby się wydarzyć wiele innych, nowych rzeczy. Złudne jest myślenie, że fotografujemy się dla przyszłych pokoleń. Jeśli sami nie chcemy poświęcić czasu na powrót do naszej przeszłości, nikt inny tym bardziej tego nie zrobi.

Chyba że spotka nas jakiś niezwykły koniec. Zostaniemy sławni albo młodo umrzemy,

najlepiej w jakichś widowiskowych okolicznościach. Biorąc pod uwagę, że szanse na pierwszą możliwość maleją dziś niemal do zera, druga nasuwa się jako naturalny wybór. Wygląda na to, że tylko śmierć robi jeszcze jako takie wrażenie. Ale to chyba nic nowego. Van Gogh, Joplin, Janko Muzykant już wcześniej opatentowali ten numer. Może więc lepiej nie ryzykować i nie umierać, bo na nagrobku zostawią nam komentarz: to już było.

Od kilku dni nie zamieszczałam nowych wpisów w blogu. Nie czułam się na siłach. Chyba przeżywałam coś w rodzaju kryzysu twórczego. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ogarnęło mnie dojmujące uczucie, że nie mam nic do powiedzenia. Trochę przerażające.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy obudziłam się następnego dnia, na początku nie mogłam dojść do siebie. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Dopiero gdy mój umysł rozpoznał bezpośrednie otoczenie jako wnętrze naszej sypialni, zauważyłam, że słońce rzucało inne światło niż zwykle. Było późno. Musiałam długo spać. Wokół panowała dziwna cisza.

– Marcin?! – zawołałam. Mój głos brzmiał nienaturalnie, jakby w mieszkaniu niosło się echo.

– Jestem w kuchni.

Uspokoiłam się. Wstałam, narzuciłam szlafrok i poszłam do łazienki. Myjąc zęby, przypominałam sobie urywki z poprzedniego dnia. Najgorsze mieliśmy już chyba za sobą. Pomyślałam, że czas wrócić do rzeczywistości. Powinnam sprawdzić, czy ukazały się relacje z konferencji. Upłynął prawie tydzień, trzeba będzie obdzwonić leniwe redaktorki, które jeszcze się ociągają.

Zatrzymałam się w drodze do kuchni. Zauważyłam stojące w przedpokoju kartony. Opierał się o nie wysoki podróżny plecak.

– Zrobiłem kawę – powiedział Marcin, stawiając dwa kubki na stole.

Przez częściowo odsunięte drzwi zajrzałam do wnękowej szafy. Na wieszakach zostały tylko moje rzeczy.

– Wyjeżdżamy gdzieś? – zapytałam.

Marcin w milczeniu wsypał do kawy kilka łyżeczek cukru.

– Ja wyjeżdżam – odpowiedział w końcu.

– Dokąd?

– Do Azji.

– Słucham?

– Na początek do Bangkoku.

Podniósł na mnie wzrok. Przeszłam przez pokój i oparłam się o ścianę.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem.

– Na jak długo?

– Usiądźmy. – Marcin wskazał ręką na krzesło naprzeciw siebie.

– Nie wracasz, prawda? – Objęłam się ramionami. Nie usiadłam.

– Nie wiem.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Co konkretnie?

– Co z firmą? Nie dam rady dłużej sama jej ciągnąć.

– Nie będziesz musiała. Sprzedałem ją. Przyjąłem ofertę jednego z inwestorów. Rzuciłem zaporową stawkę, a on się na nią zgodził. Oczywiście jeśli będziesz chciała, nadal możesz tam pracować.

Odwróciłam się i podeszłam do okna. Oparłam ręce o kamienny parapet. Był zimny.

– Kiedy podjąłeś decyzję? – zapytałam.

– Kilka dni temu.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

– Właśnie powiedziałem. Przy pierwszej okazji. Usiądź, napij się, zanim ostygnie.

– Naprawdę uważasz, że to dobry moment, żebyśmy jak gdyby nigdy nic popijali kawkę?

– A dlaczego nie? Kawa jest stworzona do rozmów. Nawet tych trudnych.

– Co z mieszkaniem? – Włożyłam ręce do kieszeni szlafroka.

– Możesz w nim zostać, dopóki sobie czegoś nie znajdziesz. Później je wynajmę.

– Wyrzucasz mnie?

– Przecież powiedziałem, że możesz tu mieszkać tak długo, jak będziesz chciała.

– Zdumiewa mnie twój spokój. Tak po prostu wyjeżdżasz? Rzucasz wszystko? Teraz? A co z twoimi rodzicami? Pomyślałeś o nich?

– Moi rodzice są silniejsi ode mnie. Chciałem, żeby się trochę rozpogodzili, więc oddałem im Lucka. Poza tym mają teraz Maję.

– Właśnie, co będzie z nią? Może ja mam się nią zaopiekować? Tak to wymyśliłeś?

– Doceniam twój gest, ale Maja zostanie z Pawłem.

– A gdzie oni się podzieją? Mieszkanie Ewy też już wynająłeś?

– Nie, mieszkanie Ewy należy teraz do Mai. Paweł zostanie tam przynajmniej do jej pełnoletności.

– Widzę, że pomyślałeś o wszystkich. A o mnie?

– Asiu, przecież mnie znasz. Wiesz, o czym zawsze marzyłem. Śmierć Ewy uświadomiła mi kruchość życia. Zrozumiałem, że nie chcę czekać, żeby nadeszło coś, co mnie uszczęśliwi. Nie muszę. Mogę sam po to sięgnąć już dziś. I zrobię to.

– Przemyśl to, ochłoń. Pojedziesz tam i co dalej?

– Skontaktowałem się z ludźmi, których kiedyś poznałem. Przenocują mnie i pomogą mi się rozejrzeć. Na pewno znajdę pomysł na siebie.

– Czyli w twoim planie nie przewidziałeś miejsca dla mnie? To pożegnanie?

– Może się mylę, ale mam wrażenie, że nie chcesz ze mną wyjechać.

Nie odpowiedziałam.

– A ja nie widzę możliwości, żebym został.

– Właśnie mi powiedziałeś, że mnie opuszczasz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Chyba tak.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie próbuje o mnie walczyć. Gorączkowo szukałam pomysłu, jak go do tego skłonić.

– Proszę. – Podałam mu pierścionek, który ściągnęłam z palca.

– To nie jest konieczne.

– Należał do twojej babci. Ma dla ciebie dużą wartość.

– Tak jak ty. Chcę, żebyś go zatrzymała.

– Mnie nie będzie już potrzebny, a tobie może jeszcze się przyda.

– Dałem go tobie.

– To pamiątka. Wiąże się z nią wiele wspomnień.

– Tak, ale… ja nie chcę już tego pamiętać.

Usiadłam i bez słowa wzięłam duży łyk kawy. Była obrzydliwie letnia.

– A blog?! – wykrzyknęłam. – Co z moim blogiem?

– Jest powiązany z perfumerią.

– Sprzedałeś mój blog?!

– Nie założyłaś dla niego osobnej domeny.

– Nie miałeś prawa!

– Formalnie miałem.

– Ja jestem jego autorką. Mam prawa do wszystkich materiałów.

– Wiem, dlatego przelałem na twoje konto część zysków ze sprzedaży. Myślę, że będziesz zadowolona. A nowy właściciel uważa, że blog to znakomity pomysł. Jest zainteresowany jego rozwojem. Możesz na tym skorzystać.

– Ktoś inny ma zarabiać na moim pomyśle? Nie ma mowy. Mogę z tym pójść do sądu.

– Jeśli uznasz, że nie wyrażasz zgody na to, aby twoje wpisy pozostały częścią bloga, mogą zostać usunięte.

– Nie możesz mi tego zrobić!

– Ja nie mam w tej sprawie już nic do powiedzenia. Oto wizytówka nowego właściciela. Czeka na twój telefon. Teraz wszystko zależy już tylko od ciebie.

W życiu nie słyszałam lepszego żartu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Kiedy Marcin założył plecak i pojechał taksówką w stronę słońca, a ja zostałam sama, zaczęłam przeczuwać najgorsze. Wstukałam w wyszukiwarkę hasło „All you desire”. Poza całkiem wysoko wypozycjonowanym adresem bloga nie znalazłam nic godnego uwagi, żadnej wzmianki o konferencji. Spróbowałam z hasłami „premiera bloga desire.pl” i „nowy blog desire.pl” – to samo. Wpisałam jeszcze „Sonia Lubicz konferencja prasowa”. Pojawiły się dwie wzmianki opatrzone zdjęciami Soni. Pod każdą znajdowało się kilkadziesiąt komentarzy. Dyskusja dotyczyła głównie białego garnituru, który znów został uznany za kontrowersyjny, a następnie przerodziła się w jadowitą krytykę całego życiorysu Soni, zakończoną apelem internautów o to, żeby zaszyła się w mysiej dziurze i przestała pokazywać publicznie.

Na końcu jednego z artykułów znalazło się też jedno moje zdjęcie. W świetle lamp błyskowych wyszłam nienaturalnie blado i za szeroko otwierałam oczy. W podpisie zamieszczono moje nazwisko i odnośnik do bloga, ale nie dało się w niego kliknąć, żeby przejść dalej. Przekopałam wieczorową torebkę w poszukiwaniu wizytówki dziennikarki portalu. Wysypałam całą zawartość na blat kuchennego stołu. Znalazłam i wybrałam numer telefonu. Dziennikarka odebrała po kilku sygnałach. Podziękowałam jej za relację i poprosiłam o podlinkowanie odnośnika do bloga. Odpowiedziała, że nie może tego zrobić, ponieważ jest to świadczenie reklamowe, czyli odpłatne. Zaproponowała, że może mnie przekierować do działu handlowego. Rozłączyłam się.

Ułożyłam przed sobą wszystkie wizytówki zebrane podczas konferencji i postanowiłam, że jeszcze tego samego dnia wszystkich obdzwonię. Albo nie. Lepszym pomysłem był telefon do Patrycji! To ona powinna zadbać o medialne echo imprezy. Tak niewiele relacji to skandal. Właściwie należałoby złożyć reklamację. Może mogłabym odzyskać część pieniędzy.

Spojrzałam na statystyki bloga z ostatnich dni. Dzień po konferencji dało się zauważyć pewien wzrost, który wkrótce później opadł do poprzedniego poziomu.

Zadzwoniłam do Anety z „Blasku” i zapytałam, czy jest szansa na to, że zamieszczą wzmiankę o konferencji w kronice towarzyskiej. W odpowiedzi Aneta przypomniała, że nie przysłałam jeszcze podpisanego zlecenia zamówienia reklam. Wspomniała też, że w dzisiejszym newsletterze branżowym przeczytała o nowym właścicielu firmy, i zapytała, czy to nie wpłynie na naszą współpracę.

Postawiłam na stole kieliszek i nalałam sobie czerwonego wina. Powoli docierało do mnie, że jako jedyna zostałam z niczym. Miałam tylko kilkadziesiąt wpisów w blogu, wiszących w próżni jak śmieci w kosmosie. Wiecznie żywych, ale niewidzialnych. Całkowicie

pozbawionych znaczenia. Poza tym straciłam wszystko. Marcin planował spędzić resztę życia pod palmami, Paweł miał dziecko i mieszkanie, a Ewa zapisała się w pamięci tych, którzy ją kochali, reszta nie robiła jej już różnicy. Ale mnie nie było wszystko jedno.

Nie zamierzałam tak tego zostawić.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedział Paweł, zamykając za mną drzwi. – Wejdź.

– Jakiś ty miły. Musisz być z siebie bardzo zadowolony.

– Proszę?

– Masz, czego chciałeś! – zawołałam.

– Coś się stało?

– Nie udawaj.

– Piłaś?

– Nie zmieniaj tematu! – krzyknęłam.

– Ciszej, właśnie położyłem Maję spać. – Paweł położył palec na ustach.

– Skąd ta troska?! Nie chcesz obudzić dziecka, ale zniszczyć innym życie to nic?!

– Nie krzycz.

– Dlaczego? Chcę krzyczeć. I będę.

– No tak.

– Co to miało znaczyć?

– Zdążyłem zapomnieć, że zawsze robisz to, na co masz ochotę.

– A co w tym złego? Moim jedynym i podstawowym obowiązkiem jest być szczęśliwym człowiekiem. I na tym się skupiłam. Za to ty wolałeś zniszczyć wszystkich innych, bo nie umiałeś nic zrobić z własnym życiem.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Nie mogłeś znieść, że nam się udało, że byliśmy z Marcinem szczęśliwi. Wiem, że chciałeś się na mnie zemścić, ale dlaczego skrzywdziłeś ich? Co oni ci zrobili?

– Kto?

– Na Marcinie chciałeś się odegrać z zazdrości, ale Ewa? Dlaczego ją w to wciągnąłeś?

Z głębi mieszkania dobiegło płaczliwe postękiwanie Mai. Obudziła się.

– Dzięki – powiedział Paweł. – Możesz już iść.

Odwrócił się w stronę pokoju dziecinnego. Poszłam za nim.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Ucisz się – poprosił, biorąc na ręce skrzeczącą Maję. – Przykro mi, że twój narzeczony cię zostawił i wyrzucił z mieszkania, ale to nie mój problem.

– Skąd…

– Był u mnie. Musieliśmy uregulować formalności po śmierci Ewy. Wtedy powiedział mi, co zamierza.

– Wiedziałeś?

– Tak.

– A może ty mu podsunąłeś ten pomysł?

– Nie, chociaż osobiście uważam, że wyjazd dobrze mu zrobi. Potrzebował tego.

– No jasne. Wykorzystałeś chwilę jego słabości. Udawałeś starego przyjaciela, żeby w końcu móc się odegrać.

– Na kim? Marcin już dostał za swoje.

– On tak, ale ja nie, prawda?

– Przykro mi, że zostałaś na lodzie, ale naprawdę mam teraz inne zmartwienia niż wymierzanie sprawiedliwości.

– Sprawiedliwości?! – krzyknęłam.

Maja zaczęła płakać.

– Przestań się wydzierać. Sama jesteś sobie winna. Musiałaś mieć świadomość, że to może się tak skończyć.

– To, czyli co?

– Wykorzystywanie innych do własnych celów, podporządkowywanie ich swojej wizji. Ludzie to nie meble, które możesz dowolnie ustawiać i wymieniać.

– I kto to mówi!

– Ja nie mam sobie nic do zarzucenia.

– Nie, no skądże.

– Przykro mi, że nie powiódł się twój plan przytulenia nadzianego kolesia z firmą i mieszkaniem.

– Za to tobie się udał.

– Słucham?

– Zupełnym przypadkiem stałeś się właścicielem trzypokojowego mieszkania w centrum, prawda?

– To mieszkanie Mai. A ona jest moją córką. I półsierotą, o czym najwyraźniej zapominasz – powiedział Paweł, zabierając Maję do salonu. Rozpłakała się na dobre.

Poszłam za nimi. Paweł położył niemowlę na kanapie i spojrzał na mnie z wyrzutem. W środku panował nieopisany bałagan. Na upstrzonej okruchami podłodze stał wypełniony zabawkami kojec, obok poplamiony bujaczek i otwarta paczka pampersów. Komplet wypoczynkowy przykryty był warstwą dziecięcych ubranek, porozkładanych tak, jakby się suszyły. Poruszanie się po pokoju utrudniały otwarte kartonowe pudła i wypełnione po brzegi foliowe worki. Na stoliku leżało mnóstwo zdjęć Ewy. Ten ołtarzyk tylko mnie zirytował.

Nie weszłam do środka. Oparłam się o framugę i zapytałam:

– Postanowiłeś przewietrzyć mieszkanie? Szybko.

– Nic ci do tego.

– Przyznaję, przeprowadziłeś profesjonalną akcję. Pierwsza próba była niewypałem, ale się nie poddałeś. Jestem pod wrażeniem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Myślisz, że nie wiem, co się przydarzyło Zydze? To przypadek, że poznajesz dziadka z mieszkaniem, który wkrótce potem niespodziewanie umiera?

– Bredzisz. – Paweł drżącymi rękami próbował wepchnąć do ust Mai smoczek. Zaniosła się głośnym płaczem.

– Po falstarcie z altanką postanowiłeś mierzyć wyżej. Myślałam, że chcesz się tylko wżenić, ale przejąć mieszkanie dla siebie… O tym nie pomyślałam. No, no, prawdziwe mistrzostwo. W twoim przypadku określenie „po trupach do celu" nabrało dosłownego znaczenia. – Roześmiałam się.

Maja zaczęła ssać smoczek. W pokoju zapadła cisza.

– Przynajmniej nie musiałem się puszczać.

– Ty nie, w tym specjalizowała się twoja dziewczyna.

– Którą masz na myśli?

Przesadził. Podbiegłam do niego i nie zważając na leżącą obok Maję, wymierzyłam mu policzek. Wstał i mi oddał, mocno, aż się zachwiałam. Poczułam piekący ból. Przyłożyłam rękę do twarzy. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie zdumieni tym, co się stało. Szok ustąpił jednak miejsca wściekłości. Ruszyłam w kierunku Pawła i pchnęłam go mocno obiema rękami.

– Zniszczę cię! – krzyknęłam.

– To kolejny punkt w twoim planie?

Zaczęliśmy się szarpać. Okładałam go na oślep rękami, a on oddawał mi ciosy ze zdwojoną siłą. Bezczelny. Kiedy szarpnął mnie za włosy, podrapałam mu twarz. Zamierzył się, żeby znów mnie uderzyć, a wtedy ugryzłam go w rękę. Syknął i z całej siły mnie odepchnął. Zatoczyłam się i upadłam. Paweł stanął jak wryty.

– Uspokój się! – krzyknął, jakby chciał mnie zganić za to, że go sprowokowałam. – Leci ci krew. Pokaż.

Zamilkłam ogłuszona łomotem własnego serca i oszołomiona pulsem w skroniach. Upadając, przygryzłam sobie zębami język. Leżałam na drapiącym dywanie i czułam w ustach metaliczny smak krwi. Było mi gorąco, włosy przykleiły mi się do twarzy. Ciepła, łaskocząca

strużka spływała po brodzie. Paweł ukląkł i patrzył na mnie oniemiały. Wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął mojej twarzy. Przyglądał mi się z lękiem jak dziecko próbujące posklejać rozbitą podczas dokazywania filiżankę. Potem spojrzał na swoje palce, których czubki były umoczone we krwi. Mojej krwi. Podniósł dłoń do ust i oblizał opuszki. Oddychałam ciężko i patrzyłam na niego jak ofiara wyczekująca następnego ruchu napastnika.

Nagle pochylił się nade mną i oparty na obu dłoniach, zaczął zlizywać krew z mojej brody. Najpierw powoli, długimi pociągnięciami, potem krótszymi i coraz szybszymi.

– Tak to smakuje – wymamrotał.

Byłam unieruchomiona między jego rękami. Jego język poruszał się coraz gwałtowniej, łapczywiej. Wdzierał mi się do ust.

Spróbowałam go odepchnąć, ale nie mogłam się ruszyć. Kopałam i odwracałam głowę. Wszystko na nic. Podczas szamotaniny bluzka zsunęła mi się z ramienia, obnażając kawałek lewej piersi. Paweł to zauważył. Dopadł do mojego dekoltu. Chwycił zębami mój sutek i mocno przygryzł. Znieruchomiałam przeszyta bólem. Pod powiekami zapiekły mnie łzy. Przerażona spojrzałam w dół. Spod pękniętej skóry wydostało się kilka gęstych czerwonych kropel. Były ciepłe jak łzy, które pojedynczo kapały na moje policzki.

Popatrzyłam na pochylonego nade mną Pawła, który chciwie wpatrywał się w moją rankę. Miał ciemne oczy. Wydawało mi się, że przemknął przez nie strach.

Wyciągnęłam prawą rękę i dotknęłam jego policzka. Wtedy spojrzał mi w oczy. Przesunęłam dłoń na jego włosy. Zatoczyłam krąg od czoła po kark. Przyciągnęłam jego głowę w dół.

– Pij – powiedziałam.

Po wszystkim obudził nas płacz głodnej Mai. Zerwaliśmy się z podłogi. Paweł zaniósł Maję do kuchni, gdzie trzymał mleko w proszku, a ja zebrałam swoje ubrania i poszłam do łazienki doprowadzić się do porządku. Wzięłam gorący prysznic. Poza szczypaniem podrażnionej skóry nie odczuwałam nic.

Kiedy wyszłam, Paweł siedział na kanapie i karmił Maję. Podeszłam do stolika i podniosłam jedno ze zdjęć Ewy. Popatrzyłam na nie i odłożyłam na miejsce, a potem zgarnęłam wszystkie zdjęcia i ułożyłam na równym stosiku.

– Zostanę i pomogę ci sprzątać – powiedziałam.

Rozdział trzydziesty

Czy wykrzykując te wszystkie oskarżenia pod moim adresem, Paweł miał rację? Czy dostałam to, na co zasłużyłam? Możliwe. Zależy, jak na to spojrzeć.

Można by uznać, że po moim wymarzonym życiu zostały zgliszcza. Ktoś mógłby mnie porównać do nienasyconej żony rybaka z bajki o złotej rybce, która chcąc więcej i więcej, w końcu została z niczym i wróciła do punktu wyjścia. Można też powiedzieć, że pociągnęłam za sobą w dół wszystkich innych. Moje rozstanie z Pawłem zakończyło przyjaźń między nim a Marcinem. Pośrednio doprowadziło do tego, że Ewa zaszła z Pawłem w nieplanowaną ciążę, która być może przyspieszyła jej śmierć. Marcin się załamał i porzucił wszystko, co wypracował. Ja straciłam narzeczonego, nasze wspólne mieszkanie, pracę i moje dziecko – mój blog.

Ale na swój sposób każdy z nas dostał to, czego pragnął. Ewa spotkała miłość, która nadała jej życiu sens. Marcin wyjechał do ciepłych krajów, nie czekając, aż się dorobi i zestarzeje. Paweł mnie odzyskał i stworzył ze mną dom, nasz własny. A ja odważyłam się spróbować swoich sił i mogę powiedzieć, że osiągnęłam sukces. Bo uważam, że moją przygodę z blogiem tak właśnie można ocenić. Dał mi szansę na stworzenie czegoś własnego, a nawet na stanięcie przez jedną wyjątkową chwilę w blasku fleszy. Na pamiątkę oprawiłam wydruk mojego zdjęcia ze ścianki, nadając mojej medialnej obecności bardziej trwały charakter. Pomysł bloga na tyle spodobał się inwestorom, że postanowili go dalej rozwijać. Powołany przeze mnie do życia byt istnieje więc i wzrasta, choć już bez mojego udziału. Prawdopodobnie po jakimś czasie i tak znużyłby mnie temat gwiazd i poczułabym się wypalona. Zeszłam ze sceny we właściwym momencie, z poczuciem, że dokonałam czegoś ważnego. Mam z tego satysfakcję.

A satysfakcja jest najważniejsza. Kiedy opiekuję się Mają, jestem zmęczona, ale szczęśliwa. Dla tej małej istoty jestem teraz najbliższą osobą, która jest dla niej całym światem.

– Idol w skali mikro – mówi o mnie Paweł.

I ta skala mnie zadowala.

Czy nasza historia dowodzi prawdziwości przysłowia, żeby uważać na własne marzenia, bo się spełnią? Ja wolę inne przesłanie, to, o którym mówił Marcin. Kluczem do spełnienia jest wziąć to, czego się chciało, i odejść zadowolonym, nie wybiegać myślą w kierunku następnych zdobyczy. Inaczej poczucie braku nigdy się nie skończy i całe życie spędzimy na głodzie. Świadomie wybieram więc zadowolenie.

Czy to znaczy, że wszystkie nasze przejścia sprowadziły się tylko do tego, żebyśmy mogli z Pawłem wieść zwyczajne życie? Czy po całej drodze, jaką pokonaliśmy, nie stać nas na nic

ciekawszego niż dom i rodzina? Cóż, cytując Ewę, mimo rozmaitych rewolucji i nowych sposobów na szczęście wygląda na to, że na razie nikt nie wymyślił nic lepszego.

Czy nie mogliśmy tak od razu? Nie wiem. Kto wie, czy bez tego wszystkiego, co się wydarzyło, byłoby to możliwe.

Cieszymy się wolnością. Poza bieżącymi sprawami nie mamy już nic do załatwienia, nic do ugrania. Nie ciąży na nas żaden przymus. Wszyscy zostawili nas w spokoju. My sami siebie też. Kiedyś znajdziemy pomysł na to, co będziemy robić dalej. Ale jeszcze nie teraz.

Dajemy sobie czas.